

P. 9786 chr Arch.

DLP IMP - 7-3-78003154

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/364-2/365

1978



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

P. KENDE : **BUDAPESZT - PRAGA - WARSZAWA**

W. SUKIENNICKI : **CZY I CO SIĘ DZIŚ ZMIENIŁO ?**

Z. BAU : **« SALUS » I KONSPIRACJA**

KLIMKOWSKIEGO

R.J. KRUSZYŃSKI : **ZACHÓD I POLSKA**

BRUKSELCZYK : **WIDZIANE Z BRUKSELI**

I WASZYNGTONU

SPIS RZECZY

Peter Kende:	Budapeszt — Praga — Warszawa czyli pokusa demokracji	3
Gustaw Herling-Grudziński:	Dziennik pisany nocą	15
Marek Głogoczowski:	Myśli uczesane	27
Wiktor Sukiennicki:	Czy i co się dziś zmieniło?	37
Adam Nasielski:	Podróż do Ameryki Południowej	56
Nika Kłosowska:	Co mi z tych lat zostało... ..	75
Zdzisław Bau:	„Salus” i konspiracja Klimkowskie- go (1)	90
Stanisław Andrzej Owsianko:	W obliczu zadań jakie Partia i Rząd... ..	99
W I E R S Z E		
Jacek Bierezin:	Nieobecność	124
Jacek Bierezin:	***	125
A R C H I W U M P O L I T Y C Z N E		
Brükselczyk:	Widziane z Brukseli i Waszyngtonu ..	126
Dominik Morawski:	Korespondencja z Rzymu	140
K R A J		
Roman Józef Kruszyński:	Zachód i Polska	148
—	Komunikaty	155
S A S I E D Z I		
Karel Klatovsky:	Czechosłowacja w roku 1977	157
Adam Kruczek:	W sowieckiej prasie	165
Andrzej J. Chilecki:	Kronika niemiecka	171
E. Żagiell:	Kronika litewska	173
K R O N I K A K U L T U R A L N A		
—	Aleksander Galicz	177
W O Ł A N I E N A P U S Z C Z Y		
KISIEL:	Złote myśli na 60 lat	179
K S I A Ź K I		
Maria Kurecka:	Turbot czyli niewygodny Ryb	184
Witold Wirpsza:	Historia z tego i nie z tego świata ..	191
Adam Kruczek:	Rok życia, rok walki	196
Maria Danilewicz Zielińska:	Krajowe nowości wydawnicze	200
E. Żagiell:	Historia literatury litewskiej	204
Franciszka Toruńczyk:	Obrazy, które trudno zapomnieć	205
—	Nadane nowości wydawnicze	206
♦		
—	Wydarzenia miesiąca	210
♦		
L. Cattaneo, G. Herling-Grudziński, A. Klugman, B. Korpowski, W. Strusiewicz, E. Szejn, A. Zalewski oraz St. M. Gebhardt, K. J. Hahn, D. Morawski, M. Morawski:	Listy do Redakcji	215

(Ciąg dalszy na str. 240)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty-Janvier/Février 1978

INSTITUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Waldemar Bagiński, Sztokholm	F. 100,00
Ada i Jerzy Bajor, Longmeadow, Mass. (USA), po raz szósty ..	F. 480,00
Inż. M. G. Bornet, Toronto, Ont. (Kanada), po raz jedenasty	F. 90,00
Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz piętnasty	F. 48,00
Władimir Brylewski, Hollywood, Fla. (USA), po raz drugi	F. 47,87
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz trzydziesty szósty ..	F. 315,00
Czesław Deminet, Kent, Wash. (USA), po raz siódmy	F. 50,00
Stefan Ginilewicz, Visalia, Cal. (USA), po raz trzeci	F. 48,00
Dr Stanisław Gombiński, Paryż, po raz piętnasty	F. 100,00
Marek Hurvic, Paryż, po raz dziesiąty	F. 100,00
Wacław H. Iwanowski, Milton, Mass. (USA), po raz siedemnasty	F. 48,00
Piotr Kalinowski, Paryż, po raz drugi	F. 100,00
Stanisław Kmieć, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz drugi	F. 14,00
Ted Maczyński, Chicago, Ill. (USA), po raz trzeci	F. 144,00
Wilhelm B. Matykiewicz, Old Bethpage, N.Y. (USA), po raz szósty	F. 72,00
A. i J. Paszyńscy, Buena Park, Cal. (USA), po raz trzeci	F. 72,00
Ryszard Piątkowski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 120,00
Andrzej i Irena Pleszczyńscy, Santa Barbara, Cal. (USA) — dla uczczenia pamięci zmarłego w Santa Barbara Władysława Tomaszewskiego	F. 48,00
Polish American Art Asso. — dla uczczenia pamięci zmarłego w Santa Barbara Władysława Tomaszewskiego	F. 72,00
François Prause, Karachi (Pakistan), po raz piętnasty	F. 100,00
Dr A. Richter, Oberburg (Szwajcaria), po raz piąty	F. 87,00
Prof. Aleksander M. Schenker, Hamden, Conn. (USA), po raz ósmy	F. 147,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, Ill. (USA), po raz osiemnasty	F. 120,00
J. Uhmeyer, Portsmouth, Va. (USA), po raz szósty	F. 24,00
J. S. Wiland, Toronto, Ont. (Kanada), po raz czternasty	F. 75,00
Franciszek Wilk, Londyn	F. 87,00
Płk Jan Woźniak, Londyn, po raz trzeci	F. 87,00
Krzysztof Zachariasiewicz, San Mateo, Cal. (USA)	F. 24,00
Prof. Janusz K. Zawodny, Claremont, Cal. (USA), po raz trzynasty	F. 192,00
Bezimiennie z Jerozolimy	F. 24,00
Bezimiennie z Huntsville, Texas (USA), po raz dziewiąty	F. 48,00
Bezimiennie z Kanady, po raz trzeci	F. 98,06
Bezimiennie z Mediolanu (Włochy), po raz piętnasty	F. 60,00
Bezimiennie z Paryża	F. 100,00
Bezimiennie z USA, po raz czwarty	F. 480,00
Bezimiennie z Niemiec, po raz czternasty	F. 250,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 239)

Budapeszt-Praga-Warszawa czyli pokusa demokracji

I. W jakim sensie leninizm może odczuwać pokusę demokracji?

Mówienie o pokusie demokratycznej w obrębie prądu leninowskiego wymaga przyjęcia jednego z trzech założeń: albo uzna się, że jest anty-demokratyczny w swej istocie, lecz podatny na pewne koncepcje demokratyczne, albo przyznając że stawiał sobie pewne demokratyczne cele stwierdzi się, że nie zostały one zrealizowane i wobec tego pojawiać się mogą w formie „pokus”, lub wreszcie wygrywając niejasności współczesnego języka politycznego stwierdzi się z jednej strony, że trudności pojawiają się w momencie zastosowania demokracji w obrębie systemu komunistycznego a z drugiej strony, że pewien ideał demokracji jest sprzeczny z samą istotą leninizmu. W tym ostatnim wypadku bierze się wymiennie pod uwagę jedną lub kilka koncepcji demokracji.

Powyższe rozumowanie prowadzi mnie do odróżnienia demokracji praw obywatelskich od egalitarnej koncepcji demokracji. Jeżeli przez demokrację zrealizować się chce równość społeczną (w sensie zniesienia przywilejów wynikających z urodzenia i walki z wszelkim uprzywilejowaniem społecznym jednostek) — leninizm jest demokratyczny w swych intencjach. Czyż nie przewiduje „demokratyzacji” kultury, pewnego zrównania poziomu życia, powszechnego dostępu do spraw publicznych dzięki systemowi, w którym „władza” sprawowana jest przez synów ludu? Jeżeli natomiast przez demokrację rozumie się wolność słowa i dyskusji publicznych, suwerenność jednostki, swobodne kształtowanie się opinii i woli publicznej, respektowanie odrębności itp. — to projekt leninowski ze swą unitarną koncepcją „nowego, wyzwolonego człowieka” — znajduje się na antypodach demokracji. Na płaszczyźnie ogólnych zasad rozróżnienie to zaciemnia fakt, że leninizm walczy także o „szeroki udział mas”. W praktyce leninizmu nic temu udziałowi nie sprzyja ani nie pozwala na udział

1978 42489

BIBLIOTEKA
P. 9786 Chm. Arch.

mas będący czymś innym niż statystowaniem, gdyż kształtowanie politycznych dążeń zarezerwowane jest dla mniejszości starannie przebranej i uwarunkowanej, podczas gdy „centralizm demokratyczny” ze swej strony przeszkadza manifestowaniu się wszelkich odrębności. Nie zmienia to faktu, że całe pokolenia komunistów cierpiały z powodu przekonania, że egalitarna koncepcja demokracji zakłada swobodny udział każdego, z wyjątkiem Wrogów, w podejmowaniu decyzji publicznych.

W tym właśnie znaczeniu pokusa demokracji mieści się *jednocześnie wewnątrz i na zewnątrz leninizmu*. Ale podczas gdy horyzont „pokusy wewnętrznej” ogranicza się do mglistej idei demokracji uczestniczącej, „pokusa zewnętrzna” odzwierciedla pociąg do pewnego liberalizmu (prawa obywatelskie, wolna gra idei, itp.) odczuwany przez niektórych komunistów a szczególnie przez społeczeństwa rządzone przez komunistów.

W tej złożoności wewnętrzno-zewnętrznej, pokusa demokratyczna ma swą tradycję, sięga samych źródeł leninizmu. Na początku istnienia Międzynarodówki Komunistycznej krytyka demokratyczna wyrażona została przez Różę Luksemburg i innych. Później, w środku lat 30-tych, w okresie wzrostu faszyzmu — i nie bez udziału powodów taktycznych — można było usłyszeć wielkich przywódców komunistycznych przyznających pewne zasługi, żeby nie powiedzieć szacowność, demokracji burżuazyjnej. Sam Stalin miał zwyczaj mówić o „demokracji” w sensie jak najbardziej anty-leninowskim: czyż „demokracje zachodnie” z którymi zawarł sojusz nie były antydemokratyczne (w leninowskim znaczeniu tego słowa)? Ta podwójna świadomość demokracji, której ideologicznych konsekwencji, dotyczących szczególnie szeregowych członków partii, nie należy lekceważyć — utrudniała działanie Partii Komunistycznych Wschodniej Europy w okresie 1944-48. Po latach głoszenia polityki wyciągniętej ręki, to znaczy współpracy z wrogiem klasowym, nie było łatwo Dymitrowom, Gomułkom i innym Révai'om narzucić nagle, w momencie przełomu 47/48, przekonanie, że „strategia demokracji” była manewrem czysto taktycznym i że należy niezwłocznie skreślić ze słownika wszelkie rozróżnienie między demokracją i dyktaturą (proletariatu).

Prawdopodobnie nie jest sprawą przypadku, że w ciągu dwóch kolejnych dziesięcioleci, trzy wielkie rewolty demokratyczne w Europie Wschodniej — Warszawa, Budapeszt, Praga — wybuchły właśnie tam, gdzie w latach 1944/45 Stalin i miejscowe partie komunistyczne musiały pójść na daleko idące ustępstwa wobec sił demokracji burżuazyjnej i socjalistycznej. Węgry i Czechosłowacy otwarcie rewindykowali powrót do tradycji zarzuconych w 1948 roku. W Polsce symboliczną więzią z tym okresem stała się osoba Gomułki. „Rewizjonistom” z Niemiec Wschodnich, którzy przecież pierwsi ruszyli się w latach 1953/54 — zabrakło właśnie tego odniesienia do okresu 1944-48.

Sprowadziwszy do przeszłości ten wyjątek niemiecki można wyraźniej dostrzec kulturowe składniki owej „pokusy demokra-

tycznej”: jej niebagatelny związek ze stopniem przeniknięcia do danego kraju cywilizacji Oświecenia. Jakże inaczej wytłumaczyć można fakt, że właśnie na zachodnich krańcach świata komunistycznego, i tylko tam, pokusa demokratyczna stała się siłą działającą, podczas gdy gdzie indziej pozostała w stanie uspienia? Mówiąc o dziedzictwie kulturalnym trzeba, rzecz jasna, brać przede wszystkim pod uwagę warstwę inteligencji i jej zdolność oddziaływania na komunistyczną klasę polityczną. Jest faktem dowiedzionym, że w zachodniej strefie Wschodniej Europy inteligencja zdołała zachować pewną ciągłość historyczną i przekazywać nie-leninowskie wartości zarówno nowym pokoleniom jak i środowisku komunistycznemu. Zjawisko „euro-komunizmu”, jeśli w ogóle istnieje, podkreśla ten związek między pokusą demokratyczną a kulturą zachodnią (podczas gdy ZSSR stanowi dowód negatywny tego zjawiska).

II. Walka o demokrację w 1956 i w 1968 roku. — Kilka uderzających podobieństw

Jest rzeczą zrozumiałą, że nasze uwagi nie mają charakteru pełnej analizy historycznej wydarzeń i ich przyczyn. Stawiamy sobie cel skromniejszy: zwrócenie uwagi na swoisty paralelizm postaw i perspektyw dotyczących demokracji. Żądanie demokracji, nierozłącznie związane ze sprawą stosunków z ZSSR — to znaczy z problemem suwerenności (lub godności) narodowej, mieściło się, jak wiadomo, w samym centrum rebelii polityczno-ideologicznych w krajach Środkowo-Wschodniej Europy w latach 1956-1968. Co więcej: to właśnie żądanie wyłoniło się w ten sam sposób w trzech zbuntowanych krajach, niesione było przez te same warstwy społeczne, sięgało po te same cele (z niewielkimi różnicami), napotkało podobne przeszkody i jeśli upadło — to nie tylko z powodu określonej koniunktury historycznej (to znaczy wiadomego przeciwnika), ale także na skutek podobnych słabości wewnętrznych.

Sprecyzujmy w kilku punktach tę paralelność:

a) W trzech wspomnianych wypadkach walka o demokrację rozpoczęła się od wewnętrznego niezadowolenia w obrębie partii komunistycznych. Zanim lud wszedł na widownię, właśnie działacze partyjni zaczęli domagać się komunizmu *bardziej* demokratycznego. Można przyjąć, że po roku 1968 podobne zjawisko w Europie Wschodniej powtórzyć się już nie może, gdyż Sowietci zrobili wszystko, by wykarczować korzenie zła „rewizjonistycznego” w poddanych sobie społeczeństwach komunistycznych.

b) W trzech wypadkach wrzenie powstało najpierw w środowisku intelektualnym i promieniowało na zewnątrz. Należy tu zwrócić uwagę na dwie sprawy: na pozycję strategiczną inteligencji oraz na fakt, że w tej zachodniej strefie świata sowieckiego przetrwała inteligencja mająca kontakt ze swą przeszłością

i zdolna przekazać wartości „dysydenckie” zarówno młodszemu pokoleniu jak i środowisku komunistycznemu.

c) Trzy omawiane rewolty radykalizując się stopniowo zaprezentowały szeroką skalę demokratycznych rewindykacji: od demokracji „wewnątrz-partyjnej” do pluralizmu władzy, przechodząc przez swobody obywatelskie. Jeżeli wielopartyjność żądana była otwarcie tylko w Budapeszcie, zniesienie monopolu partii zawarte było w logice Praskiej Wiosny, podczas gdy w Polsce w wyniku wiele mówiącej ewolucji stało się ono czysto strategicznym celem opozycji demokratycznej.

d) W zakresie instytucji społeczno-ekonomicznych żądań z ruchów demokratycznych Środkowo-Wschodniej Europy nie posunął się do brania pod uwagę rozwiązań *nie-socjalistycznych*. W szczególności wolność inicjatywy gospodarczej (*la liberté d'entreprendre* nie była nigdzie rewindykowana *expressis verbis*) zachowanie gospodarki rodzinnej w rolnictwie przedstawione zostało raczej jako dowód niezbędnej tolerancji wynikającej z poszanowania tradycji, niż jako sprzeniewierzenie się zasadom socjalistycznym. Programy oscylowały na ogół między decentralizacją decyzji ekonomicznych a stworzeniem form własności „naprawdę społecznej” to znaczy posiadającej własną autonomię.

e) Nawet jeśli nie wszędzie okres reform trwał tak krótko jak w Budapeszcie, żadna z tych trzech wielkich rewolt w imię emancypacji demokratycznej nie zdołała ustanowić instytucji społecznych, politycznych, ekonomicznych czy kulturalnych, które, po przywróceniu hegemonii sowieto-komunistycznej, byłyby w stanie stanowić przeciwwagę dla monopolu partii komunistycznej.

f) Radykalne lub nie, burzliwe czy pokojowe, respektujące lub nie respektujące *status quo* — wszystkie żądania demokratyczne zostały odrzucone, a ruchy stłumione z tą samą siłą (jeśli nie brutalnością).

III. Cztery fazy kontestacji demokratycznej

Ale podobieństwa na tym się nie kończą. Powróćmy jeszcze do repertuaru stawianych żądań (poruszonych w rozdziale II). Ciekawo wydaje się fakt, że pojawiały się stopniowo i następowały po sobie z niezmienną logiką. Wyróżnić można z grubsza cztery etapy:

1) *Kontestacja wewnętrzna*. Na tym etapie pojawia się postulat demokratyzacji metod pracy wewnątrz-partyjnej: otwartości dyskusji, konsultowania decyzji, autentyczności procedury wyborczej, ograniczenia tajemnic państwowych itp.

2) *Odkrycie praw obywatelskich*. W zależności od koniunktury pojawia się żądanie wolności słowa — lub jej praktykowanie; postuluje się istnienie prasy i stowarzyszeń niecałkowicie kontrolowanych przez leninowską partię (której kierownicz-

rola nie zostaje jeszcze zakwestionowana); wyrażone zostaje życzenie lub żądanie respektowania wartości nie wchodzących w skład oficjalnej ideologii (jak naród, religia, życia prywatne itp.); podniesiona zostaje nawet kwestia niezawisłości sądów, choćby tylko w celu naprawienia krzywd z epoki stalinizmu i formalnego respektowania istniejących praw.

Przejęcie z fazy 1 do 2 nie jest automatyczne. W tym względzie decydujące stać się może zachowanie się inteligencji. Aby wykorzystać dla sprawy demokratycznej kontestacji wspomnianą wieloznaczność leninizmu — niezbędne jest istnienie inteligencji niecałkowicie poddanej i ogłupiałej, zdolnej przeciwstawić się autorytetowi politycznemu w oparciu o pewien autorytet moralny. Konieczne jest także, by pewna ilość intelektualistów o najwyższym prestiżu dała dowód prawdziwej odwagi cywilnej i wytworzyła w swym gronie milczące porozumienie dostatecznie jasne, aby mogło neutralizować strach i lojalność wobec władzy. W wypadku spełnienia wszystkich powyższych warunków — może nastąpić przejście z fazy pierwszej do drugiej. Jeżeli zaś opór władzy będzie osłabiony — choćby przypadkowo — kontestacja demokratyczna może przejść w fazę trzecią:

3) *Żądanie autonomii społecznej*. Etap ten różni się od poprzednich odmówieniem partii leninowskiej prawa, które sobie przywłaszczyła, sprawowania hegemonii nad wszystkim. Społeczeństwo manifestuje swoje prawo do autonomii choćby częściowej — występując przeciwko idei i praktyce uniwersalnego Państwa-Partii. Treść nadawana temu dążeniu do autonomii społeczeństwa w trzech wielkich momentach wschodnio-europejskich rewolt była bogata i nieraz rozbieżna. Polska, począwszy od 1956 roku wykazywała skłonność do idei legalnie uznanej władzy paralelnej (*contre-pouvoirs*). (Warto podkreślić, że jest to jedyna wersja autonomii społecznej mniej lub bardziej możliwa do pogodzenia z zachowaniem hegemonii komunistycznej). W Czechosłowacji ruch demokratyczny dążył jednocześnie do odbudowania niezależnych związków zawodowych i ustanowienia władzy ustawodawczej niezależnej od komunistycznego kierownictwa. Na Węgrzech, autonomia została gwałtownie zdobytą poprzez utworzenie rad robotniczych i komitetów rewolucyjnych. W ciągu co najmniej kilku tygodni Centralna Rada Robotnicza Budapesztu — była poważnym rywalem rządu ustanowionego przez Sowieców.

4) *Powrót do pluralizmu*. Na najdalszym krańcu dążenia do demokracji mieści się czwarta faza, której zaledwie kontury zarysowały się dotychczas w Europie Wschodniej. Jest to faza rzeczywistego pluralizmu posiadającego dwa warianty już wypróbowane: formułę wielopartyjności i formułę korporacji lub rad. Powrót do wielopartyjności, ogłoszony kilka dni przed stłumieniem legalnej fazy rewolucji węgierskiej, przyjęty został przez węgierską opinię publiczną jako ukoronowanie walki o demokrację; z politycznego punktu widzenia krok ten miał wielkie znaczenie dla przywrócenia poparcia społeczeństwa. Formuła korporacyjna wymyślona została przez Jugosłowian i pojawiła

się na Węgrzech niedługo po obaleniu legalnego rządu rewolucyjnego. Wysunięta przez rady robotnicze, raz jako namiastka raz jako uzupełnienie wielopartyjnej demokracji wyborczej, miała na celu instytucjonalizację bezpośredniego przedstawicielstwa pracujących wyłonionego na terenie ich działalności zawodowej. (Jak wiadomo jugosłowiańskie izby zawodowe powstały w oparciu o tę właśnie ideę). W pojęciu jej zwolenników demokracja tego typu, demokracja jednocześnie robotnicza i korporatystyczna, gwarantowana w pewnym sensie przez doświadczenie socjalizmu jugosłowiańskiego miała większe szanse zaakceptowania przez Sowietów niż wielopartyjność. Kalkulacja ta, jak wiadomo, zawiodła.

Powyższemu schematowi logicznemu można by zarzucić, że nie przestrzega chronologii wydarzeń umieszczając walkę o autonomię społeczną przed fazą dążeń pluralistycznych (podczas gdy na Węgrzech porządek był odwrotny). Ale ta niezgodność z biegiem wydarzeń jest tylko pozorna. Z jednej strony bowiem wiadomo, że rewolucja węgierska „przeskakiwała” pewne etapy, zaś z drugiej strony, nawet i właśnie na Węgrzech, faza rad robotniczych odebrana została przez społeczeństwo jako walka drugoplanowa, wobec tego kulminacyjnego momentu rewolucji jakim była faza osiągniętego pluralizmu. Ogólnie rzecz biorąc, wobec ogromnej siły oporu jaką odznacza się dominacja sowiecka, tego typu historyczne *feed-back* w Europie Wschodniej są nieuniknione. I tak, w „znormalizowanej” Czechosłowacji „Karta 77” stała się niespodziewanym powrotem do fazy drugiej, podczas gdy Polska lat 1975-77 raz jeszcze zaprezentowała wariant możliwego przejścia z fazy 2 do 3.

IV. O kilku słabościach ruchu demokratycznego

Przed zakończeniem analizy rewolt demokratycznych chciałbym podsumować je na planie idei. Będzie to przede wszystkim bilans ich słabości, co wynika nie z braku sympatii dla tego ruchu, lecz z troski o jego dalsze losy.

1) Wbrew pewnemu złudzeniu świadomemu podtrzymywanemu przez lewicę zachodnią, ruchy demokratyczne w Środkowo-Wschodniej Europie nie wynalazły zupełnie nowych form demokracji, gdyż w pierwszej fazie zaledwie wyzwoliły się z podległości leninizmowi, zaś w fazach późniejszych dążyły do osiągnięcia tego, co jest zasadniczym elementem demokracji „burżuazyjnej”. Nawet idea bezpośredniego reprezentowania interesów lokalnych, zawodowych i ekonomicznych, nie była naprawdę nowa. Prawdą jest, że epizod rad robotniczych raz jeszcze potwierdził trwałość odwiecznego dążenia robotników do posiadania własnego i bezpośredniego przedstawicielstwa w najwyższych instancjach władzy, bez pośrednictwa aparatu politycznego. To dążenie nie znalazło dotychczas żadnej znaczącej odpowiedzi w istniejących systemach politycznych. (Warto wspomnieć, przy okazji, że fran-

cuski system wyborów w obrębie grup zawodowych jest w znacznej mierze zdominowany przez socjologiczną rzeczywistość „aparatu” związkowego).

2) Co do wyboru instytucji politycznych, jeśli do niego dochodziło, wschodnioeuropejscy bojownicy o demokrację dali wyraz swym wahaniom. Znajdując się wobec nieubłaganego przeciwnika — przeżywali wahania przede wszystkim taktyczne. Ale miały one także ideologiczne zabarwienie wyrażające się brakiem pewności co do wyboru między demokracją reprezentatywną (uznaną za przestarzałą ze względu na swą burżuazyjną wymowę) a demokracją bezpośrednią (wyposażoną w cnoty socjalistyczne). Pod naciskiem wydarzeń siły rewolucji opowiedziały się kolejno za oboma koncepcjami, ale warto wspomnieć, że wybrani przedstawiciele Centralnej Rady Robotniczej Budapesztu wielokrotnie wyrazili swe przywiązanie do systemu politycznego opartego na wolnych wyborach.

3) Wobec powyższego, tak jak wydaje się uzasadnionym mówienie o istnieniu *woli demokracji* w Środkowo-Wschodniej Europie, a szczególnie w trzech wspomnianych krajach, tak nic w obecnym stanie rzeczy nie upoważnia do uważania nosicieli tej woli za wysuniętą naprzód czołówkę demokracji. Wprost przeciwnie, w wyniku swego osamotnienia i na skutek rozlicznych represji jakim są poddawani — są znacznie opóźnieni w stosunku do rozwoju zachodniej myśli demokratycznej. Nie tylko nie są pionierami demokracji socjalistycznej, która nie istnieje, ale zaledwie tymi, którzy poszukują formuły dla przywrócenia, choćby częściowo, *zwyczajnej* demokracji (z naciskiem, nieraz patetycznie kładzionym, na niezbędność istnienia prawdziwego przedstawicielstwa pracowników fizycznych).

4) Poza tymi praktycznymi trudnościami, z którymi wschodnioeuropejscy demokraci muszą codziennie walczyć, należy pamiętać także o pewnym zamieszaniu ideologicznym, jakie odczuwają wobec koncepcji leninizmu. W pewnym sensie ulegli oni alienacji pod wpływem „socjalistycznego” dyskursu (któremu skądinąd nie wierzą). Socjalistyczny dyskurs bowiem odbierając szacowność prywatnym interesom obywateli, znosi ideologiczne podstawy społecznej autonomii (gdyż, jak wynika z definicji, jest ona odchyleniem od interesu ogólnego). Pułapkę tę zastawia swoista jednowymiarowość wizji „postępowości”. Chcąc nadać swej postawie treść pozytywną wobec komunistycznego przeciwnika — wschodnioeuropejscy demokraci chcą się uważać za „ludzi postępowych”. Z drugiej strony, logika demokracji każe im proponować ograniczenie państwowej wszechpotęgi, bez którego autonomia rozmaitych organizacji społecznych pozostanie martwą literą. Ale ani prywatyzacja decyzji gospodarczych (które się chce i żyć) ani wolne stowarzyszanie się małych grup obywateli (które jest podstawą przedsiębiorstw opartych na samorządzie) nie wydają się dostatecznie godne szacunku, by zostać umieszczone na „wyższym szczeblu postępu”, niż socjalizm państwowy,

działający w imię interesu ogólnego i niepodzielnego. To właśnie czyni delikatnym — z ideologicznego punktu widzenia — działanie na rzecz demokracji. Bez udziału własnej woli, a z logicznej konieczności staje się ono wyzwaniem rzuconym nie tylko komunistycznej dyktaturze, lecz także „socjalistycznej” prawomocności.

V. Czy komunizm demokratyczny jest możliwy?

Wobec niemożności pozbycia się hegemonii sowieto-komunistycznej, w jakiej znajdują się narody wschodnioeuropejskie, bez względu na to jakie jest ich dążenie do demokracji — odczuwa się pokusę odwrócenia problemu i zastanowienia się już nie nad możliwością demokracji, lecz demokratyzacji komunizmu. Wracając do wyżej zaproponowanej typologii należy się zastanowić, czy faza 1 może przejść w coś innego niż fazy od 2 do 4. Lub, mówiąc inaczej, stając na stanowisku męża stanu komunistycznego państwa, reformatora, jakim był Imre Nagy lub Aleksander Dubczek — wyobrazić sobie odpowiedź na pytanie: czy przy bardziej sprzyjającej koniunkturze można by osiągnąć coś w rodzaju demokracji uczestniczenia (*participative*) w ramach tej samej komunistycznej hegemonii (w wypadku Imre Nagy chodzić może oczywiście o okres 1953-54).

Jeżeli, tytułem eksperymentu, zastąpimy Nagy przez Gomułkę, a Dubczeka przez Kádara — będziemy mogli prześledzić *in vivo* czym staje się dążenie do reform poddane działaniu faktów. Pozwoli nam to także uniknąć rozumowania o sytuacjach fikcyjnych, to znaczy zakładania lub postulowania tolerancji sowieckiej, której brak niewątpliwie jedną z podstawowych danych naszego problemu.

Zgodziwszy się rozumować na powyższej zasadzie — nie napotkamy trudności w znalezieniu odpowiedzi. Gomułka dokonał prawdopodobnie tego, do czego Nagy był teoretycznie zdolny (przed próbą 1956 roku). Jeżeli chodzi o Kádara, określił on dokładnie te granice, których Dubczek nie powinien był przekroczyć (i których by zapewne nie przekroczył, gdyby był naznaczony urazem Węgrów z 1956 roku lub Czechów z 1968 roku). Dwoma wysoce pouczającymi przypadkami są zarówno Polska jak Węgry: historia Polski ostatnich dwudziestu lat ukazuje granice *niestabilności*, którą reżym komunistyczny jest w stanie wytrzymać, bez rozpadnięcia się; Węgry ze swej strony pokazały, jak daleko iść może *tolerancja w stabilności*. Kontrast tych obu doświadczeń jest uderzający: przy podobnym stanie wolności obywatelskich w obu tych krajach stwierdzić można, że w Polsce powyższy rezultat osiągnięty został za cenę stałej groźby wybuchu, podczas gdy na Węgrzech hegemonia partii komunistycznej nie napotyka na żadną poważniejszą kontestację. Mówiąc innymi słowami, system Kádara jest żywym przykładem teoretycznej możliwości wprowadzenia do reżymu komunistycznego sporej dozy

tolerancji wobec różnych wartości, pewnej wolności słowa, a nawet pewnych elementów demokracji konsultatywnej (w tym sensie, że władza konsultuje *specjalistów*) — to wszystko bez naruszenia hegemonii leninowskiej partii. Aby ta teoretyczna możliwość zrealizowała się trzeba było roku 1956, gdy obie strony — i władza i społeczeństwo — pobrały lekcję umiarkowania. Władza zrozumiała jakich granic nie należy przekraczać. Społeczeństwo zrozumiało, że ZSSR usadowił się w kraju na dobre. Zrozumiawszy, że nie są w stanie pozbyć się zewnętrznej dominacji, Węgrzy poddali się regułom gry zaproponowanym przez władzę względnie życzliwą (którą w końcu uznali za pośrednika bardziej niż ciemiejącę).

Wniosek wynikający z tych doświadczeń jest więc równie niejednoznaczny, jak leninowska koncepcja demokracji. Czy władza komunistyczna może dopuścić pewne modyfikacje idące w kierunku szerszego w niej uczestnictwa i większej tolerancyjności? Tak, jeżeli zostanie przyparta do muru przez nacisk społeczeństwa, lub przez groźbę rewolty, której chce uniknąć. Tak, ale wyłącznie w tych granicach, jakie nakreśliło doświadczenie Polski i Węgier. Najistotniejszym, co określa te granice jest utrzymanie hegemonii komunistycznej. To właśnie jest imperatyw, sztywny jako zasada, ale dość elastyczny w zastosowaniu (w tym sensie, że podatny na działanie psychologicznych danych obu stron). Aby sprawowanie dyktatury zostało popchnięte jak najbliżej tej niewidocznej granicy, muszą być spełnione *jednocześnie* dwa warunki. Istnieć musi opinia publiczna domagająca się wolności, oraz przywódcy wrażliwi na to żądanie. W tej grze wzajemnych ustępstw istnieje zarodek kryzysu o tyle, o ile zagłębianie się, nawet umiarkowane, w dziedzinę swobód obywatelskich (faza 2) wyzwolić może dynamikę prowadzącą do pękotki (*rupture*) (faza 3 i 4).

W tym znaczeniu podzielam zdanie tych, którzy — jak Kołakowski — określili projekt rewizjonistyczny mianem „nieporozumienia” lub „wielkich złudzeń”. Sądzić, że hegemonia komunistyczna może być przedmiotem rokowań jest równie złudne, jak wyobrazić sobie dynamikę wolności rozwijającą się bez zderzenia z tą hegemonią. Ale podzielałam to zdanie pod warunkiem przyjęcia dwóch zastrzeżeń. Pierwsze z nich: czasem możliwe jest usadowienie się w „nieporozumieniu”, nawet na długo. Drugie: jeżeli prawdą jest, że w *normalnych warunkach* dynamika swobód obywatelskich prowadzi do zerwania z komunistyczną prawomocnością, co z kolei spowoduje represję, prawdą jest także, że mogą się zdarzyć warunki wyjątkowe lub „anormalne”, jak po ciężkiej próbie typu 56 roku, gdy po przewyżczeniu obustronnych urazów umysły są przygotowane do przyjęcia kompromisu. Oczywiście tego typu równowaga jest krucha. Zakłada ona istnienie stałej walki oraz pewnego typu świadomości społeczeństwa wobec władzy. Ale sytuacja taka może, w swej wyjątkowości, przekształcić się w regułę. Trzydzieści lat sowieckiej dominacji wiele nauczyły społeczeństwa Wschodniej Europy, nau-

czyły między innymi zadawałniać się małym. Być może epoka Kadara nastąpiła nie tylko na Węgrzech.

W tym momencie pewne pytanie nasuwa się przeprowadzającemu niniejszą analizę. Dlaczego komuniści bronią z takim uporem swego monopolu władzy? Dlaczego nie są po prostu demokratami? Pytanie to warto postawić w całej jego prostocie, gdyż od odpowiedzi zależą dalsze prognozy rozwoju systemu komunistycznego (zresztą proste pytania okazują się, nieraz najlepsze...).

Odpowiedzi na to pytanie, poczynając od 1917 roku, były liczne i rozmaite. Mówiono już o dziedzictwie azjatyckiego despotyzmu, o korupcji władzy absolutnej, o błędnym kole, w którym szamoce się władza zdobyta siłą i sprawowana przez mniejszość i, oczywiście, o trudnościach wynikających z modernizacji krajów zafaryzowanych, braku tradycji demokratycznych, o skłonnościach władzy rewolucyjnej do stosowania metod szybkich i uproszczonych, o niechęci marksistów w stosunku do prawa formalnego itp. Wszystkie te tłumaczenia są częściowo prawdziwe, ale nie dostarczają klucza do zrozumienia komunistycznej odmowy demokracji. „Złe przyzwyczajenie” mogłoby przecież zniknąć w momencie polepszenia warunków. Przemoc pragmatyczna lub funkcjonalna mogłaby złagodnieć przy korzystniejszym i ułatwiającym współpracę układzie warunków zewnętrznych. Tymczasem odmowa dzielenia władzy z kimkolwiek, a nawet jej wewnętrzny podział, pozostaje stała i niezmienna w ustroju sowieto-komunistycznym i z całą oczywistością wynika z jego wewnętrznej logiki.

Zadając pytanie „dlaczego komunizm nie jest demokratyczny?” mam, rzecz jasna, na myśli nie tę „egalitarną” koncepcję demokracji. Przez ustrój demokratyczny rozumiem taki ustrój, który uznaje, że nadawanie kierunku sprawom publicznym i ich prowadzenie jest procesem opartym na umowie wciąż odnawianej, zawartej między jednostkami i grupami wchodzącymi w skład społeczeństwa.

Jasne jest — że powyższa definicja zakłada istnienie tego, co K. Popper nazywał „społeczeństwem otwartym”, to znaczy społeczeństwa, którego przyszłość nie jest z góry określona.

Wystarczy przyjąć powyższą definicję demokracji, by odpowiedź na postawione przed chwilą pytanie wyłoniła się z całą jasnością. Leninowskie odrzucenie demokracji to przede wszystkim odmowa tego kontraktu społecznego podlegającego odnawianiu. Przyczyną zaś tej odmowy jest fakt, że leninizm posiada zamkniętą wizję historii: przyszłość, według marksizmu, ma charakter „konieczności” i odpowiada najgłębszej woli oraz „klasowym interesom” pracujących. Według Lenina, dyktatura ustanowiona przez jego partię jest „demokratyczna”, gdyż z definicji spełnia wolę uniwersalnego ludu i Historii: do nich jedynie, do strażników owej transcendentalnej woli należy zapewnienie „przejścia do komunizmu”. Z punktu widzenia ścisłej wierności wobec tej koncepcji, sama idea demokracji opartej na umowie społecznej, to znaczy na władzy warunkowej i podzielonej —

jest absurdem. Staje się niedopuszczalne z zasady, by wybór celów do osiągnięcia, wybór instytucji i modelu społeczeństwa, podobnie jak dobór kadr kierowniczych — poddane były zasadzie kompromisu, wystawione na działanie przypadku.

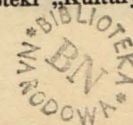
Gra demokracji określać może jedynie społeczeństwo *ruchome* (*erratique*) jeszcze nie oświecone światłem proletariackiej wiedzy. Od chwili gdy ona przejmie ster, już nic ze spraw istotnych nie podlega rokowaniom („interesy socjalizmu nie są do negocjowania”) a wszelka opozycja, wszelka niepożądana autonomia przybiera formę kontrewolucji, gdyż „obiektywnie” zahamować tylko może i opóźnić marsz ku komunizmowi.

Interpretacja karykaturalna? Chciałbym, by taką była, ale zanim nie zostanie zdementowana przez rzeczywistą historię, jest *jedyną, która tłumaczy niezmienną daną leninowskiego totalitaryzmu i jego odporność na pokusę demokracji*.

Wspomniane było, że powyższa zasada nie wyklucza możliwości wyjątków, rozmaitych wariantów, kompromisów częściowych i czasowych — zawsze pod warunkiem, że nie podważą one hegemonii ani, przede wszystkim, zasad legalności w imię których jest sprawowana. Wynika z tego wniosek jasny, że komunizm demokratyczny nie nastąpi jutro. Komunizm demokratyczny musiałby być komunizmem, który by zrezygnował z przyszłości z góry określonej. Komunizmem, który wbrew Marksowi i Leninowi przyznałby, że istotą demokracji jest kompromis, godzenie interesów rozbieżnych lub sprzecznych, szanowanie nowych propozycji, krótko mówiąc, proces, który nie prowadzi nieuchronnie do realizacji historycznej prawdy „naukowo ustalonej”. Taki komunizm ma już swoją nazwę: nazywa się socjaldemokracją. Fakt ten mówi wiele o perspektywach komunizmu demokratycznego. Począwszy od 1917 roku wielu komunistów — jednostki, grupy lub nawet całe partie — brało pod uwagę powrót do demokracji w tym znaczeniu. Czyż nie zostali wszyscy co do jednego, beztosnie odrzuceni przez leninowską wspólnotę?

Pierre KENDE

Peter KENDE, ur. w Budapeszcie 1927. W latach 1947-1966 jeden z redaktorów partyjnego dziennika budapeszteńskiego *Szabad Nep*, bliski linii politycznej Imre Nágy. Utworzył wraz z kolegami z redakcji grupę reformistyczną za co został w 1955 roku zwolniony z pracy. Po powstaniu węgierskim w 1956 roku, w którym brał udział jako dziennikarz, opuścił Węgry i osiedlił się we Francji poświęcając się pracy naukowej w dziedzinach historii i ekonomii współczesnej. Peter Kende, obecnie maître de recherches w C.N.R.S. jest autorem szeregu prac, m.in. „La logique de l'économie centralisée” (1964) oraz „L'abondance est-elle possible?” (1971), jak również współautorem wyboru prac na temat wydarzeń 1956 roku w Polsce i na Węgrzech, które ukazały się w styczniu 1978 roku w wydawnictwie Seuil w Paryżu pt. „La révolution d'Octobre” deuxième. Peter Kende jest autorem artykułu „Rozważania o historii Węgier”, wydanej w książce pt. „Węgry” w serii „Dokumenty” Biblioteki „Kultury”, w roku 1960.



KULTURA POLSKA BEZ CENZURY

WYSTAWA POLSKIEJ KULTURY NIEOFICJALNEJ

MATERIAŁY WYWIEZIONE Z POLSKI
NA BIENNALE 77 W WENECJI:

- oryginalne, krążące po Kraju czasopisma literackie: ZAPIS, PULS, wiersze St. BARANCZAKA i L. DYMAR-SKIEGO;
- publicystyka społeczno-polityczna: GŁOS, U PROGU,

OPINIA, ROBOTNIK;

- d o k u m e n t y obrazujące działalność Komitetu Obrony Robotników, Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz Studenckich Komitetów Solidarności;
- czasopisma studenckie: BRATNIAK, INDEKS;
- zdjęcia i nagrania magnetofonowe z festiwalu pieśni religijnej SACROSONG;
- zdjęcia nielegalnie wybudowanych kościołów;
- zdjęcia z pielgrzymek do Częstochowy i Piekar Śląskich;
- sztuka sakralna w Polsce
oraz
- prace niezależnych młodych grafików;
- piosenki J. KLEUSA i J. KLEYFFA.

Od połowy stycznia w gmachu POSK'u:

240, KING STREET, LONDON, W.6. ORF

Dziennik pisany nocą

Neapol, 11 października 1977

Miesiąc temu widziałem w telewizji francuskiej warszawską galę z okazji wizyty Gierka w Paryżu. Była to błaża co prawda i dość marginesowa, lecz niezła ilustracja do tekstu Gombrowicza *Gęba i twarz*. Gęba wyborowa i eksportowa, na tzw. wysoki półsk; i twarz, której nie doszukałbyś się ze świecą. Ani szczypty swobody, oryginalności, autentyczności. Miał, zdaje się, być festyn ludowy na rynku Starego Miasta; był taneczny Plac Defilad, prawie pusty i o zamkniętych wszędzie oknach, z nieśmiertelnym Mazowszem zamiast kroku marszowego. W sali Opery koncert nadętej i stęzałej nudy. Pokażemy tym Francuzom! I był pod ręką Francuz, telewizyjny konferansjer z Paryża, *Francuzik iz Bordo* o wyglądzie i manierach fryzjerczyka, rozkrochmalony i rozanielony, gotów ożenić się natychmiast w Warszawie, poklepujący wylewnie i protekcyjnie po ramieniu egzotycznych tubylców. Jakiż tam Król Ubu, jakaż tam Polska czyli nigdzie! Nadzwyczajni ci Polacy, należy im się, w dowód uznania kulturalnej metropolii dla bliskiej znowu prowincji, świeżo na tę okoliczność skomponowana *Symphonie pour la Pologne*. Medal za Gębę.

Od dawna już sędzę, że z całej twórczości Gombrowicza *Transatlantyk* będzie się z biegiem lat wysuwał na pierwszy plan, przyćmiewając nawet dzienniki i *Ferdydurke*. Polacy uchodzą na świecie za naród „dumny”, ale w tej „dumie” więcej jest sztucznego ogona pawiego, przesłaniającego udręki niepewności, niż poczucia godności która implikuje odwagę spojrzenia na siebie bez przymrużania oczu, wolę dystansu wobec własnych wartości, tragedii, błazeństw, okaleczeń, deformacji. Z literatury polskiej dobywa się, głośniejsz lub ciszej, pojękiwanie szlachetnych zranio-

nych i poparzonych. Pisarzom polskim brak, z nielicznymi wyjątkami, gombrowiczowskiej postawy „ponad, powyżej, z góry” (mówię o postawie, powierzchowne małpowanie stylu Gombrowicza zatacza coraz szersze kręgi). Wyczuwam ją teraz w *Kompleksie polskim* Konwickiego, powieści doskonałej mimo wszystkich swoich szarż i efekciarskich łatwizn. Głosu takiej swobody wewnętrznej nie słyszało się od długiego czasu.

Wiele jest odmian polskości, o której Polacy rozprawiają z zapałem przy lada sposobności; trzy wypunktowane tutaj otwierają zaledwie listę. Gębowata polskość „pawia i papugi”, samodurna i prowincjonalna. Postępująca polskość „ofiar historii”, jałowa i częściowo przynajmniej zakłamana. Polskość swego ludzkiego „ja”, suwerenna i wolna na przekór niewoli.

13 października

„ZSSR: absolutna, niepohamowana samowola, bez najmniejszych gwarancji dla elementarnych wolności, dla świętych praw sprawiedliwości i człowieczeństwa. Czuję jak wzbiera we mnie gniew. Tłumię w sobie potrzebę mówienia i pisanie o tym. Jestem sparaliżowany. Starczy byle potępienie z mojej strony, aby sprzedajni wrogowie rzucili się na moje słowa i ukuli z nich broń przeciw ZSSR”.

Zapis w sekretnym dzienniku Romain Rollanda z roku 1938. Piętnaście lat później Sartre, w głośnej polemice z Camusem na temat łagrów sowieckich, powtórzył odruch Rollanda: prawda, straszna i bolesna prawda, ale nie wolno nam o niej mówić i pisać. Jeszcze później, nie pamiętam dokładnie w którym roku, wyjaśnił dlaczego: żeby nie odbierać nadziei francuskim masom komunistycznym, nie budzić zwątpienia i zamętu w czystych robotniczych sercach. Czy wstydy się dzisiaj swojej „filozofii” zatajać w imieniu prawdy w interesie „filozoficznych celów nadrzędnych”? Prawdopodobnie nie, tytani myśli niczego się na ogół nie wstydzą, opancerzeni swoistym immunitetem kapłańskim.

Mniejsza jednak o niego, jak i Romain Rollanda, który był niegdyś „natchnieniem” lewicy europejskiej. Co jest w związku z bankructwem marksizmu istotne i ciekawe, to rosnąca niechęć do samej zasady „filozofii która zamiast świat tłumaczyć chce go zmienić”. W Paryżu przysłuchiwałem się cztery godziny publicznemu dialogowi dysydentów rosyjskich z intelektualistami francuskimi. Uderzyła mnie gwałtowność Rosjan w jednym punkcie. *Piatigorski*: „Nie ma uniwersalnej filozofii działania, każdy musi być filozofem dla siebie”. *Nieizwistnyj*: „Filozofia dla wszystkich nie może pomóc jednostce, osobie ludzkiej”. *Bukow-*

ski: „Nie wierzę w nic poza poszczególnym człowiekiem”. W pewnej chwili Piatigorski zwrócił się do „nowego filozofa” Glucksmanna: „Nonsensem jest twierdzić, że zła filozofia oszukała nasz naród; oszukano nas, bo byliśmy głupcami”. Glucksmann przeknął to bez protestu, w odpowiedzi powołał się na... Péguy. Chodziło naturalnie o Péguy socjalistę, oskarżanego przez Guesde i innych o anarchizm, o Péguy „wyłącznie sługę prawdy” i *homme libre en face du Parti*.

Z książek „nowych filozofów” znam tylko *La barbarie à visage humaine* Bernarda-Henri Lévy. Dosyć i tego, by za omyłkę uznać nazwę „nowych filozofów” nadaną tej grupce młodych ludzi proveniencji przeważnie komunistycznej. Można ich rozmaicie oceniać, z sympatią (że otrzeźwili) lub z irytacją (że wyważają otwarte drzwi przy użyciu sporej dozy tupetu i reklamiarstwa), ale robią raczej wrażenie starych antyfilozofów. Z pewnym talentem pamphletistów remontują cudowną filozoficzną Maszynę Przyszłości, budowaną (według Althussera) „przez masy, a nie przez człowieka”. Co się okazuje? Że jest unowocześnioną maszynką do mielenia ludzkiego mięsa i ducha. Co się ostaje? Człowiek który stara się żyć w prawdzie, nie ceduje swej osobowości „ideologom” i broni swego umysłu przed zacięciem „filozoficznymi celami nadrzędnymi”.

16 października

Na Zachód przemycono z Warszawy ściśle tajne instrukcje dla cenzorów polskich, analizuje je Łabędź w dwóch numerach *Times'a*. I trafia w sedno rzeczy, pisząc że lektura tego *vademecum* cenzora polskiego wywołuje w czytelniku osobliwe wrażenie: obok siebie egzystują *le pays réel* i *le pays legal* lecz *irrèel*. Świat cenzorów jest surrealistyczny. Komentarz redakcyjny dziennika londyńskiego mówi o „grze”, w której biorą udział zarówno cenzorzy jak cenzurowani, jedni i drudzy z pełną świadomością że to właśnie „gra”. W instrukcjach nie zakłada się, że to co wolno drukować czy nadawać przed radio jest prawdą, a to czego nie wolno fałszem. Ustala się po prostu, że istnieje prawda nie do ujawnienia. Cenzorzy wiedzą jaka jest prawda; i wiedzą, że wiedzą o tym cenzurowani. „Gra” toczy się poza prawdą; o stopień surrealistycznego fałszu.

Wśród rozlicznych prawd nie do ujawnienia nakazuje się cenzorom polskim tępić w masowych środkach przekazu „cyfry globalne, dotyczące wzrostu alkoholizmu w naszym kraju”. Cenzura sowiecka ukrywa je nie tylko w masowych środkach przekazu. Są przerażające, przybliżone o nich pojęcie daje studium

moskiewskiego dysydenta Krasikowa *Towar Numer Jeden*, oparte na statystycznych interpolacjach. W roku 1972 wydatki ludności sowieckiej na alkohol przekroczyły jedną czwartą wydatków na artykuły spożywcze w handlu państwowym i spółdzielczym (piętnaście procent wydatków na wszystkie artykuły pierwszej potrzeby); i stanowiły jedną dziesiątą wpływów do skarbu państwa. „Alkohol (powiada Krasikow) łączy w sobie funkcję czysto fiskalną — przelewu pieniędzy z kieszeni obywateli do kas państwa — z funkcją ideologiczną: dostarczania ludziom łatwego pocieszenia, topienia ich myśli w wódce”. Słuszne w zasadzie, ale jakby urwane w pół zdania. Strumienie wódki, lane ku obojmu korzyści rządzących i rządzonych, podmywają trochę barierę między „krajem realnym” i „krajem legalnym lecz irrealnym”. W „poemacie” Jerofiejewa *Moskwa-Pietuszki* oglądamy pełny rozkwit ustroju, którego nietykalną opoką jest kłamstwo. Można go określić dwojako: alkoholizm jako najwyższe stadium komunizmu; albo, z rosyjska, socjalizm w pijanym widzie.

Florencja, 20 października

Ostatnia noc w Florencji, w domu A. w Poggiosecco, dość daleko od miasta. Dom przerobiony z małego klasztoru. Prócz ciemnego korytarza klasztorowego na piętrze, z celami zamienionymi na pokoje, zachował klasztorą izolację i ciszę.

Wczesnym ranem wybraliśmy się na spacer. Florentyńscy mistrzowie nie wymyślali opraw pejzażowych dla swych świętych obrazów. Malowali co widzieli. I co my widzieliśmy na rannym spacerze. Cyprysy, oliwki, połączane jesiennym słońcem liście winnic; fioletowe powietrze; na horyzoncie przezroczysta, muślinowa mgiełka. Kiedyś istniał chyba splot życia i wiary tak silny, że sakralność przenikała z natury do dzieła sztuki i na odwrót. Artysta patrzył wzrokiem czystej wiary na otaczający go świat, po czym własnym dziełem odciskał w nim swoje spojrzenie. Florentyńscy mistrzowie widzieli i stworzyli zarazem krajobraz, który dziś wydaje się chwilami ocalałą resztką tła ze scen ewangelicznych.

Po południu miałem dosyć wafesania się po Florencji, utknąłem do wieczora w Baptysterium. Brama, nad którą Ghiberti pracował ćwierć wieku; Brama Raju, jak ją podobno nazwał olśniony Michał Anioł. Należałoby teraz dodać: Utraconego. W Rzymie oglądałem nową bramę u Świętego Piotra. Tę Bramę Dobrą i Złą, *La Porta del Bene e del Male*, współczesny rzeźbiarz ekspresjonistyczny Minguzzi powinien był poświęcić pamięci Innocentego III, autora (za młodu) *De Miseria Humanae Conditionis*. „Cóż rzec o nieszczęsnych, którzy od niezliczonych po-

kolei zabijani są w mękach?”. Następuje litanijne *crescendo* okrucieństw i tortur, zamknięte okrzykiem: „Biada wam, biada, po trzykroć biada, żałosne matki które wydałyście na świat tak nieszczęsnych synów!”.

Neapol, 20 listopada

Codziennie strzały: do dyrektorów i funkcjonariuszy zakładów przemysłowych, do działaczy politycznych i związkowych, do dziennikarzy. Przedtem strzały w nogi, „nauczka i przestroga”; ostatnio lufa podniesiona, „rewolucyjny wyrok śmierci”. W prasie modne są szkice do portretu terrorysty włoskiego. Mowa w nich o „nienawiści do wszystkiego i wszystkich”, o „procesie całkowitej dehumanizacji”, o „przekreśleniu wszelkich miar moralnych”, o „paroksyzmie ideologii”. U jednego z portrecistów czytam, że „terrorysta ma dwie idee w głowie i rewolwer w garści”. Te dwie idee to rewolucja jako dobro absolutne i wróg jako zło absolutne. Kategorie „same w sobie”, skoro nikt nie potrafi dotrzeć do ich istoty. Komunikaty Czerwonych Brygad, ogłaszane po każdym zamachu, brzmią jak przeciągłe wycie. W porównaniu z nimi język zeszlowieczonego terroryzmu, język „człowieka zbuntowanego”, był szczytem politycznego patosu i moralnej wzniosłości.

Nie, nie „paroksyzm ideologii”, lecz jej śmierć. Ideologia jest martwa. Martwa na Wschodzie, martwa na Zachodzie, a mimo to zdolna wciąż jeszcze uzbroić tutaj rękę wykonawcy „wyroku rewolucyjnego”. Dlaczego? Właśnie dlatego, że martwa. Terrorysty są zrozpaczonymi, obłąkanymi nekrofilami ideologii.

23 listopada

Pouczające są dzieje fałszywego Mesjasza ze Smyrny, o których opowiada siedemnastowieczny dyplomata angielski Sir Paul Rycaut w *History of the Turkish Empire*. Wojna Trzydziestoletnia rozkołysała dwie fale, demonizmu i mesjanizmu. Według kabalistów żydowskich rokiem mesjanicznym miał być 1648, według mistyków chrześcijańskich 1666. Nie jest ustalone w którym dokładnie roku Szabbetai Zebi obwołał się Mesjaszem, obiecując Żydom że pozbawi Sułtana korony i wprowadzi ich do Ziemi Obiecanej, ale już w latach czterdziestych zaczęło się oczekiwanie cudu. Przystawano pracować, wyprzedawano majątności, szykowano się do wielkiej podróży. Gdy nie spełniła się zapowiedź

daty kabalistycznej, rabini wygnali Szabbetaja ze Smyrny. Wędrował po Syrii i Palestynie, w Gazie spotkał niejakiego Natana Beniamina i nazaczył go swoim prorokiem. Natan, o dziwo, postawił na rok mistyków chrześcijańskich 1666. Proroctwo głosiło, że w tym roku Szabbetaj odbierze tron Sułtanowi, zakuje go w kajdany i w orszaku niewolników powiedzie do Jerozolimy, krocząc na czele narodu wybranego. Na całym obszarze Imperium Tureckiego ludność żydowska powitała proroctwo postami i umartwianiem ciał, zgodnie z powszechną wiarą że pokuta i cierpienia fizyczne przyspieszają nadejście Mesjasza: zakopywano się po szyję w ziemi, opryskiwano ciała roztopionym woskiem, kłuto je cierniami, biczowano i zanurzano w lodowatej wodzie. W roku 1665 Szabbetaj zjawiał się w Smyrnie. Stamtąd, na życzenie Boga, wyprawił się do Konstantynopola. Gorączka mesjaniczna podskoczyła tak gwałtownie, tyle powodowała zaburzeń w skupiskach żydowskich, że Wielki Wezyr kazał wtrącić Szabbetaja do lochu. Żydzi odczytali to jako dobry znak, wymagane przez Boga preludium męki do apogeum chwały. Wielki Wezyr kazał przenieść Szabbetaja na zamek w Abydos. Żydzi odczytali to jako początek triumfu, do Abydos ruszyły pielgrzymki z Polski, Niemiec, Włoch i Holandii. Wreszcie sprawa oparła się o samego Sułtana. Szabbetaj, rzucony przed tron, usłyszał ultimatum: albo przejście na mahometanizm, albo wbicie na pal. Wybrał mahometanizm, ze skwapliwością która zdumiała władcę i jego świętę. Cios był dla Żydów straszny, stali się pośmiewiskiem wszędzie gdzie mieszkali. Ale większość otrząsnęła się niebawem, zrozumiałwszy że poturczony i zmahometanizowany Szabbetaj jest tylko Cieniem, a prawdziwy Mesjasz został ciałem i duszą powołany do Nieba, aby z woli Wszechmogącego wrócić na Ziemię kiedy wybijie godzina cudu. Tymczasem zaś Cień cieszył się na dworze ottomańskim szczególnymi względami i nawoływał swych dawnych współwyznawców do pójścia w jego ślady. Po śmierci Szabbetaja powstała żydowsko-muzułmańska sekta *donmeh*, apostatów, czcząc w nim wcielonego Boga.

Dla Rycauta zwykły szarlatan, dla innych historyków postać głębsza i bardziej skomplikowana, dla mnie dość znacząca dziś przypowieść o przemianie tęsknoty do Mesjasza w ubóstwienie jego Cienia.

26 listopada

Zolla, bardzo inteligentny krytyk włoski, napisał przed laty szkic *Volgarità e dolore*. Pamiętam z niego tylko świetny tytuł, ba — pamiętam to za mało, ciągle wracam do niego w myślach.

W przeciwstawieniu wulgarności i bólu tkwi właściwie wszystko, co da się powiedzieć o istocie naszego kryzysu. Ból, fundament ludzkiej świadomości, wypierany jest przez wulgarność. Kiedy mówię „wulgarność”, nie chodzi mi wcale o (na przykład) orgię „nieprzystojności”, która ogarnęła literaturę i *mass media*, zdruzgotała stare hamulce „obyczajowe” i odsłoniła „zwierzęcą” naturę człowieka. „Nieprzystojność” nie musi być wulgarna, staje się nią dopiero w postaci „czystej”, gdy istnieje jak gdyby sama dla siebie. „Obsceniczny” jest Henry Miller, a przecież jego wizja człowieka ma podkład bólu. Wulgarność polega na oderwaniu człowieka od jego sytuacji egzystencjalnej, na diabelskim wysiłku przekonania go, że „jest taki jaki jest”, „sprowadza się do paru elementarnych instynktów”, „zasługuje na wyzwolenie od przeklętych problemów bytu i śmierci”, „winien zatriumfować wreszcie nad wszystkim co go pęta i ogranicza”. Taki właśnie posmak wyczuwa się w słówku *permissive*: przekreślenie, wyklęcie wszelkiego bólu. Wulgarny jest Gide, zżymając się w dzienniku na „lamentacje” Pascala. O ileż, według niego, mądrzejszy był Hebbel w swoim „dowcipnym” powiedzeniu: „Co może najlepszego zrobić szczur po zatrzaśnięciu się pułapki? Zjeść skrawek słoniny na haczyku”. Programowo wulgarny (żeby wymienić typowy okaz bieżącej produkcji „kulturalnej”) jest film o Nietzschem, który widziałem wczoraj: *Poza Dobrem i Złem*, czyli pełne samoutwierdzenie się w kopulacji. Człowiek wulgarny, człowiek jednowymiarowy; wyzuty całkowicie z jakiegokolwiek „problematyczności”, odcięty od przeszłości i odpychający przyszłość, niewrażliwy na tajemnicę, obojętny wobec mediacji.

Ideę mediacji, mostów między ludzką nędzą i boską doskonałością, wynaleźli Grecy. Zachowaliśmy owe mosty by na nie patrzeć, wierzący i niewierzący. Oba zdania pochodzą z brulionowych zapisków Simone Weil. Po nich, nieoczekiwanie na pozór, jeden z nielicznych znanych fragmentów orfickich o przedziwnej piękności: „Znajdziesz obok siedziby umarłych, na lewo, źródło. Przy nim wznosi się biały cyprys. Nie podchodź do tego źródła, nie zbliżaj się. Znajdziesz inne źródło które wytryska z jeziora Pamięci, bije w nim zimna woda. Przed nim stoją dozorczy. Ozwij się do nich w te słowa: Jestem córką Ziemi i Nieba pokrytego gwiazdami, wywodzę się z Nieba; i wy o tym wiecie; spala mnie i zabija pragnienie; dajcie mi napić się szybko zimnej wody, która wytryska z jeziora Pamięci. I pozwól ci pić z boskiego źródła...”. Pamięć jest mostem mediacyjnym, pamięć jako doznanie bólu i tajemnicy przemijania, ożywcza woda z boskiego źródła niedaleko od siedziby umarłych. Więc i tak jeszcze można określić człowieka wulgarnego: bez bólu, bez pamięci, w potoku życia płynącego niewiadomo skąd, niewiadomo dokąd, niewiadomo po

co. Albo, jeśli kto woli „dowcipną” metaforę Hebbła: szczur pochłonięty obgryzaniem skrawka słoniny w pułapce...

Wenecja, 30 listopada - 4 grudnia

W pierwszej połowie listopada, przed inauguracją *Biennale del dissenso*, odbyło się w tejże Wenecji z inicjatywy *Manifesto* spotkanie marksistów zachodnich z marksistowskimi dysydentami ze Wschodniej Europy. Jeden z uczestników rosyjskich, świeżo przybyły z Moskwy po latach spędzonych za kratami i drutami, nie ukrywał radosnego zdumienia że może jako „prawdziwy mark-sista” przemawiać w sali przystrojonej czerwienią i ozdobionej portretami świętych komunistycznych, nie obawiając się natychmiastowego osadzenia w klinice psychiatrycznej; i dodał z od-cieniem melancholijnej ironii, że jako marksistę uważali go często w Rosji za wariata także towarzysze broni ze środowisk dysy-denckich. Althusser i Bettelheim, dwaj najgłośniejsi uczestnicy zachodni spotkania, postawili pod koniec dyskusji diagnozę „głę-bokiego kryzysu marksizmu”.

Kołakowski otworzył pierwszy, poświęcony historii, sym-po-zjon *Biennale del dissenso*. Zakwestionował mylące słowo „dysy-dent”: jeśli ma ono oznaczać ludzi którzy nie wierzą w oficjalną ideologię, to odnosi się do wszystkich, skoro nikt w nią w praktyce nie wierzy.

Przyjechałem do Wenecji w dwa tygodnie po otwarciu *Bien-nale* i na dwa tygodnie przed jego zamknięciem, czyli w momen-cie który pozwala już ocenić imprezę. Udała się? Niewątpliwie tak, lepiej nawet niż wolno było przypuszczać w ostatnich dniach sierpnia, gdy podczas mojej krótkiej wizyty weneckiej miałem okazję zapoznać się z trudnościami i przeszkodami, na jakie w swojej pracy przygotowawczej natrafiali organizatorzy. Duża w tym oczywiście zasługa prezydenta *Biennale*, Carlo Ripa di Meana, człowieka odważnego i wytrwałego, od dawna śledzącego uważnie sprawy Wschodu (dzięki niemu przed laty, kiedy był kierownikiem działu prozy w wydawnictwie Rizzoli, przeforsowa-łem włoski przekład pierwszych książek Terca; włoski początek kariery międzynarodowej Terca wspominaliśmy w trójkę z Siniaw-skim na obiedzie w Wenecji). Ale nie wystarczyłby Meana ze sztabem w swoich współpracowników, gdyby ruch dysydencki nie posiadał tak wyraźnej fizjonomii. *Biennale* ukazało ją w całej rozciągłości. I to zapewne przyciągało prasę, telewizję, tłumy publiczności (zwłaszcza młodej). Jesienna Wenecja, chłodna i słoneczna, cudownie czysta w swoim rysunku, upstrzona napisami *Il dissenso culturale*, stała się miastem odkrycia.

Na czym to odkrycie polegało? Brałem udział w sympozjonie poświęconym literaturze. Przy wszystkich różnicach i niuansach, na ogół drobnych czasem trochę poważniejszych, pisarze rosyjscy Brodskij, Galicz, Etkind, Niekrasow, Siniawskij (zabrakło nies-tety pisarzy z innych republik związkowych i zabrakło też nawet wzmianki bodaj o nich w wystąpieniach Rosjan), czescy Liehm, Skvorecky, Svitak, Filip, Lustig, Goldstücker, polscy Barańczak i Drawicz, węgierscy Konrad i Meray, pisarz rumuński Tsepenag, uczona francuska pochodzenia bułgarskiego Kristeva, uciekinierzy literaccy z NRD przemawiali jednym głosem oporu przeciw gwał-towi duchowemu komunizmu. Zapomniano o nadużywanych wer-balnie na Zachodzie schematach „ideologicznych”, o marksizmie i jego pozagrobowych pochodnych dysydenckich. Zgadzałem się z Kołakowskim: słowo „dysydet” jest mylące, chociaż za późno już na zastąpienie go dokładniejszym. Mylące dlatego przede wszystkim, że sugeruje coś w rodzaju schizmy ideologicznej, gdy w rzeczywistości powinno wyrażać absolutną negację. Nie przy-padkowo sławiści zachodni odwoływali się w swoich referatach tak często do *Przepastnych wyżyn* Zinowiewa, częściej nawet niż do *Archipelagu* Sołżenicyna. Dno życia zrzeszonego i indywidual-nego, punkt zerowy od którego trzeba dopiero zaczynać na nowo. Tracą sens potoczne terminy i podziały polityczne, inaczej niż na Zachodzie traktowane są pojęcia wolności i prawdy. Jakże słowo „dysydet” ma udźwignąć ciężar jawnego buntu przeciw despotyzmowi totalitarnemu?

Zinowiew, zaproszony na *Biennale*, odpowiedział lakonicznym listem: „Nie może być naturalnie mowy o wydaniu mi paszportu, jestem niewolnikiem państwa”.



Moravia powitał w imieniu gospodarzy sympozjon poświęcony literaturze. Kto wie, czy nie wygłosiłby innego przemówienia po wysłuchaniu uczestników sympozjonu. Nikogo nie mogła zado-wolić łże-socjologizująca formułka, że „realizm socjalistyczny jest ideologią (!) artystyczną przyspieszonej rewolucji przemysłowej”. W dyskusji poradziłem Moravii, by dał spokój rewolucji przemy-słowej i posługiwał się raczej definicją „surrealizm socjalistyczny”. Głód rzeczywistości w ustroju, który obłożył ją setkami pieczęci cenzury i wypokostował lakierem „ideologii”, wskazuje na jakie bezprzykładne niziny pozwoliła się zepchnąć „literatura” używana do posług państwowych. Jeśli dziś niektórzy pisarze rosyjscy usiłują w jakiejś przynajmniej mierze wrócić do starych (na Zachodzie nazywa się je niekiedy „staromodnymi”) konwencji realistycznych i naturalistycznych, to należy w ich próbach widzieć

rozpaczliwy zabieg leczniczy w śmiertelnym stadium długiej i ciężkiej choroby. Moravia zgodził się z moją uwagą, co dowodzi jak lekkomyślnie (a właściwie bezmyślnie) rozmaite „naukowe” formułki z rozmaitych deütscherowskich kuchni przyjmowane były dotąd przez „postępowych” intelektualistów zachodnich. Mandelsztam powiedział raz do żony: „Żyjemy, nie czując naszego kraju pod nogami”. Był to jednozdaniowy opis „surrealizmu socjalistycznego” w dobie przyspieszonej rewolucji przemysłowej.



Prócz ogólnej, wielonarodowej i bardzo bogatej wystawy *samizdatu* i książki, mała lecz dobrze skomponowana wystawa *Polska bez cenzury*. Przysłał ją KOR z prezentacją Barańczaka *Fasada i tyły*. Ponieważ Barańczak, jak zresztą i inni zaproszeni pisarze polscy, nie dostał paszportu na wyjazd do Wenecji, jego tekst przetłumaczono na włoski, rozdano i dodatkowo odczytano w ostatnim dniu sympozjonu literackiego. (Uczestnikom listopadowego sympozjonu historycznego przedstawiono stenogram „okrągłego stołu”, który wysłannik *Biennale* urządził w Warszawie z udziałem Kuronia, Lipskiego, Macierewicza, Doroszewskiej i Dorna).

„Nie zawsze zdajemy sobie sprawę, że jedną wielką wsią potiomkinowską jest również nasza kultura. A przecież właśnie ona szczególnie boleśnie odczuwa na sobie proces schizofrenicznego rozdwojenia, szczególnie często przymuszana jest do konstruowania systemu makiet, zakrywających rzeczywiste dążenia twórców i rzeczywiste oczekiwania odbiorców. Zauważył niedawno przenikliwie jeden z naszych pisarzy (Andrzej Kijowski), że istota tutejszego ustroju polega nie tyle na jego szczególnym okrucieństwie, jak to ujmuje stereotyp liberalny, i nie na szczególnym wyzysku, jak chce stereotyp lewicowy, i nie wreszcie na szczególnym tępieniu wartości narodowo-religijnych, jak głosi stereotyp prawicowy. Istota jego polega na kłamstwie. Na osobliwym nasileniu tego zakłamania, tego orwellowskiego dwójmyślenia, którym przesiąknięte są wszystkie sfery naszego życia. Kultura — której głównym przeznaczeniem jest przecież kształtowanie w społeczeństwie określonych wyobrażeń o świecie — siłą rzeczy zmuszana jest do kłamstwa najczęściej i najboleśniej. Cały olbrzymi łańcuch instancji stymulujących, nadzorujących, cenzurujących i rozpowszechniających działa tu tak, aby w kulturze rodziło się możliwie jak najmniej wartości autentycznych, to znaczy spontanicznych i niezależnych. Te bowiem są *ex definitione* niebezpieczne. Idealna kultura, zdaniem rządzących państwem, przedstawiać się powinna jako jedna wielka, monolityczna

fasada, przyozdobiona mnóstwem różnych upiększeń, imponująca wrażeniem bogactwa i siły, ale poza sobą nie kryjąca nic”.

Fasada i tyły, niereczywistość i rzeczywistość, kłamstwo i prawda. Powtarzało się to na *Biennale* bezustannie. Niekrasow rozbawił słuchaczy krótkim pokazem czytania *Prawdy* moskiewskiej. W referatach i głosach dyskusyjnych wpływał wielokrotnie „język sowietyzmu”, a ktoś słusznie zauważył że najpilniejszym może zadaniem byłoby napisanie o nim książki na podobieństwo *Języka Trzeciej Rzeszy* Klemperera. Celowo przesadzając, przypuszczalnie dla jaskrawszego postawienia problemu, Etkind napomknął (w wywiadzie prasowym) o dramacie otrząsania się z niemoty i drętwej mowy, o dramacie pisarzy którzy wydobywszy się na wolność uprzytamniają sobie nagle, że zostało w nich jakby wypalone żywe słowo. Drowicz w swojej obronie Trifonowa i Rasputina, pisarzy „półprawd”, pisarzy zbyt pochopnie i niesprawiedliwie lekceważonych przez dysydenckich „maksymalistów całej prawdy”, też w gruncie rzeczy odsonił pośrednio ogrom spustoszenia dokonanego przez kłamstwo.

Na Zachodzie utarło się przypisywać ruchowi dysydenckiemu charakter prawie wyłącznie polityczny, rozmieszczać dysydentów w szufladkach z etykietkami, które niewiele znaczą *tam*. Impreza wenecka zdołała, i w tym jej znaczenie, narzucić główną linię: od „nie żyć w kłamstwie” Sołżenicyna do „istota tutejszego ustroju polega na kłamstwie” Barańczaka.



Okruchy notatek.

Nie byłem zachwycony wystawą malarstwa i rzeźby, po części dlatego chyba że z braku lepszego pomieszczenia upchano ją chaotycznie w ciasnych i niskich podziemiach Pałacu Sportu. Na ogół popłuczyny po zachodniej sztuce nowoczesnej, z bardzo rzadkimi przebłyskami własnego spojrzenia (Niemuchin, Bieliutin). W malarstwie dominuje Oskar Rabin, pejzażysta peryferii Moskwy — domków przywalonych śniegiem, ołowianego nieba, obdrapanych murów, nocnych poszarpanych konturów miasta, powtykanych w krajobraz butelek wódki. W rzeźbie Nieizwistnyj, którego tak chciałem wreszcie zobaczyć: przy wielkiej, konwulsyjnej sile wydał mi się dość retoryczny.

Sesje nauki, teatru i muzyki wypełnią ostatnią dekadę *Biennale*, natomiast codziennie wyświetlane są filmy. Udało mi się zobaczyć tylko dwa, oba doskonałe: czeski *Žart*, z powieści Kundery, i telewizyjne *Trzy dni w Szczecinie* Sulika.

Małego, siwego staruszka widywałem codziennie w pierwszym rzędzie krzeseł dla publiczności, przysłuchującego się obradom

w dziwnym napięciu, ze smutnym i obolałym wyrazem twarzy. Poznałem go w przeddzień wyjazdu, na przyjęciu u M. Podarował mi swoją nieznaną niemal nikomu książeczkę *Il redivivo tiburtino*, którą przeczytałem natychmiast w hotelu. Dante Corneli, robotnik i komunista z Tivoli, uciekł do ZSSR w roku 1922, aresztowano go w latach Wielkiej Czystki, spędził w łagrach i na zesłaniu dwadzieścia cztery lata. Wrócił do Włoch w roku 1970. Wszystko to opisane na stu sześćdziesięciu stronicach, stylem zyciorysów załączanych do podań. W posłowie Umberto Terracini, jeden z „historycznych” przywódców włoskiej partii komunistycznej, chwali „tyburtyńskiego zmartwychwstałego” za powściągliwość i unikanie wszelkiego rozgłosu. „Nie chcesz, by twoje dziełko zostało wykorzystane przez zwykłe brudne kanale przeciw partii i ruchowi robotniczemu; i to właśnie cenię w tobie wy-soko”. Dante Corneli, milczący gość na *Biennale* „zwykłych brudnych kanałii”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

DLA MIŁOŚNIKÓW JĘZYKA POLSKIEGO

Teka Językowa

Stanisława Westfala

Str. 408.

Cena £. 4.90.

Do nabycia:

bezpośrednio: DR L. KOCZY,
INSTYTUT POLSKI I MUZEUM
IM. GEN. SIKORSKIEGO,
42, CECIL STREET,
GLASGOW, G12 8JR.

lub za pośrednictwem jakiejkolwiek polskiej
albo obcej księgarni.

Przesyłka w W. Brytanii — 54 p. lub 67 p. (I klasa);
Europa i USA — 43 p. jako druk; £. 1.32 (pocztą
lotniczą).

Myśli uczesane

Dziesięć lat temu dążenie do zniesienia krajowej cenzury wydawało mi się być czymś oczywistym. W marcu 1968 roku jednym z zasadniczych naszych żądań była właśnie likwidacja cenzury, a pamiętna akcja przerzucania *Kultur* przez Tatry do Polski była jedną z praktycznych prób otwarcia informacji dla ogółu społeczeństwa. W sprawę tę byłem zaangażowany bardziej przez osobiste przywiązanie do idei wolności i prawdomówności, niż ze względu na jakąś praktyczną wartość dla mnie. Miałem przecież w Polsce dostęp do informacji, które mnie interesowały, zaś publikacje własne ograniczały się do przechodzących „poza cenzurą” artykułów naukowych czy alpinistycznych.

W niecały rok później miałem możliwość podziwiania jak w praktyce działa system oparty na „absolutnej wolności”. Byłem wtedy w Berkeley, w Kalifornii, gdzie kilka lat wcześniej została stoczona ostateczna bitwa (1 zabity) o wolność słowa, tak zwany FREE SPEECH MOVEMENT w 1964 roku. Po dokładniejszym zaznajomieniu się z historią tego ruchu wolnościowego okazało się, że ostatnim wyzwolonym spod cenzury słowem było *to fuck* (pier...) — wyrażenie, którego skutek auto-cenzury nie śmiem przetłumaczyć na polski w całej swej rozciągłości.

Ta berkeleyska historia nie jest li-tylko odosobnioną ciekawostką lingwistyczną. Brak jakiejkolwiek cenzury w krajach „wolnych” doprowadził do rozkwitu dość specyficznej kultury (literatury, filmu, sklepów specjalistycznych etc.) koncentrujących się właśnie na problemach opisywanych przez słowo wyzwolone w Berkeley. Inny rodzaj tematyki przeobficie opracowywany przez współczesny wolny film, literaturę, a zwłaszcza pisma obrazkowe dla dorosłych, to gwałt, sadyzm, prymitywna chciwość poparte dynamicznymi efektami typu bum, bum, wroom, wroom.

Jeśli nawet zostawimy na uboczu przeznaczone dla ludu „Jamesy Bondy” i wyczyny nad-ludzi typu „Karate”, to elita może się plawić wśród wyszukanych perwersji i dewiacji umysłowych promieniujących poprzez dzieła Pasoliniego, Borowczyka, Polańskiego, Bertolucciego, Kosińskiego i innych.

Osobiście nie mogę twierdzić aby tego typu „wolność wyrażania” była mi w życiu absolutnie niezbędna i świetnie widzę swą edukację kulturalną bez „La Grande Bouffe” czy „Ostatniego Tanga”. Trzeba też uczciwie przyznać, że cenzura krajów komunistycznych dość skutecznie dławi taki rozwój kultury, czego wcale nie mam jej za złe. Nie są to jakieś mało-mieszcząskie, pruderyjne względy, ale sprawy całkiem praktyczne. Na przykład, taka „eliminująca” działalność cenzury zostawia nieco więcej miejsca na utwory zajmujące się wyższymi partiami naszego ciała, czy też więcej miejsca na zwykłe, świeże powietrze. Sztucznie utrzymywane niedostatki mechanicznej informacji zachowują znaczenie swobodnej, nie ograniczonej do biernego odbioru „mediów” obserwacji i komunikacji, sprzyjają niezależnemu, nie biegnącemu wzdłuż mechanicznie przetartych szlaków myśleniu.

Nadmiar bowiem i łatwodostępność powielanej masowo informacji może się okazać tak samo wydajnym środkiem tumanienia umysłów jak jej braki. Byłem wielokrotnie świadkiem jak poczucie „realności” powstałe wskutek zbytniego przejęcia się masową „informacją” rozbiegało się z rzeczywistością autentycznie doświadczaną.

Przykładem tutaj może być me zeszłoroczne przypadkowe spotkanie w samolocie na linii Taszkient-Moskwa z kolegą wracającym spod samego szczytu K-2 w Karakorum. Z jednej strony, mózgi nasze naładowane były Solżenicynem, okropnościami „Gulagu”, NKWD i innymi strachami dla mas. Zaś w rzeczywistości „realnej” samolot sowieckich linii wewnętrznych pełen był Polaków wracających tym tanim środkiem lokomocji z wakacji w Indiach, uciekinier z krajów komunizmu (z zaświadczeniem to paszportem) wsuwał sowieckiego kurczaka na hormonach, pod nim zaś kwitły autostrady, niekończące się rzędy domków, polucja i oczyszczalnie ścieków, tworzące prawie nie różniący się od Los Angeles pejzaż przedmieść Taszkientu. I obu nam nasunęła się uwaga, że właśnie te autostrady i niekończące się rzędy domków, coraz dokładniej przykrywające naszą Ziemię, są aktualnie problemem najpoważniejszym.

Do tych uwag nad ogólnym kierunkiem rozwoju umysłowości wyzwolonej od cenzury, zaczęły dołączać inne spostrzeżenia, dotyczące mnie tym razem prywatnie, nawet całkiem boleśnie. Zdarzyło mi się bowiem zacząć pisać i publikować na Zachodzie i po pewnym czasie „ucichnąć”. Ucichło mi się nie ze względu

na niedostatek tematu wartego publikacji*, lenistwa pisarskiego czy braku talentu — bo posiadanie tego ostatniego było często argumentem koronnym osób mi niechętnych.

Po prostu, od redaktorów odpowiedzialnych czasopism dowiadywałem się: „tak nie można pisać dla Czytelnika” (J. Giedroyc), „Pańskie sformułowania mogą być źle zrozumiane przez Czytelników” (P. Thibaud z *Esprit*). Te wypowiedzi pobudzają do uwag bardziej ogólnych, przekraczających mą prywatną historię. Po pierwsze, kimżeż jest ten Wszechpotężny Czytelnik, którego interesy reprezentują wyrażnie Redaktorzy Naczelni? Jeśli podstawimy „czytelnik = władza” to otrzymamy wypowiedzi charakterystyczne dla wydawców krajów gdzie prasa kierowana jest odgórnie i władza wymaga aby jej kadzić. Skąd się bierze ta „Wszechwładza czytelnika”? W warunkach „społeczeństwa otwartego”, czytelnik (konsument kultury) ma możliwość zachowywania się jak klient dobrze zaopatrzonego domu towarowego — kupuje tylko taki towar, który mu sprawia przyjemność bądź wydaje się mu być w jakiś sposób użyteczny. Dom Towarowy z Kulturą należy do świata Wolnej Ekonomii, nierentowne pismo skazane jest na zagładę, skąd też troska Redaktorów Naczelnych aby doposażać poziom wydawnictwa do wymogów konsumentów.

Szkopuł leży w tym, że według wszystkich rzetelnych danych masowy czytelnik nie ma wcale wewnętrznej inklinacji do precyzji myślenia, zwięzłości wypowiedzi czy bystrej obserwacji, a raczej do cnót odwrotnych: ciężkiego, bezmyślnego powtarzania utartych sloganów, nabożnego przejęcia się mitem, cikliwego sentymentalizmu i powierzchownej pół, lub nawet ćwierć logiki.

Częste powtarzanie sloganów powoduje ich podświadomą akceptację i nawyk, tak iż po pewnym treningu możemy stać się gorliwymi bezkrytycznymi bojownikami o zupełnie absurdalne idee. Weźmy się od razu za najbardziej znany nam przykład jakim jest często fanatyczna walka o „równość”. Pierwsze, kapitalne zdanie konstytucji amerykańskiej mówi: „Twierdzimy, że jest rzeczą oczywistą, że wszyscy ludzie zostali stworzeni równi”. Niezależnie od dumnych intencji autorów i wyznawców, z empirycznego punktu widzenia to zdanie jest oczywistym fałszem. Z wyjątkiem bliźniaków jednojajowych nie ma na świecie osobników powstałych w identyczny sposób.

Z tego kłamliwego aksjomatu wynika logicznie cały gmach zwartej struktury społecznej, zwanej demokracją, którą Zachód otwarcie usiłuje narzucić światu jako „jedynie właściwą”. Tej

* „Inwazja kastratów” w wersji polskiej i francuskiej, „Feminizm czy totalne zniewieszczenie” w języku francuskim, „List otwarty” do redakcji pisma *Encounter* etc...

niby kryształowo przejrzystej strukturze można postawić kilka dość istotnych zarzutów. A oto one:

1. Zasada „pełnej (totalnej?) demokracji” narzuca całkowicie (totalnie!) kierunek rozwoju tej cywilizacji. Kierunek ten może być kompletnie, totalnie poroniony. Weźmy na przykład przytoczoną historię cenzury. Na podstawie osiągniętych wyników możemy śmiało postulować, że szerokie masy interesuje najbardziej skandal, przemoc, sadyzm, komfort i mechaniczna potęga, a zwłaszcza punkt zbieżny wszelakich wartości: żeńska dupa. Mimo widocznej potęgi tych prymitywnych, fizjologicznych popędów, jestem ściśle naukowo przekonany, że mamy tu do czynienia z zachowaniem całkowicie patologicznym, wyzwolonym przez nowoczesne środki technologiczne. Drażnione bezustannie wizjami seksualnymi, produkowanymi przez gigantyczny aparat propagandy typu „Playboy”, zuniformalizowane masy ludzkie zachowują się dokładnie tak jak masy głupich „męskich” komarów, pędzących za nagrany na taśmie magnetofonową wabiem miłosnym samiec. Komarom przy głośnikach ustawia się specjalne rozżarzone siatki gdzie się głupie samce spalają. Stymulowane seksualnie samce *homo sapiens* lądują natomiast w biurach, fabrykach i pracowniach naukowych, które to instytucje mogą okazać się o wiele niebezpieczniejsze dla naszego gatunku niż prymitywne pułapki na komary. O czym dalej.

2. Zasada całkowitej (totalnej!) równości przyczynia się do powstania dużych niesprawiedliwości społecznych. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale „równość totalna” (bo o taką walczą aktualnie postępowcy) implikuje równoważność głosu durnia i głosu geniusza, postawy tchórza i postawy bohatera, zachowania egoisty i zachowania człowieka bezinteresownego. Taka równość może być przyjemna dla występujących masami durni, tchórzy i egoistów, ale jest wyraźnie niesprawiedliwa wobec indywidualności odznaczających się inteligencją, odwagą czy bezinteresownością.

„Równość” z definicji eliminuje istnienie jakichś wzorcowych postaw etycznych i pozbawia jakichkolwiek hamulców w realizacji nieodróżnionego społeczeństwa złożonego z prymitywnych egoistów drapieżnie dążących li-tylko do zaspokojenia swych prywatnych ambicji, nieczułych na jakikolwiek inny cel organizacji społecznej.

Jeżeli za cel takiego „równego” społeczeństwa weźmiemy często proklamowany przez zachodnich ideologów dobrobyt i rozwój ekonomii, to taka prymitywna, nieodróżniona i psychologicznie niedorozwinięta ludzka masa będzie o wiele lepiej nadawała się do jego wykonania niż indywidualizujące jednostki. Brak inteligencji i wyobraźni pomaga w przejmowaniu się produktami kultury zmechanizowanej, egoizm chcącego lepiej zarobić robot-

nika poparty jego strachem przed utratą pracy sprzyja znakomicie wzrostowi produkcji, absolutny konformizm ludności jest niezbędny do sprawnego funkcjonowania systemu rynkowo-technologicznego.

3. Na pozór nie ma nic groźnego w tym niezbyt estetycznym samozadowoleniu produkująco-konsumującej masy. Niestety, widzianemu diabelską ciekawością, zachciało mi się zapoznać z historią coraz bardziej rozpowszechniającego się schorzenia zwanego rakiem złośliwym. Według podręczników medycyny, tkanka nowotworowa odróżnia się od normalnej tym, że jej komórki są nieodróżnionowane („równe”) z gigantycznymi i stosunkowo mało skomplikowanymi. Zachowują się one jakby były niezależnymi organizmami, które zatraciły informację niezbędną do ich współdziału w życiu całości organizmu i dążą egoistycznie tylko do swego wzrostu i rozmnażania. Organizm nosicielski zredukowany zostaje do „systemu ekonomicznego” utrzymującego ten agresywnie niedorozwinięty system komórek. Medycyna wykryła dość specyficzną zależność: im bardziej komórki neoplazmy są prymitywniejsze, niewykształcone i nieodróżnionowane tym bardziej są one agresywne, choroba rozwija się szybciej, rak jest bardziej złośliwy.

Znanego biologa Konrada Lorentza zaskoczyła analogia między tkanką nowotworu a wyglądem naszych nowoczesnych miast, zwłaszcza amerykańskich, mnie zaś bezpośrednia analogia ze strukturą społeczeństwa demokratycznego. Mamy przecież tutaj „samotny tłum”* nieodróżnionych i niedoksztalconych konsumentów, pochłoniętych egoistyczną troską o swe prawa i przywileje, tłum wykazujący jednocześnie kompletny zanik poczucia spójności społecznej. Widoczna jest gigantyzacja ekonomiczna jednostek i sprowadzenie ich życia do prymitywnej walki o byt. Mamy też agresywne próby narzucenia całemu światu strukturalnego nieodróżnionowania, na które to hasła najbardziej podatna jest niedoksztalcona i niedojrzała młodzież, której zezwala się na wszystko.

Warto przytoczyć bardziej szczegółowe przykłady wskazujące jak daleko sięgają analogie aktualnego rozwoju ludzkości (niestety, zwłaszcza jej zachodniej części) z histologią raka:

1. Zanik poczucia odpowiedzialności i spójności społecznej: Kilka miesięcy temu wystarczyło kilkunastogodzinne wygaszenie światła w mieście Nowy Jork, by setki tysięcy szacownych i odpowiedzialnych, a w dodatku dosłownie tonących we wszelakich dostatkach obywateli USA rzuciło się jak prymitywna banda złodziei by rabować niezabezpieczone sklepy. I kto mi tu będzie

* Jest to tytuł książki znanego socjologa amerykańskiego Dawida Riessmana.

opowiadał o jakimś poczuciu *civility* — odpowiedzialności społecznej, którą niezwykle szczerą się Anglosasi — przynajmniej gdy się widzą w świetle elektrycznym.

2. „Udziecinnienie” i agresywny „rozwój w tył” struktur przekazujących informację: W piśmie *Encounter* ze stycznia 1976, znany dziennikarz brytyjski Henry Fairlie tak sformułował najbardziej aktualne, niecierpiące zwłoki zadania dla narodu angielskiego: by zniwelować ostatecznie różnice społeczne, ciągle, mimo materialnego zrównania, wyraźne w starej Anglii, należy jak najszybciej zarzucić piękny, precyzyjny i rozbudowany język „królewski” czyli klasowy, i zastąpić go popularnym, prymitywnym żargonem bardziej odpowiadającym potrzebom mas — podobnie jak to się stało w Stanach Zjednoczonych. (Jest to program przedstawiony dosłownie w ten sposób na pierwszych stronach najpoważniejszego czasopisma kulturalnego Wielkiej Brytanii). Niewątpliwie bogactwo i sprawność języka jakim się posługujemy jest zewnętrzną miarą stopnia rozwoju i dywersyfikacji naszej tkanki mózgowej. Program mierzący otwarcie w osłabienie naszych możliwości formułowania myśli (a zatem i percepcji informacji) odpowiada dokładnie agresywnej, patologicznej akcji tkanki nowotworu przeciw centrom informacji strukturalnej organizmu zdrowego. Do tych samych „programów niedorozwoju” należy zaliczyć aktualne tendencje szkolnictwa średniego — zwłaszcza amerykańskiego — celujące w eliminację dzieł trudniejszych, minimalizację programów matematyki i fizyki, zniesienie nauczania języków obcych, zredukowanie bogatej w informację historii i ewentualne zastąpienie jej naukami o wartości informacyjnej równej zero (np. futurologii, jak to proponuje wieszcz północno-amerykański A. Toffler w „Szoku przyszłości”). Nic dziwnego, że obywatele wychowani przez takie „liberalne” w wymogach intelektualnych społeczeństwo potrafią z całym przekonaniem manifestować swe „poczucie wyższości z powodu osiągniętej równości” (jak to głośno robi wymieniany H. Fairlie), nie zauważając w ogóle, że ich myślenie jest logicznie sprzeczne (Wyższość bo równość?) — co jest jeszcze jednym wdzięcznym przykładem zamasyżycie* dynamicznego*, jędrnego*, prężnego* niedokształcenia ich szarych komórek.

W tej sytuacji, przy odpowiednim poziomie niedorozwoju zmysłów możemy zobaczyć „piękno” tego „nowego społeczeństwa” (nowotworu?) i dać się przekonać, że taki stan rzeczy jest ideałem, którego nie da się uniknąć i należy się doń zaadoptować — co jest esencją twórczości sławnych amerykańskich uczonych behaviorystów i futuro-ideologów.

* Przymiotniki powtarzające się bezustannie w prozie H. Fairlie.

Niezależnie od tych wysiłków popularnych (niedo)uczonych, popartych głuchym terrorem walczących o swe samozadowolenie mas, wypada obiektywnie stwierdzić, że podobnie jak w przypadku neoplazmy, takie „nowe” społeczeństwo musi prowadzić do zagłady już nie tylko jakichś „odwiecznych ludzkich wartości” (co się już chyba stało), ale do destrukcji całej ziemskiej biosfery toczzonej przez tak zwaną „postępową ludzkość” (co się przygotowuje). A w końcu, wraz ze śmiercią żywiciela, zagłady „nowej ludzkości”, czyli naszej obiektywnej, naukowej apokalipsy. Nie zapominajmy zatem o tych medycznych analogiach z nowotworem dmąc codziennie w nasz ideał demokracji.

W tej sytuacji chciałoby się zapytać, czy jest jakaś szansa dla nas, czy wszystko na świecie rozlezie się w gigantycznym, smrodliwym śmiecio-bełkocie (bełkot = demokracja pośród słów). Według wszystkich danych paleontologii i zoologii, rozwój ustrojów biologicznych odbywał się od kilku miliardów lat w jednym, wyraźnie zdeterminowanym kierunku: od form prostszych, prymitywniejszych i mniej skomplikowanych do ustrojów bardziej zróżnicowanych i rozwiniętych. Nie ulega wątpliwości, że obecny kierunek przemian jest odwrotny: od struktur wysokozróżnicowanych (np. hierarchiczne społeczeństwo średniowieczne) do uproszczonych (demokracja). Opierając się na tych spostrzeżeniach, w światłych, choć może mało popularnych kręgach uczonych (takowe jeszcze istnieją, nawet w Stanach Zjednoczonych) otwarcie zaczyna się mówić o „cywilizacji anty-biologicznej”. Ten „anty-biologizm” jest chyba najprecyzyjniejszym określeniem całościowych, TOTALITARNYCH intencji naszej zbiorowości. Jak już pisałem, nigdzie w przyrodzie, poza patologicznym przypadkiem neoplazmy, nie ma demokracji ani równości a przeciwnie, mamy niesłychane bogactwo form, gatunków, ras, wzajemnie między sobą splecionych, zależnych, wykorzystujących i żrących się nawzajem — co im tylko wychodzi na dobre.

Z antybiologiczną ideologią wiążą się nasze antybiologiczne praktyki. Ileż to gatunków najszlachetniejszych zwierząt znikło z naszej planety od chwili ogłoszenia epokowego utworu Darwina „O powstawaniu gatunków”? Ileż to lasów wyrabano by zamienić je na papier potrzebny pod artykuły o demokracji? Patrząc z zewnątrz, współczesna cywilizacja nie wydaje się mieć żadnego innego celu niż ciągle przyspieszające się, zakrojone na heroiczną skalę asfaltowanie, betonowanie i sterylizację naszego globu. Nic też dziwnego, że niektóre obdarzone możliwością wyboru zwierzęta opuszczają strony nawiedzone przez „rozwój”. Znane alzyckie i nadreńskie bociany w ciągu kilkunastu ostatnich lat zmieniły wyraźnie szlaki swych wędrówek. Wolą zakładać swe gniazda

w tak zwanych totalitarnych, ale za to biologicznie spokojniejszych Niemczech Wschodnich i Polsce.

Człowiek, choćby się najszczelniej obłożył gazetami, encyklopediami, samochodami i maszynkami do liczenia jest wciąż tylko zwierzęciem o niezwykle silnie rozwiniętym mózgowiu. Ten nadzwyrodzony rozwój mózgowia, umiejętność komunikacji językowej a zwłaszcza czytania, zostaje wykorzystany do komunikowania nam standardowej informacji dopasowanej do wymogów psychologicznie dziecinnych konsumentów. Taka „niedojrzała” informacja zdominowała prawie całkowicie informację otrzymywaną czy to genetycznie, czy też w formie historycznie wykształconej kultury (tradycji), czy to przy pomocy bezpośrednich doznań zmysłowych. Mimo emocjonalnego pięknoobrzemienia i pozornej „wielkości” postępowych ideałów, są one sterylne, niesłychanie prymitywne, płaskie, puste i pozbawione jakiegokolwiek konstruktywnego sensu. Cywilizacja antybiologiczna jest z samej definicji wymierzona przeciw tworowi biologicznemu jakim jest człowiek.

Wynalazki, traktowane przez ogół jako „dobrodrojeństwa ludzkości” przy bliższej, głębszej analizie okazują się nie tylko złudne, ale wręcz szkodliwe. Weźmy na przykład medycynę i „cud” jakie można dzięki niej dokonać. Komuś (większości!), może się zdawać, że im więcej lekarzy, aparatury i medykamentów tym lepszy stan zdrowia danego kraju. Tymczasem statystyka śmiertelności na raka piersi (naturalnie, po skompensowaniu wieku) pokrywa się dokładnie ze statystycznym dochodem narodowym na głowę mieszkańca. W nasyconych pod względem medycznym Stanach Zjednoczonych, ponad połowa(!) ludności cierpi na wyrażone wady wzroku, 20-30 milionów(!) ludzi ma zaburzenia psychiczne — są to statystyczne rekordy świata! Dodajmy do tego, że niektóre choroby dziedziczne jak na przykład cukrzyca, bez medycyny po prostu eliminowałyby się same, leczone natomiast, trwają i rozszerzają się w kolejnych pokoleniach, przyczyniając się do zwiększenia ilości ludzi zależnych od codziennych zastrzyków insuliny. Rozwój medycyny nie gwarantuje nam zdrowia. Gwarantuje natomiast tylko jedno: zamianę społeczeństwa w organizm pół-zdrowy, całkowicie uzależniony od aparatu medycznego. (Tu powtarzam opinie Ivana Illycha i prof. Kielanowskiego).

Taki biologiczny sposób patrzenia na świat pozwala racjonalnie wytłumaczyć dlaczego systemy typu komunistycznego pokrywają coraz większą część globu, stają się coraz bardziej popularne nawet i w Zachodniej Europie. Marksizm przecież dmie w te same „uniwersaln(i)e” puste ideały, jego ideologia nie wytrzymuje żadnej głębszej analizy, jak to nam wykazał Leszek Kołakowski. Praktyka krajów komunistycznych wskazuje, że dokonano tam biologicznego „wynalazku” skutecznie neutralizu-

jącego rozkładowy wpływ wynalazku Gutenberga: Informacja mechanicznie powielona jest bez żadnej zenady używana jako „zasłona dymna” zabezpieczająca MISTERIUM PAŃSTWA przed redukcijną wścibskością maluczkich, dostarczając jednocześnie maluczkiemu ich upragnioną zmodernizowaną strawę duchową.

Pod tą „zasłoną dymną” kraje Europy Wschodniej wiodą byt całkiem zróżnicowany i interesujący. Według znanego mi historyka niemieckiego, Fryderyk Wielki byłby w pełni zadowolony oglądając współczesne Niemcy Wschodnie, które w końcu są prężną kontynuacją idei pruskiej — łącznie z ich tysiącami uchodźców. Jak stwierdzają to wszyscy zachodni obserwatorzy, po trzydziestu latach usilnej sowietyzacji, różnica między Polską a Związkiem Sowieckim wydaje się większa niż między niezależną Francją a Stanami Zjednoczonymi.

Według wszystkich danych dotyczących reakcji psychologicznych, naciski, kary, ograniczenia, poza chwilowym sukcesem na dalszą metę nie prowadzą do niczego, a nawet odwrotnie, do wzmocnienia zachowania ograniczonego. Pedagogom znany jest paradoks wychowania: najbardziej żywotne, niezależne i „rozrabiające” okazują się dzieci, które usiłowano „trzymać krótko” przy pomocy ograniczeń i dyscypliny. Z kolei dzieci, którym zezwala się na wszystko, stają się powolne, ograniczone i pozbawione inwencji (na przykład hippisi).

Podobnie ma się sprawa i w innych przypadkach opresji społecznej czy politycznej. Tak jak kościelne zakazy seksualne przyczyniły się do zachowania erotyzmu w krajach katolickich w porównaniu z protestanckimi, tak ucisk Kościoła przez Państwo przyczynia się do zachowania jego roli w krajach Europy Wschodniej (w porównaniu z upadkiem Kościoła na Zachodzie). Z kolei ograniczenia państwowości tych krajów przez Związek Sowiecki przyczyniają się wcale do zachowania nacjonalizmu i idei państwowej w krajach uciskanych, zwłaszcza w porównaniu ze Wspólnym Rynkiem, który stał się „rozkładającym trupem organizmów państwowych, w którym rojnie żerują kupczyki” (opinia z *Le Monde*).

To zdawać by się mogło, że paradoksalne i niby-nieracjonalne zachowanie się organizmu społecznego, znajduje swe potwierdzenie w ścisłych, laboratoryjnych badaniach. Według doświadczeń na szczurach przeprowadzonych przez wyśmienitego psychologa amerykańskiego B. F. Skinnera, jedyna skuteczna metoda osiągnięcia trwałego zaniku danego zachowania polega na zezwoleniu na „całkowitą wolność” jego wyrażania, przy jednoczesnym uczeniu go niepotrzebnym i zbędnym, co otrzymuje się poprzez wzmocnienie pozytywne (nagradzanie) zachowania odwrotnego. Taką reakcję biologiczną widać wyraźnie w wypadku najnowszej

historii zachodniego Kościoła: całkowita wolność i tolerancja religijna połączona jest tutaj z nagradzaniem postaw społecznych zupełnie sprzecznych z etyką religijną. (Porównajmy aktualną ideologię „życiowego sukcesu” z chrześcijańską ideologią życiowej klęski; dobrobyt (chęć bogacenia się), unikanie cierpień, nieumiarkowaną konsumpcję z dokładnie odwrotnymi cnotami chrześcijańskimi; egoistyczną „walkę o byt” z altruistyczną „miłością bliźniego”. Według Konrada Lorentza obecna sytuacja Zachodu odpowiada dokładnie temu co dawniej ludzie religijni nazywali „czasami Antychrysta”).

Gdy dorzucimy do tego „adaptacyjną” politykę Kościoła, posoborowe jego odwrócenie się „twarzą do ludu”, to możemy zrozumieć dlaczego w ciągu piętnastu po-soborowych lat frekwencja w kościołach na Zachodzie spadła o dwie trzecie, dlaczego na pytanie „czy rodzice chcą aby ich dzieci brały udział w niedzielnych praktykach religijnych” w ankiecie przeprowadzonej przez organizatorów kolonii letnich miasta Genewy, nie było ani jednej odpowiedzi pozytywnej.

To chyba tyle zwięzłych uwag jakie mi się nasuwają po dziesięcioletnich, zaangażowanych studiach *in vitro* nad rozkwitem cywilizacji Zachodniej. Jeśli te uwagi można zamieścić w czasopiśmie publikowanym na Zachodzie, oznaczać to będzie, że wiele z poruszanych przeze mnie spraw nie są aż tak poważne. Gdyby się natomiast okazało, że te skądinąd logicznie spójne i uporządkowane, „uczesane” choć być może emocjonalnie niewygodne myśli nie mają prawa transmisji na nawet skromnych, etatowych kanałach informacyjnych, będzie to dowodem, że sytuacja Zachodu jest o wiele groźniejsza niż o tym piszę.

Marek GŁOGOCZOWSKI

Genewa, 4 listopada 1977.

Czy i co się dziś zmieniło?

Spomiędzy licznych rosyjskich agentów, szpiegów i prowokatorów, czynnych w XIX-tym wieku wśród emigracji polskiej na Zachodzie i usiłujących ją skompromitować na zewnątrz oraz skłócić i obezwładnić na wewnątrz, by uczynić mniej niebezpieczną dla rosyjskiego imperium, najbardziej bodaj czynnym i wybitnym był Julian Aleksander Bałaszewicz.

Urodzony w 1831 w rodzinie drobnoszlacheckiej na Wileńszczyźnie, w 1850 wstąpił na ochotnika do rosyjskiego wojska, lecz, nie zrobiwszy tam kariery, wyszedł z niego w stopniu podporucznika w 1858, by się zaciągnąć do służby policyjno-szpiegowskiej. Tam osiągnął duże sukcesy, działając w latach 1861-1876 w Paryżu i Londynie.

Wybór ze znalezionych w archiwach przeszło 800 raportów Bałaszewicza do władz rosyjskich został w 1973 ogłoszony w ograniczonym nakładzie przez PIW w Warszawie* i stanowi interesujące źródło historyczne.

O ile raporty Bałaszewicza zainteresują przede wszystkim historyków, poprzedzające je 70-stronicowe studium wstępne pt. „Z dziejów prowokacji wśród emigracji polskiej XIX-go wieku” powinno zainteresować szerokie rzesze współczesnej emigracji, gdyż ma dla niej pewne znaczenie praktyczne. Aczkolwiek w ciągu ostatnich stu lat wzrosły ogromnie możliwości i środki techniczne, omówione w tym studium ogólne zasady i metody akcji prowokacyjno-szpiegowskiej istotnej zmianie nie uległy i są niewątpliwie w dalszym ciągu stosowane. Skorzystajmy więc z opra-

* Albert Potocki (Julian Aleksander Bałaszewicz), *Raporty szpiega*. Wybór, opracowanie i studium wstępne Rafał Gerber. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1973, Tom I str. 421, tom II str. 572. Cena obu tomów 120 zł.

cowania krajowego i przytoczmy obszerne z niego wyjątki z minimalnymi dodatkami. Opuszczone części oryginalnego studium oznaczamy wielokropkami, zaś tekst dodany drukujemy kursywą w nawiasach.



Rządy zaborcze stosowały wielokrotnie w stuleciu XIX-tym i XX-tym metodę prowokacji wobec społeczeństwa polskiego, dążąc do ograniczenia, a nawet rozbicia przy jej pomocy ruchu narodowo-wyzwoleńczego... w kraju i na emigracji. ...Rząd... pozostawał stale pod naciskiem działań emigracji, żyjącej myślą o wyzwoleniu kraju...

Po upadku powstania styczniowego III Wydział podjął kontr-ofensywę przeciwko emigracji polskiej na Zachodzie. Dążono do skompromitowania jej oblicza moralnego.

Fałszerstwa pieniędzy były w XIX-tym wieku zjawiskiem powszechnym, wobec niedoskonałej techniki wykonania banknotów. Szczególnie rosyjskich.

Szło więc o obarczenie odpowiedzialnością za te fałszerstwa emigracji polskiej, a przez to zdarcie z niej aureoli męczeństwa politycznego, przedstawienie szerokiej opinii publicznej Europy zachodniej emigrantów polskich jako zwykłych przestępców kryminalnych, i to zamieszanych w brudną moralnie sprawę fałszerstwa pieniędzy...

Od 1864 przebywał we Francji, akredytowany przy ambasadzie rosyjskiej w Paryżu, radca Ministerstwa Finansów Cesarstwa Rosyjskiego Gabriel Kamiensky, upoważniony do zwalczania fałszerstw banknotów rosyjskich i zwracania uwagi właściwym władzom na przestępców. Kamiensky działał na terenie całej Europy zachodniej i rozporządzał poważnymi funduszami na werbowanie agentów. W rzeczywistości Kamiensky nie tylko nie śledził fałszerzy banknotów, lecz ich tworzył i organizował...

Mechanizm prowokacji był prosty. Agenci Kamiensky'ego wyszukiwali przyciśniętych nędzą emigrantów, lub chcących wrócić do kraju, wreszcie oskarżonych o rozpowszechnianie fałszywych banknotów rosyjskich, proponowano im współpracę w fabrykowaniu fałszywych pieniędzy, finansowano urządzenie drukarni, zdobywano dla nich odpowiednie gatunki papieru i opłacano ich miesięcznie, często przez podstawione osoby... Gdy wszystko już było zaaranżowane, powiadamiano policję danego kraju zachodnioeuropejskiego, aresztowano fałszerzy i powodowano wytoczenie im procesu.

Kamiensky, a później jego następca Peretz, pozostawali w naj-

ściślejszym kontakcie z policją francuską... (*Inaczej było w Szwajcarii, gdzie*) w związku ze sprawą fałszerzy banknotów w Yverdon... sędzia śledczy... zaczął się dobierać do skóry samego Kamiensky'ego, który zaproponował za pośrednictwem komisarza (*policji francuskiej*) Duchelarda 20.000 franków za przerwanie dochodzeń... (*Ostatecznie*) sąd kryminalny okręgu Yverdon... skazał zaocznie Gabriela Kamiensky'ego, rosyjskiego radcę stanu, niezamieszkałego w kantonie Waadt, którego nie można było aresztować, na dwa lata więzienia, utratę praw obywatelskich na 10 lat i pokrycie kosztów sądowych.

Był to wyrok miążdzący, dyskredytujący prowokacyjną działalność oficjalnej agentury rządu carskiego w krajach zachodnioeuropejskich, wymierzona w dobre imię emigracji polskiej. Rola Gabriela Kamiensky'ego była niefortunnie zakończona. Mimo iż pod naciskiem dyplomacji rosyjskiej sąd szwajcarski w Solothurn uniewinnił go w drugiej sprawie o fałszerstwo banknotów rosyjskich i austriackich, był on całkowicie „spalony”. Już przedtem został wycofany i zastąpiony przez nowego agenta Ministerstwa Finansów, Peretza, który... (*reżyserował*) dalej fałszowanie banknotów nie tylko rosyjskich, ale również austriackich, francuskich i szwajcarskich...

(*Niefortunnie dla prowokatorów zakończyła się także*) sprawa Jarosława i Teofila Dąbrowskich, która ujawniła wszechstronne metody działania agentów carskich i odbiła się najgłośniejszym echem w prasie zachodniej i wśród emigracji... (*Po ich aresztowaniu przez władze francuskie w listopadzie 1869 pod zarzutem rozpowszechniania fałszywych banknotów rosyjskich*) carski agent Julian Bałaszewicz pisał z Londynu... (*do swoich przełożonych w Petersburgu:*)

„W ciągu dwóch miesięcy, które upłynęły od chwili odkrycia w Paryżu fałszywych banknotów i aresztowania Jarosława Dąbrowskiego, głównego spiskowca i herszta emigracji polskiej, emigracja jest ogromnie zaniepokojona. Cała ich uwaga zwrócona jest na prowadzone śledztwo i jeżeli Dąbrowski okaże się winnym, będzie to bardzo celný cios, który sympatykom sprawy polskiej otworzy oczy na to, z jakich elementów składa się polski Komitet Główny...”

Natychmiast po aresztowaniu Dąbrowskich... agentura rosyjska w Paryżu rozpoczęła przez dyspozycyjną prasę francuską ostrą kampanię przeciwko emigracji polskiej, przede wszystkim na łamach *Le Droit* i *Monitors*. ...*Le Droit* głosił, że „wszystko co nosi imię polskie, pomaga w fabrykowaniu fałszywych rubli”...

Żupełny brak dowodów obciążających głównych oskarżonych, ujawniona rola agentury rosyjskiej w Paryżu, wreszcie kompromitujące policję francuską i sędziego śledczego współdziałanie

z prowokacją rosyjską spowodowały wydanie przez sąd przysięgłych 9 lipca 1870 wyroku uniewinniającego Jarosława i Teofila Dąbrowskich...

Inną metodą penetracji emigracji polskiej było werbowanie korespondentów... (*do pism krajowych*) spośród byłych powstańców, czynnych działaczy emigracji w większych jej skupiskach, a potem... (*przekazywanie*) ich dla dodatkowego wykorzystania... Sprawa ta najbardziej irytowała emigrację polską. Działalność agentów... była tajna, rzadko ujawniana, tylko w wypadku jakiegoś skandalu. Korespondencje... szkalowały emigrację polską, wyśmiewały ją, obnażały jej tajemnice i słabości, a ponadto świadczyły, iż autorem ich jest zdrajca, działający w łonie samej emigracji...

Najbardziej osławionymi, bezsprzecznie zdolnymi, choć całkowicie pozbawionymi moralności renegatami-korespondentami... byli w latach 70-tych: w Paryżu Apollo Młochowski, w Zurychu Adolf Stempkowski. Obaj przeszli naturalną drogę zaprzańców na emigracji: korespondenta..., później agenta informatora, wreszcie prowokatora w środowisku emigracyjnym. Młochowski ponadto — bardzo zdolny publicysta — haniebnie się wślawił paszkwilami na Polskę, służalczyimi wobec władz rosyjskich, szkalującymi w licznie wydawanych książkach, i to w języku francuskim, emigrację polską...

(*Korespondencje Stempkowskiego*) były równie oszczerce, przesycane jadem nienawiści, czy pogardy dla środowiska emigracyjnego, jak Młochowskiego... Na początku 1868 wybuchła prawie równocześnie ze zdemaskowaniem Młochowskiego sprawa Stempkowskiego, oskarżonego przed Najwyższym Trybunałem Przysięgłych Emigracji Polskiej w Zurychu... (*który*) uznał go za winnego..., że „służąc Moskalom denuncjował i czernił emigrację wobec całego narodu”... (*i odsądził*) od czci i wiary, honoru i imienia Polaka wobec całego narodu polskiego. W przeciwieństwie do Młochowskiego, odwołał się Stempkowski do sądu honorowego i emigracyjnej opinii w Paryżu... (*gdzie Sąd Bratni*) ... uniewinnił go całkowicie z czynionych mu zarzutów... (*nakazując jednak*), „aby najdalej z końcem bieżącego roku opuścił Szwajcarię z żoną i dziećmi i przeniósł się do innego kraju, dając tym dowód, iż pragnie żyć jak na wychodźcę polskiego przystoi, ustępując z miejsc, w których spokój powszechny mógłby zakłócić”.

Zrehabilitowany Stempkowski pozostał w Szwajcarii nie wykonując poleceń Sądu, (*lecz w dalszym ciągu gorliwie służąc rosyjskiej policji*) ... Dnia 14 sierpnia 1872 osiągnęła carska po-

licja i sam carat wielki sukces. Po dwóch latach intensywnego ścigania rewolucjonisty rosyjskiego Nieczajewa, udało się go aresztować w Zurychu przy pomocy policji szwajcarskiej oraz przy czynnym udziale Adolfa Stempkowskiego..., który znał osobiście Nieczajewa i podjął się umówić z nim w Café Müller na przedmieściu Zurychu... Zobaczywszy Nieczajewa, Stempkowski przysiadł się do niego, a w kilka minut później podszedł do nich oficer żandarmerii szwajcarskiej, który poprosił Nieczajewa, by wyszedł z nim na ulicę, gdzie nałożono mu kajdanki... Nieczajew został, jak wiadomo, wydany przez Szwajcarię Rosji, gdzie otrzymał karę śmierci. Zdradziecka rola Stempkowskiego stała się dla wszystkich jasna. Część emigrantów chciała go zabić, druga część zorganizowała zaocznie sąd honorowy dla rozpatrzenia jego sprawy. Sam Stempkowski, obawiając się o swoje życie, przeniósł się do Berna... Zagranicznym agentem III Wydziału pozostawał Stempkowski do 1883, kiedy to został zwolniony.

Najwybitniejszym rosyjskim prowokatorem na terenie emigracji polskiej we Francji i Anglii (*był*) Julian Aleksander Bałaszewicz, występujący przez kilkanaście lat pod nazwiskiem hrabiego Alberta Henryka Potockiego. Był to bez wątpienia człowiek niepoślednich zdolności, górujący niepomiernie nad innymi agentami rosyjskimi... Przed wyjazdem do Paryża przygotował sobie odpowiednie *entrée* do emigracyjnego środowiska polskiego. Jako tego, który miał go wprowadzić do środowiska emigracyjnego, wybrał powszechnie szanowanego, wślawionego w powstaniu listopadowym i kampanii węgierskiej 1849, generała Henryka Dembińskiego związanego z prawicowymi kołami emigracji polskiej. W tym celu sfingował listy hołdownicze do generała od nie istniejącego, wymyślonego przez siebie towarzystwa, jakoby zorganizowanego w 1859 na Wileńszczyźnie — Obróńców Narodu — wymierzonego przeciwko partii Mierosławskiego liczącego, ponad 400 członków, którego kierownicy wzywali generała Dembińskiego na urząd Prezydenta Spraw Polski. Adres ten, datowany 10 sierpnia 1861, podpisali rzekomo: J. A. Bałaszewicz, hrabia Edward Czapski, Aleksander Sawicki i L. Nowiński. Autorzy adresu, przyjętego jakoby w Berlinie, prosili generała o wydanie odezwy do narodu o zakazaniu spisków i manifestacji oraz kontaktów z demokratami. Informowali go, również, że przesyłają adres przez hrabiego Henryka (Alberta) Potockiego, który pozostanie sekretarzem Towarzystwa w Paryżu...

W ten sposób akredytował się Bałaszewicz w paryskiej emigracji jako przedstawiciel stosunkowo licznej organizacji krajo-

wej. Z tymi sfingowanymi listami uwierzytelniającymi zgłosił się jako Albert Henryk Potocki u sędziego generała... Ale jeszcze przedtem wystawił sobie jako Bałaszewiczowi pochwalną laurkę, (*pisząc w liście do generała*):

„Bałaszewicz jest to jeden z najświetniejszych przewodników naszej sprawy. Tułając się po Rosji on jednoczy umysły ku odzyskaniu swobody i najgorliwiej służy Ojczyźnie. Żeby Polska więcej miała takich synów jak on, to dawno śpiewano by *Te Deum laudamus* na grobie wrogów naszych... On zawsze uwielbiał po całej Rosji zasługi Jenerała. Dwa lata, jak on został obrany głównym wodzem naszego koła i w te dwa lata cudu dokonał. Nie zapominaj, Jenerale, Bałaszewicza, bo to jeden z najzaciejszych naszych ziomków, pracujący dla chwały Ojczyzny”.

Zdrajca-aferzysta nie był jeszcze pewny, czy uda mu się przeobrazić w hrabiego Potockiego, tworzył więc na wszelki wypadek legendę wokół postaci Bałaszewicza.

Plan Bałaszewicza został jednak uwieńczony całkowitym powodzeniem. 11 października 1861 udzielił mu Dembiński następującej akredytacji:

„Zaświadczam niniejszym, że z rąk wielmożnego Henryka Alfreda hrabiego Potockiego otrzymał przysłany przez Pana Juliana Aleksandra Bałaszewicza akt, oznajmujący mnie, jako wybrany zostałem przez posłów Polski i Litwy na Prezydenta Towarzystwa Przyjaciół.

Paryż, dnia 13. X. 1861.

Henryk Dembiński”.

W Paryżu pozostawał Bałaszewicz-Potocki pod bezpośrednim zwierzchnictwem hrabiego Jakuba Tołstoja (*długoletniego urzędnika do spraw kontaktów kulturalnych w Paryżu, przedstawiciela III Wydziału i faktycznego kierownika rosyjskiego wywiadu politycznego i wojskowego we Francji*). Energiczny, pełen fantazji i pomysłów, zjednał sobie swojego doświadczonego zwierzchnika, którego jednak szokowała i niepokoiła zbytnia przedsiębiorczość podległego mu agenta. Bał się przedwczesnego jego zdekonspirowania. (Również w Petersburgu nie chciano początkowo wierzyć w powodzenie Bałaszewicza w jego awanturniczych poczynaniach w nawiązywaniu kontaktów z emigracją, w ławowierność gen. Dembińskiego, który miał przyjąć od Bałaszewicza 200 rubli, jak również kwestionowano inne dość wysokie wydatki na sub-agentów i druki polskie i, pomimo obrony Tołstoja, po kilku miesiącach odwołano go z Paryża. Nie był to jednak koniec jego prowokacyjno-spiegowskiej kariery: namiestnik w Warszawie, W. Ks. Konstanty, odmiennie od rosyjskiej centrali nie uważał go za nieodpowiedzialnego „blagiera”, przyjął jego warunki i wystął z powrotem do Paryża).

Pierwsze raporty w nowym charakterze przesyła Potocki we wrześniu 1862. Rozpoczyna je od zreferowania zorganizowanej za granicą działalności agentury paryskiej w początkowej jej fazie. Od razu po przybyciu do Paryża udało się Bałaszewiczowi posunąć do większej miary. Nawiązał bowiem ścisłą współpracę z prefektem policji paryskiej oraz z jego sekretarzem, p. Marseille, i uzyskał od nich możliwość perlustracji korespondencji prowadzonej przez emigrantów polskich... Był to sukces niepośledni. Bałaszewicz nie tylko uzyskiwał korespondencje Polaków do wglądu, ale po krótkim czasie zachowywał poważną część oryginalnej korespondencji, względnie też ją kopiował w oryginale, jeśli to były listy francuskie, lub przekazywał do Warszawy przekłady listów polskich. W ten sposób do Warszawy dotarło w okresie rocznym 1862/63 przeszło 250 listów przechwyconych przez Potockiego, a wśród nich... ważna korespondencja okresu przedpowstańczego i powstańczego...

W burzliwym okresie drugiej połowy 1862, przy stałym narastaniu fali powstańczej, rozwija Bałaszewicz-Potocki swoją agenturę. W połowie listopada zawiadania o skaptowaniu wyjątkowo cennego agenta, któremu wyznaczył pensję 400 franków miesięcznie, albowiem był to członek Polskiego Komitetu Paryskiego, który mu przekazywał ważne informacje, a nawet dostarczał pakiet listów i papierów z tajnego archiwum tego komitetu...

W najtrudniejszych dla rządu carskiego latach 1862/1863 Bałaszewicz rozwija w Paryżu wyjątkowo ożywioną działalność, przesyła wykazy czynniejszych działaczy emigracyjnych, emisariuszy wysyłanych do Polski, określając nawet dzień przekroczenia przez nich granicy, informując dokładnie o zachowaniu się czasowo wyjeżdżających za granicę Polaków i Rosjan. W działalności wśród emigracji trzyma się zarówno w okresie paryskim, w latach 1862/63, jak i późniejszym londyńskim, zasady rozbijania emigracji, stałego klócenia jej przywódców, doprowadzania do zerwania między rewolucjonistami rosyjskimi a walczącą Polską, oczerniania Herzena i Bakunina w oczach Polaków — z równoczesnym przedstawianiem Herzena jako agenta Aleksandra II, a „Ziemi i Woli” jako organizacji panslawistycznej. Rozsyłał ponadto sfałszowane listy na ukradzionych blankietach, mające doprowadzić do zerwania przez Rząd Narodowy stosunków z Herzenem... Udało się również Bałaszewiczowi-Potockiemu skłócić Michała Bakunina z Herzenem...

Bezwzględnie dobre wyczucie polityczne Bałaszewicza podpo wiedziało mu, że niebezpiecznym dla caratu na emigracji jest przede wszystkim obóz demokratyczny, tendencje zjednoczeniowe odzywające się stale wśród emigracji polskiej pod hasłami demokratycznymi, a przede wszystkim dynamiczna postać bezwzględnie

utalentowanego przywódcy wywierającego duży wpływ na młodzież, a tym szkodliwszego, że demagogicznego, Ludwika Mierosławskiego. W listach do Bakunina podsycił więc jego niechęć do Mierosławskiego, podsuwając mu nawet myśl, że głośne aresztowanie w Paryżu Józefa Cwierzakiewicza mogło być wynikiem intryg lub, prościej mówiąc, denuncjacji Mierosławskiego. Równocześnie w swoich raportach do Warszawy pisał:

„To ja spowodowałem ich aresztowanie... więc, rzecz jasna, są nie znajdzie dostatecznych faktów dla oskarżenia i uwolni ich... Zrobiłem wszystko, ażeby odsunąć od siebie nawet cień podejrzenia... Obecnie jest rzeczą niezmiernie ważną... aby sprawę tę przeciągnąć do maja... prosiłem prefekta, by się nie spieszył z rozprawą, dopóki nie przejrzy papierów, co umożliwi mi zebranie konkretnych wiadomości. Prefekt zgodził się... Ażeby przeciwstawić się intrydze i zniweczyć ich plany, wysłałem listy do Anglii i Włoch oraz rozpuściłem słuchy za pośrednictwem agentów, że wszystkie tajne plany zostały ujawnione, że w Warszawie znane są nazwiska członków Centralnego Komitetu, drogi jakimi zakupywano i przewożono broń oraz wydawnictwa propagandowe. Ażeby nadać temu bardziej wiarygodny charakter, podałem do wiadomości szyfry i najbardziej istotne fragmenty z ich tajnej korespondencji. Spowodowało to powszechną trwogę, którą podsycałem, jak tylko mogłem... Wielu emisariuszy, którzy mieli wyjechać do Polski, zrezygnowało dowiedziawszy się, że wszystko wyszło na jaw, a (ich) nazwiska są znane”.

Aresztowanie Cwierzakiewicza, jeśli rzeczywiście było jego dziełem, należy uznać za wielki jego sukces. Tym bardziej, że udało mu się rozszyfrować aresztowanych wraz z Cwierzakiewiczem dwóch jego towarzyszy.

O dobrej orientacji Bałaszewicza w tym, co się działo na emigracji, świadczy wyznaczenie przez niego jeszcze w listopadzie 1862 w jednym z raportów terminu wybuchu powstania na koniec stycznia 1863. Wybuch powstania zmienił zresztą tryb działania agentury paryskiej. Stare organizacje ustąpiły miejsca nowym, trzeba więc było — jak pisze Potocki — nawiązywać nowe kontakty. Dlatego właśnie musiał również zgodzić się na wyjazd do Krakowa dwóch jego agentów, skierowanych przez organizację emigracyjną, których komitetów byli członkami. „Obaj — pisze Potocki — służyli mi wiernie i przydadzą się jeszcze w przyszłości. Pozostać w Paryżu nie mogą w żadnym razie, zostaną bowiem ogłoszeni zdrajcami i ja stracę doświadczonych agentów”.

O metodach działania Potockiego świadczy fakt, iż opłacił ich koszty podróży do Krakowa. Agentów swoich charakteryzuje jako kosmopolitów, którzy zrobią wszystko za pieniądze. (Dodajmy, że i podczas pobytu w Krakowie obaj ci panowie utrzymywali kontakt z Bałaszewiczem i w dalszym ciągu pracowali na rzecz Rosji).

Dla lepszej charakterystyki tego sprzedawczyka, który był przecież równocześnie członkiem Naczelnego Komitetu Emigracji Polskiej, dodamy fakt, że 1 marca 1863 wydał on w Paryżu, jako Albert Potocki, druk ulotny z wierszem *Do broni* na nutę Marsylianki. Czy można sobie wyobrazić większe zakłamanie i perfidię prowokatora?

W lutym, marcu i kwietniu 1863 był tak pochłonięty szpiegowską i prowokacyjną pracą, że, jak sam pisał, nie miał czasu na przygotowywanie szczegółowych raportów. Pracował ze swoim biurem od 8 rano do 11 wieczorem. W celu stworzenia zamętu wśród emigracji paryskiej fałszował dopiski do listów, których setki przechodziły przez jego ręce, przetrzymywał korespondencję i kłócił wszystkich ze wszystkimi. A równocześnie ciągle prosił o fundusze. Zamiast 1.000 franków miesięcznie, podwyższonych następnie do 2.000, żądał już w marcu 1863 3.500 franków. ...Narzeka na brak dostatecznych środków umożliwiających prowadzenie tak różnorodnej działalności agentury paryskiej. „Moja sytuacja i konieczność nawiązywania kontaktów zmuszają mnie do składania nieustannych ofiar pieniężnych. Poza utrzymywaniem agentów wydaję zasiłki różnym emigrantom i organizacjom, które bezceremonialnie mnie naciągają”. ...Innym razem komunikował: „Gdybym miał obecnie w rękę 100.000 franków, wszystkie tajemnice rewolucji zostałyby wykryte w ciągu miesiąca. Ale niestety jestem biedny, a tutaj pieniądze są kłuczem do wszystkiego”...

Bałaszewicz mógł być zadowolony ze swoich sukcesów. Stał się najwybitniejszym agentem III Wydziału. Jego pracowitość, świetna orientacja w sprawach emigracji, zorganizowanie sprężystej siatki wywiadowczej, duże wycucie polityczne zyskały mu uznanie nie tylko W. Ks. Konstantego, ale i najwyższych czynników petersburskich, co znalazło wyraz w osobistym podziękowaniu, uzyskanym od szefa III Wydziału, a następnie w ofiarowaniu mu przez cesarza pierścienia z brylantami...

(Pisywał liczne artykuły do prasy emigracyjnej, co dawało mu możliwość wzajemnego kłócenia poszczególnych jej odłamów... W jego dywersji myślą przewodnią, którą stale wpajał władzom petersburskim, było przekonanie, że dopóki emigracja we Francji nie będzie unicestwiona w sensie moralnym, dopóty w Polsce nie nastanie spokój i porządek. Informował, iż przyjeżdżający z kraju przywożą pieniądze i wiadomości, a wracając zabierają proklamacje i instrukcje. Radził pozbawiać prawa powrotu i konfiskować majątek obywateli, utrzymujących w czasie pobytu za

granicą stosunki z emigrantami. ... Radził zaprowadzić kartotekę alfabetyczną wszystkich polskich działaczy i emigrantów, o których wspominają raporty. Przesyłał spisy emisariuszy Mierosławskiego, uczniów szkoły wojskowej w Genui, Rosjan utrzymujących kontakt z Herzenem, wyjeżdżających do kraju emisariuszy, a w 1863 Polaków udających się na pole bitwy...

Bałaszewicz-Potocki przekazywał... charakterystyki wybitnych emigrantów polskich, często trafne i pełne dowcipu. O wystąpieniu Władysława Zamojskiego pisze: „przemówienie równie mętne i niepotrzebne jak jego życie”, o Mierosławskim ... „został obalony, ale może jeszcze podnieść głowę, to osobnik bardzo żywotny”.

I znowu powtarzająca się obsesja „emigracji”. Stwierdza, iż „jeśli powstanie upadnie i spowoduje nową emigrację, spokój nie zapanuje w Polsce i Rosji”, a 20 maja 1863 powtarza: „Dopóki istnieć będzie emigracja jako ciało polityczne, dopóty nie może być mowy o utrwaleniu spokoju w Polsce”. Proponuje też zwalczać propagandę emigracji polskiej w krajach zachodnich i wykorzystywać prasę francuską do walki z Polakami, płacąc za to pieniędzmi i orderami.

Raporty... zawierają mnóstwo informacji czasami kłamliwych, czasami przesadzonych, czasami nawet megalomańskich, ale w większości prawdziwych, a jeśli idzie o ocenę wypadków, bardzo ciekawych. Do takich należą np. sąd, iż jeżeli rząd rosyjski rozda ziemię chłopom, wówczas chłopci staną po stronie rządu i powstanie upadnie, albo też ocena roli kleru i zakonów w powstaniu.

Ale w połowie 1863 nawisły nad głową Bałaszewicza-Potockiego chmury. Zbliżała się jego osobista katastrofa... W tak doskonałej organizacji, jaką jest prefektura paryska, znalazł się zdrajca, który omal go nie zgubił, donosząc o wielu tajnych sprawach... W końcu sierpnia... zmuszony został do rozwiązania swojej agentury i opuszczenia w grudniu 1863 granic Francji. Dopiero w 1864 został przeniesiony do Anglii w charakterze tym razem już indywidualnego agenta III Wydziału, nie rozporządzającego poprzednimi funduszami ani też stałymi agentami...



Na początku 1864 uplasował się Bałaszewicz-Potocki na następne 10 lat w Londynie i otworzył niedaleko British Museum pod firmą „Petro Albert” mały antykwariat, który umożliwiał mu nawiązywanie stosunków z przedstawicielami arystokracji angielskiej (Bałaszewicz chlubił się w jednym z raportów, że

gościem u niego bywał książę Walii, późniejszy Edward VII), a w zdeklasowanym społeczeństwie emigracji polskiej stworzył mu pozycję człowieka zasługującego na szacunek, materialnie niezależnego, czasami też hojnego ofiarodawcy na cele patriotyczne i społeczne, człowieka stojącego więc poza wszelkim podejrzeniem. Za swoją pracę agenta III Wydziału, za prowokacje, które miały doprowadzić do rozkładu środowiska emigracyjnego, za informacje o życiu i działalności emigracji polskiej i rosyjskiej otrzymywał niebłahą sumę 40 funtów miesięcznie. Dla porównania wystarczy uwzględnić fakt, że profesor uniwersytetu oxfordzkiego miał miesięczną pensję 20-25 funtów.

Za parawanem tego antykwariatu i działalności kolekcjoner-skiej... prowadził przez 10 lat swoją szpiegowsko-prowokacyjną działalność na terenie Anglii, a nawet kontynentu... Na nowym terenie i w nowych warunkach życia i działalności emigracji po upadku powstania ten rzekomy hrabia, który przybrał demokratyczną tożsamość właściciela antykwariatu, który nie obnosił się ze swoim hrabiostwem, a utrzymywał stosunki z biednymi emigrantami, często ich wspomagając, zmienił formy swej pracy, aczkolwiek cel jej i treść pozostały bez zmian. Podstawowym jego zadaniem było w dalszym ciągu niedopuszczenie do zjednoczenia emigracji, stałe jej kłócenie, przeciwstawianie się działalności politycznej na emigracji, wysunięcie na czoło życia emigracyjnego sprawy materialnego urządzenia się emigrantów, organizowanie wyjazdów bardziej czynnych emigrantów do Ameryki Północnej i rozbijanie w ten sposób żywego organizmu politycznego emigracji polskiej w Anglii. Już w pierwszych miesiącach po przeniesieniu się do Londynu zdobył sobie Bałaszewicz-Potocki poważną pozycję w londyńskim środowisku emigracyjnym, awansując do grona jeżeli nie jego przywódców, to reprezentantów.

W związku z przyjazdem w kwietniu 1864 Garibaldi do Londynu... na wielkim międzynarodowym zgromadzeniu w Cristal Palace... Potocki wręczył Garibaldiemu wybite w złocie, srebrze i miedzi trzy medale na pamiątkę powstania styczniowego — przedstawiały one zrównanie i pojednanie chłopów ze szlachtą (szlachcica w kontuszu podającego bratnią dłoń włościaninowi w ubiorze litewskim z kosą w ręku) — po czym przemówił w te słowa: „Obywatelu Jenerale, składając Ci w upominku medale, odbite na cześć bohaterskiej walki naszych braci za swobodę ludów i niepodległość ojczyzny, mamy nadzieję, że przyjmując je jako dar ubogi, lecz szczerzy, nie odmówisz nam swej pomocy. Nie zapominaj, że skoro podejmiesz Twoją chorągiew zwycięską do walki z despotyzmem, znajdziesz nas obok siebie z wiarą i poświęceniem”.



Znaczny rozwój prasy emigracyjnej niepokoi naszego bohatera. Jest to bowiem w tym okresie, po upadku czynu zbrojnego, jedyna forma zewnętrznej działalności organizacji narodowo-wywoleńczych na zachodzie. Bałaszewicz stara się więc skłócić poszczególne redakcje pism ze sobą, stara się pozyskać dla swojej dywersyjnej działalności niektóre czasopisma i uzależnić je od siebie, oczywiście występując jako patriota polski, pomagając finansowo w wybrnięciu z kłopotów, składając pewne datki wydawcom...

W czerwcu 1865 tak charakteryzował metodę swojego działania: „Doświadczenie przekonało nas, że przeciwdziałać szkodliwym intrygom emigracji polskiej można jedynie drogą jawnego demaskowania jej, przystąpiliśmy więc do działania i dopięliśmy celu przez umieszczanie korespondencji w znanych gazetach”. (*Gazety te charakteryzuje jak następuje:*)

Ojczyzna pragnęła stać się organem nowej emigracji, jednakże nie udało się jej to. Aby osiągnąć ten cel występowała przeciwko innym czasopismom... Dążąc do tego, by stać się gazetą popularną, źle usposobiła do siebie zarówno białych jak i czerwonych... a wreszcie straciła wpływy. W chwili obecnej *Ojczyzna* jest moim organem, na łamach którego mogę kontynuować rozpoczętą akcję...

Wytrwałość — organ partii czerwonych, założony za pieniądze zebrane w Warszawie, mógłby kierować emigracją i być ogniskiem zła, gdybym mu nie zadał ciosu na samym początku i nie sprowadził na drogę wyzwick i gołosłownych filipik, którymi do chwili obecnej zapełniane są łamy tego czasopisma, odciągając je od propagandy. Tym sposobem obnażając najbardziej drażliwe strony ich bytu i ukazując ich wady, doprowadziłem do powstania pomiędzy nimi nieprzejednanej wrogości i w ten sposób zniweczyłem ich główny cel — zjednoczenie emigracji.

... *Głos wolny*, organ Mierosławskiego nie cieszy się obecnie żadnym wpływem, został bowiem skompromitowany przez... *Ojczyznę*... Przy całym poniżeniu... jest to organ czysto demokratyczny i w zmienionych warunkach może okazać się niezmiernie szkodliwym...; ażeby doprowadzić do jego upadku, przede wszystkim oddalam od niego osoby, które udzielają mu pomocy materialnej, a odbierając mu prenumeratorów, pozbawiam go możliwości regularnego wydawania pisma...

Potocki jest nader czynnym korespondentem *Ojczyzny* i *Wytrwałości*. Przesyła artykuły i korespondencje, stara się być potrzebny tym redakcjom, oferuje pomoc materialną... występuje z propozycjami bezinteresownej współpracy. Stwarzał w swych stosunkach z redaktorami atmosferę przyjaźni, za którą rewanżo-

wali się złąkniemi pomocy i oparcia na emigracji wylewem uczuć braterskich, wtajemniczaniem w kłopoty osobiste i redakcyjne...

Charakterystyczną dla metod prowokacyjnych drogę obrał Bałaszewicz-Potocki dążąc do skłócenia *Wytrwałości* z *Głosem Wolnym*. Oto wydrukował w *Wytrwałości* korespondencję rzekomo z Richmondu, którą podpisał „XYZ”. Atakował w niej Zmartwychwstańców jako „bractwo judaszowe, pozbawione ojczyzny i wiary”. Demaskował ich straszną zbrodnię, popełnioną rzekomo przez księdza Aleksandra Jełowickiego w Paryżu na siostrze Ludwika Narbuta, bohaterskiego naczelnika powstania na Litwie. Miano ją trzymać przez 8 dni o chlebie i wodzie... Przy okazji wytykał redakcji *Głosu Wolnego*, w 1864 jedyne go pisma na emigracji, że odmówiła wówczas wydrukowania w tej sprawie korespondencji p. A.P.(otockiego).

Zawrzało w całej emigracji. W ciągu miesiąca napłynęło do redakcji *Wytrwałości* 167 podpisów, protestujących przeciwko czynom zmartwychwstańców... z Londynu, Nancy, Zurychu, Solury, Monachium. Sam Albert Potocki również włączył się do zainicjowanej przez siebie kampanii...

Przeciwko akcji *Wytrwałości* wystąpiły *Ojczyzna* i *Głos Wolny*. „Wszystko w tym oskarżeniu jest fałszem i potwarzą” — głosiła *Ojczyzna*. *Głos Wolny* stwierdzał..., że przyjął „zasadę nie ogłaszać listów, otrzymywanych od korespondentów bezimien nych, a tym mniej... kilkuimiennych, do których... zaliczamy p. A.P.”... (oraz w dalszym ciągu pisał, że posiada „niezbite dowody”, stwierdzające nielojalność A.P. wobec ruchu narodowego i wyrażał) zdziwienie, że redakcja *Wytrwałości* nie nauczyła się ostrożności, że udostępnia swój dziennik i pozwala rzucać podejrzenia... anonimowym korespondentom na ludzi nieposzlakowanych...

Bałaszewicz-Potocki osiągnął swój cel. Wywołał znowu nieprzyjemną atmosferę w środowisku emigracyjnym, skłócił ze sobą trzy pisma emigracyjne; z drugiej jednak strony znalazł się w nader niewygodnej sytuacji, (wobec przypomnienia o jego kompromitacji paryskiej)... i zmuszony był przerwać na kilka lat swoje publiczne wystąpienia w (polskim) środowisku emigracyjnym...



Pod koniec 1870 i na początku 1871 zmieniła się radykalnie sytuacja... Wyjechali na kontynent... wpływowi lewicowi emigranci... Powstała pustka, nie było przywódcy, i z tego skorzystał Bałaszewicz i osiągnął nie lada sukces. Oto po raz pierwszy zajął oficjalne kierownicze stanowisko w życiu londyńskiej emigracji...”

Skromny antykwariusz londyński, znajdujący się faktycznie na marginesie życia emigracyjnego, uznany został prawie za zbawcę żyjącej w niedostatku, często w nędzy, masy emigracyjnej. Jego program pracy organicznej na emigracji, zajęcie się sprawami bytowymi jej członków, stał się hasłem dnia. Komisja do przeprowadzenia wotów na członków Komitetu Stałego w Wielkiej Brytanii i Irlandii tak określa inicjatywę A. Potockiego:

„Nareszcie w najkrytyczniejszej chwili obywatel hrabia Albert Potocki raczył przyjąć na siebie podtrzymanie zaczętej pracy i wprowadzenia takowej na właściwą drogę, tj.:

1. wytworzenia odpowiednich funduszów na pomoc potrzebującym;
2. ułatwienia nauczania się właściwych i korzystnych fachów...;
3. ... znaleźć potrzebny kredyt do prowadzenia rzemiosła na własną rękę...

Jednym słowem, poczynione kroki przez obywatela hrabiego Potockiego zapewniają zupełne powodzenie. Tenże obywatel chce wszysko otwarcie działać, zaś Komitet będzie regularnie zdawać sprawozdania Ogółowi z swych czynności, z przychodów i rozchodów”. ...

W efekcie został Bałaszewicz-Potocki prezydentem i kasjerem Komitetu Stałego..., zaś (jego) sekretarzem... Jan K. Kostecki... całkowicie opanowany i z nim związany, bezwolne jego narzędzie...

(Kostecki i inni rozgłaszali o Potockim, że jest to) „wnuk wojewody na Litwie i czynny tam mający udział w powstaniu 1863, a pierwaj jeszcze należący do Pietraszewskiego konspiracji na Sybirze, człowiek osobiście pełen patriotyzmu i poświęcenia dla sprawy publicznej, rozległe posiadający stosunki wpośród... społeczeństwa angielskiego — demokratą z duszy i serca, jest jedną z tych rękami jedności emigracyjnej... jakiej emigracja tutejsza przez długie lata na próżno szukała”.

W tej atmosferze lekkomyślnej i łatwowiernej adoracji mógł prosperować Bałaszewicz-Potocki i tworzyć nową organizację, przy pomocy której miał zamiar sparaliżować życie polityczne wśród emigracji polskiej z jednej strony i zdobyć pozycję w kręgach międzynarodowej emigracji. ... Ażeby umocnić swą pozycję, wysłał ten agent, ale zarazem i hochsztapler, uchwałę Ogółu Emigracji Polskiej w Londynie... do Leona Gambetty..., w której domaga się by ten stanął w obronie Polaków wziętych do niewoli z armii francuskiej przez wojska pruskie, a którym grozi wydanie ich właściwym rządom zaborczym.

Poza działalnością wśród emigracji londyńskiej..., zdobywał wśród niej Potocki pozycję również na skutek swojej szczodrobliwości. Był jedynym majątnym emigrantem, więc nie było prawie ani jednej zbiórki, ogłaszanej w prasie, aby w niej nie uczestniczył, co w połączeniu z tytułem hrabiowskim i historycznym nazwiskiem stwarzało mu wygodną sytuację. Równocześnie decy-

dował o działalności i charakterze T-wa Wzajemnej Pomocy, które liczyło... 442 członków...

Ażeby wzmocnić swoją pozycję i całkowicie ująć organizacyjnie emigrację, próbował zaprowadzić prawie dyktatorską władzę, tworząc setki i dziesiątki, na czele których postawił zobowiązanych sobie ludzi. Wydaje się jednak, że te poczynania odsunęły od niego wybitniejszych emigrantów... (i przyczyniły się do) nowego rozdzielenia emigracji londyńskiej...; o to właśnie chodziło Bałaszewiczowi-Potockiemu...

Bałaszewicz rozumiał, że władze carskie interesuje coraz więcej międzynarodowy ośrodek rewolucyjny w Londynie. Mając już mandat społeczny... Ogółu Emigracji Polskiej, nawiązuje... kontakt z... Karolem Marksem... Następuje okres osobistych kontaktów z Marksem i Wróblewskim... Międzynarodówka staje się głównym przedmiotem raportów Bałaszewicza. „Byli u mnie dziś — pisał 17 lipca 1872 — Wróblewski i Karol Marks, spędzili ok. 2 godzin na przeglądzie wydarzeń i radzili skierować wszystkie wysiłki na połączenie wszystkich organizacji emigracyjnych...” ...

Samochwalstwo Bałaszewicza-Potockiego, połączone z chęcią zaimponowania swoimi osiągnięciami, doszło do szczytu, gdy przedstawiał w 1871 możliwość nie tylko przejęcia kierownictwa w sekcji polskiej, ale również w Radzie Generalnej Międzynarodówki. Twierdził, że zamiast komunisty, uciekiniera z Paryża, Walerego Wróblewskiego może „wybrać człowieka bardziej nam oddanego i stopniowo przejąć władzę”, a także, że dzięki swoim wpływom może nie tylko osiągnąć ten cel, ale również usunąć Marksa i objąć kierownictwo Międzynarodówki...

W połowie 1871 zjawił się w Londynie pułkownik artylerii armii rosyjskiej, emigrant polityczny, wybitny publicysta i teoretyk narodników, Piotr Ławrow, który od razu nawiązał kontakt z kierownictwem Międzynarodówki. Bałaszewicz-Potocki odgadł swym szpiegowskim węchem, że nasunęła mu się nie lada gratka. Postarał się szybko zbliżyć do niego, oferując mu wszelaką pomoc. Ławrow, naiwny jak wszyscy ówcześni działacze rewolucyjni, widział w nim zamożnego, życzliwego polskiego emigranta. Kilkakrotnie więc zaciągał u niego pożyczki, a nawet zwrócił się... o pomoc w sprawie otrzymania paszportu na obce nazwisko..., korespondencja do Ławrowa przychodziła na adres Potockiego. Bałaszewicz nie omieszkiał o tym swoim sukcesie zawiadomić mocodawców w Petersburgu, przysyłając im 10 oryginalnych listów Ławrowa...

W ciągu 10 lat szpiegowsko-prowokatorskiej działalności bezwzględnie najzdolniejszego agenta III Wydziału i chyba jednego z najzdolniejszych agentów i prowokatorów europejskich XIX-go

wieku, Bałaszewicza-Potockiego, przewijają się w blisko 500 raportach przesyłanych z Londynu setki nazwisk emigrantów politycznych w Anglii i Francji, olbrzymia ilość informacji o wydarzeniach... Większość ich zaczerpnięta jest z prywatnych informacji, z plotek, z notatek prasy, do których dodawał swój osobisty komentarz, często przesadzony, w wielu jednak wypadkach świadczący o dużej inteligencji, lotności umysłu, znajomości rzeczy i wyczuciu politycznym. ...Na wielu elaboratach znajdujemy adnotacje „zreferowano cesarzowi”. O wielkiej intuicji politycznej... (*może świadczyć*) docenienie roli i miejsca Karola Marksa w Międzynarodówce, tym bardziej że współcześni mu wielcy emigranci rosyjscy, jak Herzen i Ogariew, raczej wpływ Marksa lekceważyli.

Nadszedł jednak moment, który przyspieszył koniec wieloletniej kariery szpiega, ciężko już chorego, faktycznie już swoim władzom nieprzydatnego. Jesienią 1875... jego były pupil, sekretarz jego agentury w Paryżu... upiwszy się raz w restauracji genewskiej wszczął awanturę... (*w toku której ujawnił*) swoją korespondencję z III Wydziałem.

Przedstawione przez Butkowskiego dokumenty dowodziły niezbicie, że mieszkający w Londynie hrabia Potocki, na którego adres przychodziła z Rosji cała korespondencja do Ławrowa, podszywał się pod to nazwisko, w rzeczywistości zaś był agentem III Wydziału, Julianem Aleksandrem Bałaszewiczem.

Sprawa, o dziwo, rozgłosu nie nabrała, a wypłynęła dopiero w publikacjach porewolucyjnych 1905, ale rola Juliana Bałaszewicza — hrabiego Potockiego była już na zawsze skończona. Najwybitniejszy agent-prowokator carskiej służby policyjnej w Europie został publicznie zdemaskowany. Ostatni jego raport jest z 2 stycznia 1876. Prawdopodobnie otrzymał zwolnienie z dniem 1 stycznia...

Pytanie, jak mógł ten największy szpieg i provokator na emigracji, który przybrał tak znane nazwisko jak Potocki, i występował pod nim publicznie, który stykał się z tylu wybitnymi postaciami, a jednocześnie z prefekturą policji paryskiej, z ambasadami rosyjskimi w Paryżu i Londynie, który korespondował z redakcjami gazet polskich na emigracji i w kraju, a równocześnie był dwukrotnie w prasie wymieniany jako podejrzany o szpiegostwo na rzecz rządu carskiego, jak mógł działać i stykać się w ciągu kilkunastu lat z emigrantami, a nawet stać się w pewnym momencie ich przywódcą oficjalnym, pełnomocnikiem emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii. Jak mogło się zdarzyć, że nikt nie zapytał „a z których to Potockich”, że żaden prawdziwy Potocki, czytając w gazetach nazwisko — hrabia Albert Potocki — nie zadał sobie i jemu tego pytania...

Jakie były przyczyny bezkarności szpiegów policyjnych w polskim środowisku emigracyjnym? Składały się na to przyczyny obiektywne i subiektywne. Do obiektywnych można zaliczyć fakt dużej płynności w tym środowisku, ciągłe przemieszczanie się grup emigracyjnych i poszczególnych wychodźców z jednego miasta do drugiego, z jednego kraju do drugiego, brak prasy emigracyjnej, która by docierała do najszerszych kręgów wychodźstwa. Czasopisma bowiem emigracyjne wydawane w bardzo nikłym nakładzie docierały jedynie do zwolenników każdego z nich, a wiadomości w nich podawane były wręcz negowane przez ich przeciwników...

Następną przyczynę należy upatrywać w fakcie rozpowszechnionej na emigracji... szpiegomanii, kiedy mnożyły się zarzuty wzajemne o szpiegostwo, którego nie można było w pełni dokumentami udowodnić, a to znowu podrywało zaufanie do tego rodzaju oskarżeń.

Podatny grunt dla penetracji wśród wychodźców tworzyła deklasacja i bieda emigrantów oraz utrzymywanie się instytucji i prowadzenie działalności w oparciu o składki i ofiary. Można było tanim kosztem, wnosząc niedużą sumę lub udzielając małych pożyczek znajdującym się w potrzebie emigrantom lub instytucjom emigracyjnym, zdobyć opinię szczodrego patrioty i współczującego rodaka.

Poważnym ułatwieniem w zbieraniu materiałów dla wywiadu politycznego..., tym razem natury subiektywnej, była gadatliwość, kompletny brak konspiracji i uwzględniania faktu, że policja wszystkich krajów interesowała się emigracją polską, wreszcie skłócenie polityczne wychodźstwa, co dawało możliwość, a nawet gwarancję wybrnięcia z tarapatów w przypadku zdemaskowania agenta. Wystarczyło bowiem, aby jedna grupa polityczna wystąpiła przeciwko komuś z oskarżeniem o szpiegostwo, aby ten znalazł oddanych obrońców w innej grupie, oskarżającej pierwszą o próbę pozbawienia czci niewinnego patrioty ze względów politycznych. Brak norm organizacyjnych wychodźstwa dawał zawsze oskarżonemu wyjście z opresji i przybieranie roli niewinnej ofiary.

W tych warunkach mogli bezkarnie działać i cieszyć się nawet zaufaniem i poważaniem demaskowani agenci carscy.



Tyle ze studium krajowego, formalnie dotyczącego dawno „minionego okresu”. Ponieważ jednak „kraj” i „emigracja” wciąż istnieją, warto się zastanowić, czy i o ile analizy i wnioski tego studium pozostają nadal aktualne?

Różnice pomiędzy obecną a dawną emigracją rzucają się w oczy. Jest ona przede wszystkim bez porównania liczniejsza; nie żyje w nędzy, lecz raczej w dobrobycie; może prawie bez przeszkód jeździć do PRL i mogłaby tam ewentualnie się przesiedlić, gdyby miała na to ochotę. Na ogół woli jednak „kraj” tylko „odwiedzać”, a potem się zachwycać, jak wspaniale tam się żyje, gdy się jest przyjmowanym w charakterze „bogatego wujaszka” lub cioci, dysponujących zagraniczną „twardą walutą”.

Jeśli chodzi o „kraj”, to różnice wydają się być znacznie mniejsze. W Warszawie nie ma wprawdzie Wielkiego Księcia, ale czyż Bierut, a obecnie Gierek, poza tytułem bardzo się różnią od Konstantego? Nie mają oni nic przeciwko emigracji zarobkowej, „Polonii” odwiedzającej kraj i zasilającej go walutami, lub w inny sposób z nim „współpracującej”, ale sformułowane przez Bałaszewicza ostrzeżenie, że „dopóki istnieć będzie emigracja jako CIAŁO POLITYCZNE, dopóty nie może być mowy o utrwaleniu spokoju w Polsce”, pozostaje wciąż aktualne, tym bardziej, że i tak za wiele tego „spokoju” w Polsce nie ma. Toteż potrzeba kompromitowania „oblicza moralnego” politycznej emigracji ciągle istnieje w mniejszym lub większym stopniu.

Oczywiście, trudno przypuścić, aby obecnie próbowano powtórzyć prowokacje z fałszowaniem banknotów, ale czyż jest to sposób jedyny? Przypomnijmy choćby dawne zarzuty „współpracy Londynu” z hitlerowcami”, lub „pozbawianie obywatelstwa” Andersa i innych polskich dowódców, jako „zdradców ojczyzny”! Nie można wykluczyć sytuacji, w której kompromitowanie emigracji politycznej stałoby się znowu bardziej potrzebne niż obecnie, ani też nie doceniać inwencji policyjnych prowokatorów. Nie jeden z peerelowskich pismaków wciąż się zajmuje szkalowaniem w prasie krajowej politycznej emigracji i zdobycie „współpracy” w tym zajęciu kogoś z jej łona byłoby gratką nie lada.

Wciąż aktualne jest także prowokowanie czy podniecanie naturalnych w systemie demokratycznym różnic poglądów czy sporów w celu utrudniania czy wręcz uniemożliwiania przybrania przez emigrację form „ciała politycznego” i ustalenia „norm organizacyjnych”, dostosowanych do wyjątkowych — „nadzwyczajnych” — warunków życia na obczyźnie. Nie jest to zadanie łatwe i staje się wręcz niemożliwe, gdy wszyscy są ze wszystkimi skłóceni.

Uprawiane przez Bałaszewicza rozbijanie, rozproszkowywanie, emigracji, skłócanie jednych z drugimi z byle jakiego powodu, jest niewątpliwie wciąż celem peerelowskiej policji politycznej, jak również poznawanie — jeśli takowe istnieją — „tajemnic emigracji”, czy jej szpiegowanie. Jak o tym dowiedzieliśmy się

z ogłoszonego 14 września ub. roku oficjalnego komunikatu szwajcarskiego Departamentu Federalnego Sprawiedliwości i Policji, zajmują się tym poniektórzy peerelowscy „dyplomaci”, ponieważ jednak przeważająca większość emigracji — nie tylko politycznej — z reguły unika kontaktów z oficjalnymi przedstawicielami PRL, konieczne staje się uciekanie się przez nich do pomocy „agentów nieoficjalnych”.

Naiwnością byłoby przypuszczenie, że ich wśród nas brakuje, ale jeszcze większą, i bodaj bardziej niebezpieczną, naiwnością byłaby zbytnia o to podejrzliwość. Jak dotąd, szczęśliwie unikaliśmy tak mile widzianej przez policyjnych prowokatorów „szpiegomanii”, choć bezpośrednio po wojnie było kilka takich spraw przed Sądem Obywatelskim w Londynie. Czujność, jak wszelka cnota, leży w niełatwym do znalezienia w praktyce „złotym środku” pomiędzy dwoma wadami — naiwnością i podejrzliwością.

Bądźmy więc czujni, ale nie naiwni czy podejrzliwi, i skorzystajmy z tego, że głębsza analiza wieloletniej działalności Bałaszewicza w studium krajowym odsłoniła w znacznym stopniu metody i środki oraz warunki sprzyjające policyjnym prowokacjom. Przede wszystkim zaś pamiętajmy, że zasadniczym celem ludzi rządzących Polską, zarówno w XIX-tym wieku jak obecnie, jest jeśli nie całkowite wyeliminowanie, to przynajmniej znaczne osłabienie emigracji POLITYCZNEJ i jej zamienienie na emigrację czysto zarobkową, wystrzegającą się jak ognia wszelkiej „polityki”.

Niedawno dowiedziałem się, że pewna dama, wchodząc na salę, gdzie miałem wygłosić jedną ze swoich gawęd, powiedziała głośno: — *Jeśli tylko usłyszę coś politycznego, natychmiast demonstracyjnie wyjdę.*

Szczęśliwie, gawęda była na temat historyczny i owa dama pozostała na sali do końca, a potem poprosiła o podpisanie nabytej przez nią książki.

Gdy następnie opowiadałem o tym zdarzeniu z pewnym zdziwieniem, nie znalazło ono zrozumienia u innej damy.

— *Przecież ona ma córki w kraju i je odwiedza, a one także ją odwiedzają. Musi więc być ostrożna.*

Każdy z nas — prawie wszyscy — ma w kraju kogoś bliskiego, jeśli by jednak wszyscy podzielili punkt widzenia owych dam, emigracja polityczna przestałaby istnieć i cel postawiony przez Bałaszewicza z chwilą zdobycia przez niego stanowiska oficjalnego przywódcy i pełnomocnika emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii zostałby osiągnięty.

Wiktor SUKIENNICKI

Szwajcaria - Paryż, listopad 1977

Podróż do Ameryki Południowej

Ameryka Łacińska nie jest jeszcze krajem turystycznym — z wielu powodów. Aby się do niej dostać trzeba zdobyć do ośmiu wiz. Słowo „zdobyć” jest tu użyte celowo — bo dla otrzymania tej pieczątki na paszporcie potrzebne są nie tylko wszelkie możliwe szczepienia z żółtą febrą włącznie, ale też: świadectwa bankowe o posiadaniu wystarczających środków finansowych na wypadek konieczności przedłużenia pobytu z powodów od podróży niezależnych (mini-zamachu stanu?); świadectwo moralności; zaświadczenie lekarskie o ogólnym dobrym zdrowiu i o wytrzymałości na pobyt w wysoko położonych miejscowościach. Ponadto, potencjalny turysta uprzedzony jest niedwuznacznie że nie powinien w żadnym z tamtejszych krajów — nie wyłączając dobrych hoteli — pić niegotowanej wody; że wskazane jest aby wziął z sobą na drogę lekarstwa na ewentualny rozstrój żołądka, na zadyszkę, na zatrucie gastryczne, oraz środki na odstraszanie owadów — bo w wielu okolicach tzw. nieskomercjalizowanych nie znajdzie ani sklepów czy aptek, ni lekarzy.

Trzeba sobie zdać sprawę że tylko w stolicach — i to nie w każdej — są hotele dobrej klasy w wystarczającej ilości; że niektóre państwa — jak np. Peru — nie uznają zasadniczo podziału wagonów kolejowych na klasy i nie sprzedają w pociągach posiłków czy sandwiczów. Tu można dodać — bez uprzedzeń rasowych — że nie wszyscy Indianie południowoamerykańscy dbają o higienę osobistą; więc siedzenie obok takich nie należy do przyjemności.

Dobre drogi samochodowe nie wszędzie tam istnieją. Wprawdzie wszystkie państwa tego kontynentu przystąpiły do konwencji o konstrukcji *Panamerican Highway*, od Alaski do Ziemi Ognistej

— jednak nie wszystkie odcinki tej trasy są już ukończone, czy nawet zaczęte.

Do tego dodajmy naprawdę galopującą inflację oraz dewaluację która powoduje że niektóre banki odmawiają wtórnej wymiany np. argentyńskiego *peso*, bo nie wiedzą po południu na ile spadł jego ranny kurs. Ponadto w niektórych państwach do każdego rachunku czy ceny zakupu doliczane są różnego rodzaju obciążenia dochodzące niekiedy do 50 % nadwyżki — na podatki municypalne, rządowe i usługowe (co w ostatnim wypadku nie zwalnia od napiwku).

To wszystko sprawia że ochotników na takie wojaże jest mało i w konsekwencji zamiast w grupach trzeba jechać indywidualnie, samemu zatwierdzać rezerwacje, tracić czas na osobistą kontrolę celną i bagażową — czego w grupie można często uniknąć.

Jeszcze jedno: Amerykanie Północni (wiedzą sąsiedzi...) nazywają swoją siostrzycę łacińską *Mañana-Land* — albowiem rzadko można tam polegać na rozkładach jazdy, na rezerwacjach transportowych, na punktualności spotkań nawet handlowych; lub na tym że posiłek będzie podany na czas, szczególnie z dala od stolicy. Mimo to zdecydowałem się na tę wyprawę gdy pomyślałem że za rok będzie jeszcze drożej i ja będę o całe dwanaście miesięcy starszy.

Rzecz jasna, nawet przy obecnej technice lotów odrzutowych pozwalających na przerzucenie się z jednego państwa do drugiego w ciągu godzin — pięciodobny pobyt nie wystarczy na dokładne poznanie kontynentu wielkości Ameryki Południowej. Zatem musiałem stosować selekcję w wyborze miejsc. Głównym celem było przyjrzenie się — nie można w tak ograniczonym czasie mówić o zbadaniu — jak żyją ludzie pod dyktaturami junt militarnych. Mimo stosunkowo krótkiego okresu udało mi się zebrać tak obfity materiał, że nie mógłbym go zmieścić w ramach szkicu w miesięczniku. Czyli znów konieczność selekcji, co może miejscami narazić na zarzut powierzchowności. Trudno.

Trasa przerzutowa przez Pacyfik — od Sydney do Santiago — wynosi 16 tysięcy kilometrów. To trochę za dużo — więc przerwałem lot aby wythnąć w Tahiti i powąłęsać się po Wyspie Wielkanocnej.

Tahiti

Dopiero po wylądowaniu w Papeete zrozumiałem co oznacza określenie „przemysł turystyczny”. Od chwili opuszczenia samolotu przybysz jest schwytyany w tryby dobrze zorganizowanej ale

nie tak subtelnej operacji komercyjnej której ostatecznym celem jest bezbolesne wyciągnięcie z jego portfela jak największej kwoty dolarów.

Pokażną ilością tej waluty wciąż dysponują Amerykanie; oni też mają tylko sześć godzin lotu z Los Angeles i cztery godziny z Honolulu. A zatem w ich stronę skierowana jest główna fala nacisku. I chyba dlatego metody nie są tak wysubtelnione. Po co? — myślę — gdy patrzę na chudą damę z gwiazdzistą flagą w klapie ustawiającą właśnie swój aparat dla uwiecznienia w albumie jednego ze sloganów reklamowych na tablicy przy wyjściu z aeroportu Faai. *Everywhere on Tahiti there are lingering traces of Somerset Maugham, of Robert Louis Stevenson, of Captain Bligh and Pierre Loti.*

Napis jest po angielsku — bo logiczny Francuz by się z tego wyśmiał; i wielu turystów francuskich nie widać — za daleko i za drogo. Jednak (a nuż) próbowałem potem doszukać się tych „ociągających się śladów” ulubionych autorów mojej młodości. Nic nie znalazłem. Może ta Amerykanka z Asahi Pentax będzie miała więcej szczęścia ode mnie. Wiara czyni cuda.

Faktem jest, że ani klimatycznie ani botanicznie i topograficznie Tahiti nie różni się od setek wysp i wysepek polinezyjskich; że jest raczej od nich brzydsza, bo zeszpecona siecią nowoczesnych dróg asfaltowych z rażącymi bliznami stacji benzynowych, pozbawiona naturalnej dżungli którą wyrabano aby postawić hotele, motele, i te sztuczne „chaty” z dachami z liści pandanowca — żeby na zewnątrz wyglądało prymitywnie i „naturalnie”. Wewnątrz jest oczywiście klimatyzacja, lodówka z trumkami i automatyczny budzik. Lecz za ten palmowy dach trzeba wybulić dodatkowe dwadzieścia dolarów na noc. Amerykanie płacą, i fotografują, ich żony pobierają lekcje polinezyjskich tańców biodrowych i wypełniają tuziny stron w pięknie oprawionych brulionach z wytłoczonym nadrukiem „*My Trip*”.

Nawet święto zburzenia Bastylii zostało przez sofistycznych Francuzów wykorzystane jako atrakcja turystyczna — dzień 14 lipca trwa na Tahiti cały tydzień. Ludzie tańczą, piją, podpisują czeki podróżnicze i bawią się na potęgę.

Lecz nie wszyscy. Monsieur Pierre Chatillon d'Anglejean został zamordowany w swojej luksusowej willi; na jego zwłokach leżała notatka: „Nie chcemy Francuzów w Polinezji”. A w więzieniu w Papeete czekają na rozprawę czterej Tahitańczycy oskarżeni o kradzież 50 kg. dynamitu z firmy Entreprise Palacz. Zaś dwa dni temu Monsieur Sanford, wiceprezydent Rady Rządowej Polinezji Francuskiej otrzymał list z żądaniem zapłacenia pięciu milionów franków — albo...

Tahiti, île légendaire d'enchantement. Nie dla każdego.

Rapa Nui

Czyli Wyspa Wielkanocna. Prymitywne lotnisko z jednym torem i udającym dworzec barakiem drewnianym w którym roi się od przysadzistych ciemnoskórych policjantów i celników chilijskich. Jest też kilka wyraźnych tajniaków badających wzrokiem pasażerów którzy wylądowali. Nikt z nas tym się nie przejmując. Wiadomo, dyktatura, więc nadmierny rozrost biurokracji.

Pada gęsty deszcz gdy wsiadam do czekającego *Jeep'a*. Bo tylko samochody terenowe z napędem na cztery koła mogą poruszać się w tych gliniastych koleinach. Uszczelnionych dróg jeszcze nie zbudowali.

Ta wyspa na Pacyfiku nie jest „rajem” turystycznym. Nie ma po temu warunków — hoteli, restauracji, dróg. *Isla de Pascua* jest natomiast Mekką dla archeologów od czasu gdy Thor Heyerdahl przybył tu w 1956 roku z norweską ekspedycją. Jeszcze przedtem prowadziła tu badania Angielka, Mrs Rutledge. Jednak żadnemu z uczonych detektywów nie udało się dotychczas zbadać tajemnicę otaczającą tę wyspę na jakiej znaleziono ślady kultury, sztuki i techniki wymagających stuleci rozwoju społeczeństwa które je stworzyło. Społeczeństwa które po prostu znikło z powierzchni tutejszej ziemi, pozostawiając po sobie ruiny osiedli i około tysiąca wielkich posągów kamiennych, *Moai*. Wiele z tych statui dochodzi do trzydziestu kilku stóp długości i ponad siedmiu tysięcy kilogramów wagi. Stwierdzono że na wyspie nie ma metali i że rzeźby zostały wykonane kamiennymi narzędziami. Wciąż nie jest wyjaśnione jak były transportowane z kamieniołomu do odległych o kilometry miejsc. Każda statua przedstawia mężczyznę bez nóg, z głową wielkości tułowia i z płasko wyrzeźbionymi ramionami. Podobnych rzeźb nie znaleziono dotychczas nigdzie indziej. Nikt jeszcze nie odpowiedział na pytanie: Kim byli mieszkańcy wyspy, skąd przyszli i co się z nimi stało?

Ale to są pytania dla archeologów — nie dla mnie. Przyleciałem tu tylko dlatego że mi było w drodze do Santiago i ponieważ postanowiłem iż spróbuję zobaczyć tę wyspę — po usłyszeniu i obejrzeniu jednego z telewizyjnych odczytów dr. Bronowskiego o pochodzeniu człowieka.

Skoro jednak już tu jestem to obejrzę sobie co mogę: A więc wieś Orongo — 47 wykutych w skale domów bez okien, z małymi wejściami przez które trzeba było czołgać się, bez otworów na ujście dymu, chociaż znaleziono paleniska i ślady ognia. Włóczyłem się po kamieniołomach gdzie były wykuvane *Moai* i wi-

działem statuy prawie wykończone, z pozostawionymi obok kamiennymi stołkami, jakby rzeźbiarzowi przerwała jakaś katastrofa.

Zwiedziłem też obecne miasteczko. Nad małym sklepikiem wielki napis na płótnie umocowanym na wysokich słupach, niby brama tryumfalna: „Dziękujemy Juncie Wojskowej za wyzwolenie tego przedsiębiorstwa handlowego z opresji komunistycznej. Niech żyje...” itd. Poniżej flagi i portrety — generałów, wiceadmirala i innych wojskowych z akselbantami.

Złożyłem też nieproszoną wizytę osiadłemu tu artyście malarzowi. Po kilku zdaniach w moim poślach Boże hiszpańskim przeszliśmy na niemiecki i mój gospodarz postawił na stole butelkę *pisco*, dwie cytryny — i rozgadał się jakby tylko na to czekał. Już po jakimś kwadransie nabrałem przekonania że mam przed sobą człowieka szczerze wdzięcznego tym generałom i admirałowi za położenie kresu „bezmyślnej dyktaturze komunistycznej”. Utkwiło mi też w pamięci zdanie: „Teraz ja wyznaczam ceny za moje obrazy — nie państwo”.

Chile

Tuż po wystartowaniu z Mataverí na Wyspie Wielkanocnej poprosiłem stewardessę o jakąś gazetę, bo rozumiem i czytam po hiszpańsku o wiele lepiej niż mówię. Chciałem jako tako przygotować się na lądowanie w Santiago. Dała mi *Revista del Domingo*, lecz ten „przegląd niedzielny” niewiele mi powiedział — oprócz jednego artykułu z którego dowiedziałem się że po czterech latach od obalenia komunistów wystawy sklepowe w stolicy zaczynają ożywiać się, stają się trochę barwne, nieco konkurencyjne.

Może dlatego nie byłem zdziwiony wjazdem do miasta, tym niezbyt luksusowym autobusem linii lotniczej, szarymi domami i nie tak eleganckimi kobietami nawet na głównych ulicach. Ale ruch samochodowy dość ożywiony, choć przeważają starsze modele wozów.

Dopiero w hotelu pierwsza niespodzianka. Nad drzwiami windy przyśrubowana estetyczna tablica z napisem: *Las Autoridades han decretado...* że od drugiej w nocy obowiązuje godzina policyjna. Po czterech latach od obalenia komunistów wciąż nie wolno wychodzić w nocy — bo Władze zdecydowały, i kropka. Ile to razy w ciągu najbliższych tygodni spotykałem się z wariantami tego napisu. *El Gobierno ha decidido no aplicar por el momento el Decreto* itd. — Rząd zdecydował na razie nie wprowadzać w życie dekretu. Jak nie kijem go, to pałką.

Lecz jestem przecież na kontynencie rządów wojskowych. Tylko dwa państwa południowoamerykańskie mają funkcjonujące parlamenty — Kolumbia i Wenezuela. A i tej ostatniej grozi dyktatura... proletariatu. Wszędzie indziej, w głównych państwach, rządzą generałowie: Hugo Banzer w Boliwii, Alfredo Stroessner w Paragwaju, Ernesto Geisel w Brazylii, Pinochet w Chile, Videla w Argentynie, Bermudez w Peru. W zeszłym tygodniu Videla przemawiał w Buenos Aires przed plenum 50 generałów. Rektor uniwersytetu w Santiago jest generałem.

Trzej z wyliczonych mają niemieckie nazwiska. Może jest przypadkiem że ci właśnie trzymają się mocno w siodłach — Stroessner już od dwudziestu trzech lat. Czwarty, Augusto Pinochet, nie ukrywa że jest francuskiego pochodzenia.

Patrzę na jego celtycką twarz na portrecie nad biurkiem w ciasnym lecz ładnie urządzonym gabinecie głównego księgowego banku do którego mam list kredytowy. Tu czeka mnie druga niespodzianka: dowiaduję się z miarodajnego źródła, bo od bankiera, że w Chile stosowana jest w tej chwili stała dewaluacja 3 % miesięcznie w regularnych odstępach codziennych; że wymierzane są ostre kary za czarny handel i spekulację. Istnieją perspektywy na zmniejszenie i opanowanie inflacji, która pod rządami komunistów doszła do 600 % a obecnie jest stale redukowana i są widoki na jej opanowanie z pomocą banków amerykańskich, Międzynarodowego Funduszu Monetarnego i dzięki wzrastającemu popytowi na nitratyn — saletrę chilijską — spowodowanemu przez wzrost cen ropy czyli głównego składnika nitratynu sztucznego opatentowanego przez Niemców. Okazuje się zatem — mówi bankier z uśmiechem — że droga ropa, ta główna przyczyna inflacji światowej, może pomóc w sanacji inflacji chilijskiej.

Amerykanie wspierają Chile nie tylko finansowo. W najbliższych tygodniach lotnictwo chilijskie otrzyma od USA osiemnaście ultradźwiękowych bombowców przechwytyjących FSE Tiger II, w ramach — jak podali — programu pomocy wojskowej. Ponieważ Chile w tej chwili nic nie grozi militarnie (a gdyby groziło to półtora tuzina samolotów dużo by nie pomogło) to wolno przypuścić że mamy tu do czynienia z wzmocnieniem autorytetu *El Presidente* i jego *Honorable Junta*, czyli dalszy ciąg tego co się rozpoczęło od współudziału *Central Intelligence Agency* w obaleniu rządu Allende. W związku z lotnictwem chilijskim *polonicum* czy może *slavicum*: W dzienniku *El Mercurio* widziałem fotografię z nagłówkiem *Jefe del Estado Mayor General de la Fuerza Aerea* — general José Berdichevsky. Nie tak znane tu nazwisko jak Don Ignacio Domeyko, ale kończy się na 'ski' więc na wszelki wypadek zanotowałem. Przy okazji: filomata

i mineralog Domeyko jest też geograficznie uwieczniony przez *Cordillera Domeyko* w chilijskiej części Andów.

Wstaję z ociąganiem i żegnam się z bankierem. Najchętniej zadałbym mu jeszcze kilka starannie wycelowanych pytań, ale jego oczy mówią że wystarczy; że więcej z niego nie wydobędę.

Skręcam w pierwszą bocznicę i zaczynam wędrowkę po mieście, aby zobaczyć jak ta dyktatura wygląda z bliska. Pamiętam przy tym że w Santiago mieszka 4 miliony czyli blisko 40 % ludności — więc materiału do obserwacji jest dość; trzeba tylko trochę szczęścia, i tupetu.

Centrum miasta ruchliwe, lecz niezbyt imponujące. Ruch budowlany raczej sporadyczny. Niektóre domy aż się proszą o przemalowanie. Stoję właśnie przed dworcem głównym — wprawdzie zbudowanym przez Gustawa Eiffla, jednak nie tak eleganckim jak wieża w sercu Paryża. To samo da się powiedzieć o reprezentacyjnej ulicy stołecznej — Avenida Providencia. A płynąca nieopodal rzeka Mapocho, przecinająca nowoczesne dzielnice miasta — ma nieuregulowane brzegi, wygląda jak niezagojona blizna.

Ale w halach targowych czysto, estetycznie, wszystkiego w bród i ceny są umiarkowane. Nie wygląda na to że Chilijczycy pod rządami junty nie mają dość do jedzenia; nie tak jak za czasów dr. Allende, gdy nawet o chleb było trudno. Rzucają się w oczy wielkie tablice ostrzegawsze, przypominające kupującym aby uważali na wagę i ceny.

Ja natomiast zwracam uwagę na kupujących. Wyglądają normalnie, zachowują się swobodnie i nie widać po nich tego napięcia o którym pisał Bogusław Borowicz w *Kulturze*, we wrześniu 1973, gdy określił ówczesne Chile jako „kraj leżący na łopatkach”, jako „jeden wielki ogonek za chlebem, za oliwą, za masłem, za mięsem, za mąką, za mydłem, za benzyną, za wszystkim”.

Oczywiście nie jest jeszcze dobrze, inflacja roczna jest wciąż ekonomicznie przerażająca (nie chce mi się wierzyć że dochodzi do 160 %). I ta godzina policyjna nie jest zwykłym straszakiem czy odruchem hysterii niepewności. Wczoraj w nocy znów dokonano trzech zamachów bombowych: na Wojskowy Klub Lotniczy, na Banco Sudamericana, na Banco de Chile — ten ostatni w samym centrum miasta. Czyli wrogowie systemu — nazwijmy ich po imieniu: międzynarodowy komunizm — wciąż są czynni, w kraju i zagranicą. Prawdopodobnie temu można przypisać wydalenie Chile i Urugwaju z Międzynarodowej Rady Muzycznej i wybranie na ich miejsce Kenii i Nigerii. Takie także bywają rezultaty demokratycznego głosowania.

Luis Corvalán, były sekretarz generalny komunistów chilijskich, z komunistycznej wdzięczności za wypuszczenie go na wolność (został wymieniony za Bukowskiego) gdzie tylko może wzywa do obalenia Pinocheta, określa jego rząd jako maszynę tortury uruchomioną przez DINA — chilijską policję polityczną. A señora Hortensia Bussi, wdowa po Allende znów oświadczyła w Madrycie że nie wierzy w obietnice liberalizacji rządu gen. Pinochet. Jednak fakt że zarówno groźby Corvalána jak i enuncjacje pani Bussi są ogłaszane w chilijskiej prasie mogłyby być interpretowany na korzyść junty.

Nie ulega wątpliwości że przeważająca — i myśląca — większość narodu chilijskiego wierzy że *Honorable Junta* uratowała państwo — dosłownie w ostatniej chwili — od ruiny ekonomicznej i zniewolenia politycznego. Dlatego można w Chile zaobserwować fenomen jakiego ja przynajmniej nie zauważyłem w pięciu innych „republikach” rządzonych przez wojskowe dyktatury — wdzięczność narodu wobec armii pomimo stałej dewaluacji *peso*, *semi-corvée* dla bezrobotnych, 20 % podatku od kupna, godziny policyjnej, kontroli prasy i odmowy przeprowadzenia wolnych wyborów w najbliższej przyszłości.

Polonica: Dowiaduję się od p. Bogusława Borowicza z którym kontakt zawdzięçam Redaktorowi *Kultury*, że mieszka tu około 60 Polaków, samych powojennych. Oprócz Domeyków, których w książce telefonicznej naliczyłem trzynastu, w tym jeden Casimiro. Jest szczegółem wymownym, że warszawska reprezentacja dyplomatyczna została wycofana po obaleniu komunistów.

Przez okno samolotu patrzę na Andy. Z góry wyglądają groźnie i malowniczo, z dołu są trochę przygnębiające, szczególnie gdy od nich idzie przejmujący wiatr. A ciągną się wzdłuż całej wschodniej granicy chilijskiej — 4.500 kilometrów. Szerokość kraju nie przekracza stu mil. Chilijczycy garną się do swojej stolicy, która — jeżeli dotychczasowy trend zostanie utrzymany — wkrótce będzie miała w swych domach połowę ludności państwa. Niektórzy przypisują tę nienormalną urbanizację polityce Allende zwabiania proletariatu do ciężkiego przemysłu, bo komuniści zawsze czują się rażniej gdy mają do czynienia z robotnikiem fabrycznym zamiast z przywiązany do roli gospodarzem. Schodzimy do Limy. Na razie zdążyłem obejrzeć Santiago, Valparaíso i Viña del Mar. Wrócę do Chile w przyszłym miesiącu po przekroczeniu Andów na przełęczy Perez Rosales — aby statkiem i samochodem zwiedzić środkową część tego miłego

kraju. Oraz, jak starczy czasu i pieniędzy — zobaczyć także rejon południowy.

Peru

Wygląd dworca lotniczego jest dość dobrym miernikiem zamożności i stopnia kultury kraju. A jeżeli kraj jest pod rządami dyktatury, która z zasady dba o fasadę — to biednie wyglądający, po prostu brudny i kiepsko oświetlony aeroport dowodzi że z finansami państwa nie jest tak różowo. Mówię tu o stolicy Peru, rządzonego w tej chwili przez *Gobierno Revolucionario* na czele którego stoi generał Francisco Morales Bermudez. Nazwisko to utkwiło mi mocno w pamięci po tym jak je przeczytałem, powtórzone 14 razy, na czwartej stronie jednego z tutejszych dzienników.

Nie tylko lotnisko, także centrum miasta jest zaniedbane i panuje w nim, jak w całym kraju, atmosfera *je m'en foutisme'u* którą można krajać nożem.

A szkoda, szczególnie w wypadku metropolii która musiała być kiedyś i znów mogłaby być pięknym miastem gdyby ją tylko trochę oczyścili, zebrali te papierki i inne śmiecie, uporządkowali trawniki i cokoły pomników, przepędzili tych straganiarzy z asortymentami sznurowadeł i agrahek rozłożonych na chodnikach przed hotelem Crillon lub u stóp pięknego pomnika generała San Martin. Aż się serce kraje na widok tuzinów pucybutów i innych *Indios* zaśmiecających skwery swymi warsztatami, niedopałkami i plwocinami.

Wiem że w kraju panuje bezrobocie. Widzę je gdy obserwuję te dziesiątki rozgadanych Indian stojących tu godzinami — a jest dzień powszedni. Nie pojmuję czemu wszechwładna junta nie potrafi skierować tych maruderów do pożytecznego zajęcia oczyszczenia miasta.

Wieczorem, w hotelu, korzystam z okazji i wdaję się w rozmowę z agronomem amerykańskim którego poznałem w samolocie. Przyjechał jako ekspert eksploatacji lasów na zaproszenie jednej z wielkich kooperatyw. Jest tu już po raz trzeci i orientuje się w stosunkach. Jego zdaniem Peruwianie kiepsko gospodarują. Na przykład orzą i sieją za głęboko i nie dają glebie dostatecznej pożywki, choć są głównym eksporterem naturalnego *guano*, jednego z najlepszych nawozów azotowo-fosforowych.

Dowiaduję się że Peru jest jednym z najbardziej — obok Turcji — zadłużonych państw świata i grozi mu bankructwo. Niedawno miały miejsce strajki generalne na tle niedostatecznej dostawy żywności. W rezultacie Międzynarodowy Fundusz Mone-

tarny narzucił im ostre ograniczenia budżetowe jako wstępny warunek rozpatrzenia podania o nową pożyczkę. Może dlatego nie mogą sobie pozwolić na zatrudnienie tych bezrobotnych.

Podaję że mój przygodny znajomy jest więcej niż agronomem prywatnym. Mówi z autorytetem i z pewnością siebie, jak człowiek który wie. Oczywiście nie zadaje mu zbędnych pytań. Natomiast nazajutrz, z ostrożności dziennikarskiej kupuję obie gazety poranne i szukam informacji które by jakoś potwierdziły to co mi powiedział. W *El Comercio* znajduję streszczenie przemówienia prezydenta, który przyznaje że Peru stoi wobec trudnych problemów; że „*el Primer Mandatario de la Nación*” na zapytanie jednego z redaktorów odpowiedział, iż nie może w tej chwili mówić o wyborach i przekazaniu władzy cywilom. Myślę że pytanie było reżyserowane.

Jak wynika z komunikatu w drugim dzienniku, *La Prensa*, prezydent przemawiał z okazji 55-lecia PIP, policji politycznej której zadaniem jest ochrona ustroju. Jest autonomiczna i odpowiada tylko przed juntą. Jej hasło „*Honor y lealtad*” bardzo przypomina motto SS za Hitlera: *Treue ist meine Ehre*.

Nie powiem że mam dość tutejszej polityki — bo po to przede wszystkim przyjechałem: aby zobaczyć jak się żyje pod generałami w autentycznych ustrojach dyktatorskich. Ale jutro obejrzę sobie kilka kościołów, Sąd Inkwizycji a potem pojedę do Cuzco, wespnę się na szczyt twierdzy Machupicchu o której tyle czytałem.

Kościółów w Limie jest sporo — wszystkie w opłakanym stanie. Jest zrozumiałe że Hiszpanie, nim zostali wypędzeni, zabrali z wicekrólestwa Peru — i z innych kolonii — wszystko co się dało. Nie tylko złoto i srebro, lecz także dzieła sztuki, nawet niektóre mauzolea cmentarne. Na dobrą sprawę nie ma w Ameryce Południowej ani jednej naprawdę wartościowej galerii obrazów czy rzeźb. Uciekający konkwistadorzy nie mogli jednak wywieźć świątyń z wbudowanymi ołtarzami mahoniowymi, ani pewnej ilości prywatnych kaplic. Zaś uwolnieni mieszkańcy Limy nie uważali snadź za stosowne troszczyć się o utrzymanie katedr w należytym stanie. Zresztą, tylko 13 % ludności to biali lub mniej więcej biali — po czterech stuleciach pomieszanias ras; a katolicyzm Indian i Metysów jest mocno problematyczny. Dlatego katedry są wciąż zakurzone, zaniedbane. Grobowiec założyciela miasta, kapitana-generała Don Francisco Pizarro, mógłby wyglądać trochę czystiej, choćby z poszanowania dla zmarłego.

Natomiast budynek Sądu Inkwizycji jest trochę staranniej utrzymany — czyżby dla pokazania ludziom jacy byli Hiszpanie i dlaczego trzeba było ich przepędzić? Lub może dla dochodu z tej deprymującej „rozrywki”.

Przed wejściem poźółkły lecz czytelny plakat: *Santo Officio*

de la Inquisicion wzywa wszystkich na stawienie się na egzekucję grzesznika. Ładne wprowadzenie w atmosferę. W sali rozpraw: bardzo piękny sufit — koronka rzeźbiona w mahoniu; stół trybunału z czaszką u stóp krucyfiksu; trzy wygodne fotele dla sędziów i zydeł z nieheblowanego drzewa dla oskarżonego, tuż przy otwartym zejściu do lochów podziemnych — aby mógł słyszeć jęki katowanych heretyków.

Schodzę do tych piwnic: Ława do biczowania z otworami dla umocowania kończyn i głowy; stół do poziomego uwiązania i rozciągania stawów; przyrząd do wlewania wrzółtu do nosa; żelaza do przypalania i do piętnowania. Nie wyliczam wszystkiego. Jak w muzeum Madame Tussaud starannie wykonane figury ukazujące cały proceder torturowania. I lochy w których grzesznicy mogli siedzieć tylko z podwiniętymi nogami i z pochyloną głową — w zupełnej ciemności, jak wyjaśnia napis.

Wychodzę na światło dzienne i nawet zaśmiecona Plaza Bolivar zaczyna mi się podobać. W drodze do hotelu mijam liczne księgarnie, otwarte do późna, stale pełne kupujących. Także kioski gazetowe w Limie sprzedają poważne podręczniki naukowe obok hiszpańskich przekładów amerykańskich szmir. Kraj kontrastów.

Nazajutrz: Miasto Cuzco, centrum archeologiczne Ameryki Łacińskiej — dawniej stolica Imperium Inków. Oglądam te mury obronne, fortece i terasy i nawet jako laik dochodzę do wniosku że oni musieli o mechanice budowania wiedzieć tyle co Egipcjanie. Ale ich tryb życia nie był chyba taki wyrafinowany, jeżeli sędzić z tych nor mieszkalnych.

Wynajęłam samochód i pojechałam do jednej z wsi peruwiańskich, nie takiej jaką pokazują cudzoziemcom. Wrażenie przygnębiające — jedyny znośny budynek zajęty jest przez *Guardia Civil* czyli policję; reszta to nie domy — to nawet nie są przyzwoite nory. Tu jednak mieszkają ludzie: bez podłóg, bez okien, bez otworów na światło; w rogu cuchnąca Indianka w nieodstępnym czarnym kapeluszu, może pijana, a obok niej chrząka czarna świnia, czuć smród łajna. Pies który mnie wita jest wyraźnie przygnębiony. W takich pomieszczeniach rodzą się dzieci — nic dziwnego, że tylko jedno na 25 żyje po czterech latach i dopiero wtedy nadają mu imię.

Ulice nie brukowane, bez kanalizacji, wszystko na wierzchu. Napis na murze *Muerte a la J.M.* (Junta Militar). Takich hasel widziałem więcej w Peru i w Boliwii. Są szybko usuwane przez specjalne patrole, co miałem okazję zaobserwować.

Moja obecność we wsi została już widocznie przesygnałizowana, bo przed samochodem na rynku czyli na placu otoczonym brzydkimi blokami z cegły *adobe* obległa mnie gromada dzieci z wyciągniętymi rękami i wymownymi twarzami. Oddałem im

wszystkie drobne, także chilijskie, i kazałem szoferowi zawrócić i jechać prędko. Jutro mam ciężki dzień — prawie pół doby w pociągu do jeziora Titicaca skąd wodolotem do Huatajata i stamtąd już tylko mały skok samochodem do La Paz, stolicy boliwijskiej.

Wzdłuż toru kolejowego dużo opuszczonych osiedli indiańskich. Wymarli czy po prostu odeszli i zostawili te nędzne, brudne ściany. Słomiane dachy wykończył deszcz, wiatr i susza.

W Laroyo — 4.314 metrów — przekroczyłem Andy po raz pierwszy. Odwracam się i patrzę na leżące za mną Peru i mówię sobie że nie chciałbym żyć w tym kraju. Może nieliczni biali jako tako urządzili się u stóp tych zimnych skał. Lecz Indianie są wyraźnie zacofani i nie wyglądają na szczęśliwych. Szczery uśmiech miały w tym kraju tylko dzieci — a i to nie wszystkie. Nie te proszące o jałmużnę.

Boliwia

La Paz szczyti się mianem najwyższej stolicy świata i jest nią o ile chodzi o wzniesienie nad poziomem morza — lecz poza tym nie stoi tak wysoko i wygląda raczej prowincjonalnie, bardziej indiańsko niż europejsko. Nie dodają mu charakteru stołeczne te wąskie uliczki brukowane kocimi łbami lub niedbale obrobionym bazaltem, zresztą importowanym. Nie można też zaliczyć do wielkomiejskich tych ogłoszeń lekarzy na całe ściany — tak jak na Zachodzie reklamuje się proszki mydlane lub piwo.

Tu też, na placach i skwerach spore grupki bezrobotnych, czystszych i schludniej ubranych od swoich peruwiańskich pobratymców, lecz tak samo jak tamci nie uśmiechniętych.

Znów zajrzałem do hal targowych — czystych, dobrze zorganizowanych i obficie zaopatrzonych. Każda cena produktu jest wydrukowana na oficjalnym formularzu stemplowanym przez wydział finansowy magistratu, *Control de Precios*. Ceny są ustalone raz w tygodniu i za ich przekroczenie grozi więcej niż kara pieniężna. Dyktatura ma jednak swoje plusy — przydałoby się nam coś takiego w Australii.

Tuż za rogiem jest Basilica de San Francisco. Nic specjalnego pod względem architektonicznym — ale fronton tej świątyni jest chyba jedyny w swoim rodzaju. Widzimy świętego Franciszka w habicie, flankowanego przez dwie małe przykucnięte tak, że widać ich precyzyjnie wyrzeźbione i nie tak drobne genitalia. Siedzący przy swym wózku sprzedawca kwiatów — bystry obserwator — wyjaśnia mi że ta indiańska rzeźba ma być symbolem

plodności. Jedna z kupujących wtrąca się i mówi że to wstydy i pornografia.

Na placu przed katedrą jest aż pięć kiosków gazetowych — we wszystkich dyktaturach ludzie widać dużo czytają. Oba dzienniki poranne w La Paz są starannie redagowane, poważne, wyprane z taniej sensacyjności. Czytam je z przyjemnością, po latach przymusowego przyzwyczajenia do prasy australijskiej, prawie bez wyjątków obliczonej na masowy zbyt.

We wszystkich dyktaturach południowoamerykańskich gazety wydawane są dla elity i są jedną z fasad przeznaczonych dla ukazania rządzącej junty w poważnym świetle — także wobec światowej opinii publicznej. Ciekawe że stosowany jest system dwugazetowy. Jedna udaje liberalną i niby pozwala sobie na łagodną acz nie personalistyczną krytykę rządu; druga to oficjalny rzecznik — *portavoz* — junty. W rzeczywistości obie są pod bardzo ścisłą kontrolą prewencyjną, czasem też represyjną — i o istotnym wychyleniu się nie ma mowy. Jednym z objawów, czy skutków nadzoru jest konsekwentny kult jednostki uprawiany przez redakcje. Prawie pewny jestem że ani razu — od Peru do Patagonii — nie udało mi się znaleźć numeru w którym nie byłby wymieniony lub sfotografowany *El Presidente* lub *La Primera Dama de la Nación*. Nie sądzę jednak aby ten fakt uderzał np. Boliwijczyków w tym samym stopniu co mnie. Są przyzwyczajeni do kultu autorytetów. Przecież w ciągu 150 lat niepodległości byli prawie wyłącznie pod rządami monopartyjnymi lub pod dyktandem junty wojskowych.

Oprócz prasy poważnej ukazuje się w pięciomilionowej Boliwii pewna ilość wydawnictw popularnych skierowanych do czytelnika niewybrednego i niewykształconego. (Jest też 60 % analfabetów). Jednak — mimo że są przeznaczone dla różnego typu odbiorców — prasa poważna i sensacyjna przemawiają w tym samym tonie gdy omawiana jest największa bolączka kraju, określana jako „*la mediterraneidad boliviana*”, czyli uśródziemnienie Boliwii od czasu gdy sto lat temu utraciła dostęp do morza po przegranej wojnie z Chile. Od roku 1878 nie było chyba miesiąca w którym jakiś polityk, demagog, lub redaktor nie groził Chile zerwaniem stosunków dyplomatycznych, wojną, lub gromem z jasnego nieba za odciepienie sąsiada od dostępu do Pacyfiku. Gdy zaś ostatnio pewne sfery w Santiago zaczęły mówić o boliwijskim korytarzu do morza — w La Paz i w Sucre podniósł się krzyk że grożą im zamienieniem uśródziemnienia na „*polonización boliviana*”, nawiązując do świętej pamięci korytarza gdańskiego.

Na razie muszą się zadowolić bazami marynarki wojennej na jeziorze Titicaca — ponad 3.800 metrów nad poziomem morza — gdzie utrzymują szumnie nazwane kapitanaty portów w Copa-

cabana, Huatajata, na Wyspie Księżyca i na Wyspie Słońca gdzie ekspedycja archeologiczna pod kierownictwem profesora Artura Poznańskiego odkryła wykopaliska wielkiej świątyni oraz fortecy Inków. Jedna z teorii w wyniku tych badań głosi że Inkowie spłaszczali głowy jednym dzieciom, aby wyrosły na robotników; i wydłużali czaszki niektórym nowonarodzonym potomkom arystokracji, aby mieli większe mózgi. Usłyszałem o tym od jednego pseudonaukowca w przyćmionym barze hotelu Alcázar i zanotowałem z tzw. obowiązku — *cum grano salis*. Chciałem sprawdzić na uniwersytecie w La Paz, jednak nie starczyło czasu przed wyjazdem.

Brazylia

Aeroport w Rio de Janeiro jest czysty, dobrze zorganizowany, estetyczny. Jednak najwięcej — po Peru, Boliwii, nawet po Chile — zwracają uwagę bardziej pogodne twarze. Ulice oświetlone jasno, ruch samochodowy prawie nieustanny pomimo późnej godziny. Nie trudno zorientować się że Brazylia nie jest krajem biednym. Ani przygnębnym.

Miasto nie wyróżnia się specjalnymi arcydziełami architektury — poza ustawioną na Corcovado wielką statuą Chrystusa z wmurowaną w postument tablicą informującą wiernych że posąg Zbawiciela jest oświetlony przez General Electric Company — dziwna asocjacja religii i biznesu. Z platformy na której stoi dwudziesto-ośmiometrowy odlew można widzieć całe miasto w którym jednak nie wszystko jest takie bezchmurne jak w tej chwili wygląda. Na przykład niektóre gazety ukazały się w tym tygodniu bez artykułów redakcyjnych, pod naciskiem policji federalnej i wszechmocnego Sekretariatu Bezpieczeństwa Publicznego zarzucającego pewnym współpracownikom tych pism tolerowanie opinii wywrotowych. Znajduję też notatkę o wytoczeniu procesu 32 studentom za udział w demonstracji przeciw rządowej.

Fakt jednak że takie sprawy są otwarcie wentylowane w prasie mógłby być potwierdzeniem opinii niektórych znawców ustroju określających ten kraj jako „częściowo wolny”, jako demokrację militarną; jako *partnership* wojska i wielkiego kapitału. Wydaje mi się jednak że takie etykiety dziennikarskie są zbyt symplistyczne. Problem — jak Brazylia — jest bardziej skomplikowany.

Gdy byłem tu przed laty wyniosłem wrażenie pobytu w republice bananowej wielkiego kalibru. Lecz wtedy Copacabana była jeszcze prawdziwą plażą a nie tasienką piasku na Avenida Atlántica gdzie warkot samochodów zabija szum oceanu a wyziewy

spalinowe odbierają ochotę wylegiwania się na słońcu. Obecnie wprost niepodobna nie dostrzec rozmachu rozwojowego który przekształcił te byłe „stany zjednoczone” a teraz Federację brazylijską w jedno z najpotężniejszych państw południowej półkuli.

To docenia przede wszystkim kapitał zagraniczny i nawet zeszłoroczna 46 % inflacja nie odstraszyła przedsiębiorstw wielonarodowych od poważnych usiłowań zakotwiczenia się w tutejszej ekonomii. Zaś rządząca junta nie ukrywa że jest zdecydowana uprzemysłowić ten potencjalnie bogaty i geograficznie atrakcyjny kraj, większy obszarem od Stanów Zjednoczonych (bez Alaski).

Z największymi na świecie rezerwami rudy żelaznej w Basenie Amazonki, Brazylia jest magnesem dla ofert inwestorów — amerykańskich, japońskich i zachodnioniemieckich którzy już mają gotowe plany eksploatacji bogactw mineralnych i konsekwentnej rozbudowy wielkiego przemysłu. Obecnie toczą się pertraktacje z zagranicznymi firmami o zapewnienie praw eksploracyjnych i wydobywczych. Także państwa bloku komunistycznego ubiegają się o udział w zapowiadającej się fali brazylijskiej *prosperity* i industrializacji — choć ostrożniejsi specjaliści wolą na razie mówić o *mini-boom*.

Dlatego — pomimo wciąż poważnej inflacji panuje tu inna atmosfera gospodarcza i psychologiczna niż w pozostałych krajach tego kontynentu — o czym przekonałem się nie tylko w Rio (taki jest oficjalny skrót tego miasta), ale także w głębi kraju. Być może ma tu znaczenie, że w Brazylii większość stanowią biali, a wśród nich silny procent prężnego elementu emigracyjnego z Europy — w tym blisko 900 tysięcy osób pochodzenia polskiego skupionych w Rio Grande do Sul, w São Paulo i głównie w Paranie. Tam, w Kurytybie wydawany jest *Lud*, największy tygodnik polski w Ameryce, założony w 1920. Jest to bardzo reprezentacyjnie wyglądające pismo, drukowane na dobrym papierze, dużego formatu i starannie redagowane. Część tekstu jest w języku portugalskim.

Jest zrozumiałe że junta generałów wykorzystuje propagandowo zaufanie zagranicy do brazylijskich perspektyw gospodarczych. Tym bardziej że to zaufanie nie ogranicza się do gołosłownych zapewnień lecz poparte jest miliardowymi przelewami pożyczkowymi dla sektorów górnictwa mineralnego i ciężkiego przemysłu. Nie jest więc bezpodstawne twierdzenie junty że na dalszą metę te inwestycje zredukują inflację do minimum. Faktem jest że Brazylijczycy patrzą w przyszłość bez niepokoju, o czym miałem okazję przekonać się gdy odleciałem do Foz de Iguaçu w stanie Parana.

Nowoczesna szosa z lotniska kontrastuje z dżunglą przez którą została przebita. Z okna pokoju widzę ciągnący się kilometrami wspaniały wodospad dwuterasowy. Jest to jeden z najpiękniejszych widoków Ameryki Południowej — i świata — który warto obejrzeć. Na wprost za kaskadą jest Argentyna, na prawo Paragwaj. Nie zapomnę tych wielobarwnych motyli brazylijskiej dżungli. Na takie zestawienie kolorów nie odważyłby się żaden artysta. Nie lubię niektórych superlatywów, lecz tu powiem że ubarwienie niektórych motyli jest fantastyczne.

Hotel — należący do ministerstwa rolnictwa — jest pełny. Bardzo mało cudzoziemców i nie każdy z brazylijskich wczasowiczów wygląda na bogacza, a jednak wszyscy zachowują się jakby w tym kraju nie było ponad czterdziestoprocentowej inflacji, ani oligarchii junty. W Australii przy takiej stopie inflacyjnej rząd nie utrzymałby się dłużej niż tygodnie, najwyżej miesiące — a tu, nic. Zauważyłem to w stolicy, na prowincji i w wielomilionowym São Paulo — ludzie bardziej przejmują się przegraną ich ulubionej drużyny futbolowej niż tym że ma się zebrać Kolegium Elektoralne dla ratyfikacji nowego kandydata na prezydenta, który — *all things being equal* — ma objąć władzę w marcu 1979. Nawiasem mówiąc: swego następcę proponuje obecny prezydent — generał Geisel.

Przez Asunción do Buenos Aires

W Paragwaju byłem zbyt krótko aby móc o nim napisać. Asunción, stolica, jest miastem wielkości Poznania tylko nie takim ładnym ani takim zachodnim — co jest zrozumiałe w dwu-i-półmilionowym kraju zamieszkałym prawie w stu procentach przez Indian i Metysów. Ze wszystkich dyktatur południowoamerykańskich ta jest chyba najspokojniejsza — od czterdziestu lat mieszkańcy żyją pod tym systemem, a generał Stroessner rządzi od 1954 roku i nadal każe drukować swoje wszędobylskie portrety oraz łaskawie udziela swego nazwiska miastom i dworcom. Jednak nie słyszałem złego słowa przeciw niemu i skłonny jestem uwierzyć że młodzi ludzie z którymi rozmawiałem nie okłamywali mnie gdy mówili z entuzjazmem o swym prezydencie. Przecież ci uczniowie i te studentki innego ustroju nie znali.

Z miasta zapamiętałem sobie Panteon Bohaterów Narodowych — wyraźnie skopiowany z Inwalidów w Paryżu z kopułą włącznie i tak samo z muzeum armii w jednym skrzydle.

Tuż za miastem rozpoczyna się dżungla przerywana tu i ówdzie przez wyrwane jej rancho, przeważnie niezbyt wielkie. Bardzo dużo lasów jakie mogłem zaobserwować z nisko latającej,

mocno przestarzałej Electry turbinowo-śmigłowej. A myślałem, naiwny, że takie gruchoty już wyszły z użycia. Toteż odetchnąłem swobodniej gdy wylądowaliśmy w Buenos Aires.

Argentyna

Słowo „*el guerrillero*” często powtarzane jest w tutejszej prasie — nie bez powodu. Kilka wyrywkowo wybranych faktów: 12 września 1977 — został zabity przez oddział wojskowy *guerrillero* Jorge Fortunato Camillón, sekretarz generalny sekcji młodzieżowej Komunistycznej Partii Argentyny, nielegalnej od osiemnastu lat lecz jak widać, wciąż aktywnej; 28 września — znany przemysłowiec tekstylny zabity przez *guerrilleros*; 30 września zamach granatami na Szkołę Morską w Buenos Aires; 6 października — dwie ciężarówki wojskowe zniszczone przez bomby. Bardziej wymownym od powyższych przykładów jest komunikat sekretariatu prasowego prezydenta, z końca września — o „nie-ludzkim charakterze terroryzmu” w Argentynie, o „wrogach narodu” zwalczających „legalny rząd”.

Dlatego patrole policyjne są wzmocnione, wciąż krążą, noszą hełmy nawet w samochodach. Obserwuję takie auto, stojące na Avenida 9 de Julio, podobno najszerszej ulicy świata: dwaj na przedzie, a ten na tylnym siedzeniu trzyma pistolet maszynowy na kolanach, gotowy do strzału. Mimo to nikt z przechodniów nie zatrzymuje się i każdy zachowuje się jakby nie był ciekaw na co czekają ci trzej uzbrojeni policjanci na głównej arterii miasta w biały dzień. Widocznie praktykowanie takiego indyferentyzmu jest w tym kraju wskazane.

Natomiast nie stwierdziłem udawanej obojętności wobec drugiej bolączki argentyńskiej, którą jest wyraźnie chora ekonomia. Objawy groźnej recesji są aż nadto widoczne: okrutna i wymykająca się spod kontroli zwyżka cen, odstraszające podatki, stała dewaluacja, widoczny brak funduszy na roboty publiczne, prohibicyjny wzrost kosztów transportu, płac i opłat za usługi urzędowe i prywatne, kpiące sobie z dyktatorów lokalne strajki, oraz jeden milion bezrobotnych na 24 miliony ludności.

A przecież, w tymże wrześniu, Bank Światowy udzielił Argentynie pożyczki w wysokości 115 milionów dolarów na rozwój elektryfikacji „w przewidywaniu pokaźnego wzrostu konsumpcji energii elektrycznej w sektorze przemysłowym”. Ponieważ podchodzącym do bankructwa gospodarkom tak umotywowanych pożyczek się nie daje, zatem, jak w wypadku Brazylii, widocznie kapitał zagraniczny uważa obecny kryzys za chwilowy w tym bodaj najlepiej rozwiniętym kraju Ameryki Południowej, zamieszkałym w 97 % przez białych — co też ma swoje znaczenie.

Ponadto Argentyna ma złoża ropy, gazu ziemnego, dobrze rozwinięte rolnictwo i bardzo liczne, może nawet nadmierne pogłowie bydła.

Jednak pomimo wiary bankierów międzynarodowych w sanację gospodarczą Srebrnego Kraju, ich optymizm jeszcze nie udzielił się ogółowi stolicy, gdzie w zespole miejskim żyje jedna trzecia mieszkańców państwa. Rozmawiałem w Buenos Aires z osobami uważającymi się za znawców tutejszych stosunków i spotkałem się prawie u wszystkich z pesymizmem, rezygnacją i ponurą oceną sytuacji. Niektórzy, tak jak w Chile po obaleniu dr. Allende, zwalają winę na Perona i jego żonę. Żaden z kawiarnianych polityków nie widzi alternatywy która by skutecznie zastąpiła juntę rządzącą. Wygląda to na chorobę tego kontynentu, gdzie fiasko jednej dyktatury leczy się paliatywem następnej.

Nadspodziewanie inna atmosfera panuje w głębi kraju. I tam się nie przelewa, jednak ludzie jakoś mniej przejmują się prognozami ekonomicznymi, nie wykazują symptomów nerwowości, pracują ale nie przemęczają się, przestrzegają sjęsty i bawią się szczerze jeżeli nawet prymitywnie. A pewna ilość *rancherów* ma prywatne lotniska, własne samoloty i służbę jak za starych czasów — majordomów, pokojówki i błyszczących od srebrnych okuć parobków. Mówi mi o tym jeden z weterynarzy w małym miasteczku. Zaprosił mnie na pogawędkę, więc piję *herba mate* ze srebrnego kubka przez srebrną rurkę, udaję że mi to smakuje i muszę im opowiadać o Australii, którą jedna z pięknych *dam* wciąż płacze z Austrią.

Jeszcze dziś wyruszam, przez Argentyne do Chile — przez pampy, jeziora i znów Andy od których na tym kontynencie niepodobna uciec.



Ścisłe ustalenie ilości Polaków w Argentynie jest trudne z powodu braku danych oficjalnych. Źródła polskie mówią o 120 tysiącach, w tym blisko 10 % przybyłych po drugiej wojnie światowej. Niewątpliwie ten powojenny zastrzyk krwi polskiej był ważny dla starej Polonii argentyńskiej, może nawet decydujący — szczególnie ze względu na składnik inteligentów którzy po dziś dzień pracują nad utrzymaniem polskości na argentyńskiej ziemi — o czym przekonałem się w Buenos Aires.

Byłem krótko w domu Związku Polaków w Argentynie gdzie miałem okazję rozmawiać z gościnną panią Wiktorią Ardasiewicz Machnikową, niedawno wybraną na prezesa Związku i energicznie kontynuującą tradycje Roberta Adolfa Chodasiewicza,

prezesa pierwszego towarzystwa polskiego w Buenos Aires, założonego w 1900 roku.

W redakcji *Głosu Polskiego* mogłem porozmawiać z p. Michałem Więckowskim, jednym z redaktorów, który jak większość obciążonych obowiązkiem redagowania tygodnika emigracyjnego narzeka na chroniczny brak piór. Miałem też możliwość poznania kilku tamtejszych działaczy polonijnych i zaobserwowania ich szczerego i poważnego podejścia do problemów polskiego skupiska na emigracji. Tu pozwolę sobie zacytować zdanie z artykułu p. Włodzimierza Toczyłowskiego, napisanego ostatnio z okazji trzydziestolecia Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Polskich w Argentynie: „Stowarzyszenie nie potrafiło się uchronić od ponurej perspektywy zarysowującej się przed większością organizacji Związku Polaków, a którą jest bezpotomne wymieranie wobec braku zainteresowania ze strony dorastającej młodzieży” (*Głos Polski*, 29. 9. 1977).

Tymczasem jednak Związek Polaków w Argentynie nie jest pasywny. Działają: Polska Macierz Szkolna, Związek Inwalidów Wojennych P.S.Z., S.P.K., Związek Lotników Polskich, Klub Polski, Harcerstwo, Ośrodek Młodzieżowy, Stowarzyszenia prowincjonalne. Czynne są biblioteki, sekcje sportowe, koła Pań, kooperatywy. Urządzane są święta dywizyjne, wieczory literackie, balety, wystawy artystyczne, zebrania dyskusyjne. Oraz, *last but not least*, przystąpiono do budowy „Domu Spokojnej Starości”.

Lecz w tak licznej Polonii pismo reprezentacyjne ma tylko 1.280 nakładu — i nie trudno domyślić się kto je czyta. Aż narzuca się pytanie: co będzie gdy stara gwardia odejdzie?

Adam NASIELSKI

Listopad 1977.

Co mi z tych lat zostało...

Na jesieni 1932 roku zdecydowałam, że mam dość niańczenia dzieci, ścierania kurzów oraz robienia tortów i sosów. Zameżna od 17-go roku życia, nic innego po zdaniu matury nie robiłam. Moje koleżanki ze szkoły uczyły się po różnych uniwersytetach, żeby — przeważnie przed ukończeniem studiów — zawinąć tryumfalnie do małżeńskiej przystani. Patrzyłam na to z zazdrością i pogardą, bo właśnie chciałam odbić od tej przystani, gdzie czułam się jak pies na łańcuchu przy budzie. Ostatecznie dzieci zostały już „odstawione od piersi” — raczej butelki, gdyż „macierzyńskiego pokarmu” zawsze mi literalnie i w przenośni brakowało — i nie potrzebowały zmieniania pieluszek. Postanowiłam wobec tego zapisać się na prawo, by zostać sędzią dla nieletnich, albo też zreformować prawo małżeńskie i zabronić wychodzenia za mąż kobietom poniżej lat trzydziestu. No, niech im będzie — 25-ciu, do których mi wciąż jeszcze dobrych kilku lat brakowało.

Po dłuższych dyskusjach i uporze, moja „rodzina”, czyli mąż i matka, przyzwolili: „Ot, pobawi się i przejdzie; zawsze była narowista”, zdecydowali. Mama i Józio zawsze dobrze rozumieli się, a ja czasem czułam się synową własnej matki.

Kiedy, po przestaniu paru godzin w kolejce przyszłych studentów, dotarłam wreszcie do Sekretariatu Wydziału Prawa i Nauk Społecznych U.S.B., zostałam poinformowana, że ponieważ od wydania mi świadectwa dojrzałości upłynęło już ponad dwa lata, muszę do mego podania dołączyć jeszcze „świadectwo moralności”. Obraziłam się śmiertelnie, do żadnych biurokratycznych wymagań jeszcze wtedy nie nawykłam: ja matka dzieciom, żona poważnego nauczyciela Szkoły Technicznej, córka znanej z cnót i surowych obyczajów nauczycielki i byłej wychowawczyni młodzieży w gimnazjum im. Władysława Syrokomli w Nieświeżu,

podobno jednej z najlepszych szkół w Polsce mam przedstawiać świadectwo moralności!

Choć, po ochłonięciu i namyśle, podanie o wydanie takiego dokumentu złożyłam, poszłam na zwiady do Szkoły Nauk Politycznych przy Instytucie Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej. Była to instytucja nowa i jeszcze niezbyt popularna; zobaczmy jak tam mnie potraktują.

W Instytucie przy ulicy Zygmuntowskiej, za małym okienkiem, w małym, podobnym do klatki, pokoiku siedział pocułowaty młodzian z twarzą trochę tatarską, ale niewątpliwie wileńską. Wyglądał na niewiele starszego ode mnie. Poinformował o programie i godzinach wykładów oraz nazwiskach profesorów, zapatrując przy tym każde w krótką ale treściwą charakterystykę; następnie zapytał, czy mam maturę?

— „Pewnie, że mam” — odrzekłam kwaśno. — „Takie już dziecię nie jestem. A świadectwo moralności też Panu potrzebne?”

— „Nie, skądże” — odparł ze zdziwieniem Dorek Bujnicki. — „Wygląda Pani tak dziecinnie i niewinnie, że raczej mógłbym mieć wątpliwości co do Pani kwalifikacji szkolnych niż moralnych”. — Po czym załatwił od ręki wszystkie formalności przyjęcia do Szkoły i, ponieważ więcej kandydatów nie było, zaprosił do Rudnickiego na kawę. Tam zapadła ostateczna decyzja.

Jak nowe życie, to nowe. Tu mi wierzą na oko; profesorowie ci sami co na USB, a w dodatku mają dojeżdżać jakieś sławy zamiejscowe; poza tym wykłady wieczorami, od 5-tej do 9-tej, to też dobrze, gdyż, choć dzieci już prawie dorosłe i najstarsze zaczęło nawet chodzić do przedszkola, zostawiać je na cały dzień z mamą i niańką jakoś „obojętnie”.

Dorek brał ożywiony udział w tych deliberacjach, bo — o dziwo — okazało się że i on był żonaty i dzieciaty. A ja myślałam, że taka sytuacja jak moja była zupełnie wyjątkowa w Wilnie, a może i całej Polsce. A on, przecie mężczyzna i poeta... Ileż mógł mieć lat, gdy się żenił? O to go wówczas nie zapytałam.

Gdy, po wielu latach dowiedziałam się o okropnej śmierci Dorka, pomyślałam, że załamanie się jego po katastrofie 39 roku mogło wynikać z jego sytuacji rodzinnej. Był niewątpliwie lepszym ojcem i mężem, niż ja matką i żoną, i to mogło zdecydować, że poszedł po linii najmniejszego oporu i popłynął z prądem, nawet wtedy gdy musiało się to łączyć z utratą szacunku do niego innych, a może nawet i jego samego nie wyłączając. Wszak w roku 1943 pisał:

„Jeśli nam czasem z piersi okrzyk niemal szczerzy

Łączył się z wielogłosem fanatycznych gardł,
To jednak nam inaczej szumiąły bandery,
Które wiatr podchwytywał i na strzepy darł”.

oraz:

„Lepiej ciesz się, że ciebie przeoczył
I jak dotąd nie zdeptał, nie zdmuchnął
Groźny orkan, co miasta drugocze,
Zmienia kraje w pustynie i próchno.
Ciesz się, ciesz się, żeś sprytnie przykucnął,
I kto wie, może końca doczekasz...”

(Teodor Bujnicki, *Wiersze wybrane*, Czytelnik, 1961, str. 195 i 203).

Nie doczekał!

Na razie jednak do tego końca było daleko. Siedzieliśmy u Rudnickiego przy kawie; ja bardzo dumna, że mnie Teodor Bujnicki zaprosił. Co prawda, wyobrażałam go sobie zupełnie inaczej. Poeta-Zagarysta powinien być być wysoki, zielonooki, z białym czołem nad prostymi brwiami. Ale, jak się później okazało, tak wyglądał tylko Miłosz; inni byli zwyczajni, ani piękni ani brzydzy; prędko zresztą przestałam się interesować jak wyglądali. Umocniona przez Dorka w moich planach i zamiarach, zaczęłam chodzić na wykłady w SNP, a gdy wreszcie nadeszło owe „świadectwo moralności”, powiesiłam je w charakterze obrazka w miejscu, dokąd — jak mawiała mama — król piechotą chodzi.

W Szkole miałam najróżnorodniejszych kolegów. Przy długich sosnowych stołach zasiadało przeszło 100 osób. Była wśród nich młodzież w moim wieku, ale również starsi panowie: urzędnicy, nauczyciele, oficerowie w mundurach, oraz jakieś panie, stanu i wieku trudnego do określenia. Sądzę, że większość, tak zresztą jak i ja, chciała połączyć istotnie interesujące studia z koniecznością innych obowiązków czy prac zarobkowych. Przy moim stole siedziały dwie młode panny: Jadzia i Jasia. Fascynowały mnie w sposób nieprawdopodobny. Jadzia, ładniutka, była prawie łysa; nie znała się wówczas w Wilnie zręcznych peruczek i Jadzia szybko zrezygnowała ze studiów, gdyż zanadto się jej przysłądano. Jasia była ogromnej postury — wysoka, grubokoścista, z olbrzymią, okrągłą jak arbuz twarzą, czarnymi, wełnistymi włosami i czarnymi wyłupiastymi oczami oraz wywiniętymi wargami. Wyglądała jak wileński Sfinks. Nie mogłam od niej oderwać oczu, a ona uśmiechała się do mnie pocziwie. Gdy jednak, po paru tygodniach tej admiracji, rozejrzałam się dookoła nieco lepiej, zobaczyłam inną czarującą osobkę, z którą następnie zażyjałam się na lata.

Ksenia była córką duchownego prawosławnego, najmłodszą z liczego rodzeństwa i najbardziej wyemancypowaną. Ojciec jej nie był zwykłym „batuszką”, lecz stał znacznie wyżej w hierarchii cerkiewnej, nazywaliśmy ją więc „Ksenią, córką biskupa”, o co zresztą się nie obrażała.

Studia okazały się bardzo interesujące; profesorowie z nielicznymi wyjątkami, znakomici. Niezapomniane też były warunki pierwszego roku naszych studiów; z powodów bliżej niewyjaśnionych popękały wszystkie rury przy kaloryferach, toteż długo zadzieraliśmy nosa, że w naszych nowoczesnych urządzonych salach wykładowych nie trzeba było, jak w gmachach USB, palić w piecach. Pieców istotnie nie było, zaś rur przed wiosną naprawić nie było można, marzliśmy zatem niesamowicie; siedzieliśmy w płaszczach i rękawiczkach; para nam z ust buchała, a notowanie wykładów było nielada sztuką. Stary już wówczas i prawie łysy profesor Waśkowski wykładał prawo cywilne w futrzanej czapce na głowie. Wchodząc do sali, grzecznie jej uchylał, mówiąc: „Darujcie, dzieci moje, ale nadtoż głowa marźnie”, po czym zasiadał na katedrze, niczym dobrotliwy Borys Godunow.

Do egzaminów uczyłam się tylko po nocach, bo w dzień był dom i rodzina, poza tym zaś coraz bardziej wciągało środowisko, do którego wprowadził mnie Dorek. Środy literackie w Celi Konrada, codzienne niemal dyskusje przy pół czarnej i bez niej — nie mogłam tego się wyrzec. Powoli poznawałam ich wszystkich; a więc Jerzy Zagórski, którego tomik poezji *Przyjście wroga*, proroczo-apokaliptyczny, wywołał wielkie wrażenie; Maśliński, zwany „Anielką” z powodu różanej cery; wiecznie skrzywiony Putrament (bez Piktorny); najmłodszy ze wszystkich Rymkiewicz, na którego się czemuś miało wielkie nadzieje; najstarszy K. I. Gałczyński, nie tyle zielony, co zazwyczaj niechlujnie wstawiony, wraz ze swą srebrną wtedy i bardzo piękną Natalią. Najpóźniej chyba poznałam Miłosza, ale z tego wynikała długa i głęboka przyjaźń.

Właściwie — poza grupą Dembińskiego — niewiele nas interesowała czynna polityka i „światoburstwo”. Wszyscy byliśmy biedni, znudzeni i zmęczeni wiecznym wytrząsaniem z kieszeni drobnych (bo grubszych nie było) i obliczaniem, czy starczy dla wszystkich na pół czarnej. Czasem zresztą starczało i na napoleonkę czy beza z kremem, ale rzadko. Ja, choć w sytuacji materialnie nieco lepszej, starałam się wydawać jak najmniej nie moich, lecz Józia, pieniędzy. Wszyscy też czuliśmy nadciągające zewsząd chmury i zamykające się dookoła mury Ciemnogradu. Pobicie profesora Cywińskiego, śmierć Wacławskiego, endeckie burdy, od których SNP była wolna — jak błyskawice oświećlały jakiś fragment ciemności przed burzą. Gałczyński wołał: „niech

zejdzie na ten świat Boży noc długich noży”, a apokaliptyk Zagórski proroczył koniec naszego świata: Dorek, prócz sentymentalnych wierszy, pisał cięte satyry; Miłosz — już wtedy „Olympio” — umiał połączyć wizję katastrofy z urodą świata. Ten ci to był nasz Książę Poetów, choć sam jeszcze wtedy o tym nie wiedział.

Ten „katastrofizm” ogólny nie przeszkadzał jednak niczemu w naszej młodości. Miało się te dwadzieścia, czy niewiele więcej lat i wyżywało we wszystkim — w miłości i sporcie, w gadaniu i pisaniu, a ja także w studiach. Nigdy już później nie doznawałam tak spontanicznej i czystej satysfakcji, jak wówczas po dobrze zdanym egzaminie; przed każdym jednak trzęsłam się ze strachu.

Tymczasem przyszła wiosna, a z nią włóczęgi na Górę Zamkową, gdzie tego roku modna była nowa wersja gry w „zielone”: wybierało się jak najdłuższe źdźbło trawy, brało się je z dwu końców w zęby i zjadało na „kto pierwszy”. Chodziło o to, by zdążyć w odpowiednim momencie przegryźć trawkę. W pobliżu Instytutu zakwitły kasztany, a później lipy. Uciekało się na plażę i kajak, choć na parę godzin. W domu nigdy nie „wychodziło” tyle oliwy, którą smarowałyśmy się obie z Ksenią; zawsze jednak kolor jej skóry był o ton ciemniejszy od mojej.

Mieszkałam wtedy na Antokolu w starym drewnianym domisku, bardzo zimnym w zimie, uroczym latem. Duży ogród tarasami przechodził w sosnowy las antokolski. Ksenia przeniosła się do mnie i uczyłyśmy się nocami; gdy przerywałyśmy naukę dla napicia się czarnej kawy, która jednak wydawała się działać raczej usypiająco, słyszałyśmy szelest kropli rosy, spadających z liści na piasek ścieżki. Całe Wilno i świat cały spały.

Po zakończeniu roku i zdaniu wszystkich egzaminów, postanowiłyśmy urządzić herbatkę dla bliższych kolegów i paru, co młodszych i milszych, profesorów. Wszyscy dopisali i choć herbata była nieważna a ciastek mało, nikt się tym nie martwił.

Po rozejściu się gości, zabrałyśmy się we trzy do mycia pończoch nacyfi. Co będziemy robić po zakończeniu studiów, zapytała któraś.

Ksenia chciała ewentualnie wyjść za mąż, ale dopiero po uzyskaniu dyplomu (wyszła wcześniej); uznałyśmy, że ma rację, bo grzechem by było marnowanie jej darów bożych: była taka ładna — przy prawie blond włosach, miała złocistą cerę ciemne oczy o długich rzęsach, które umiejętnie przedłużała tuszem, i zgrabną figurę.

Tania była nauczycielką w szkole powszechnej i chciała z tego się wyzwolić — jest obecnie, podobno, w Australii.

„A ja chcę zostać asystentką profesora S., o ile coś podobnego zostanie w Szkole wprowadzone” — powiedziałam. Na to, obie parsknęły śmiechem. „Nie pleć, bo się ośmieszysz” — powiedziały. *Qui vivra, verra* — odrzekłam obrażona, zabrawam swoje nietyłe zabawki, co filiżanki i łyżeczki i poszłam do domu, do opuszczonych dzieci, mamy i Józia. Tam czekała mnie nowa przeprawa. „No cóż, pobawiłaś się przez ten rok, to chyba wystarczy” — usłyszałam — „lepiej ustatkować się później, niż wcale”. Byłam zanadto zmęczona, by przeprowadzać zasadniczą dyskusję. Chciałam przede wszystkim się wypaść, a później odpocząć na łonie dalszej rodziny w Zarzeczcu, kilkudziesięciohektarowej „resztówce” dawnych rodzinnych latyfundiów. Ale na jesieni pozostałam przy swoim, wchodząc coraz głębiej w „nowe życie”, zarówno w Szkole jak i poza nią. O Szkole, Seminarium, Franasie Anczewicu i Dembińskim napisałam w notatce ogłoszonej w *Legendzie i Rzeczywistości* (Instytut Literacki, Paryż, 1967, strony 83-87), tu będę mówić tylko o życiu poza nią.

Zagary już wtedy nie istniały, ale trójca: Bujnicki, Miłosz i Zagórski chodziła w zasłużonej młodej sławie. Szczególnie modny był Jerzy Zagórski pasowany na Jeremiasza Wileńskiego. Był on pierwszym młodym mizantropem, jakiego w życiu spotkałam. Jego kompleks niższości przejawiał się w sposób niezwykle urozmaicony; przede wszystkim pogardzał twórczością przyjaciół, którym pozornie okazywał wielką serdeczność. Nawijając do tytułu tomiku wierszy Dorka *Po omacku*, powiedział kiedyś w sekrecie, który szybko się stał publicznym, że on, Zagórski, napisał poemat, a Bujnicki „Poemacek”. To *bon mot* obiegało całe Wilno, nie przysparzając popularności jego autorowi; Dorek tylko pobłażliwie wzruszał ramionami, nie wypowiadając przyjaźni Jerzemu. Miał poczucie humoru, no i — wówczas — własnej wartości.

Miłosz też nie szczędził Zagórskiemu przyjaźni, ten zaś zazdrościł mu, nie wiem czego więcej: wzrostu czy talentu; w każdym razie nie mógł zupełnie strawić, gdy Czesław dostał z Funduszu Kultury Narodowej roczne stypendium na wyjazd do Paryża.

Każde z nas marzyło wówczas o wyrwaniu się na jakiś czas z Polski i zobaczeniu kawałka świata. Wilno, choć bardzo kochane, było jednak zaściankiem, pomimo wszystkich poetyckich i politycznych porywów. A i cała Polska była „zadupiem” świata, pomimo „mocarstwowości”, *Wiadomości Literackich* i nawet *Zagarów*. Przy biedzie, w jakiej się wegetowało, dalsze podróże na własny koszt były nie do pomyślenia; „Liga” — stowarzyszenie wymiany studentów — dość czynna w Warszawie, do nas jakoś nie docierała. Stypendium Miłosza, wszyscy — z wyjątkiem Jerzego — uważaliśmy za jak najbardziej zasłużone; mu-

siał tylko obiecać, że będzie pisywał długie listy, co przez rok cały robił sumiennie. Czytane były gremialnie, a że opisywały dokładnie jak i co zwiedzał i doświadczał, nieraz sprawiały wiele uciechy. Tylko Jerzy po takiej lekturze czynił z reguły złośliwe komentarze, ale zwykle na boku, nie publicznie.

W końcu pokłóciliśmy się o to i to na czas dłuższy. Oświadczył mi wówczas, że zawsze uważał mnie za głupią i tylko moje fizyczne wdzięki pozwalały mu znosić moje towarzystwo. Miałam wtedy pretensje do intelektualizmu i nasza przyjaźń źle się marynowała w tym occie. Wciąż pamiętam naszą „historyczną” wymianę zdań. Patrząc na mnie swymi szarymi oczami, które na skutek lekkiego zeza robiły wrażenie wręcz wizjonerskich — co odkryłam dopiero z czasem — zapytał wówczas:

— „Powiedz, co cię właściwie we mnie pociąga? Czy gdybym nie był poetą, zwróciłabyś na mnie uwagę?”

— „Wątpię” — odpowiedziałam naiwnie lecz szczerze — „fizycznie mi się nie podobasz i masz okropny charakter. Tylko twoje wiersze są interesujące, ale i to nie wszystkie”.

Wówczas Jerzy omal nie dostał ataku hysterii; uważał się bowiem za najbardziej męskiego, urodziwego i fascynującego ze wszystkich poetów i za największego poetę ze wszystkich młodych ludzi. Dopiero pojawienie się jego późniejszej żony, Maryny, wyzwoliło go z wielu kompleksów i ustaliło na właściwym poziomie. Był w nim zresztą jakiś popęd do opiekowania się tym, kto, jego zdaniem, w danej chwili potrzebował pomocy. Za takiego właśnie uznał w pewnym okresie Gałczyńskiego.

Ten twórca z bożej łaski i już wybitny i znany poeta pojawił się w Wilnie od niedawna i był postacią niezmiernie malowniczą. Jego rozkudłanie, nieomycie i chroniczne przepicie występowały szczególnie wyraziście na tle bardzo dekoracyjnej żony. Byliśmy kiedyś w dużej grupie na Środzie Literackiej w Celi Konrada, na prelekcji znanego i wielce czcigodnego profesora Zielińskiego. Gdzieś w połowie wykładu, Gałczyński nagle wstał i z hałasem wyszedł, kląc przy tym głośno i bardzo pomysłowo po polsku i rosyjsku. Wszyscy czuliśmy się bardzo nieswojo, ale Natalia tylko się śmiała. „Och, bo ona taka perwersyjna”, skomentowała później Anula Bujnicka, co mnie z kolei roźmieszyło do łez.

Po tym incydencie, Zagórski zdecydował leczyć Ildefonsa. Zamieszkali razem, postanowili tworzyć i nie pić ani kropli. Za zgodą Gałczyńskiego, Jerzy wychodząc zamykał go na klucz; miał pisać, spać i jeść, jeśli było coś do jedzenia. Wszystko wydawało się iść jak najlepiej.

Kiedyś, w pierwszym tygodniu owej kuracji, spotkaliśmy się jak zwykle przy naszym stoliku u Rudnickiego. Na pytanie o Gałczyńskiego, Jerzy odpowiedział, że od trzech dni nie pije

i jest w nie najgorszym humorze. Wówczas niewinnie spytałam, gdzie przechowuje ów litr wody kolońskiej, który, po wygraniu na jakiejś loterii, podarowałam mu na imieniny? Jerzy złapał się za głowę i wybiegł z cukierni. Było już jednak za późno, gdyż Ildefons tego właśnie wieczoru ów literek wykończył. Nie zaszkodziło mu to w najmniejszym stopniu.

Tego prekursora wszystkich beatników i *angry young man*ów oraz króla chuliganów należałoby portretować z dzbanuszkami z konwalią po prawicy a skumbriami w tomacie po lewicy i z hasłem: „Chcieliście Polski, no to ją macie”. Myśmy mieli Polskę, w której nie podobało się nam to i owo. A jednak trudno było oprzeć się fali wzruszenia, gdy w teatrze na Pohulance przed przedstawieniem „Krakowiaków i Górali”, Zygmunt Nowakowski mówił do pokolenia wyrosłego już w Polsce Niepodległej, czyli właśnie do nas:

„Ileż nasza rzeczywistość wydaje się wam niedoskonała, pamiętajcie, że od was zależy przyszłość, gdyż jesteście wolni...”.

„Wolni, ale często bezrobotni” — zawołał ktoś z sali.

W owym czasie Dembiński wrócił już z Rzymu i znów zrobiło się o nim głośno; cały USB i Bratnia Pomoc były albo za, albo przeciwko niemu. Siostry Dziewickie i Hanka Kompielska chodziły w aureoli swojej odwagi, lecz złośliwcy twierdzili, że była to dla nich jedyna okazja wyzucia się, gdyż ze względu na powierzchowność nie mogły liczyć na inne życiowe sukcesy.

Na te lata przypadła również propaganda polskiego lnu podczas tzw. „Kaziuka” na Placu Łukiskim. Chłapało się po błocie i śniegu, kupowało bardzo twarde serca z piernika i brało udział w akademickim pochodzie. Zachwalanie lnu wypadło imponująco: na otwartej ciężarówce jechała banda chłopców w zgrzebnym koszulach, gatkach i łapciach; niektórzy mieli pięknie wyhaftowane na zadkach napisy: „Kupuj bracie polskie gacie”.

Na wiosnę 1934 zmieniliśmy mieszkanie, przenosząc się do domku nad Wilią. Miało to swoje dodatnie strony. Choć niebogaci, ale pomysłowi, uskładaliśmy w kilkoro bodaj 60 złotych na kajak i odtąd niemal co rano przyjeżdżał po mnie Franas Anczewicz, sam lub z Dorkiem, i wołał: „Nika! Wstawać! Jeść!”. Ubierałam się galopem, chwytalam przygotowane poprzedniego wieczoru „kanapy” oraz termos z herbatą i pędziłam w dół do rzeki. Spływalismy do przystani AZS'u; tam kąpalismy się i jedli śniadanie i, po uzupełnieniu braków w garderobie, dopływali prawie do Instytutu.

Były to lata prawdziwego szalu kajakowego w Polsce; cała młodzież spotykała się na wodzie, jak nasze babki „na wodach”. Nieraz, wyruszywszy jednym kajakiem, dojeżdżało się na przykład

sianie, płacąc jakieś grosze właścicielom; żyło jagodami, młodymi kartoflami i kwaśnym mlekiem z dodatkiem zabranych z domu zapasów czekolady, suchej kiełbasy czy wędzonego boczku. Świeżego razowego chleba zawsze się gdzieś dostało. Jedyną plagą były komary, ale nie wszędzie było ich tak dużo jak na uroczej Żejmianie, gdzie spędzonej nocy dotąd nie zapomniałam.

Jakakolwiek, bohaterską czy niesławną, legendę tworzyłoby się o „grupie Dembińskiego”, była to tylko bardzo nieznacząca część wileńskiej młodzieży. Znakomita większość przede wszystkim się uczyła, troszczyła o byt codzienny, kochała i bawiła. Tańczyło się dużo i z gustem, wszędzie gdzie i kiedy było można; oczywiście nie w poście, w Wilnie święcie przestrzegany. Każdy wydział USB, i SNP też, miał swój doroczny bal; nie gardziło się potańcówkami przy gramofonie w domach prywatnych; tańczyło się w „Zaciszu” i „Palais de Dance”, gdzie od piątej do ósmej wieczorem za jedne pół czarnej można było natanąć się do upadłego. Zwykle, po wytrząśnięciu portmonetek, szliśmy tam we czworo lub pięcioro. Miłosz, Zagórski, rzadziej Dorek, bo nie lubił tańczyć, „Anielka” Maśliński tancerz doskonały i Zygmunt Kruszewski, też świetny tancerz i bodaj jedyny zrównoważony młodzieniec wśród grupy neurotyków. Nie był on poetą, ale miał głowę otwartą, prawy charakter i był mocny w pysku — wielokrotny zwycięzca na Turniejach Krasomówczych; nie pozwalał też jeździć sobie po nosie, jak sama miałam okazję kiedyś się przekonać.

Pewnego razu na popołudniowym dancingu zjawił się młody Mulat. „Czy mogłabyś pójść z Murzynem do łóżka?” — spytał Zygmunt, tańcząc ze mną. „Z takim, zupełnie nieznanym? To już wolę z tobą!”. Ku memu zdumieniu, Zygmunt spojrzał na mnie lodowato ze swej urodziwej wysokości i wycedził: „Pani jest cyniczna, pani Niko” oraz — o zgrozo — pozostawił samą na środku tanecznego krążka. Z tej tragikomicznej sytuacji wybawił mnie różanolicy Maśliński, któremu jednak nie powtórzyłam naszej krótkiej wymiany zdań. Z Zygmuntem pogodziliśmy się przy tangu „Jesienne róże”.

Zabawa i sport nie kolidowały ze studiami i pracą w Seminarium, gdzie staraliśmy się stosować tak bardzo zalecaną przez Profesora metodę całkowitego obiektywizmu; nie przyczyniało się to wcale do wzrostu sympatii do obiektu naszych badań. Po zabójstwie Kirowa wiadomości o masowych aresztach i „czystce” starych bolszewików zaczęły przenikać do nas, a uprzednie obserwacje naszego Profesora podczas podróży do ZSSR w pełni potwierdzały rozbieżność pomiędzy „rzeczywistością rzeczywistą” i „rzeczywistością urojoną”. Z jednej strony były wspaniałe *dostizienja*, z drugiej rozrost biurokracji, beznadziejność warunków

mieszkaniowych, trudności z wyżywieniem i komunikacją; przy obserwacjach nie z okien ambasady w Moskwie lecz na własną rękę i przy dobrej znajomości języka można było, nie bez trudu, przeniknąć kurtynę oddzielającą rzeczywistość rzeczywistą od urojonej.

W kilkanaście lat po przewrocie październikowym dawało to wiele do myślenia i nie było bez wpływu na rezultaty naszych prac. Nie mieliśmy żadnych powodów, aby — jak to robili członkowie grupy Dembińskiego — „o tym nie dyktować i nawet nie myśleć” * i to co Jerzy Zagórski przeczuwał w swoim jedynym naprawdę wielkim poemacie „Przyjście wroga”, zaczęło się ukazywać w swych zarodkach naszemu „szkiełku i oku”. W pisanych wówczas pracach dyplomowych nie mogły nie odbijać się dokonywane się właśnie w Sowietach zmiany polityczne, organizacyjne i kulturalne. Ja swoją pracę o „Polityce narodowościowej w ZSSR” zakończyć zdołałam jedynie dzięki materiałom uzyskanym w Bibliotece im. Lenina w Moskwie w końcu roku 1935 podczas mej praktyki dyplomatycznej. Wbrew memu początkowemu nastawieniu, z tych materiałów wynikało, że piękne hasło „Kultura socjalistyczna w treści a narodowa w formie” sprowadzało się w praktycznej realizacji do niszczenia wszystkich nie-rosyjskich kultur, czego jaskrawym dowodem było prześladowanie pisarzy i działaczy kulturalnych na Ukrainie i Zakaukaziu. Po masowej kolektywizacji i wytępieniu „kułaków”, przyszła kolej na inteligencję o „nacjonalistycznych odchyleniach”, czyli nastąpił zdecydowany nawrót do totalnej rusyfikacji.

Myśl praktyk dyplomatycznych dla absolwentów SNP wyłoniła się po powrocie naszego Profesora z Rosji. Miały trwać od 3 do 6 miesięcy i poza normalnym zapoznawaniem się z trybem pracy konsulatu i ambasady do obowiązków praktykantów należeć miało zdobywanie na miejscu i przysyłanie do Wilna publikacji sowieckich, których uzyskiwanie inną drogą w praktyce było bardzo trudne. Każdy z naszej małej grupki w Seminarium o takim wyjeździe marzył. Teoretycznie prawie wszyscy mieliśmy po temu dane: zdane egzamina oraz pracę w Seminarium, gdzie wykazywaliśmy, że umiemy wyciągać wnioski z naszych studiów. Największe kwalifikacje posiadał niewątpliwie Franas Anczewicz, ale nie był on obywatelem polskim i miał trudności z władzami administracyjnymi. Ja, jako obarczona małymi dziećmi, i w ogóle kobieta, wydawałam się mieć najmniejsze szanse. I oto mnie właśnie któregoś dnia na wiosnę 1935 zapytał Profesor: — „Chce Pani jechać do Moskwy?”. — „Chcę” — odpowiedziałam

* Anna Jędrzychowska, *Zygakiem i po prostu*, Warszawa, Czytelnik, 1965, str. 180.

bez namysłu. — „Kiedy?”. — „Jak najprędzej”. — „Na jak długo?”. — „Na trzy miesiące”. — „No, to chodźmy do dyrektora Wielhorskiego”.

Poszliśmy, ale dopiero potem zaczęły się problemy wizowe i rodzinne.

Zanim jednak, po długim czekaniu, nadziejach i odmowach, nareszcie uzyskałam sowiecką wizę, życie szło swoim trybem. W czasie dorocznego publicznego zebrania Instytutu, 12 maja 1935, przyszła wiadomość o śmierci Piłsudskiego. Należałam do tych, którym serce ścisnął niepokój, żal i strach. Utkwiła mi w pamięci zgarbiona sylwetka Marszałka, którego przed paru miesiącami niespodziewanie zobaczyłam na cmentarzu Bernardyńskim, siedzącego samotnie przy grobie siostry. Byłam z córką, małą Ewą. „Patrz, to Dziadek” — powiedziałam do niej. — „A czemu on taki smutny?” — zapytała. — „Bo umarła mu siostra”. — „Ale Jagódka, nie” — pocieszyła mnie mała.

Odejście Piłsudskiego było końcem pewnej epoki, która nam przyniosła — kulawą wprawdzie, krzywą i mizerną — wolność i niepodległość. A co będzie dalej?

Młodość jednak żyje na wielu poziomach; przynajmniej nasza to umiała. 31 maja wypadały moje imieniny; jak dotąd, były to rodzinne „nudy na pudy” — dziesięć ciotek, czterech wujów, mama, Józio i dzieci, które wtedy zazwyczaj były szczególnie niesforne. Tego roku stanowczo się zbuntowałam: rodzinne imieniny odwałam w sobotę, a na niedzielę, na obfite resztki, do których dokupiłam metr kiełbasy, litr wódki i dodałam miskę domowych ogórków, zaprosiłam całe nasze Seminarium.

Mama przezornie skryła się z dziećmi w najdalszym pokoju; Józio, na znak protestu, wyszedł na brydża, a ja usiadłam i wyglądałam przez okno. Było pogodnie popołudnie. Nadeszli wszyscy razem. Pochód otwierał Dorek, który na wypiętym brzuchu dźwigał potężny krzew azalii z przyczepioną laurką. Nie pamiętam jej wcale długiej treści, prócz rozczulającego zakończenia:

*„W ostatnim dniu wonnego maja
niechaj się dowie cała Polska
że ta, co życie nam umaja,
to nasza Nike Antokolska”.*

Za Dorkiem szedł Mistrz, Franas i reszta kolegów.

Z tych kilku godzin, kiedyśmy się wszyscy bawili jak dzieci, a wszystkie „resztki” wraz z kiełbasą i ogórkami znikły w nie-nasyconych gardłach, podlane niewielką ilością wódki a wielką herbaty, nic szczególnego nie pamiętam, oprócz jednego epizodu. W pewnej chwili, już pod koniec przyjęcia, otworzyły się drzwi

i na progu ukazała w nocnej koszulinie Ewa; wymknęła się spod opieki babci i przysłała, aby powiedzieć wierszyk. Ponieważ byliśmy w nastroju, kiedy nawet „żwawy ułan i dwie panny” nie byłyby nikogo zgorszyły, udzieliłam zezwolenia. — „No to my razem” — zdecydowała Ewa i wyciągnęła zza drzwi brata, również w nocnej koszuli; po czym wzięwszy się za ręce rodzeństwo zgodnie, choć nieco sepleniąc zaczęło:

*„Zaledwie ranne słonko wstaje
grają pobudkę dwaj Szabsaje.
Ten minorowy dźwięk, jak bicz,
podnosi blade cielska z prycz.
W parcianych gaciach (polski len),
w zgrzebnych koszulach i skarpetkach,
piąty, dziesiąty, cała setka,
kończą skazańcy krótki sen.
I znowu dzionek niewesoły,
znow ciężkie trudy i mozoły...”*

Tu młode pokolenie się zacięło, z czego skorzystała babcia, aby je wycofać ze sceny.

Deklamowany wiersz był początkiem nowego poematu Dorka „Moja Bereza”, którego świeżo wydany egzemplarz autor podarował mi przed kilku dniami. To, że dzieci tak prędko nauczyły się wstępu na pamięć, wyraźnie wzruszyło Bujnickiego; przepowiedział im wielką przyszłość i oświadczył, że takie właśnie wiersze chciałby móc zawsze pisać. Tym wzniosłym akordem zakończyły się moje najmilsze i w ogóle ostatnie, jakie obchodziłam, imieniny.

„Moja Bereza” nie figuruje w powojennym wydaniu wierszy Dorka, a ja nic prawie z niej więcej nie pamiętam. Tylko taki urywek:

*„Luboński zbladł, Bujnicki schudł,
wnętrzości jeńców trawi głód.
A kiedy zemdłał już Maśliński,
do paki dostał się Gałczyński
i sprytnie zwolnił się... (nie pamiętam kto, i bardzo
bym chciała przypomnieć)
orzekł Pan Kapral, że już dość...”*

W ciągu następnych miesięcy wzywano mnie kilka razy do Warszawy, gdzie w konsulacie sowieckim zadawano mi bardzo dziwne pytania, niezwiązane ani z moją osobą, ani celem wyjazdu do Moskwy. Wreszcie któregoś dnia Dyrektor Wielhorski wez-

wał mnie do siebie by oznajmić, że otrzymał pismo z konsulatu odmawiające wizy, a to z racji mojej „działalności politycznej”. Zdziwienie z powodu tej motywacji było powszechne; moje całkowite niezaangażowanie w jakiegokolwiek politycznej działalności było głównym bodaj powodem wysunięcia mojej kandydatury, i oto... Mimowoli nasuwało się przypuszczenie, czy nie pozostało to w związku z moim niedawnym zatargiem z Dembińskim.

— „No, trudno, moje dziecko” — powiedział Dyrektor Wielhorski — „nie mogę Pani wysyłać po to, by Pani wylądowała na Łubiance, a nie w Ambasadzie”.

Prorocze słowa... wylądowałam w cztery lata później. Na razie, zła, zawiedziona rozgoryczona pojechałam do Zarzecza. Koledzy zegnali mnie bez usiłowania pocieszenia, cios dotyczył całej grupy. A ja w dodatku z góry zapłaciłam słoną cenę za uzyskanie od rodziny pozwolenia na wyjazd: zgodziłam się na przeniesienie z Wilna do Słonima, gdzie memu mężowi ofiarowano stanowisko dyrektora liceum ogólnokształcącego. Dla niego, wegetującego jako nauczyciel matematyki w szkole technicznej, była to wielka pokusa, ja zaś gotowa byłam zgodzić się na wszystko, byle do Moskwy pojechać. A teraz będę musiała zamiast w Wilnie mieszkać w 26-tysięcznym Słonimie! Oznaczało to przekreślenie wszystkiego, na czym mi zależało w życiu. Pomyślałam wtedy nawet o samobójstwie, lecz gdy zobaczyłam na gruszy wiele dojrzałych „małgorzatek”, włożyłam na drzewo i zaczęłam się objadać. Tam usłyszałam okrzyk któregoś z kuzynów:

— „Nika, gdzie jesteś; depesza do ciebie!”.

— „Wiza przyznana; czekamy” — podpisał Profesor.

Następnego dnia byłam już w Wilnie, a w kilka dni potem wyjechałam do Moskwy.

„Nigdy od ciebie, miasto, nie odszedłem”, pisze Miłosz w jednym z powojennych wierszy. Istotnie od Wilna odejść niepodobna. Po tylu latach wraca do mnie w swych czterech porach roku: miasto moich gorzkich i najśrodszych lat, Wilno, którego już nie ma.

Jesienią zaczęłam je poznawać, a wileńskie wrześnie były pogodne i ciche. Wilia mknęła szybko pod mostami, wzdłuż piaszczystych brzegów ponad korzeniami wierzb. Woda we wrześnie jest tak przezroczysta, że gdy się patrzy w dół z kajaka czy Zwierzynieckiego mostu widać na dnie każdy kamień, każde wydawałoby się ziarno żółtego piasku. Drzewa na górach Zamkowej i Trzykrzyskiej żółkną, czerwienieją, potem opadają z nich liście. Spadają też kasztany w Cielętniku. W jakimś wycinku chwili widzę Zygmunta Kruszeńskiego i siebie jak — stare konie

— zbieramy te kasztany i podbijamy je przed sobą, ot tak sobie, bo jesteśmy młodzi, bo jest jasno i świeżo i lecę do Instytutu na wykłady.

Innym razem jest późny wieczór i Miłosz zrywa dalej w Bernardyńskim ogrodzie, bo zechciało się nam kwiatów, a kupić już ich nigdzie nie można; w domu zostawiam je w wiadrze ku porannemu przerażeniu mamy.

Potem przychodzą deszcze, szron i błoto i rozkosznie się siedzi u Rudnickiego: Dorek, Franas, Miłosz, Zagórski — stolik na prawo od wejścia; pół czarnej i sensacje: nowy wiersz, nowa metafora; sensacyjna wiadomość w *Izwiestiach*... A ja spieszę, lecę: bo dzieci, bo mama, bo Józio, bo obiad...

Wreszcie spada przywoity śnieg i kto żyje, w niedzielę, przypina narty i rusza na Kacze Doły czy gdzie indziej. Tu, nieoczekiwanie, najlepszy jest Zagórski, bo reszta często ryje nosami; mnie wygodnie — przypinam narty przy samym domu na Antokolu. Pamiętam jakiś ranek pełen mgieł; zjazd przez las, gdzie cudem unikam sosen wyrastających przede mną w ostatniej chwili, ale za to ładuję na bańce z mlekiem. A inny wiekopomny wyczyn; na własne żądanie ostatnia na lince przywiązanej do autobusu Nowa Wilejka - Zarzecze, na jakimś zakręcie wybijam siedzeniem wystawę sklepową. Kosztowało bodaj 50 złotych, ale, ku podziwowi Dorka, siedzenie całe.

Później karnawał z kłiwymi melodiami i płomiennymi flirtami, zaczynającymi się i kończącymi na tym samym balu. I już „Kaziuk”; brnie się po topniejącym śniegu i błocie, a:

*„żywe matpy, małpeczki (pewnie z wileńskich kotów)
dla syna, dla córeczki —
nie jedzą, nie piją,
a skaczą i żyją”,*

podrygują na gumkach u dowcipnych sprzedawców.

Wilnia zaczyna wzdymać pod lodem, który pewnego dnia pęka i kra spływa pod mostami. Zazwyczaj rzeka sprawuje się nie najgorzej, ale raz wylewa tak, że pod Katedrę można podjechać na kajaku. Chcemy złapać jakąś rybę na wędkę, ale po dłuższych wysiłkach Dorek wyciąga tylko stary kalosz.

Raptem pewnego ranka jest prawdziwa wiosna. Zazieleniło się wszystko. W Antokolskim lesie i na starym opuszczonym cmentarzu, zwanym cmentarzem samobójców, pojawiają się niebieskie pierwiosnki i sasanki. Ale wtedy właśnie trzeba najwięcej się uczyć. Łypie się tylko okiem na drzewa odziewające się w liście; naprzód drzące brzożki; potem kasztany przed instytutem pokryte świeczkami kwiatów; wreszcie duszno pachnące lipy.

Tylko niedzielami pławimy się w Wilii i po raz dziesiąty obłazimy ze skóry, jeśli jej od początku nie wysmarowano oliwą — z soji najlepsza!

Któregoś niedzielnego popołudnia wracamy z Ksenią z kajaką głodne i zmęczone; jest już Św. Piotra i Pawła i na Antokolu doroczny jarmark, drugi po „Kaziuku”. Skóra nas pali a jeść i pić chce się haniebnie; kupujemy dzbanki i kobiałki słodkich, przejrzałych poziomek. Cały plac wonieje mieszkanką kurzu, płótna, drzewa i poziomek, przyprawioną końskimi siusiami.

Ostatni raz widziałam Wilno znów na jesieni, w październiku 1939. Było już inne i nie chcę go pamiętać; tylko te grupki młodzieży idące do świeżo otwartych szkół. Dziewczynki miały poprzipinane do płaszczy białe i czerwone goździki. Skąd o tej porze, myślałam tępo. Nikogo z przyjaciół nie znalazłam; zagubiona chodziłam przez parę dni i wróciłam do Słonima, do mamy i dzieci. Stamtąd w noc wigilijną 1939 zabrało mnie NKWD. Wylądowałam na Łubiance, jak przepowiedział Dyrektor Wielhorski.

Wskrzeszone na chwilę przez to co w udęcie piszę nasze Wilno znów znika. Jak *la cathedrale submergée* znikają wieże jego stu kościołów i wraz z nimi zanika echo ich dzwonów porannych czy na Anioł Pański. Nie widzę już wileńskich cmentarzy — Rossy z grobami dawnych Filomatów i późniejszych żołnierzy, co „Miłe Miasto” swemu Komendantowi w darze złożyły; z grobem Matki wraz z sercem Syna.

Nie ma już tam nas, Wilnian, „tutejszych”, co przez Ostrą Bramę przechodząc, przyklekali na chwilę lub zdejmowali czapki, nawet jeśli byli Kalwinami, Tatarami czy Żydami. Nie ma krzyży ani na Katedrze, ani na Trzykrzyskiej Górze...

Nie wiem, jak się nazywa nasza ulica Mickiewicza, dawny prospekt Świętojerski. Nie wiem, jacy są ci, co teraz się uczą w starych murach USB czy w „nowym” gmachu SNP. Pronaszkowska makietą Mickiewicza, na którąś co niemiara wydzielali, na pewno od dawna już nie patrzy na Wilię... A jednak Wilia wraz z młodszą siostrą Wilenką wciąż spieszą, jak dawniej do Niemna, „swego oblubieńca”.

„Patrz, jak spieszy ta woda; dokąd spieszy?” — mówił kiedyś Dorek. — „Po co tak spieszy?”

*„Ale kiedy życie się strawi na jednej nadziei,
Ze w jakiś dzień już tylko ostrość i przejrzystość,
To bardzo często, żal...”*

To znowu Miłosz — w roku 1965.

Argentyna-Australia. 1967-1977.

Nika KŁOSOWSKA

«Salus» i konspiracja Klimkowskiego (I)

Pamiętam ten dzień dokładnie, fotograficznie. Jestem prawie pewien, że była to sobota. Miałem już za sobą podyktowanie na maszynę komunikatu z wiadomościami radiowymi, które codziennie o świcie, na przemian ze Zbyszkiem Racięskim, przygotowywaliśmy dla generała i oddziałów sztabu.

Byłem po śniadaniu. Siedziałem sam w pokoju, w którym urzędował Józef Czapski. Gabinet naszego ówczesnego szefa znajdował się, podobnie jak cały Wydział Oświaty i Prasy Armii Polskiej w Rosji, na parterze rozłożystego budynku, w którym mieściło się w Jangi Julu — naszym drugim po Buzułuku mp — dowództwo. Działo się to na półmetku wiosny 1942 roku.

Okna wychodziły na dziedziniec. Za każdym podmuchem wiatru pokój wypełniał się zapachem kwitnących jabłoni i gruszy. Znajdowaliśmy się w wielkim sadzie. Bronilem się przed sennością. Chwilami odpływałem. Nagle otworzyły się drzwi i z miejsca obudziłem się w podskoku.

Wszedł adiutant generała Andersa, rotmistrz Klimkowski. Był on przez nas lubiany. Przez nas, to znaczy przez szeregowie szarże strzelców z cenzusem, których nie tylko zatrudniała Oświata i Prasa, ale „dwójka” też.

Było rzeczą ogólnie znaną, że z nami sympatyzuje. Wiadomo było też, że tępi „kościanych dziadków”, którzy byli „średnim aktywem” rządzącym sztabem. W naszym wypadku kupił nas sobie tym, że chwalił biuletyn radiowy. Podobał mu się redagowany przez nas *Orzeł Biały*. A w przeciwieństwie do innego adiutanta generała Andersa, por. Jana Romanowskiego, nie czepiał się nas za to, że nie zapinamy pod szyję *battle-dress'u* i nosimy tak jak oficerowie krawaty. Twarz miał trochę lisia, ale przyjemną, bo z ust nie schodził mu nigdy z lekka ironiczny

uśmiech. I kiedy zaczynał mówić, brał jakby rozpęd wciągając głęboko powietrze.

Klimkowski podszedł do biurka Czapskiego i zaczął przeglądać szczerotkowe odbitki. Spytał czy jeszcze może coś wejść do numeru. Odpowiedziałem, że niestety do tego nie, bo jest już na maszynie. Potwierdzał to dochodzący nas łomot tak zwanej drukarni polowej, działającej w innym skrzydle dowództwa, tuż przy kasynie oficerskim. Klimkowski wyciągnął z bocznej kieszeni *battle-dress'u* dwie kartki. Wręczając mi je powiedział, iż omówił już sprawę z „Józkiem”. Ponieważ ja byłem odpowiedzialny za łamanie, chciał abym do każdego numeru *Orła* użył jedną z sentencji pod stałym tytułem *Salus Reipublicae Suprema Lex*. Obie kartki wypełnione były cytatami wieszczów i filozofów. Był tam Słowacki, Mickiewicz, Wyspiański, Kołłątaj, a z zagraniczników — o ile mnie pamięć nie myli — najczęściej Montesquieu.

Podczas kiedy się z nimi zapoznawałem, Klimkowski chodząc tam i z powrotem wyrzucał z siebie z pasją zdania, mówiąc że da to *Orłowi* akcent polityczny, którego od niego oczekują żołnierze.

Czapski uprzedzał mnie, że coś takiego się szykuje, ale nie sprecyzował. Zapytany później przeze mnie co się z tym materiałem dzieje, powiedział mi, że Irena Grabska przepisuje na maszynie. Irena Grabska pracowała w adiutanturze z Jerzym Klimkowskim, na którego nawet służbowo patrzyła zakochanym wzrokiem.

Przyznaję, że byłem mile połaskotany tym, że Klimkowski sam mi to dał. Czapskiego nie było w sztabie. Wyjechał do Taszkientu, albo do jakiegoś oddziału.

Klimkowski dodał, że pozostawia mi całkowicie decyzję w jakiej kolejności będą się ukazywały cytaty. Odchodząc pożegnał się po cywilnemu podając mi rękę, patrząc mi długo i znacząco w oczy.

Jak tylko zjawił się Zbyszek Racięski pochwaliłem się. Dałem mu do przeczytania sentencje. Przestudiował je uważnie. Znalazł błąd. Powiedział, że powinno być *Salus Reipublicae Suprema Lex Esto*. Posprzecaliśmy się, czy poprawić na własną rękę. Nie zgodziłem się do sentencji wprowadzać żadnej korekty, choć Zbyszek upierał się, że polscy kawalerzyści znają się na koniach, ale nie na łacinie.

Wspólnie wytypowaliśmy cytata do następnego numeru. Zdaniem Racięskiego były one „na dwoje babka wróżyła” i nikomu szkody nie przyniosą i sytuacji na świecie nie zmienią... A z Klimkowskim zawsze lepiej być dobrze, bo jest sojusznikiem w stałej

walce nerwów z „kościannymi dziadkami”, a zwłaszcza z płk. Krogulskim, szefem oddziału organizacyjnego sztabu.

Ani jemu, ani mnie nie śniło się w jaką kabałę pakujemy siebie i *Orla* pod znakiem *Salus Reipublicae Surema Lex. Z Esto* zrezygnowaliśmy.

Od tej soboty wypadki potoczyły się bardzo szybko. Kiedy ukazała się pierwsza cytata zaintrygowała ludzi i pytani byliśmy co to znaczy. Odpowiadaliśmy aluzyjnie i tajemniczo.

Moje bezpośrednie kontakty z adiutanturą stały się coraz częstsze. Objęły również Zbyszka Racińskiego, pisującego komentarze polityczne. Zanim minęły dwa tygodnie staliśmy się członkami konspiracji „młodych”, której przywodził Klimkowski, a o której — przypuszczaliśmy — poinformowany był generał Anders.

W tym miejscu muszę zrobić małą pauzę dla podmalowania tła. Przed przelaniem tych wspomnień na papier wróciłem do atmosfery z tamtych czasów czytając ponownie, po długiej przerwie, Andersa *Bez ostatniego rozdziału*, Czapskiego *Na nieludzkiej ziemi*, Klimkowskiego *Byłem adiutantem generała Andersa*. Sięgnąłem do kompletów *Orla* w Instytucie Piłsudskiego. Nigdzie nie ma ani słowa o tym, z czego ja się tu spowiadam. Książka generała Andersa jest prozą Andrzeja Stronńskiego. Jest niezmierną szkoda, że nasz dowódca nie został namówiony na drugie, bardziej szczegółowe wydanie. Przejmujące wspomnienia Czapskiego, to impresjonistyczne winietki traktujące łaskawie główne osoby dramatu. Wydana przez Ministerstwo Obrony Narodowej książka Klimkowskiego jest obrzydliwym paszkwilem. Ale mimo ich mankamentów i tego, co się modnie nazywa *cover up*ów można, będąc uzbrojonym w te trzy książki, udać się na poszukiwanie utraconego czasu. Dziwnym mechanizmem jest pamięć ludzka. Im bardziej się wgłębiam w temat, tym plastyczniej go widzę. Do tego stopnia, że przypomniałem sobie nazwisko starszego sierżanta Stanisława Padé, kierownika drukarni polowej, które zupełnie uciekło mi z pamięci. I zapach świeżo otwartej puszki *corned-beef*u. Załogę drukarni odziedziczyliśmy po DOK Grodno. W komplecie dostali się do niewoli bolszewickiej i po przybyciu do Buzułuku od razu stanęli przy kasztach. Jedynym dodatkiem do tego zespołu był warszawski zecer, plutonowy Mieczysław Utecki. Uznawał mnie za jedynego autorytet tylko dlatego, że byłem z Domu Prasy Marszałkowska 3/5/7.

Oczywiście teraz, z perspektywy trzydziestu kilku lat, patrzę zupełnie inaczej na postać Klimkowskiego i mój udział w konspiracji „salusiów”, jak nas nazywano. Wówczas nie wiedziałem tego, co wiem teraz. W kontekście Jangi Julu 1942 roku był fascynującą postacią. Wojsko jest — jak wiadomo — trochę

teatrem. Mundur i gwiazdki na naramiennikach wzmagają urokliwość. W 1946 widziałem Klimkowskiego w Rzymie po cywilnemu: wyglądał patetycznie. Oczywiście dużą część fascynacji przysparzała mu w naszych oczach w okresie Jangi Julu jego intymność z Andersem. Trzeba jednak przyznać, że nadawał się do roli szarej eminencji. Było mu doskonale do twarzy z tym autorytetem bliskiej generałowi osoby.

Sprawiał wrażenie niespożytej energii. To na przykład najbardziej w nim urzekło Czapskiego, a później Adolfa Bocheńskiego. Kiedy Czapski zaczął miewać wątpliwości w stosunku do „Jurka”, sam się uspakajał argumentem, że „pcha naprzód” i że przez niego można załatwić w dziesięć minut to, co z Krogulskim zabierze długie tygodnie. A chodziło wówczas o ściąganie do Oświaty i Prasy ludzi marniejących w oddziałach liniowych.

Ale największe chyba były względy, które teraz się nazywa „przepaścią między pokoleniami”. Od pierwszej chwili powstania Armii Polskiej w Rosji zaczęła nabrzmiewać konfrontacja między „kościannymi dziadkami” i młodymi. Początkowo, kiedy ludzie po dwóch latach upokorzeń i męki budzili się do życia, płynęła ona nurtem podskórnym, ale szybko — kiedy byt nabrał pozorów normalności — stawała się coraz wyraźniejsza. Elita zginęła w Katyniu. Większość wyższych oficerów, z których Anders stworzył swój sztab i „góre” wielkich jednostek — pochodziła z przedwojennych garnizonów prowincjonalnych. Byli to ludzie mający na dyscyplinę wojskową poglądy bardzo często jeszcze z pierwszej wojny światowej. Być może gdyby nie Katyń, profil korpusu oficerskiego od kapitana wzwyż byłby inny i nie doszłoby do konspiracji Klimkowskiego. Inni ludzie zajęliby kluczowe miejsca w otoczeniu generała Andersa.

Wrzesień, więzienia i łagry sowieckie, a później wojsko przemieszały Polskę jak chyba żadne wydarzenie w naszej historii. Spotykaliśmy, zaprzyjaźnialiśmy się z ludźmi nie tylko z różnych dzielnic Rzeczypospolitej, ale również z różnych warstw społecznych. W jaki inny sposób mógłbym zaprzyjaźnić się z księciem Eugeniuszem Lubomirskim, byłym ministrem spraw zagranicznych Eustachym Sapięgą, naczelnymi dyrektorami Starachowic, rotmistrzem Polańskim, który szarżował pod Rokitną, policjantami ze stanisławowskiego i lwowskiego, przemysłnikami z Przemyśla, nauczycielami z Nadwórnej i Tarnopola, sędziami z Hrubieszowa, chłopami z Rawy Ruskiej. Różnymi drogami trafiali do więzień. Najczęściej wyłapani na granicy, jak przedzierali się na Węgry i do Rumunii, by stamtąd dotrzeć do formującej się we Francji Armii Polskiej. Przeważająca większość tych, tak zwanych wówczas „turystów Sikorskiego” rekrutowała się z młodzieży bardzo często w wieku szkolnym. Wielki odsetek stanowili też podcho-

rażowie oraz oficerowie rezerwy i zawodowi — do kapitana. Był to najbardziej aktywny element nawiewający z obozów jeńcieckich, zdecydowany na pójście w świat, bo nie zakotwiczony w okupowanej Polsce obowiązkami rodzinnymi. Z tych dwóch grup składało się chyba 90 % polskiej ludności więzień i łagrów. To przemieszanie, te przyjaźnie zawarte w celi więziennej i na „trasie” robót przymusowych w dużym stopniu ukształtowały z nimi rozpoczęła się dopiero po wyjściu wojska z Rosji.

Prawdopodobnie nie dostałbym się do Oświaty i Propagandy w listopadzie 1941 roku, gdybym w Buzułuku nie spotkał oficera służby stałej, kapitana Emir Hassana, warszawskiego Tatara, którego w więzieniu w Nikołajewie poznałem jako Jerzego Kiławca, podającego się za buchaltera. To co mnie się zdarzyło z Emir Hassanem, powtarzało się w każdym oddziale. Wojsko stawiało się w tym sensie kontynuacją więzów łagiernych. Lojalność wobec kolegi z celi lub trasy miała priorytet przed wszystkimi sprawami. Ja się później postawiłem na głowie, by sprowadzić do Oświaty i Prasy Edwarda Rewerę. Tak samo priorytet miały wendety nad tymi, którzy kapusiowali dla Rosjan. Rozprawa z nimi rozpoczęła się dopiero po wyjściu wojska z Rosji.

Charakteryzowało tę olbrzymią masę żołnierską wielkie uczucie patriotyczne przy jednocześnie zwiększonym sceptycyzmie dla jakiegokolwiek autorytetu. Uważali, że we Wrześniu skończyło się raz na zawsze ślepe posłuszeństwo; że armia odtworzona nakłada nowe obowiązki na oficerów i żołnierzy; że w „marszu do Polski”, o którym ciągle się deklamowało, są narodem, który powinien być konsultowany.

Konflikt zaostczał ciasny horyzont „kościanych dziadków”, którym wydawało się, że wrócili do Grodna i Baranowicz, jakby w ogóle nic się nie stało.

W dowództwie armii symptomy te występowały ze zdwojoną siłą, przynajmniej w naszych oczach. Z jednej strony był taki płk Krogulski, albo komendant placu kpt. Mościcki, wyzywający się w przywracaniu dyscypliny, a z drugiej „święta osoba” — Józef Czapski, będący na stopie koleżeńskej ze swymi podkomendnymi. Nie można się więc dziwić, iż proza Klimkowskiego, że jesteśmy rządzani przez durniów, że losy Polski walczącej muszą znaleźć się w rękach młodych, działała na nas oszałamiająco. Oprócz tego szokująca „kościanych dziadków” zażyłość z adiutantem imponowała. Była też tarczą przeciw dokuczliwościom Romanowskiego, wzbudzała szacunek wśród żandarmerii. Człowiek czuł się ważny.

Po dwóch latach kryminału i łagru, uciekania od rzeczywistości do fantazji, nareszcie się coś działo. Nic dziwnego, że człowiek pewnych rzeczy nie przemysliwał do końca. Wszyscy pragnęli

nadrobić stracony czas. Zwłaszcza, że aura generalska dodawała każdej akcji Klimkowskiego specjalnego wymiaru — „dzieje się za wiedzą Andersa”.

Prócz tego Klimkowski potrafił być bardzo ciepły i koleżeński. Pamiętam jak podczas zaimprovizowanej na przyjazd Andersa defilady na plaży w Pahlewi odkrył mnie, złożonego żółtaczką po zjedzeniu jajecznicy z 18 jajek — przysmaku, którego nie kosztowałem od wyjazdu z Polski. Od razu dostałem przepustkę do tej części miasta, znajdującej się dla nas *off-bound*, w której Anders zatrzymał się w przygotowanej dla niego willi. Udałem się do niego następnego dnia. Nakarmił mnie ostatnimi informacjami, że konspiracja Londynu zastąpienia generała Andersa, jako dowódcy tworzących się wojsk polskich na Bliskim Wschodzie, kandydatem Sikorskiego — generałem Zającem — spaliła na panewce, że *Salus* górą!

Przysięgę konspiracyjną złożyłem wprawdzie pół roku później, już na irackim mp w Quizil Ribat (działo się to w domku zajmowanym przez generała), ale w plany Klimkowskiego zostałem wtajemniczony kilkanaście dni po naszej pierwszej sobotniej rozmowie. Tak jak je przedstawił Racięskiemu i mnie — brzmiała sensacyjnie i romantycznie.

Znaliśmy dążność Andersa do wyprowadzenia całego wojska z Rosji. Klimkowski miał na to — jak się okazało — dwuznaczny pogląd. Owszem, niech wielka masa wojska i ludności cywilnej odpłynie do Iranu, ale elita powinna zostać. Uformowana w brygadę, przerzucona na Kaukaz — niby dla obrony go przed Niemcami — podejmie tam walkę o wolność narodów podbitych przez bolszewizm. Brygada kaukaska, brygada kaukaska — powtarzał, upajając się własnymi słowami.

Jeszcze sporo lat dzieliło mnie od Argentyny. Teraz wiem, że Klimkowski proponował nam marsz podobny do tego, jakiego dokonał generał San Martin ruszając z Argentyny poprzez Andy, Chile do Peru. Im bardziej na ten temat myślałem, tym bardziej podobał mi się szalony pomysł brygady kaukaskiej. Choć ani Racięski ani ja nie bardzo wyobrażaliśmy sobie jak to zostanie zrealizowane. Ale tym się nie martwiliśmy. Po wypuszczeniu z łagru wszystko wydawało się możliwe. Wśród młodych oficerów szwadronu przybocznego generała Andersa idea brygady bratającej się z Gruzinami też spotkała się z entuzjastycznym rezonansem. Wydawała się przygodą na skalę legendy. Żyliśmy w stanie gorączkowym i trzeźwe myślenie uważane było za „stare” i nawet gorzej — za defetystyczne.

W tym miejscu pragnę podkreślić, iż nie mam najmniejszej wątpliwości, że szef Drugiego Oddziału, płk Wincenty Bąkiewicz, dokładnie był o tym poinformowany. Wróć jeszcze do jego

osoby, która, wydaje mi się, grała kluczową rolę w dramacie konspiracji Klimkowskiego — albo, zdaniem innych — tragicomedii. Szereg zaufanych oficerów „Wicusia” należało do konspiracji Klimkowskiego, między innymi por. Jaworski, który — o ile wiem — mieszka teraz we Włoszech.

Klimkowski apelował do nas o skaptowanie dla idei brygady i pozostania w Rosji jak największej ilości osób, na których można stuprocentowo polegać. Taką osobę miałem we Wrewsku, dwie godziny drogi po piaszczystej drodze od Jangi Julu. Był nią ten sam Tatar z Warszawy, kapitan Emir Hassan, dowodzący tam kompanią przeciwigazową. Był też „turystą Sikorskiego”. Siedzieliśmy razem przez osiem miesięcy w więzieniu. Wpierw w Stanisławowie — po złapaniu nas na granicy — później w Nikołajewie, gdzie nas kilkakrotnie przerzucano z celi do celi, ale zawsze tak, że pozostawaliśmy prawie w tym samym składzie. W tej atmosferze wytworzyło się niezłomne koleżeństwo. Wśród nas znajdował się poeta — Jan Olechowski, poległy pod Monte Cassino polonista — Władysław Jagiełło, dziennikarz — Ryszard Mossin, *play-boy* warszawski — Jerzy Lothe, wspinała postać — „kapitan” Świetlik, człowiek wielkiej odwagi, który był dla nas wszystkich przykładem, jak należy zachowywać się w więzieniu sowieckim. Okazało się później, że był on polskim kapitanem z Koepenick w najszlachetniejszym i najbardziej patriotycznym wydaniu. Kiedy po wypuszczeniu z łagru dostał się do wojska i starał się zweryfikować jako oficer, sprawa się wydała. Podobno był zawodowym sierżantem i szurgnięto go z ludnością cywilną do Indii. Nie był to zresztą pojedynczy wypadek. Słyszałem o innych. W dramatycznych sytuacjach, w dziwnym świecie ludzie grali role, w których stawali się natchnieniem dla innych.

Kiedy zjawiłem się w Buzułuku w listopadzie 1941 roku chciano mnie wysłać z powrotem, bo w ośrodku już nie było miejsca ani racji żywnościowych. Spotkany tej samej nocy kapitan Emir Hassan załatwił z miejsca mój przydział do podchorążówki broni pancernej, rozlokowanej w jednym z kątów baraku. Po przybyciu do Jangi Julu, już jako redaktor *Orła Białego*, dowiedziałem się, że dowodzi kompanią przeciwigazową we Wrewsku. Udałem się tam pod pretekstem wygłoszenia odczytu o historii hitleryzmu, co załatwił Józef Czapski. W tym celu Klimkowski dał mi do dyspozycji samochód generała z jego szoferem. Oczywiście moje zjawienie się we Wrewsku wywołało sensację. Strzelec z cenzusem w limuzynie generała, witany przez kpt. Hassana, który był tam wielką figurą. Przed pogadanką odbyłem rozmowę z moim przyjacielem z nikołajewskiego więzienia.

Wiem, że to co teraz napiszę będzie się dziwnie czytało.

Trochę jak bajka o żelaznym wilku, albo opowieść surrealistyczna. Ale proszę mi wierzyć, że tak było. To były dziwne czasy, byliśmy „udziwnnieni”. Powiedziałem mu: — *Stuchaj, jeśli wojsko wychodzi — my zostajemy, idziemy na Kaukaz brygadą, tam robić ruchawkę, oczywiście pod pozorem bronięcia nafty przed Niemcami...* — Hassanowi wystarczyło moje słowo. — *Jestem z wami, możesz na mnie liczyć* — powiedział. Po tylu latach, jak o tym myślę, ogarnia mnie wzruszenie i poczucie śmieszności sytuacji.

Mniejsze szczęście miałem z moim odczytem. Prawdę mówiąc był fiaskiem. Odbył się w namiocie-świątlicy. W pierwszym rzędzie usiadła świetliczarka Lidia Żółkiewska, siostra Stefana Żółkiewskiego. Była po tyfusie i jeszcze prawie łysa. Nie pamiętam też czy to Hassan, czy też ktoś inny powiedział mi, że jest „czerwona”. Musiała coś o mnie wiedzieć — albo może mi się tak wydawało. Przez cały czas nie spuszczała ze mnie wzroku uśmiechając się z lekka ironicznie, co bardzo źle wpływało na moją elokwencję i stworzyło psychologicznie dziwną sytuację. Nie obchodziła mnie reszta słuchaczy. Mówiłem wyłącznie do niej. Historia, którą opowiadałem była moją tzw. *pièce de résistance* w więzieniu. Historię elity hitlerowskiej znałem dość dobrze. Pisałem dla niedzielного *Expressu Porannego* sekcję „Ludzie tygodnia”, w której kreśliłem sylwetki polityków będących — jak się teraz mówi — *in the news*. To był też mój numer popisowy w łagrze. Ale nigdy tak kiepsko nie wypadłem, jak wówczas we Wrewsku z Żółkiewską w polu widzenia. Takie interakcje też bywają.

Po powrocie do Jangi Julu zameldowałem Klimkowskiemu o sukcesie mojej tajnej misji. Emir Hassan dołączył do Brygady Kaukaskiej. Dzięki temu zaawansowałem w szczeblu wtajemniczenia. Wchodziliśmy do adiutantury gen. Andersa kiedy nam się chciało. Za każdym razem, kiedy któryś z młodych oficerów traktował nas z wylewną serdecznością, odgadywaliśmy, że jest też w *Salusie*. Jeśli był *establishment* w Jangi Julu, tośmy do niego należeli...

Nigdy jednak nie doszło do utworzenia Brygady Kaukaskiej. Po powrocie z Wielkiej Brytanii Klimkowski zmienił zdanie oświadczając, że nasze miejsce jest przy Andersie, że wpływając na niego możemy wywrzeć największy wpływ na powojenną rolę Polski.

O ile w jego wypowiedziach o generale Andersie zaczęła się przewijać coraz większa nuta protekcyjności, ba, lekceważenia pokreślanego wymownym półuśmiechem w rodzaju; „co by generał beze mnie zrobił, otoczony jest durniami”, to w stosunku do Sikorskiego i Kota był wręcz wrogo krytyczny, mówiąc, że

stworzył też *Salus* w Londynie, wśród młodych oficerów lotnictwa, opozycyjnie nastawionych do rządu.

Patrząc wstecz, znając dalsze koleje losu Klimkowskiego, zastanawiam się, czy było już wówczas coś podejrzanego w jego zachowaniu. Pomijając wariacki pomysł Brygady Kaukaskiej, która zagrała na naszej romantycznej strunie, Klimkowski mówił głośno i na wyższym stopniu to, co myśleli młodzi.

Nie wiem. Raczej niż prowokatorem wywiadu sowieckiego, jak niektórzy podejrzewają, był — teraz to widzę dokładnie — osobą bardzo naiwną i ambitną. Umiął jednak nas czarować. Powtarzam raz jeszcze, z perspektywy roku 1977 nie mam żadnej wątpliwości, że zarówno taki „dwójkarz”, jak płk Bąkiewicz, czy Andrzej Stroński, cieszący się całkowitym zaufaniem generała, wiedzieli o każdym jego kroku i nawet więcej — kierowali nim. Bąkiewicz był znacznie bardziej przebiegły od Klimkowskiego, a Stroński inteligentniejszy. Jeśli Klimkowski był wówczas na usługach NKWD, to Bąkiewicz musiał o tym wiedzieć.

Jeśli chodzi o generała Andersa, to wiedza jego była — powiedziałbym — selektywna. Nie chciał wszystkiego wiedzieć. Niewątpliwie poparcie młodych, jego popularność wśród nich, była kartą naszego generała w rozgrywce z Sikorskim i Kotem.

W następnych rozdziałach opowiem dalsze losy konspiracji.

Zdzisław BAU

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 195 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MODELE I PRAKTYKA

Str. 244.

Cena F. 20,00.



TOM 269 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Str. 256.

Cena F. 40,00.

W obliczu zadań, jakie Partia i Rząd...

Autor, inżynier-mechanik, w czasie swojej dwunastoletniej pracy w warszawskich biurach projektów miał dość okazji do obserwowania najdziwniejszych kwiatów absurdu gospodarki socjalistycznej. Nie tylko do obserwowania — sam brał udział (*pecunia non olet*) — w ramach zadań, jakie Partia i Rząd stawiały na aktualnym etapie budowy socjalizmu przed narodem — w realizacji zamierzeń inwestycyjnych, których bezsens był, od samego początku — dla inżynierów i ekonomistów — ewidentny.

Przedstawione czytelnikowi fragmenty opisują historię prawdziwą i autentyczną z łączki socjalistycznej gospodarki rolnej. Nie jest to jednak obiektywna relacja. Tam, gdzie nie ma miejsca na opór — zawsze jeszcze pozostaje miejsce na kpinę. Tu i ówdzie prawda przestaje być autentycznym, a gdzie — niech to czytelnik sam odgadnie. Ale niech przy tym nie zapomina, że komunizm stwarza ludziom nieograniczone możliwości, zwłaszcza tym, którzy są u władzy. Ze pewien dyktator został absolutnym autorytetem w dziedzinie filozofii i... gospodarki energetycznej (Budujemy towarzysze elektrownie na torf, bo komunizm — to władza radziecka plus elektryfikacja), że jego następcą zajmował się w wolnych chwilach językoznawstwem, że zwykły hochsztapler został „twórcą nowoczesnej biologii” itd., itd. — a wszystko to w ramach „nieograniczonych możliwości”...

Pracownia nasza została utworzona rok temu przy przedsiębiorstwie budowlano-montażowym, które zajmuje się budową suszarni paszy. Przedsiębiorstwo znajduje się w trakcie deglomeracji* — warsztaty, magazyny i pracownię projektową przeniesiono już do Płochocina, do prowizorycznie zaadaptowanego baraku — magazynu rolniczego. Dla dyrekcji przedsiębiorstwa, działów rachuby, planowania i kadr nie starczyło już miejsca i na razie

* Podjęta w latach sześćdziesiątych na wielką skalę akcja deglomeracji przemysłu była próbą taniego obejścia problemów wielkomiejskiej ubranystyki, które piętrzyły się w wyniku radosnej budowy socjalizmu. Akcja ta polegała na mechanicznym wysiedlaniu na prowincję małych i średnich zakładów przemysłowych. Dla wielu jednostek — przede wszystkim spółdzielczych — deglomeracja równała się śmierci.

pozostawiono je w Warszawie. Rozbicie niewielkiej jednostki na dystansie dwudziestu kilometrów dezorganizuje pracę — z każdym głupstwem trzeba jechać do dyrekcji pół godziny pociągami i kwadrans tramwajem. Ale dla pracowników ma to swoje zalety: można wyjść z pracowni kiedy się komu podoba — „Jadę do dyrekcji, dziś już nie wrócę” — wsiąść w pociąg i iść do kina, do innej pracy, gdzie kto potrzebuje. Kontrola jest prawie niemożliwa — telefonu bezpośredniego nie ma, a na połączenie przez pocztę czeka się dość długo. Nikomu zresztą nie przyjdzie do głowy sprawdzać czy projektant poszedł na wódkę czy do kina. W biurze projektów pracuje się na akord — kto chce zarobić, ten musi pracować — projekty nie robią się same.

W pracowni są cztery zespoły. Nasz, technologiczny, jest największy — dwunastu ludzi, w tym pięciu projektantów. Reszta to asystenci i kreślarze, pan Ireneusz — kosztorysant i Halinka — maszynistka. Zajmujemy pomieszczenie o powierzchni około trzydziestu metrów kwadratowych, to znaczy, że na osobę przypada niecałe trzy metry. Ale nie ciasnota jest najgorsza; za ścianą mieści się warsztat blacharski i kiedy tam klepią blachę, w pracowni nie można się porozumieć — nie sposób przekrzyćć piekielnego hałasu. Okienka są małe i okratowane, wychodzą na zadaszoną rampę i praktycznie cały czas pracuje się przy sztucznym świetle. Wentylacji nie ma żadnej — od czasu do czasu przechodzimy wszyscy do sąsiedniego pokoju, w którym siedzą architekci i na pięć minut otwiera się wszystkie okna i drzwi.

Ale nikomu nie przyjdzie do głowy skarżyć się na złe warunki pracy, wzywać komisję związków zawodowych itd. Tu zarabia się trzy, cztery razy więcej niż gdzie indziej i tylko to się liczy.

Roman powiedział mi zaraz pierwszego dnia:

— Roboty żadnej na razie ci nie dam, i tak nie warto zaczynać przed świętami. A po świętach — parę dni i koniec kwartału. Ja teraz nie mam czasu, żeby cię wprowadzić w nowy temat, zresztą nie ma potrzeby — przerobu mamy dosyć — żeby tylko dało się wygarnąć całą tę forszę. A ty — dodał widząc moją strapioną minę — nie martw się o premię. Swoje dostaniesz, odrobisz w przyszłym kwartale.

Przeglądałem więc projekty, które wyszły z biura, korespondencję służbową, wyceny projektów, chodziłem na spacer do lasu a do Warszawy wracałem zwykle koło pierwszej — załatwiać fuchy.

Szybko zorientowałem się, że podstawowym źródłem zarobków pracowni są tak zwane adaptery ziemniaczane. Mianem tym określano zespół urządzeń pozwalający na wykorzystanie nieczynnej w okresie jesienno-zimowym suszarni zielonki

do suszenia ziemniaków — przed właściwym procesem suszenia ziemniaki trzeba oczyścić z piasku i błota, odseparować łęty i kamienie i pokrajać w plastry. Projekt adaptera obejmował rysunek montażowy, rysunki fundamentów pod maszyny, projekt składowiska ziemniaków i opału wraz z drogami dojazdowymi i część elektryczną — zasilanie maszyn i urządzeń, trafostacja. Słowem, nie było to nic poważnego, raczej masówka, którą sprzedawano za dość wysoką sumę. Wyceny sporządzano na podstawie... cennika prac projektowych przemysłu chemicznego, przez analogię. Analogia ta była niewątpliwie problematyczna, ale właściwie interpretowana — niezwykle korzystna dla pracowni. Naszymi klientami formalnie były Państwowe Gospodarstwa Rolne, Wojewódzkie Zjednoczenia PGR, Inspektoraty Budownictwa Rolniczego, ale — jak mogłem wywnioskować z przeglądanych notatek, pism i protokołów, właściwym naszym chlebowodawcą był Departament Inwestycji Ministerstwa Rolnictwa, reprezentowany przez swego dyrektora, towarzysza Stanisława Waśkiewicza.

Kiedy zapytałem Romana o status prawny naszej pracowni, o licencję, roześmiał się w odpowiedzi:

— Licencja? Waśkiewicz jest naszą licencją. Naszą ostoją i opiekunką. A my — jego oczkiem w głowie, ramieniem technicznym, mózgiem twórczym i czym tam jeszcze. „Jeśli chcemy mieć dobrych projektantów, a tylko z takimi możemy podołać olbrzymim zadaniom, jakie Partia i Rząd stawiają dziś przed gospodarką paszową, musimy im dobrze zapłacić. Inaczej zostaną u nas same lenie i niedouczeni partacze, z którymi nic nie zdziałamy...” — to są jego słowa, sam słyszałem, jak mówił tak do naszego dyrektora. A Waśkiewicz, bracie — to potęga. Podobno przyjaciel samego Moczara. I dopóki będziemy mu potrzebni, będziemy zarabiali tu, jak nigdzie indziej.

Wkrótce miałem i ja aktywnie włączyć się w realizację owych zadań, jakie Partia i Rząd...

W ostatni czwartek przed świętami Roman wpadł wieczorem do mnie do domu. Zdyszany, podenerwowany wyrzucił z siebie na progu:

— Słuchaj! Musisz zaraz się zbierać. Za godzinę masz pociąg do Poznania z połączeniem do Koszalina. Już po twoim wyjściu telefonowali z Węclewa — to jest pomiędzy Piłą i Złotowem. Stoją z montażem adaptera, coś im tam nie pasuje, nie wiem dokładnie, bo połączenie było kiepskie, ale to musi być jutro wyjaśnione!

— Dobrze, już jadę. Tylko najpierw rozbierz się, wejdź do pokoju. Napijesz się czegoś, opowiesz po kolei.

Roman spojrzał na mnie ostro, chciał oponować, poganiać, żebyśmy już pędzieli na dworzec. Po chwili rozpuścił się:

— Ty żartujesz, a to rzeczywiście poważna historia i cholernie pilna.

Jakich to ja cholernie pilnych historii już nie przeżyłem. I czy załatwiło się je grubo po terminie, czy w ogóle nie załatwiło — nikt nikomu jeszcze głowy nie urwał, a Polska jak Ludową Demokracją stała, tak stoi. O wiele niebezpieczniej było zrobić coś za szybko — to zawsze mogło okazać się nie tym, co aktualnie Partia i Rząd uważają za najwłaściwsze. Tej zasady nauczyłem się w mojej karierze aż nadto dobrze.

Ale tu — co innego. Stoją z montażem — suszarnia miała ruszyć już w październiku, na składowisku leży pięćset ton ziemniaków, lada chwila chwyci mróz. Waśkiewicz pyta przy każdej okazji, czy Węclewo już pracuje.

— Ja wiem, że taki wyjazd, przed samymi świętami, to nic przyjemnego. Ale ktoś musi tam pojechać, a nikt z nas, oprócz ciebie nie może. A przy tym — dobrze się składa. Obejrzyj sobie adapter w naturze, pogadasz z ludźmi. Tam zresztą nie ma żadnej filozofii, na pewno dasz sobie radę. Przejrzyj projekt — wyjął z teczki, położył na biurku — na miejscu sprawdź wymiary. Mam do ciebie pełne zaufanie. — Spojrzał na mnie, mrugnął.

Wiedziałem o co chodzi. Gdyby na przykład okazało się, że błąd tkwi w dokumentacji, że nawalił projektant, trzeba było próbować wykręcić kota ogonem i zwalić winę na wykonawcę. Nieraz udawało się wykołować kierownika budowy, spisać odpowiednią notatkę i później, jak termin oddania obiektu przeciągał się i zaczynało szukać winnego — biuro zawsze mogło umyć ręce: „Zrobiliśmy dokumentację dobrze, w terminie, ale jak taki kiepski wykonawca, to my już nie możemy”...

Wyjąłem mapę województwa koszalińskiego, rozłożyłem ją na biurku. Roman szybko odnalazł małe napis: Węclewo.

— Z Piły masz autobus, dojedziesz do Parczewa, a stamtąd — już tylko trzy kilometry piechotką. — Spojrzał na mnie filuternie. — Nie bój się, zadzwonisz z Piły do PGR'u, to przysła po ciebie samochód.

— Dziękuję, pojedę swoim.

— Jak chcesz, ale wzięłem dla ciebie delegację na pociąg, zresztą u nas nie dają na samochód, za drogo wychodzi.

— To nic, mimo wszystko pojedę swoim. Teraz tłok przedświąteczny, zresztą — nie lubię pociągów. Zwłaszcza nocnych. Śniegu jeszcze nie ma, szosy suche — wyjadę w nocy i rano będę na miejscu.

Miałem w tym swoją kalkulację. Wprawdzie wyjazd samochodem w pojedynkę rzeczywiście nie opłacał się, bo zwrot ceny biletu pierwszej klasy pociągu pośpiesznego pokrywał zaledwie benzynę, ale mając na miejscu samochód jest się o wiele bardziej operatywnym i w ciągu kilku godzin można załatwić całą masę spraw. Potem rozlicza się delegację na dwa dni i w ten sposób można sobie wykroić wolny dzień.

A przy moich rozlicznych posadach — zwykle „trzymałem” jednocześnie dwie, trzy, cztery i każda z nich wymagała jeżdżenia po kraju — tylko samochodem mogłem się wyrobić. Zdarzało się, że za jednym wyjazdem załatwiałem sprawę w Poznaniu, Wrocławiu i Opolu a wieczorem szedłem jeszcze na wódkę z prezesem Spółdzielni „Jutrzenka” w Katowicach, żeby przy kieliszku uzgodnić na przykład szczegóły projektu modernizacji i rozbudowy zakładu.

Te związane delegacje mają także i swoje zalety finansowe. Każdy wyjazd rozliczam oczywiście osobno i za taką „trasę okrężną” biorę w sumie tysiąc czy dwa. A to już pokrywa, często z niezłą nadwyżką koszty eksploatacji samochodu, dobrej kolacji i ewentualnych przygód.

Oczywiście z punktu widzenia przepisów nie jest to prawidłowe i wykrycie takich podwójnych delegacji może być traktowane jako nadużycie finansowe. Żeby więc zabezpieczyć się przed wpadką, trzeba stemplować wszystkie te delegacje z różnymi datami. Jeśli ktoś we wtorek załatwiał sprawę w Poznaniu, w środę był w biurze w Warszawie, a potem w czwartek znów w Poznaniu, to wszystko jest w porządku i nic nie stoi na przeszkodzie, żeby zainkasować zwrot kosztów czterokrotnego przejazdu na trasie Warszawa - Poznań. Nikt nie może się przydzielić, nie ma możliwości wpadki. Trzeba tylko uważać, aby nie „znaleźć się” tego samego dnia w Krakowie, Szczecinie i na przykład w Białymstoku. Aby uniknąć takich nieporozumień prowadzę sumiennie kartotekę moich licznych wyjazdów — na specjalnym grafiku nanoszę daty — kiedy wystawiono delegację, z jaką datą została potwierdzona, kiedy rozliczona. Potwierdzenia pobytu biorę zwykle *in blanco*, bez daty. Datę wstawiam później sam, taką, jaka wynika z mojego grafiku.

Rozliczanie podwójnych delegacji jest dość powszechne, ale wielu robi to na pałę, po partacku i w razie jakiejś kolizji z dyrektorem, łatwo jest znaleźć punkt zaczepienia przeciwko takiemu pracownikowi — wystarczy pogrzebać w rozliczonych przez niego delegacjach.

Roman dopił swój koniak, wstał:

— No, to na mnie już czas. A i ty musisz się trochę przespać.

Gdybyś miał trudności, to zadzwonił. Ale ten adapter musi ruszyć przed światłami.

Wstąpiłem po drodze do Spółdzielni Pracy „Wulkan” w Grudziądzu i do Spółdzielni „Kopernik” w Toruniu i jeszcze do „Chojniczanki” w Chojnicach. Do Węclewa dotarłem koło drugiej.

Dyrekcja Państwowego Gospodarstwa Rolnego mieściła się w pałacyku na górze. Park ze starymi, olbrzymimi świerkami za ceglany, miejscami półrozwalonym murem, resztki zardzewiałej i wrośniętej w łopiany bramy wjazdowej, żwirowa alejka — ładnie tu sobie kiedyś żył junkier-krwiopijca.

Kilkuletni, usmarkany do pasa brzdąc zaprowadził mnie pod drzwi pana dyrektora. Zapukałem, wszedłem. Przy biurku siedziała dziewczyna i patrzyła w okno. Nie odwróciła głowy na moje „Dzień dobry” i widziałem tylko jej profil i podświetlone słońcem włosy. Powiedziałem, że chciałbym rozmawiać z dyrektorem PGR'u. — „Nie ma, jest na naradzie w powiecie, wróci późno”.

— No to świetnie, bo ja właśnie z Warszawy, z biura projektów — wezwano mnie w sprawie montażu maszyn w suszarni ziemniaków i może jednak coś bym tu załatwił?

Mówię to już lekko zniecierpliwionym tonem. Dziewczyna nagle ożywia się:

— Pan z Warszawy, z biura projektów? Dyrektor polecił mi pana przeprosić — wezwali go przed godziną do Komitetu Powiatowego i żeby pan był łaskaw porozumieć się z przedstawicielem wykonawcy — zaraz go ściągnę. Niech pan siada, panie inżynierze.

Wzięła słuchawkę, zakręciła korbką. „Halo! Poproszę Piłę, Peberol!”.

— Czy mogę zrobić panu kawę?

— Nie, dziękuję. Pójdę teraz do suszarni, chciałbym rozmawiać z kierownikiem — gdzie mogę go znaleźć?

— W suszarni. — Dziewczyna wstaje, podchodzi do okna, pokazuje stojący pod lasem budynek z blaszanym kominem i gruszką cyklonu na dachu.

Dziewczyna jest ładna. Nawet bardzo ładna. Ma długie, kasztanowe włosy, delikatne rysy, zielone oczy. Co ona tu robi?

— Pani tu jest na stażu?

— Tak, dostałam przydział jako zootechnik, na razie jestem, jak pan widzi, trochę sekretarką dyrektora.

Dziewczyna dostaje Piłę, rozmawia z kimś, kładzie słuchawkę.

— Za godzinę przyjedzie kierownik budowy.

— Świetnie. Dziękuję pani. Przez ten czas zorientuję się o co chodzi, co tam znów nie pasuje.

— Ale czy pan już po obiedzie? Może zje pan u nas w stołówce, mamy dobrą kuchnię, niech pan się nie boi.

— Dziękuję, już jadłem — po drodze, nie będę sprawiał kłopotu. Uśmiecham się do niej:

— Nie wiem, którądy jedzie się do suszarni.

— Pojadę z panem. Właściwie i tak nie mam tu nic do roboty.

Suszarnię znałem z planów. Przy bramie waga wozowa, po prawej — portiernia z pomieszczeniem kontroli technicznej, na przeciw — plac manipulacyjny dla ciągników dowożących ziemniaki. Budynek suszarni stoi prostopadłe do wjazdu i szczytem przylega do znajdującego się w głębi magazynu; razem tworzą literę L.

Wysiadamy, wchodzimy do budynku suszarni. W środku panuje półmrok. Dopiero po chwili wzrok przyzwyczaja się i z olbrzymiej, przytłaczającej, ponurej piramidy żelaza wyłaniają się szczegóły, nabierają sensu: przenośniki, leje zsypowe, belki konstrukcji wsporczej. A więc to jest adapter ziemniaczany, mój aktualny chleb. Na rysunkach wyglądał znacznie przyjemniej.

— Kierownik pewnie jest w magazynie, zaraz go przyprowadzę.

Dziewczyna znika gdzieś w głębi, a ja zabieram się do oględzin potwora. Obchodzę go dookoła, staram się zidentyfikować poszczególne, znane mi już z dokumentacji zespoły. Na wprost mnie — szeroki, płaski przenośnik z setkami sterzących kołców — niby łożo fakira-giganta. Podchodzę, dotykam ręką — to są ostrza przebitych przez drewniane szczeble przenośnika trzycałowych gwoździ; nad przenośnikiem, już powyżej mojej głowy, taki sam kołczasty bęben. Cała ta maszyna kojarzy mi się z czymś już znanym, z czymś złym, groźnym, koszmarnym.

— O właśnie! I to też! Panie, jak można było coś takiego wstawić? Przecież to się będzie gięło, rdzewiało! Przecież to są zwykłe gwoździe! — Za mną stoi kierownik. Jest sam, dziewczyny nie ma.

— Dzień dobry panu, pan jest kierownikiem suszarni? — wyciągam rękę, przedstawiam się.

— Panie! Co my tu mamy z tym waszym adapterem. Niech to krew zaleje! Ja już trzy miesiące nic nie robię, tylko użeram się z wykonawcą, z wami, z dyrekcją — ciągle jakieś błędy w dokumentacji, ciągle coś nie pasuje. A to rozstaw śrub kotwowych, a to silnik nie ten co potrzeba — teraz znów to! — Wskazuje ręką w górę. — To już koniec! Co z tym zrobić?

Natychmiast orientuję się o co chodzi. Wysoko, pod stropem wylot podnośnika kubelkowego mija się z lejem zasypowym dozownika, wypada dużo poniżej krawędzi. Podnośnika nie można wydłużyć w górę, bo do stropu zaledwie parę centymetrów, a brakuje z pół metra.

— Panie, to musi ruszyć przed końcem roku, co dzień dzwo-
nią z Ministerstwa, z Komitetu Wojewódzkiego, z Wydziału
Rolnictwa...

Ruchem ręki przerywam ten potok żalu. Trzeba sprawdzić
skąd się to wzięło. Rozkładałam rysunki, porównuję wymiary
— wszystko się zgadza. Czyli — zrobiono coś niezgodnie z rysun-
kiem i teraz muszę kontrolować wymiar po wymiarze. Zwracam
się do dziewczyny:

— Czy może mi pani pomóc? — Nie czekając na odpowiedź
podaję jej koniec taśmy mierniczej. — Niech pani trzyma tu,
przy tej krawędzi! — Sam wdrapuję się po konstrukcji wsporczej
na górę.

Mierzymy, sprawdzamy i wreszcie, po piętnastu minutach
znajduję błąd. Dozownik ziemniaków, wraz z całym zespołem
separującym kamienie usadowione są za wysoko, właśnie o trzy-
dzieści centymetrów. Pokazuję kierownikowi suszarni na czym
polega błąd — dół, w którym znajduje się fundament jest za
płytki.

Rozmowie przysłuchuje się jakiś staruszek — zjawił się nie-
postrzeżenie, teraz odzywa się:

— Ja wiem jak to było. Kopali ten dół, kopali — aż im
się pokazała woda. To powiedzieli, że dalej nie mogą i zrobili
szalunek i potem betonowali i kłócili się z majstrem co przy-
jechał na drugi dzień i kazał im to rozwalać. Ale potem suszar-
nia miała już ruszyć z zielonką, to nie mogli robić i tak zostało...

Wyjmuję ekspertyzę hydro-geologiczną. Lustro wody grun-
towej powinno być dwa metry poniżej zera budynku. Ale pewnie
wahania z pół metra, a o tym w ekspertyzie — ani słowa. Pro-
jektant przeczytał dwa metry, więc wszystko w porządku, a tamci
nie mogli kopać głębiej, bo akurat woda była wyżej i mieli
termin na karku, więc zrobili jak mogli. Tylko co teraz? Notatka
służbowa nie uruchomi adaptera. Wchodzę znów na górę, oglą-
dam krawędź leja. Wypalić otwór i dospawać kosz niżej — to
jedyne wyjście.

Robię szkice, wkrótce zjawia się przedstawiciel wykonawcy.
Wyjaśniam o co chodzi, co mają zrobić. Jutro — choć to sobota
przedświąteczna — przysła spawacza, po świętach można będzie
zrobić rozruch. Przechodzimy do kantoru, spisuję notatkę. Py-
tam o książkę nadzoru budowy, chcę wpisać polecenie. „Nie ma,

zabrał inspektor” — przedstawiciel wykonawcy patrzy znacząco
na kierownika suszarni.

Macham ręką; wolą to załatwić pomiędzy sobą, to ich sprawa.
Ja spełniłem swoje zadanie — jak na pierwszy raz, poszło
nieźle — mogę teraz wracać do Warszawy.

I znów widzę dziewczynę. Stoi obok, patrzy na mnie swoimi
zielonymi oczami, uśmiecha się. Była tu cały czas.

Wychodzimy z budynku. Jest lekki mrozek, niebo wygwieź-
dzone, księżyc jeszcze nie ma.

— Gdzie panią podwieźć?

— Jedziemy do biura, dyrektor na pewno już wrócił.

— Ja już nie mam po co — wszystko załatwiłem, muszę się
zbierać.

— Ależ nie może pan przecież — taki kawał, po nocy. Zje
pan kolację, wykąpie się — spogląda na mnie krytycznie —
ubranie oczyści, buty. Potem wyśpi się pan porządnie i rano
pojedzie do Warszawy.

Biura projektów żyją rytmem kwartalnym. Co trzy miesiące
odbywa się podliczenie wykonania planu przez poszczególne pra-
cownie i zespoły oraz — wypłata premii. Na początku każdego
kwartału nikomu nie śpieszy się, nikt nikogo nie goni i nawet
ludzie uśmiechają się do siebie. Od połowy kwartału tempo
pracy ożywia się znacznie, a ostatnie dwa tygodnie to już
gorączkowa bieżanina; wszyscy stają się nerwowi i wszystko jest
pilne. Światła w oknach palą się do późnych godzin wieczor-
nych, w hali maszyn piętrzą się stosy najpilniejszych (te z czer-
woną adnotacją dyrektora) opisów, introligatornia zawałona jest
robotą.

Potem urzędują komisje inwentaryzacyjne, które spisują stan
zaawansowania poszczególnych projektów, a potem następuje od-
prężenie. Spokój zakłóca jeszcze ceremonia dzielenia premii, ale
ów podział, choć sumy są duże, na ogół przebiega harmonijnie
i sytuacje konfliktowe są raczej rzadkością. Zależy to zresztą
od kierownictwa biura, a przede wszystkim od tego, ile jest do
podziału. Roman określał to lapidarnie: „Świnie nie żrą się przy
pełnym korycie”.

Ten styl pracy biur projektów (i nie tylko biur projektów)
wynika z tak zwanych trudności obiektywnych. Otóż w dżungli
zarządzeń i przepisów inwestycyjnych, pośród sprzecznych naj-
częściej interesów setek instancji i instytucji, każda próba po-
pchnięcia projektu do przodu napotyka na niezliczone przeszkody.
Formalne i techniczne, polityczne i ekonomiczne, istotne i nie-
istotne, we władzach terenowych i centralnych, partyjnych i ad-
ministracyjnych — nie ma mowy, żeby jednostka, choćby i wielką

była figurą... Konieczna jest mobilizacja wszystkich zainteresowanych, uderzenie wspólnymi siłami.

Instancje i instytucje w terenie może zmobilizować jakiś telefon z Komitetu Centralnego, Wojewódzkiego, Powiatowego — zależnie od szczebla i rangi inwestycji: „Towarzyszu, nie stawiajcie trudności, wiecie — zależy nam na tej inwestycji... Tak, rozumiemy, sprawy higieny i ochrony środowiska są ważne, ale to będzie można później uzupełnić, na razie towarzyszu, to są zadania priorytetowe i Towarzysz Sekretarz (tu pada nazwa instancji partyjnej o szczebel wyżej) prosił mnie osobiście, żebym tę sprawę popchnął do przodu. Acha, jeszcze jedno: wasze podanie towarzyszu w sprawie zezwolenia na budowę domku jednorodzinnego — poprzemy! Tak, już rozmawiałem z powiatowym architektem!”. Może to być zresztą podanie o przydział Wartburga albo Fiata, o zezwolenie na założenie hodowli nutrii w pobliżu ośrodka rekreacyjnego „Szczęśliwa Starość”, o umieszczenie teściowej w szpitalu powiatowym — ot, takie drobiazgi życia codziennego. Ważne jest tak zwane ludzkie podejście — precz ze schematyzmem, biurokracją i skostniałymi przepisami — jeśli to sam Towarzysz Sekretarz osobiście...

Załogę biura projektów może zmobilizować do maksymalnego wysiłku tylko rozliczenie projektu — czyli koniec kwartału.

Tymczasem w Płochocinie ostatnie dni roku upływały spokojnie, w atmosferze Świąt i wypoczynku. Wielu wzięło urlopy lub chorowało — zwłaszcza młodzież, która w tym czasie miała również kilkudniową przerwę w szkołach i na wyższych uczelniach.

Zagadnąłem Romana, czemu należy przypisać ten spokój, tak niezwykle na parę dni przed końcem kwartału. Uśmiechnął się tylko w odpowiedzi i wyciągnął arkusz rozliczeniowy planu: na dole kolumny widniała cyfra dwa miliony. To było dużo, nawet bardzo dużo.

— Rozumiesz co to znaczy? To znaczy, że premia w zespole wyniesie ponad dwieście pięćdziesiąt procent — czyli niektórzy wezmą po trzydzieści parę tysięcy. I głupotą byłoby śrubować jeszcze wyżej — licho nie śpi.

Jasne. Takie sumy mogą już być niebezpieczne, mogą ściągnąć na kark różne kontrole — z banku, z Ministerstwa, nawet z NIK'u.

— Jak sam przyjacielu widzisz — nie jest źle i nie ma potrzeby gonić!

W połowie stycznia dyrekcja zatwierdziła fundusz premiowy dla naszej pracowni i Roman przystąpił do dzielenia łupu wśród członków zespołu technologicznego. Forsy było dużo. Wszyscy

byli w doskonałych humorach, Roman dowcipkował i od czasu do czasu, kiedy nie zgadzały mu się sumy, wołał:

— Kto z państwa chce jeszcze pięćset? Mam za dużo i muszę komuś dołożyć. Pierwszeństwo mają nieżonaci — komu, komu?

Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że obfity połów był niewątpliwą zasługą Prałata. I wszyscy wiedzieli, że los niesprawiedliwy pokrzywdzi naszego wodza i dobroczyńcę, bo Prałat, jako kierownik pracowni dostawał premię z puli dyrekcyjnej, czyli jakieś nędzne ochłapy — dziesięć, piętnaście tysięcy, najwyżej. Trzeba więc było naprawić krzywdę i Prałat przydzielił nam jeszcze dodatkowo trzydzieści tysięcy — do podziału pomiędzy „szczególnie zasłużonych”. To była forsa dla Prałata i przy wypłacie trzeba było mu ją zwrócić, a owi „szczególnie zasłużeni”, to było kilku wybranych, godnych zaufania kolegów, o których wiadomo było, że w razie czego, potrafią trzymać gębę na kłódkę.

Szybko zadomowiłem się w Płochocinie. Parę razy poszedłem z nowymi kolegami na wódkę — pijano zwykle w „Cybernetyku” w Alejach Jerozolimskich albo w „Maksimie” na Złotej. No i oczywiście w pracowni. Prawie codziennie zakrapiano wódką śniadania i nie wypadało wyłamywać się.

Duszą towarzystwa był zastępca Romana — Zbyszek Karwicki. Drobny, łysawy blondynek koło czterdziestki odznaczał się, oprócz elokwencji i dowcipu, nieprawdopodobnie mocną głową; litr wódki, wydawało się, nie robił na nim wrażenia. On też zazwyczaj inicjował zbiórki. Zwracał się głośno, tak, aby go wszyscy słyszeli do pana Ireneusza:

— Panie Ireneuszu, chłodno tu dziś, nie czuje pan?

Pan Ireneusz oczywiście zgadzał się z panem inżynierem i z kapeluszem w ręku obchodził zainteresowanych. Przyjęta stawka było dwadzieścia złotych, czyli w przeliczeniu — pół litra na trzech i kawałek kaszanki. Czasem Manius przywoził „gwoździówkę”, czyli surówkę z gorzelnii. Nazwa trunku pochodziła od sposobu, w jaki go „uzyskiwano”. W gorzelnianach wszystkie złącza i zawory aparatury są plombowane — aż do zbiorników spirytusu, których opróżnianie odbywa się w obecności komisji. Ale złącza zaopatrzone są w miękkie uszczelki i jeśli w taką uszczelkę wbije się gwoździe i potem wyciągnie, to pozostaje niewielki otwór, przez który sączy się życiodajny płyn — kap, kap do podstawionej fiaszki. Po pewnym czasie otwór zasysa się i znika bez śladu i nic nikomu nie można udowodnić, bo przecież plomby pozostają nienaruszone.

Organizację partyjną w zespole reprezentowała doborowa

trójka: zezowaty Maniś — specjalista od gwoździówki, Antos Walet zwany przez kolegów wariatem (podobno miał nawet „wariackie papiery”) i Jacuś Wawrzyniak — inżynier leśnik — czerstwy, rumiany i beznadziejnie tępy. Nie bardzo wiedziałem, co taki Jacuś robi w naszym zespole i przy okazji zapytałem o to Romana.

— Waśkiewicz kazał go przyjąć, to jego zięć. Ale nie bój się, pożytek przynosi. Otóż młodzi bywają prawie codziennie u rodziców. Po kolacji panowie piją koniak i stary rozmawia z zięciem — najczęściej dzieli się z nim pomysłami, uwagami i opiniami z zakresu swojej działalności. A na drugi dzień Jacuś mi to wszystko opowiada — ot, taka nasza Mata Hari. Przydaje się.

Wkrótce sam miałem okazję przekonać się o zaletach takiego układu. Któregoś dnia Roman zawołał mnie do siebie z samego rana.

— Ubieraj się, za dziesięć minut mamy pociąg — jedziemy do Ministerstwa, Waśkiewicz czeka.

— Co się stało?

— Opowiem ci w pociągu, teraz nie ma czasu.

Chodziło o „wypowiedź naukowca”. Otóż w jednym z zespołów adaptera ziemniaczanego pękała poprzeczka, na której wsparte było łożysko bębna wstępnego suszenia. Poprzeczka była za słaba, ale na grubszą nie było miejsca i trzeba było przekonstruować ten węzeł. Ale Waśkiewicz uważał, że należy sprawę załatwić inaczej. Że wypada problem rozwiązać naukowo: polecić Politechnice wykonanie ekspertyzy, zbadać przyczyny i dopiero wówczas coś postanowić.

Niby słusznie. Tyle, że Waśkiewiczowi chodziło o coś zupełnie innego; po prostu zależało mu na wciągnięciu do współpracy Politechniki. Dzięki temu podnosił prestiż departamentu i swojej osoby zaś adapter ziemniaczany urastał do poważnego zagadnienia, co najmniej na miarę lotów kosmicznych. Poza tym, w razie niepowodzeń, których nigdy przecie nie można wykluczyć, zawsze mógł się wykazać: „Robimy Towarzyszu Ministrze co w naszej mocy: współpracujemy z naukowcami, zleciliśmy pewne problemy do opracowania Politechnice — ale rozumiecie — postęp techniczny, to sprawa trudna. Korzystamy z pomocy najwybitniejszych ludzi polskiej nauki i techniki, ale na efekty trzeba poczekać, nie dądzą się ot tak, z rękawa...”. A przy tym, jako laika o ambicjach technicznych (któż z nas będąc chłopcem nie miał takich ambicji?) podniecały go różne naukowe sformułowania. Na przykład — „współczynnik dynamiczny spiętrzenia naprężeń”. To brzmiało.

Na jesieni kazał zlecić problem poprzeczki do opracowania na Politechnice. Ale — nie zlecono. Umowa ugrzęzła w naszej

dyrekcji, potem zapomniano. Aż tu Waśkiewiczowi wczoraj nagle odbiło i dzwonił, żeby dowiedzieć się kiedy wreszcie będzie gotowa ekspertyza. Prałat coś mu tam opowiadał, że trudności... — wtedy zażądał bliższych informacji — gdzie to utknęło, kto się tym zajmuje itd. On sam będzie interweniował w tej sprawie, to nie może czekać, zadania jakie Partia i Rząd...

— Sam rozumiesz, co za chryja może z tego wyniknąć.

— No tak, ale co ja mam z tym wspólnego?

— Możesz nas wszystkich uratować.

— W jaki sposób — przez Politechnikę?

— Nie. Jeszcze prościej. Słuchaj uważnie: Waśkiewicz ciebie nie zna. Otóż powiemy mu, że jesteś naukowcem i zaangażowaliśmy ciebie specjalnie w celu rozwikłania tej zaszranego poprzeczki.

— No i co ja mam robić?

— Nic, mówić. Dużo, płynnie i najważniejsze, żeby naukowo — możliwie dużo naukowych wyrażonek. Ty to umiesz, dasz sobie radę.

Kiedy czekaliśmy w sekretariacie na przyjęcie, zacząłem odczuwać coś w rodzaju tremy. Nie z powodu stanowiska — w czasie mojej kariery miewałem do czynienia z różnymi szczytami. Ale o Waśkiewicz zdażyłem się już dość nasłuchać a przy tym „człowiek Moczara” — to brzmiało poważnie. No i w dodatku — moja dzisiejsza misja była dość niecodzienna.

Poproszono nas. Gabinet Waśkiewicza był skromny; on sam też mnie rozczarował — przypominał raczej rządę folwarku niż dyrektora departamentu. Miał na sobie białą koszulę, krawat, ciemny garnitur, ale był z gatunku ludzi, którzy zawsze, niezależnie od tego jak są ubrani, wyglądają niechlujnie. Nalana tłuszcem, czerwona twarz z porowatą skórą i bulwiastym nosem, w fałdach podbródka niewygolona szczecina zarostu, krótki, byczy kark wbity w przyciasny kołnierzyk koszuli — rano pewnie czystej, teraz już przepoconej i nieświeżej. Dość jeszcze gęste, mocno szpakowate, prawie siwe włosy zwisały nad czołem tłustymi kosmykami. Dłoń miał miękką, spoconą i zimną i mówił jakimś świszczącym, chrypliwym głosem.

Roman zagaił, rozłożył na stole rysunki i oddał mi głos. Zacząłem mówić o drganiach własnych, drganiach wymuszonych, o rezonansie — szło mi całkiem nieźle i widziałem, że Waśkiewicz słucha z uwagą. Wreszcie wydało mi się, że powiedziałem już dosyć i zakończyłem efektownym zdaniem, do którego wsadziłem — niezbyt zresztą z sensem, coś na temat logarytmicznego dekrementu tłumienia — żeby były i wyrażonek.

To zakończenie widać bardzo podobało się Waśkiewiczowi,

bo po chwili milczenia zapytał, czy owego dekrementu nie można by zrobić z lepszego materiału.

— Z kosztami nie musimy się liczyć — to są zadania priorytetowe, Partia i Rząd koncentrują teraz całą uwagę na sprawach hodowli i przemysłu paszowego i jeśli cokolwiek będzie potrzebne — wytrzaśniemy spod ziemi!

Nie, nie roześmiałem się. Ale sobie zaszalałem. Zacząłem nawijać coś bez ładu i składu o stopniach swobody, o superpozycji, o przyspieszeniu Coriolisa, impedancji, dudnieniu i relaksacji, o układach całkujących — co mi ślina na język przyniosła. Wreszcie, kiedy zacząłem nieszczęsny adapter ziemniaczany rozwijać na szereg Fouriera, poczułem silne kopnięcie w kostkę. To Roman — uznał widać, że wystarczy. Więc wyłączyłem.

Następny dzień był dniem tryumfu. Od samego rana Jacuś opowiadał wszystkim wkoło, jak to „stary” cały wieczór mówił z zachwytem o takim młodym naukowcu z Płochocina. Co za siła! Jak też im się udało takiego ściągnąć? Żeby tylko nie uciekł — trzeba mu dać, ile tylko można!

Stopniowo wciągałem się w tematykę.

Ów adapter ziemniaczany jedynie na pozór był urządzeniem dojrzałym. W rzeczywistości cały szereg elementów wymagał ulepszeń i na te prace przeznaczono milion złotych.

Będąc z zamyślenia konstruktorem, czyli tym, który stara się pogodzić prawidłowe funkcjonowanie maszyny z możliwościami finansowymi, materiałowymi i technologicznymi jakimi dysponuje dana fabryka, koncern lub Partia zacząłem interesować się bliżej adapterem ziemniaczanym. W pierwszym rzędzie chodziło tu o dokładne odseparowanie kamieni. Ziemniaki zbierano mechanicznie, a kombajn — wiadomo — maszyna ślepa i bezrozumna nie odróżni ziemniaka od kamienia, zwłaszcza, jeśli obydwa są podobnego kształtu i wielkości. Pozbycie się kamieni, których zawartość dochodziła czasem do trzydziestu procent było więc zadaniem numer jeden i funkcję tę spełniał tzw. kolczasty separator — obwarowany patentami wynalazek dyrektora Waśkiewicza, serce adaptera.

A raczej — miał spełniać, bo urządzenie, choć niezwykle pomysłowe i nie mniej skomplikowane, niestety nie gwarantowało stuprocentowego oddzielenia kamieni. Jego zasada działania była równie prosta jak nieskuteczna: mieszanina kartofli i kamieni spada na kolczasty bęben — kartofle nabijają się na kolce i przechodzą dalej, a kamień, jako, że twardy i na kołce się nie nabija — odskakuje na bok. Wiele kamieni postępowało zgodnie z życzeniem wynalazcy. Ale jeszcze więcej złośliwie wbijało się pomiędzy kolce i w ten sposób, udając ziemniaki, zdradziecko przekra-

dało się dalej. Skutki tego są fatalne. Bo jeśli kamień dostanie się do kralownicy, to wirujące z olbrzymią szybkością noże natychmiast pękają, szczerbią się i trzeba je wymieniać. Czyli zatrzymać linię. Aby ograniczyć owe przestoje, stosuje się z reguły dwie kralownice — w razie awarii strumień ziemniaków można skierować do drugiej, rezerwowej i w tym czasie wymienić uszkodzone noże. Pomysł dobry, tylko, że jeśli kamieni jest dużo (a jest ich zawsze dużo) — to nie nadsza się zmieniać noży. Linię trzeba zatrzymać, bęben suszący idzie na pusto, straty energii elektrycznej, cieplnej, spadek wydajności linii itd. A Kraj czeka na paszę! Zadania, jakie Partia i Rząd... nie cierpią zwłoki! To trzeba, towarzysze, ograniczyć do minimum!

Nieco później dowiedziałem się, że nie jest to jedyna wada Waśkiewiczowego adaptera. Wprawdzie ta druga wada nie wpada tak w oko, ale w skutkach jest o wiele bardziej nieprzyjemna. Chodzi mianowicie o domieszkę krzemionki w paszy — jeśli jest ona zbyt duża, to świnię dostają biegunki i nie przybierają na wadze. Choć osobiście nigdy nie miałem zbyt wielkiego pojęcia o hodowli świń, paszach itd. wydało mi się to logiczne: kto niby próbował świnię piaskiem tuczyć? A właśnie nasz adapter również i tu zawodził — nie gwarantował dostatecznego oczyszczenia ziemniaków z błota i piasku i w skutek tego, zawartość krzemionki w gotowym produkcie znacznie przekraczała dopuszczalny normą poziom. Często przekraczała dziesięciokrotnie.

Jako człowiek z natury dociekliwy, zacząłem grzebać w literaturze. Przecież przemysłowy przerób ziemniaków nie jest rzeczą nową. Ludzie zajmują się tym już chyba dwieście lat i niejedynemu musiał sobie głowę nad tym czyszczeniem kartofli łamać. Trzeba popatrzeć co już wymyślono, w jakim kierunku szły poszukiwania itd.

Odpowiedzi na te pytania nie musiałem długo szukać. Znalazłem je na pierwszych stronach, pierwszego, jaki wpadł mi w ręce podręcznik gorzelnictwa — MYCIE WODĄ!

Genialne! Łęty, piasek, glina — wszystko to precz, woda zabierze!

Pozostają jeszcze kamienie — co z nimi? Po dalszych pięciu minutach studiowania literatury znalazłem i na nie sposób. Wykorzystuje się różnicę ciężaru właściwego kartofli i kamieni — silny strumień wody unosi niewiele cięższe od wody kartofle, a kamienie, znacznie cięższe, nie dają się porwać prądowi i spokojnie opadają na dno komory. Od czasu do czasu wygarnia się je stamtąd, całkiem zwyczajnie widłami.

Byłem wprost wstrząśnięty wielkością geniuszu ludzkiego umysłu. Pozostawało jedynie wyjaśnić, dlaczego tej metody nie

stosuje się w suszarniach ziemniaków. Któregoś dnia zaczęłam o to Romana. Spojrzał na mnie niechętnie, rzucił:

— Nie opłaca się. — Wyraźnie nie miał ochoty na dalszą rozmowę.

Teraz musiałem wyjaśnić, co znaczy owe „Nie opłaca się”. I znów — pomogła mi literatura. Otóż w czasie mycia ziemniaki nasiakają wodą, wchłaniają jej do dziesięciu procent; a my przecież mamy je suszyć — więc później, w trakcie suszenia trzeba doprowadzić więcej ciepła, żeby odparować jeszcze i tę, dodatkową wodę. Jestem osioł, że nie wpadłem na tak prostą rzecz.

Ale rzucone wówczas przez Romana „Nie opłaca się” wcale nie odnosiło się do bilansu energetycznego procesu suszenia, lecz do zarobków projektantów. Upewnił mnie w tym Zbyszek Karwicki. Zapytałem go kiedyś, czy próbowano zrobić analizę porównawczą kosztów suchej metody czyszczenia surowca w odniesieniu do zwykłego mycia. I żeby w tej analizie znalazły się i nakłady inwestycyjne, eksploatacyjne — i koszt energii elektrycznej i opału i wreszcie — faktor uwzględniający jakość produktu. Bo co z tego, że produkuje się tanio, jeśli produkt nie jest pełnowartościowy... Może lepiej byłoby zrezygnować z postępu i wrócić do mycia?

Zbysio najpierw popatrzył na mnie uważnie, potem uśmiechnął się i odezwał łagodnie:

— Andrzejku. Krótko się znamy, ale polubiłem cię. I żał byłoby się z tobą rozstawać.

Cholera! Musiałem palnąć jakieś skandaliczne głupstwo. To było nie do uniknięcia — skończyłem Wydział Budowy Samochodów i z hodowlą świń, paszami i krzemionką łączyło mnie do tej pory jedynie pojęcie kotleta schabowego. Ale w dalszym ciągu nie rozumiałem.

— Zbysiu, nie złość się. Postawię ci litra, tylko wytłumacz mi!

— Nie musisz mi stawiać litra. Jeśli rzeczywiście nie wiesz, to ci powiem. Ale, wyznam szczerze, zawiodłem się trochę na tobie — miałem cię za człowieka inteligentnego.

— Dobra. Jestem tępy, od dziecka.

— No właśnie! Dobrze chociaż, że to wiesz i przynajmniej się do tego. Otóż kochasiu — Zbyszek miał taki dziwny sposób mówienia — zapamiętaj sobie raz na zawsze, że nasza pracownia istnieje tylko po to, żeby rozpowszechniać suche adaptery. Bo pan dyrektor Waśkiewicz je wymyślił, uważa je za lepsze i basta. Jeśli chcesz dyskutować, to lepiej od razu złóż wypowiedzenie. Ale

myślałem, że przyszedłeś tu, aby zarobić parę groszy. Czyżbym się mylił?

Nie mylił się. Po to tu przyszedłem. Sprzedałem już nawet Trabanta, pożyczyłem od Budzyka czterdzieści i właśnie zadatkowałem Wartburga. Wiśniowego, z białą tapicerką.

Waśkiewicz też zdawał sobie sprawę z niedoskonałości adaptera i jego twórcza myśl wciąż krążyła wokół kamieni, które przekradały się przez kolczasty separator. Sprawa krzemionki w suszu nie wydawała mu się tak istotna — twierdził, że niewielka jej domieszka pobudza układ trawienny świni i w rezultacie wpływa korzystnie na tucz. Poza tym — przecież nigdy nie karmi się świń samym suszem ziemniaczanym, susz jest jednym ze składników mieszanki paszowej — dwadzieścia do trzydziestu procent. Zakładając, że zawartość krzemionki w innych komponentach jest równa zeru, okazuje się, że w końcu niewiele jej trafia do świńskich żołądków — akurat tyle, ile trzeba dla podniesienia apetytu. Ale te cholerne kamienie!

Chwytał skrawki papieru, czasem wręcz na pudełku papierosów utrwał swe genialne pomysły i potem wzywał mnie i Romana do siebie, aby je z nami przekonsultować. Pomysły te nie zawsze były w pełni dojrzałe i w trakcie narady spotykały się niekiedy z naszym, dyskretnie tłumionym sceptycyzmem. Waśkiewicza to nie peszyło, ale czasem strofował nas po ojcowsku:

— Zrozumcież panowie! Przecież to wam Partia i Rząd powierzyły zaszczytne i odpowiedzialne zadanie wdrażania postępu technicznego, to wy jesteście mózgiem technicznym klasy robotniczej i całego narodu. Ja was tylko zapładniam, podsuwam pomysły — ale ja mam na głowie cały departament i to jest waszym zadaniem...

Kiwaliśmy ze skruczą głowami, obiecywaliśmy poprawę.

— Ja przecież nie jestem inżynierem. Kiedy ja byłem młody, w zafowanej Polsce sanacyjnej nie było miejsca na Politechnikach dla takich jak ja. Ale wy? Wam Partia i Rząd dały wykształcenia, dały do ręki wspinały instrument jakim jest współczesna technika i wy musicie, waszym obowiązkiem...

Wzdychał w zadumie, widać było jego rozczarowanie do naszej tępoty, nieczułości, braku inicjatywy twórczej. Ale potem ożywał się i znów był sobą — wielkim geniuszem, a przecie tak skromnym:

— Ja jestem laikiem (Ależ skądże, Panie Dyrektorze, Pan wykazuje wielką intuicję techniczną i w ogóle...) — nie wiem, może błędę — może nie kolce? Może ultradźwięki, promienie

Rentgena, izotopy? Musicie nad tym pracować, iść do przodu, a nie dreptać w miejscu i czekać, aż postęp techniczny spadnie wam z nieba!

Izotopy, ultradźwięki i promienie Rentgena udało się przesunąć na później — za parę lat, kiedy sucha metoda okrzepnie, rozpowszechni się tak, że każdy chłop będzie mógł kupić sobie adapter (taki mały model dla gospodarstw indywidualnych). Wówczas można będzie radykalnie pójść do przodu. Ale inne pomysły Waśkiewicza trzeba było brać na warsztat i Roman z całym samozaparciem konstruował coraz to nowe, coraz dziwniejsze separatory.

Jednym z takich właśnie eksperymentalnych rozwiązań był „dziobak”. Wzdłuż przenośnika z surowcem ustawiony był szereg dźwigni zaopatrzonych w kolce. Dźwignie poruszały się ruchem wahadłowym w górę i w dół i nabijały na ów kolec kartofle wydzielając je z taśmociągu. Prototyp wyglądał ładnie i jeden z kolegów, który był kiedyś w Teksasie powiedział, że z daleka owe kiwające się dźwignie przypominają mu widok pól naftowych, bo tam też stoją szeregami takie kiwające się pompy. Niestety — pokładane w nim nadzieje dziobak spełniał jedynie w nieznacznym stopniu: kamieniowi wprowadzić żadnemu nie przepuścił, nawet całkiem podobny do ziemniaka nie przemknął się do kralownicy. Ale jednocześnie uchodziło mu wiele, zbyt wiele kartofli. Wydziobywał najwyżej jedną piątą, a pozostałe cztery piąte szły wraz z kamieniami do śmietnika.

Prace studialne szły uparcie dalej i warto tu wspomnieć o kolejnej mutacji separatora, tak zwanym „wiatraku”. Jego zasada działania była podobna do „dziobaka”, ale kolce umieszczone były nie na kiwających się dźwigniach, lecz na końcach ramion obracającego się wiatraka. W trakcie badań prototypu doszło do niemiłego incydentu, który świadczył o niskiej wciąż jeszcze świadomości klasy robotniczej. A przecież to dla niej Partia i Rząd nie szczędzą wysiłków...

Otóż najpierw wiatrak kręcił się za wolno i kartofle nie chciały się nabijać na kolce. Zmieniono więc przełożenie i podłączono nowy silnik — żeby szybciej. Staliśmy w napięciu wokół prototypu, porcja kartofli zmieszanych z kamieniami czekała już w rynnie zasypowej. Jeden z robotników dociągał śruby — potem podniósł się, powiedział „Gotowe” i Roman włączył silnik. Wiatrak ruszył jak oszalały i po chwili kartofle i kamienie, wyrzucane jak z kulomiotu jęły gwizdać po hali. Ktoś krzyknął: „Lotnik — kryj się”, ktoś inny wyłączył silnik i śmiech jak lawina potoczył się wśród zebranych. Rechotali głośno i bezczelnie — Roman stał czerwony, wściekły — zdawał sobie sprawę z idiotyzmu tych wszystkich dziobako-wiatraków i ze swojej

w nich roli. Burknął coś o „głupich skurwysynach”, tamci usłyszeli i zrobiło się głupio. Umilkli i rozchodzili się po hali.

To było niepotrzebne. Z robotnikami mieliśmy ciągle do czynienia i dobre stosunki przydawały się. Poza tym, to były dobre chłopaki, tylko po prostu nie doceniali powagi zadań, jakie Partia i Rząd stawiały przed nami, inteligencją techniczną. Więc potem, żeby ich zblatować, Roman posłał pana Ireneusza po wódkę i wspólnie obaliliśmy litra, bo tylko w jedności, tylko zwartą postawą całego narodu można marzyć o spełnieniu ambitnych zadań, jakie Partia i Rząd itd.

Roboty mieliśmy dosyć. Do biura wpływały wciąż nowe i nowe zlecenia na projekty adapterów ziemniaczanych. Departament przeznaczył na przyszły rok pół miliarda limitu inwestycyjnego a to oznaczało, że musimy przygotować dokumentację dla około dwudziestu suszarń.

W PGR'ach jednak przyjmowano nas bez entuzjazmu i o ile można się było zorientować z rzucanych półgębkiem słów, z nieśmiałyh wypowiedzi ludzi z terenu — powodem owego biernego oporu nie była nawet wrodzona niechęć dyrektorów do wszelkiego rodzaju postępu. Po prostu — nasze adaptery nie cieszyły się dobrą sławą i dyrektorzy tych PGR'ów, które zostały już nimi obdarzone narzekali na ciągłe awarie i na złą jakość produktu — w wielu wypadkach centrale skupu nie chciały w ogóle przyjmować suszu ze zbyt wysoką domieszką krzemionki.

Ale inwestycje narzucane były przez Ministerstwo i dyrektorzy nie mieli wiele do powiedzenia. Przyjmowali adaptery jak dopust boży i przyznam się szczerze — zaczynałem rozumieć ich postawę.

Dyrektor Departamentu Trzody Chlewnej Wieprzycki darł koty z Waśkiewiczem. Antagonizm ten sięgał jeszcze czasów natolińskich — ponoć Wieprzycki był wówczas podopiecznym samego Konstantego. I choć patyna historii pokryła już tamte czasy i tamte wydarzenia — nieskwitowane prywaty tkwiły, sarmackim obyczajem wciąż jeszcze żywe, tu i ówdzie wśród ludzi — nawet tych, najbardziej pochłoniętych pełnieniem zadań, jakie Partia i Rząd... Podobno Dyrektor Departamentu Trzody Chlewnej nie omijał okazji, aby robić Waśkiewiczowi na złość (jemu to najbardziej przeszkadzała krzemionka w paszy), zaś o naszym szefie nie wyrażał się inaczej jak „ten stalinowiec, ten stary idiota — no wiecie, o kim mówię”.

Bratanica Romana była sekretarką samego Wieprzyckiego i dzięki temu Roman był doskonałe we wszystkim wprowadzony. Tą drogą właśnie dowiedzieliśmy się o epokowym zamierzeniu Wieprzyckiego — budowie, jak to sam określał, „fabryki kotletów

schabowych". Miał to być olbrzymi kombinat hodowlany zlokalizowany na Śląsku, przy Państwowym Gospodarstwie Rolnym Pępowice, zaś jego sercem, załącznikiem i jednocześnie pierwszym etapem realizacji była nowoczesna, uniwersalna suszarnia zielonki, kartofli i buraków pastewnych.

Dżentelmeni nie rozmawiają wiele na temat spraw, których załatwienie wymaga specjalnej delikatności i wyjątkowego sprytu — nawet, jeśli życie brutalne i złe zmusza ich od ocierania się o nie, zwłaszcza, jeśli jedna z zaangażowanych osób jest kobietą. Ja i Roman byliśmy dżentelmenami i dlatego nigdy pewnie nie dowiem się, w jaki sposób to właśnie nam dwóm przypadł zaszczyt zorganizowania i objęcia kierownictwa pracowni projektowej przy Państwowym Gospodarstwie Rolnym Pępowice.

Zadaniem nowopowstałej komórki miało być opracowanie dokumentacji projektowej dla wyśniewionej przez Wieprzyckiego „fabryki schabu”. Dlaczego jednak trzeba było zorganizować nową pracownię? Powód był prosty: podstawowym celem inwestycji miało być „odegranie się” Wieprzyckiego na Waśkiewiczu w dalszej zaś konsekwencji — wysadzenie Waśkiewicza z siodła i wzmocnienie pozycji Wieprzyckiego. Aby osiągnąć swoje cele Wieprzycki musiał swą sztandarową inwestycję wyłączyć całkowicie z gestii Departamentu Inwestycji, a tym samym — Waśkiewicza. Było to możliwe jedynie dzięki temu, że przedsięwzięcie miało być finansowane nie z bezpośrednich limitów inwestycyjnych — w tym wypadku zatwierdzanie projektu musiałoby iść via Departament Inwestycji — lecz z funduszy postępu technicznego. Ot, zwykły obiekt eksperymentalny, prywatny poligon Wieprzyckiego.

W tych układach również i my dwaj nie mieliśmy więc problemów z zachowaniem *incognito* — już w trakcie pierwszej naszej rozmowy Wieprzycki zaznaczył:

— Tylko, towarzysze (nie widzieliśmy potrzeby, aby mu wyjaśnić, że my dwaj jeszcze nie dojrzeliliśmy do tego zaszczytnego tytułu) — to ma być niespodzianka. I proszę, zobowiązuję was do zachowania ścisłej tajemnicy. Bo jeśli ten stalinowiec, ten stary idiota, no — wiecie o kim mówię — dowie się zbyt wcześnie, to gotów pokrzyżować nam wszystkie plany.

Nikt nam planów nie pokrzyżował. Dyrektor PGR Pępowice, Alojzy Bacik miał zięcia w Wydziale Rolnictwa Komitetu Wojewódzkiego Partii i wkrótce sam Towarzysz Dostojny — Pierwszy Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego żywo zainteresował się „fabryką schabów”. I odtąd — wszystkie drzwi stały przed nami otworem a opory ze strony terenowych władz budownictwa i planowania załatwiał slogan: „To są, towarzysze zadania prioryte-

towe i sam Towarzysz Dostojny powiedział przez telefon, żebyście wreszcie zmienili wasz styl pracy — a nie tylko zarządzenia i okólniki”.

W marcu nowa komórka została powołana do życia. Liczyła ona ośmiu pracowników — sami póletatowcy i tylko jedna osoba na pełnym etacie: cioteczna siostrzenica Bacika nie dostała się w tym roku na studia i jej właśnie powierzyliśmy funkcję sekretarki. Dziewczyna miała na imię Danusia, wypryski na okrągłej, dziecięcej buzi i nic nie umiała. Ale jej zadania nie były — podobnie jak i pensja — zbyt wielkie: przyjmowała telefony i dbała o zaopatrzenie nowopowstałej komórki w napoje wysokoprocentowe i zakąski.

Dyrektor Bacik dał nam do dyspozycji dwa pokoje. W jednym z nich ustawiono deski kreślarskie, parę biurków i szafę, w drugim — łóżko, wersalkę, kuchenkę elektryczną, lodówkę i telewizor. W ten sposób byliśmy niezależni od hotelu i każdą chwilę naszego pobytu w Pępowicach mogliśmy poświęcać pracy nad projektem.

Od razu też ruszyliśmy z kopyta.

Zima spóźniła się tego roku i jakby chcąc nadrobić zaległości trzymała długo — aż do początków kwietnia. Wszyscy już mieli jej dosyć i nawet Partia i Rząd zaczynały przewidywać wystąpienie pewnych trudności w zaopatrzeniu i realizacji... A potem nagle, w ciągu paru dni śniegi spłynęły, rowy zażółciły się kaczerkami i znów otucha wstąpiła w serca klasy robotniczej i reszty narodu — przyszła wiosna, a wraz z nią — nadzieje na przezwyciężenie trudności przejściowych, jakie od ćwierćwiecza gnębił nasz kraj.

W Pępowicach dobiegał końca montaż pierwszej linii suszarni. Próby technologiczne wypadły pomyślnie — zastosowane przez nas urządzenia do mycia surowca i wodnej separacji kamieni (Państwowy Ośrodek Maszynowy w Pucku od lat specjalizował się w ich produkcji dla potrzeb przemysłu gorzelnianego) były wielokrotnie sprawdzone i wypróbowane i rozruch ich nie nastroczał najmniejszych trudności.

Termin otwarcia suszarni, dla dodania blasku uroczystości ustaliliśmy w porozumieniu z miejscowymi władzami partyjnymi i parafialnymi na Zielone Świątki.

I wszystko odbyło się z wielką pompą!

Goście, goście zjechali! Przedstawiciele powiatowych i wojewódzkich instancji partyjnych — zapowiedział się nawet sam Towarzysz Dostojny.

Pięknie było. Budynek suszarni ustrojony kolorowymi girlandami, kwiatami, wstążkami, falujące łagodnie w majowym wietrzyku flagi, a nad bramą olbrzymi napis:

POLSKA ZJEDNOCZONA PARTIA ROBOTNICZA
— KIEROWNICZA SIŁA NARODU

Pogoda też dopisała: ostre majowe słońce roziskrzyło się tysiącem lśnień w chromach wspaniałych limuzyn, które podjeżdżały pod suszarnię grając wśród zieleni przepychem lakieru. Wsiadali z nich zaproszeni goście i zajmowali miejsca na rozstawionych amfiteatralnie ławach. Wreszcie zaryczały motory eskorty i podjechał czarny Mercedes; wysiadł z niego Towarzysz Dostojny i szedł po purpurowym chodniku wśród wiwatu tłumów. A na przeciw Niemcu — dyrektor Bacik z chlebem i solą. Dziewczęta ubrane na biało sypały kwiatki.

Punkt o dwunastej rozdzwoniły się dzwony w miejscowym kościółku, Dostojny przeciął wstęgę i równy, szary strumień kartofli, ukradkiem pokropiony przez księdza proboszcza, popłynął przenośnikiem taśmowym w górę.

Potem była część artystyczna, a kiedy słońce poczęło schylać się ku zachodowi wytoczono beczułki z piwem, goście zasiedli przy stołach rozstawionych wśród kwitnących czereśni i do późnych godzin nocnych ciągnęła się zdrowa, radosna zabawa.

Ale nie wszyscy brali w niej udział. Kilka stojących na uboczu stołów obsiadła grupa dyrektorów Państwowych Gospodarstw Rolnych — zaproszono nie tylko najbliższych sąsiadów, wielu przybyło z innych województw, z najodleglejszych zakątków kraju. Debaty burzliwe toczyły się przy tamtych stołach i wreszcie, kiedy zabawa ścichać już poczyniała a księżyc złoto-srebrną tarczą wytoczył się wysoko na pepowickie niebo, trzech dyrektorzy — najwidoczniej delegacja wyłoniona spośród tamtych podeszli do Stołu Głównego i z tajemniczymi minami poprosili panów inżynierów o chwilę rozmowy.

Zaintrygowała nas, a nawet w pewnym stopniu zaniepokoiła ta prośba, ale siedzący obok nas dyrektor Bacik powiedział do Romana, że zna tych kolegów i że to są porządne chłopaki. No, więc dobrze — jeżeli to ma być chwila — bo tu dziewczyny jak łanie i panowie inżynierowie radziby się zabawić.

Najstarszy z trójki powiedział:

— Ale gwaro tu, przejdźmy na stronę.

Przeszliśmy na stronę, to znaczy w kierunku owych stojących na uboczu stołów, które w międzyczasie zostały opróżnione.

I znów ten najstarszy, oglądając się, czy uszy czyjeś niepowołane..., rozpoczął szeptem:

— Będę mówił krótko. Otóż macie przed sobą panowie — zwracał się do nas obu nie wiedząc, kto jest szefem, a kto zastępcą — kilku zdecydowanych na wszystko. My już dalej nie chcemy i nie możemy! I właśnie dlatego, że już nie chcemy i nie możemy, pragnęlibyśmy zasięgnąć rady panów inżynierów.

Roman skłonił głowę:

— Jeśli tylko nasze skromne kwalifikacje...

— Panów kwalifikacje nie są skromne, wiemy o tym od dyrektora Bacika, ale w tej chwili chodzi nam raczej, że się tak wyrażę, o postawę moralną.

Nastawiłem uszu. Tamten kontynuował:

— Wiemy, że panowie inżynierowie — wciąż używał liczby mnogiej — że panowie inżynierowie są jedynymi w resorcie — tu znów obejrzał się wokoło i jeszcze bardziej ściszył głos — jedynymi, którzy nie należą do ślepo przekonanych o wyższości suchej metody czyszczenia ziemniaków nad zwykłym myciem...

Mówiący zawiesił głos w oczekiwaniu na naszą reakcję. Roman patrzył na niego uważnie, jakby starając się odgadnąć, czy tamten dokupuje dwie karty do trójki, czy do zwykłej pary, asem lub królem podparte. Rozważał chwilę, potem podniósł oczy na mnie. Skinąłem lekko głową i Roman odchrząknawszy odezwał się:

— No, hm — jakby tu się wyrazić. Przecież chyba nikt z panów nie dostrzegł w dziś nam otwartej suszarni pepowickiej żadnych tam kolczastych idiotyzmów, tylko eleganckie, ekonomiczne i wysokowydajne wodne płuczki i separatory. Przecież to ma być nowoczesna suszarnia! — Zakończył podnosząc z patosem głos.

Twarze tamtych odprężyły się natychmiast, zajaśniały sympatią i zaufaniem. Jeden z nich chwycił rękę Romana, potrząsnął nią:

— Wiedziałem! Wiedziałem, że nawet w Warszawie są jeszcze uczciwi ludzie!

Roman zaoponował z zażenowaniem:

— No, przecież my wszyscy — czy z Galicji, z Warszawy, czy ze Śląska, z ludu, kleru i arystokracji — my wszyscy doceniamy pilność zadań, jakie Partia i Rząd stawiają dziś przed prze-mysłem pasz treściwych. Ale — czymże możemy panom służyć?

Porozumieli się wzrokiem i przywódca podjął:

— Przede wszystkim chcielibyśmy usłyszeć panów zdanie na temat zainstalowanych tu, w Pepowicach urządzeń do mycia surowca. Czy efekty technologiczne i ekonomiczne uznajecie panowie za zadowalające? Czy jesteście już panowie w posiadaniu

materiałów porównawczych? Czy można mówić o jakiejś zdecydowanej przewadze metody dyrektora Waśkiewicza?

Spojrzelśmy z Romanem po sobie i jednocześnie wybuchnęliśmy śmiechem. Tak, mieliśmy już materiały porównawcze!

Próbny rozruch linii odbył się dwa tygodnie temu. Przez dziesięć dni linia szła bez przerwy na dwie zmiany i w tym czasie przerobiliśmy osiemset ton ziemniaków. Dodawaliśmy do surowca po trzydzieści procent kamieni, gruzu, piachu i wszelkich możliwych zanieczyszczeń i ani razu nie doszło do uszkodzenia krajalnicy przez kamienie. A zawartość krzemionki w suszu nie przekraczała pół procenta. Sami byliśmy zaskoczeni doskonałymi wynikami technologicznymi suszarni, ale dopiero efekty ekonomiczne były prawdziwą rewelacją — w porównaniu z waśkiewiczowymi adapterami — trzykrotnie niższe nakłady inwestycyjne i dwukrotnie niższe zużycie energii elektrycznej. Zużycie opału kształtowało się na tym samym poziomie, ponieważ straty na odparowanie wody, którą nasiąkały ziemniaki w czasie mycia wyrównywała z nawiązką ciągłość pracy bębna suszarni — żadnych awarii, żadnych przerw w pracy, żadnego marnowania opału.

Wszystko to przedstawiliśmy w skrócie trzem dyrektorom; Roman omówił stronę techniczną, ja — stronę ekonomiczną. Słuchali w milczeniu.

Pierwsze sianokosy przyszły tego roku wyjątkowo wcześnie. Kosiarki kładły łany soczystych traw i polnego kwiecia, wyładowane kopiaty przyczepy od świtu do nocy zwoziły pokosy do suszarni, a bębny, turkocząc miarowo przetwarzały zielonkę na wspaniałą, bogatą w białko i witaminy susz i na zapach świeżo wypieczonego, wiejskiego chleba. I zdawać by się mogło, że tak jest dobrze.

Ale dyrektorzy tych PGR'ów, których suszarnie zdążono już wyposażyć w waśkiewiczowe adaptery nie cieszyli się wczesnymi i bogatymi sianokosami. Przyczyna ich malkontentstwa była prosta:

Jeśli suszarnia przystosowana jest do suszenia ziemniaków, to musi ziemniaki suszyć; kosztowne urządzenia nie mogą stać bezużytecznie i plan nakłada obowiązek wyprodukowania co najmniej tysiąca ton suszu ziemniaczanego. Surowca nie brakuje, a czasu — od października do grudnia jest dosyć, a jeśli nawet ktoś nie zdąży w grudniu, to może przecież suszyć w styczniu, w lutym... Potem i tak do maja suszarnia nie pracuje i w tym czasie można spokojnie wykonać wszystkie prace konserwacyjne i remontowe. Ale jeśli z powodu bezustannych awarii urządzeń i niskiej wydajności linii nie zdąży się z ziemniakami ani w lutym, ani w marcu, kwietniu i maju, to już nie ma czasu na żadne

remonty i konserwacje, bo trzeba suszyć zielonkę. Sianokosów nie można odkładać, o tym wie nawet najbardziej zadowolony chłop indywidualny. Więc w pośpiechu przedstawia się suszarnię na zielonkę, nieprzygotowaną do ciężkiego sezonu urządzenia nawalają w najbardziej gorących momentach, a kilkaset ton pozostałych na składowiskach ziemniaków po prostu wyrzuca się.

Zresztą i tak nie ma co z tym suszem ziemniaczanym zrobić. Kłopoty ze zbytem nie wynikają oczywiście z nadprodukcji — tej zmory gospodarka socjalistyczna nie zna. Ale produkt ma tak wysoką domieszkę krzemionki, że nikt tego nie chce brać — ani Centrale Paszowe, ani Gminne Spółdzielnie — nie mówiąc już o eksporcie. Trzeba karmić własne świnie — bardzo ostrożnie, żeby się nie pochorowały.

Same kłopoty z tym postępek technicznym.

Toteż na naradach wojewódzkich dyrektorzy Państwowych Gospodarstw Rolnych zaczynali nieraz całkiem otwarcie krytykować linię Departamentu Inwestycji. Że urządzenia nie zdają egzaminu, że trzeba coś z tym postanowić, że to marnotrawstwo — takie tam różne. Zupełnie jakby od tych kilku tysięcy ton zmarnowanych kartofli miała się przewrócić Polska Ludowa. Głupie te ludzie z terenu, nie ma co!

Znajdowali się nawet tacy, co to do samego Ministra Jagielskiego w tej sprawie — jakby Towarzysz Minister nie miał ważniejszych spraw na głowie. A jakaś szuja dotarła i do Komitetu Centralnego! Wezwano tam Waśkiewicza i zapytano, jak to właściwie jest z tymi suszarniami ziemniaków? Nie ukrywał trudności; oczywiście, problemy istnieją, zwłaszcza te — techniczne. Robimy co możemy, korzystamy z pomocy najwybitniejszych ludzi polskiej nauki i spodziewamy się w najbliższym czasie... Ale przecież — postępu technicznego nie da się ot tak, z rękawa... Zresztą pozycja Moczara była wtedy jeszcze mocna i nic nie mogło zagrozić Waśkiewiczowi i jego adapterom.

Chociaż?

Więci o naszych sukcesach w Pępowicach rozeszły się, niczym morowe powietrze i w napiętej atmosferze tamtego czerwca musiały dolewać oliwy do ognia. Smród szedł po kraju i wkrótce poczęto stawiać beczelne pytania: Dlaczego musimy wciąż i wciąż upierać się przy suchej metodzie? Dlaczego nie możemy myć tych kartofli w wodzie? I te pytania biegly przez kraj, przewijały się na naradach w Powiatowych Komitetach Partii, w Wojewódzkich Zjednoczeniach PGR — niczym cichy jeszcze pomruk nadciągającej burzy.

Stanisław Andrzej OWSIANKO

Wiersze

Jacek BIEREZIN

NIEOBECNOŚĆ

Nasz wyścig z czasem trwał 24 godziny
 Start odbył się w miejscu dokładnie nieokreślonym
 na metę wpadliśmy razem tuż przed odejściem pociągu
 Zwycięzców nie było
 Odtąd budzę się codziennie
 (przyznaję że niezbyt wcześnie)
 Ludzie są szarzy jak zwykle rano w moim kraju
 Pociągi są przemęczone jak zwykle w moim kraju
 Chodzą za mną tajniacy jak zwykle w moim kraju
 za większością pisarzy i uczciwych ludzi
 Więc budzę się codziennie
 Myję się jem śniadanie i piję herbatę
 Szukam Twojej nieobecności która zawsze
 jest tak blisko że czuję jej oddech
 i jej niebezpieczne szare oczy które czasem
 ranią mi twarz i natychmiast łagodnieją
 Więc budzę się codziennie
 mimo że odjechałaś do Paryża
 Wydaje mi się że odjeżdżałaś już wielokrotnie
 a Ty odjechałaś tylko raz
 zostawiając mi swoją nieobecność
 tak bardzo podobną do Ciebie
 z którą chodzę po ulicach pracuję piszę listy
 której pragnę i wieczorem idę z nią do łóżka
 Twoja nieobecność klęczy nade mną
 obejmując uda dotykając brzucha
 W dłoniach trzyma moją męskość

(nie sposób tego inaczej nazwać
 w tym erotycznie ubogim języku)
 która nabrzmiewa i powoli zbliża się do krzyku
 Więc budzę się codziennie
 w kraju w którym żeby być wolnym
 nie można mieć nic do zabrania
 w dniu w którym miłość jest niemożliwa
 budzę się codziennie

1977

★★

dla

Nie potrafiłem pójść aż do końca
 chociaż poszedłem na dworzec z którego odjeżdżałaś
 jedna na sekundę druga na pół roku inna na zawsze
 Postanowiłaś wyjechać w niedzielę wieczorem
 Tego dnia miałaś zmęczone oczy
 w których widać było pociemniały dzień za oknem
 W południe włóczyliśmy się trochę po mieście
 i w kiosku z gazetami kupiłaś „Extra Mocne”
 a ja wiedziałem tylko że odjeżdżasz
 tam gdzie nie byłem Do smutnego miasta
 siedmiu szubienic jednej wieży i Koła
 Tego dnia odjeżdżałaś
 być może każda na zawsze
 do miasta swojej pierwszej miłości
 do miasta swojej pierwszej śmierci
 A ja nie potrafiłem pójść aż do końca
 na zew otwartych okien
 otwartych żył
 w szeroki świat

Jacek BIEREZIN

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli i Waszyngtonu

KTO KOGO?!

„Zrobię panu przyjemność i zacytuję pańskie własne spostrzeżenie z *Kultury* sprzed paru miesięcy. Rosjanie manowicie istotnie przypominają ową damę przy kierownicy, której samochód nie ruszał z miejsca chociaż światło semafora przeszło już dwukrotnie z czerwonego na zielone i na żółte, a którą policjant grzecznie zapytał 'Czy żaden z naszych kolorów szanownej pani nie odpowiada?' Istotnie żadna polityka amerykańska nie wydaje się Kremlowi odpowiadać. Kiedy za Nixona — jak pan przypominał — poprawka Jacksona uzależniła amerykańskie kredyty od uczłowieczenia sowieckiej procedury emigracyjnej, Rosjanie ostro zareagowali, zamrozili podpisany już układ handlowy z USA, wołając, że nie może być żadnego związku między wymianą handlową a emigracją czy polityką wewnętrzną w ogóle. Kiedy zaś nastał Carter, który proklamował całkowite oddzielenie tych spraw i zaproponował prowadzenie najzupełniej samodzielnych rokowań np. nad SALT czyli ograniczeniem strategicznych broni atomowych bez wiązania ich ze stanowiskiem Waszyngtonu wobec praw człowieka na świecie, Kreml znowu się zbuntował, ale tym razem w imię wprost przeciwnej zasady. Wszystko jest z sobą związane, wołała Moskwa, nie będzie postępu SALT jeżeli USA nie zaprzestaną mieszania się do spraw wewnętrznych ZSSR — inaczej mówiąc interesować się gułagiem”.

„To ładnie — odpowiadam grzecznie — że pan czyta *Kulturę*, a nawet, że pamięta pan co bardziej epokowe spostrzeżenia. To się nie każdemu dziś zdarza. Nie przynosi to jednak odpowiedzi na moje pytanie: co pan myśli o tezie p. Samuela Pisara, że polityka Cartera zagraża *détente*. Wydaję twarde dolary po to aby mi zaimponował nie czytaniem w *Kulturze*, lecz znajomością polityki amerykańskiej”.

Chodzi o duże pieniądze

Ponieważ nie wszyscy są wysokimi urzędnikami Departamentu Stanu i pamiętają co przeczytali w *Kulturze*, przeto przypominam im, iż w pierwszej części tego felietonu, który nosił dwuznaczny i perfidny tytuł: „Biały Dom na szaro”, przedstawiłem czytelnikom osobę p. Samuela Pisara, wybitnego adwokata amerykańskiego, polskiego pochodzenia, doradcy wielu firm międzynarodowych też amerykańskiego pochodzenia, specjalisty od redagowania i zawierania kontraktów handlowych z ZSSR. P. Pisar napisał był ongiś dzieło pt. „Broń pokoju”. Kilka lat później, czyli w październiku 1977, po dodaniu kilku, bardzo obecnie w modzie, słów krytyki pod adresem polityki Cartera w dziedzinie praw człowieka, Pisar wydrukował długie streszczenie swej książki, pod innymi tytułami, najpierw w *New York Times Magazine*, a potem w paryskim piśmie codziennym *Le Monde*.

Długie streszczenie można by streścić bardzo krótko, bez szkody dla streszczenia. Pisar uważa więc, że, po pierwsze, polityka Cartera zagraża *détente*. Dlaczego? Dlatego — mówi Pisar — bo w wyniku tej polityki „rozwiązanie pewnych zagadnień globalnych jest zawieszane jeżeli nie zablokowane. Przeciagając swe moralizatorskie przedsięwzięcie, którego szanse są co najmniej wątpliwe (Pisar czyni tu aluzję do listu Cartera do Sacharowa i do audjencji Bukowskiego w Białym Domu), prezydent USA może zagrozić niektórym życiowym celom...”. Fałszywe nadzieje jakie polityka Cartera wywołać może w wyobraźni dysydentów mogą zaszkodzić im samym, nie mówiąc już o groźbie destabilizacji ustrojów na wschodzie, co z kolei zagraża stabilizacji świata w ogóle, inaczej bowiem nie byłoby w ogóle czym się przejmować.

Pisar uważa, po drugie, że tylko handel może zbawić świat i *détente*. Należy zlikwidować absolutnie wszystkie przeszkody, a przede wszystkim poprawkę senatora Jacksona, które hamują wolny przepływ technologii, towarów i *businessman'ów* (z zachodu na wschód, albowiem z powrotem, jest to mniej realne). „Włączenie — mówi Pisar — warunków politycznych do naszych układów handlowych z ZSSR nie stanowiło najlepszego pomysłu...”. Dlaczego? A no dlatego, że — jak uważa Pisar — „w naszym interesie leży pomóc im (Sowietom) produkować samochody, autostrady... itd., dzięki czemu społeczeństwo sowieckie będzie musiało stać się bardziej ruchliwe, bardziej skomplikowane, bardziej pokojowe...”.

Oczywiście, wymagający i sprawiedliwy czytelnik zauważy, że streszczenie jest zbyt streszczone i że artykuł Pisara liczy kilka tysięcy słów oraz zawiera bardzo obszerne wywody, sławiące dziejową misję USA w kwestii praw człowieka. Odpowiem na to, że to prawda, ale że nie zmienia ona istoty artykułu i obiektywności streszczonego streszczenia. Gdyż prawa człowieka w arty-

kule Pisara to tylko zasłona dymna, a — podobnie jak w książce — główny postulat to handel i zysk za wszelką cenę.

Sformułowanie to, choć brutalne, zostało jednak poważnie potraktowane przez wielu moich waszyngtońskich rozmówców. W redakcji *New York Times'a* np. nie wywołało zdziwienia, chociaż ubrałem je w bardzo, wydawało mi się, prowokacyjną formę.

„Czy nie uważacie, drogi kolego — zapytałem mianowicie jednego z tzw. editorialistów — że daliście się nabrać i manipulować przez Pisara i jego przyjaciół? Czy nie uderzył was fakt, iż ogromny artykuł jaki zamieściliście krytykuje Cartera 'z pozycji' tych samych argumentów jakich używają Rosjanie w Belgradzie i gdzie indziej, a mianowicie, że polityka Cartera w odniesieniu do praw ludzkich zagraża *détente* a poprawka Jacksona oznacza dyskryminację handlu”.

„Nie przypuszczam, aby Pisar był aż tak przewrotny, odpowiada drogi kolega. Manipulowanie to zwrot nie na miejscu w tym miejscu. Nie jest tak łatwo nami manipulować. Artykuł Pisara był cyniczny i zręczny, ale nie zawiera zbyt wielu nowych myśli. *If any...* W zalewie słów Pisara (szalenie rozwklekły jak na adwokata) nie ma rewelacji. To rzeczywiście streszczenie jego starej książki. Ale skoro już pan pyta, to powiem panu, drogi kolego, gdzie kryje się być może manipulacja: nie w treści artykułu, a w *timing'u*, to znaczy nie w tym co Pisar mówi, a w tym *kiedy* on to powiedział. Stawka jest w czasie, nie w treści...”

„Niby dlaczego, drogi kolego — naiwnie pytam. Jaka stawka?”

„Pisar i jego przyjaciele zdecydowali się publicznie zaatakować Cartera w chwili kiedy znalazł się on w opałach na wielu frontach wewnętrznych równocześnie. Carter jest osłabiony, kwestionowany w Kongresie i w *business'ie* z różnych resztek powodów. Nie ma więc przypadku w wyborze chwili ataku zwolenników „handlu za wszelką cenę”! Chodzi o wielkie pieniądze...”

Rozumowanie to, podejrzenie marksistowskie, brzmiało dziwnie na amerykańskim rynku, zostało jednak potwierdzone w toku moich waszyngtońskich peregrynacji. Przy pomocy materialistyczno-dialektycznej metody przez kilka dni oddawałem się lubieżnemu zajęciu obalania argumentów niemniej materialistycznej szkoły Pisara. Uważam je bowiem za filozoficznie błędne i politycznie zbędne jeżeli nie szkodliwe. Kolejność obalania jest przypadkowa.

Kto zaczął?

Po pierwsze, to nie Carter wymyślił prawa człowieka. Pewien weteran osiwiaty w bojach ze Wschodem przy konferencyjnych stołach i restauracyjnych stolikach przypomniał mi, że trzeci koszyk aktu końcowego w Helsinkach i siódmą zasadę z pierwszego koszyka (dotyczące praw człowieka), wymusił na Sowietach nie kto inny jak Henry Kissinger. To prawda, że Henry Kissin-

ger zrobił to bez entuzjazmu i tylko dlatego, że pewni Anglicy wytłumaczyli mu, iż bez trzeciego koszyka nie będzie Helsinek — a wszyscy mieli już absolutnie po szyję przygotowanego dwuletniego bełkotu w Genewie — niemniej to nazwisko Henry Kissingera pozostanie już na zawsze związane z historią trzeciego koszyka, podobnie jak nazwisko Forda, który trzeci koszyk wraz z resztą w Helsinkach podpisał był, bez — jak się wydaje — większego zrozumienia doniosłości swego gestu. W tym wszystkim Carter właściwie niewiele zawinił. On tylko ulepszył procedurę. Umieścił mianowicie prawa człowieka nie na końcu i od niechcenia, nie pod przymusem i nie od czasu do czasu, a w centrum swego dyplomatycznego *savoir vivre* i na stałe. Oraz zaczął prawa człowieka traktować poważnie. Carter przy tym nie jest św. Franciszkiem. To tylko amerykański prezydent dla którego prawa człowieka stały się jednym z odcinków wielkiej operacji w dziedzinie polityki wewnętrznej. Wydały mu się mianowicie najskuteczniejszym sposobem wyprowadzenia Białego Domu z wattergatońskiego bagienka. I tego nie można mu brać za złe.

Po drugie, to nie Carter sprowokował Rosjan, a Rosjanie Cartera. My, z perspektywy zapadłej europejskiej prowincji, nie dostrzegamy wszystkich elementów amerykańsko-sowieckiego *puzzle'a*. Odwiedziłem w Waszyngtonie wybitnego dziennikarza świeżo „powróconego” z Moskwy i właśnie obejmującego dział zagraniczny dużej gazety. „Carter — powiada — nie zdążył jeszcze umeblować owalnego gabinetu, a już Rosjanie postanowili wystawić go na próbę. W Moskwie nic się nie dzieje z wypadku, ani pożary czy wybuchy w metro, ani dymisje z powodu podeszłego wieku”, ani także aresztowania. To jakby na cześć inauguracji Cartera, świeżutko przeniesionego z sielankowej plantacji fistaszków do supermegatonowej stolicy, Rosjanie ruszyli do antydysydenckiej ofensywy. Co miał świeżutki prezydent zrobić? Nie mógł przecież milczeć wobec jawnej prowokacji. Musiał więc odpowiedzieć na list Sacharowa, bo to jednak laureat Nobla, musiał też przyjąć Bukowskiego. Niech pan sobie przypomni: Carter podjął wszelkie możliwe środki ostrożności, nie ma nawet fotografii z tej audyencji, która trwała zresztą zaledwie kilka minut. Czy tak postępuje Breżniew kiedy przyjmuje Angelę Davies albo Guss Hall'a, szefa kompartii amerykańskiej? Czy może pan sobie wyobrazić triumf Moskwy gdyby Carter przepędził Bukowskiego? Czy pamięta pan co napisała *Prawda* po aresztowaniu Amalrika pod pałacem prezydenta Francji? Czy może pan wyobrazić sobie reakcję społeczeństwa amerykańskiego, gdyby Carter uległ i Bukowskiego nie wpuścił? Przecież Carter pamięta co się działo, kiedy Ford zatrzasnął drzwi przed Sołżenicynem, niektórzy uważają, że mu to nawet zaszkodziło w wyborach. Nie można w Ameryce bezkarnie wpuszczać i gościć w Białym Domu Dobrynina i innych przedstawicieli gułagowej potęgi a regularnie wyrzucać jej ofiary, wpuszczać Pelego czy innych futbolistów a wyrzucać wielkich pisarzy czy zwyczajnie wielkich ludzi.

To nie rabin z Bronxu...

Po trzecie, to nie polityka Cartera zagraża *détente* i stabilizacji a zagraża im stały kryzys rządzenia w krajach obozu socjalistycznego. To prawda, że na Wschodzie (zwłaszcza w Polsce) co jakiś czasu władza się chwieje. „Ale to nie ma nic wspólnego z polityką amerykańską. Niestety, mógłbym dodać — powiada do mnie przy znakomitym hamburgerze (bywają takie, znam jeden adres w New Jersey, ale nie podam...), pewien bardzo wybitny tzw. analista. — Czy to amerykański prezydent trzy razy już wyprowadził polskich robotników na ulice, palił gmachy KW partii, czy też zrobiła to ślepa, nieudolna, albo wręcz głupia polityka tejże partii? Kto wywołał w sierpniu 1977 r. ogromny strajk górników w Rumunii? Sekretarz stanu USA? Kto zaskwestrował kilku ministrów w dolinie Jiu? CIA? Czy to rabin z Bronxu (choć *Prawda* tak uważa) doprowadził Żydów sowieckich do 'wielkiego powrotu', inaczej mówiąc do uświadomienia sobie, że 60 lat po rewolucji bolszewizm nie potrafił rozwiązać tzw. kwestii narodowej, żydowskiej i innej zresztą także, że „pod carem nadzieja była w rewolucji, pod Stalinem w jego następcach, ale pod następcami nie ma już żadnej nadziei...”? Czy to senat amerykański zredagował Kartę 77? Kto wydaje *Opinie*, *Robotnika*, *Głos*, *Zapis* itp. w Polsce? *Washington Post*? Kto sprzedaje za dewizy więźniów politycznych? Pani Juanita Krebs, amerykański minister handlu czy NRD?”

Niech przestaną nas oskarżać o ingerencję tam, gdzie dochodzi do narodowych czy indywidualnych tragedii w wyniku głupoty przywódców czy po prostu nieuniknionych sprzeczności wynikających z nienaturalnych układów społecznych i politycznych. Żadna ingerencja zewnętrzna (z wyjątkiem naturalnie wojskowej, patrz Węgry 1956 i Czechosłowacja 1968, ale to nie były ingerencje amerykańskie) nie potrafi wywołać wielkich ruchów społecznych i głębokich zmian wewnątrz ustrojów komunistycznych. Bez ewolucji i tzw. przemian obiektywnych, bez odwagi Sołżenicyna czy Sacharowa, Michnika czy Kuronia, Gomy czy Lederera, nie byłoby ruchów dysydenckich, bez rozpaczliwej żydowskiej, wywołanej beznadziejnym uciskiem czy wręcz tępym antysemityzmem, nie byłoby exodusu, bez fatalnego zarządzania i nieodpowiedzialnych decyzji cenowych nie byłoby gniewu ludu, nawet gdyby Carter codziennie pisał listy do Sacharowa a Jackson codziennie uchwalał nowe poprawki.

Po czwarte, podejrzana jest selektywność Pisara. Jeżeli bowiem handel i kredyty, patenty i technologia, automobile i autostrady mają tak bardzo uszlachetniający wpływ na ustrój i stosunki między władzą a obywatelem, to dlaczego akurat tak się dzieje, że wobec Chile, Afryki Południowej czy Rodezji stosuje się presje i sankcje ekonomiczne i handlowe? Nie lubię ani Breżniewa ani Voerster'a czy Smitha, nie rozumiem jednak dla-

czego handel ma mieć kuracyjny wpływ na ZSSR, a nie ma go mieć na Rodezję czy Afrykę Południową. Jaka — z tego punktu widzenia — jest różnica między prześladowaniem Żydów przez KGB a ofiarami *apartheid'u*?

Po piąte, kto może przytoczyć przykład totalitarnego kraju zdemokratyzowanego przez handel? Kto zna dyktatora roniącego łzy nad zachodnią obrabiarką, parą *jeans'ów* czy biustonoszem najnowszej kroju z Paryża? Kto zna totalitarnego watażkę, który pod wpływem noszenia zachodnich kałesonów podał się do dymisji? Szefowie państw wschodnich nie używają innych produktów jak tylko najlepszych firm zachodnich, Breżniew jest znany ze swego proletariackiego umiłowania Mercedesów i Rolls-Royców. Tito nosi tylko zachodnie krawaty i pije tylko najlepszą whisky, o przywódcach PRL nie muszę opowiadać, bo ich zamiłowania czytelnicy znają (niektóre sklepy we Wiedniu mogą coś na ten temat opowiedzieć). No i co z tego? Rzeczywiście... Nic z tego. A poważnie mówiąc, czy Trzecia Rzesza Hitlera oślała terror i ludobójstwo, zwłaszcza komunistów, kiedy jej handel z ZSSR przekroczył wszelkie oczekiwania i nie było końca pociągom wiozącym ukraińskie zboże i kaukaską naftę? Czy Stalin zlikwidował gułag, kiedy Amerykanie w latach dwudziestych i trzydziestych budowali fabryki samochodów (już wtedy, choć Pisara, jeszcze nie było)? W czerwcu 1944, Averell Harriman, dyplomata i milioner, najbardziej na Kremlu szanowany Amerykanin powiedział: „Stalin przyznał mi, że ok. 2/3 największych zakładów przemysłowych ZSSR zostało zbudowanych dzięki pomocy USA”. No i co z tego wyszło? Czy po zbudowaniu tych zakładów Stalin wyprowadził Rosję z gułagu czy ją w gułagu właśnie zamknął? Kruczek — jak zwykle znakomity — przypomniał ostatnio, że Stalin dostawał tym więcej głosów, im więcej wydawał wyroków śmierci w procesach rozmaitych Bucharinów i Zinowiewów czy innych „zdrajców ojczyzny”. *Idem* co do towarów: można powiedzieć, że im więcej technologii tym system gułagowy mocniejszy. Dlaczego za Breżniewa mechanizm ma działać inaczej niż za Stalina? Pewnie, to ważne, że się liczba ofiar poważnie zmniejszyła, ale istota ustroju pozostała ta sama. 12 kwietnia 1976 Armand Hammer, ten sam który swój pierwszy milion dolarów zarobił w Rosji w roku 1922, podpisał — jako prezydent Occidental Petroleum — największy chyba układ w historii wartości ok. 20 miliardów dolarów (kombinaty nawozów sztucznych). Breżniew bardzo lakonicznie określił Hammera: „To człowiek, który mi pomaga i któremu ja pomagam...”. *Merci*, więcej pytań nie mam...

Nic dziwnego, że — po szóste — jak to sformułował pewien przytomny urzędnik Departamentu Stanu — „coraz powszechniejsze staje się w USA pytanie odwrotne. Nie to, czy amerykańska guma do zucia uszlachetni partyjnego robeszpera ale czy ogromne dostawy, np. zboża, nie mówiąc już o technologii, nie odnoszą odwrotnego skutku, nie przyczyniają się do umocnienia dyktatury, nie pozwalają Kremlowi na kontynuowania np. wyś-

cigu zbrojeń umożliwiając mu zaspokojenie potrzeb żywnościowych bez uszczuplenia rezerw wojskowych czy rezerw dewizowych, za które z kolei Moskwa może kupować na lewo materiały nawet strategiczne?

Pewnie, rozumowanie takie może doprowadzić do absurdu i do postulatu wstrzymania wszelkiej wymiany, albowiem najważniejszym surowcem strategicznym staje się wtedy... zboże, ale czyż jest mniejszym absurdem głoszenie absolutu pacyfikacyjnego i demokratyzującego wpływu handlowania „za wszelką cenę” i bez żadnych koncesji? Z drugiej strony, dodaje ów przytomny Amerykanin, dług komunistyczny rośnie dziś w granicach 1 do 1,5 miliarda dolarów rocznie. Na tej wysokości — jak to udowadnia Charles Levinson w fascynującej książce pt. „Vodka-Cola”, która, jak biblia w amerykańskich hotelach, powinna znaleźć się na biurku każdego szanującego się polityka — na tej wysokości więc dłużnik zaczyna mieć wpływ na to co się dzieje w domu wierzyciela. Jak w tym dowcipie o kupcu, który nie może usnąć. — „Dlaczego nie śpisz” — pyta żona. — „Bo muszę jutro oddać tysiąc dolarów” — odpowiada. — „No to co?” — pyta żona. — „Ja ich nie mam” — odpowiada. — „No to dlaczego ty masz nie spać, niech twój wierzyciel nie śpi, to jego dolary”. — Dobrze, co? Tylko że tu nie chodzi o tysiąc, a o miliardy dolarów. I o bezsenność nie jednego kupca, a Ameryki w ogóle...

„Czy pan pamięta, że kajdanki, które miał na rękach Bukowski w samolocie wiozącym go do Zurychu na wymianę z Corwalanem były i miały napis *Made in USA*? Czy do tego ma służyć nasza wymiana gospodarcza z ZSSR”.

Nie, nie ma...

Ani jasne...

Jasne? Nie dla wszystkich. Gdyby to było powszechnie jasne, to skąd wzięłby się artykuł Pisara? Zwłaszcza, że jest jeszcze bardzo dziwny punkt siódmy. Uderza mianowicie niewątpliwa dezaktualizacja artykułu i argumentów Pisara. W chwili mianowicie kiedy w październiku 1977 Pisar poddawał ostrej pryncypialnej krytyce stare sprzed kilku miesięcy posunięcia Cartera, Sowieci jakby zupełnie o tych posunięciach zapomnieli. Co się dzieje?

Czy to tylko zwykły zbieg okoliczności, że kiedy Carter powtarza, iż prawa człowieka znajdują się w centrum jego dyplomacji, kiedy Vance publicznie domaga się szacunku dla dysydentów, kiedy Mondale spożywa obiad z panią Szczaranską, wydaloną z ZSSR w dniu jej ślubu i w dniu aresztowania jej męża, kiedy Goldberg nie przestaje w Belgradzie wytykać palcem terroru wszystkich maści w Rosji, to wtedy właśnie poszły ostro naprzód rokowania SALT II, Rosjanie wyrazili po latach „nietowania” zgodę na rokowania w sprawie zaprzestania wszelkich prób atomowych, nawet tych „dla celów pokojowych”, na rokowania

w sprawie redukcji broni konwencjonalnych, w sprawie Oceanu Indyjskiego itd., i że to właśnie w tym momencie Pisar drukuje swój artykuł?

Ta niepewność mnie zabija. Czyżby Pisar chciał, w imię handlu za wszelką cenę, bronić ZSSR przed... Rosjanami i wbrew Rosjanom? Szkoda, że Pisar tylko drukuje, ale nie czyta *New York Times'a*. Dowiedziałby się, że Rosjanie już rozumieją — choć się jeszcze do tego oficjalnie nie przyznają — iż „pewna kategoria problemów politycznych przechodzi z kręgu spraw wewnętrznych do sfery zagadnień międzynarodowych”. Lub, żeby zacytować Goldberga (Rosjanie w Belgradzie nazywają go pogardliwie „sędzią”, tylko u nich pojęcie to może być obelżywe), więc Goldberg zanim objął przewodnictwo delegacji amerykańskiej w Belgradzie przemierzył kuluary ONZ, gdzie spotkał się z wielu osobami. Jednej z tych osób powiedział: „Jadę do Belgradu nie w celach wojowniczych. Będę unikał konfrontacji z Rosjanami (choć rozmówca wątpił czy będzie to w ogóle możliwe — dopisek Brukselczyka), ale Moskwa zna moją główną tezę, według której od chwili Helsinek traktowanie własnych obywateli przez poszczególne państwa może być przedmiotem zainteresowania innych państw...”.

Rosjanie rzeczywiście tezę Goldberga znają, oficjalnie się nie godzą, nieoficjalnie milczą, o pewnych rzeczach mówią głośno na sali obrad i przed prasą, a dyskretnie ziewają prywatnie, lub odwrotnie. Inaczej mówiąc, ich przysłówiowa zdolność dostosowywania ideologii do wymogów rzeczywistości każe im iść w przyszłość z mniejszymi oporami niż to się dzieje z niektórymi amerykańskimi *business*ami i ich adwokatami. Dziwne...

...ani dziwne

Dziwne? Niezupełnie, powiada do mnie znawca problemu. Szukając wyjaśnienia nie zawahałem się wskoczyć do jaskini lwa. Z okien „Old Senat Building” biurowca senatu na Kapitolu widać dobrze wielki trakt amerykańskiej wolności idący poprzek obelisk Waszyngtona i pomnik Lincolna aż po cmentarz Arlington oraz widać dobrze niektóre zakamarki amerykańskiej polityki. Zapadłem w czerwony fotel w gabinecie senatora Jacksona, autora sławnej poprawki blokującej kredyty dla ZSSR i wszelką szansę poważnego wzrostu udziału USA w modernizacji ojczyzny socjalizmu. Wśród moich rozmówców był m.in. Ryszard Perle. „To Kissinger i Brzeziński senatora Jacksona”, tak mi go przedstawił Abraham Brumberg (po polsku naturalnie) mój waszyngtoński opiekun, jeden z najlepszych amerykańskich znawców wschodu, były redaktor naczelnny pisma *Problems of Communism*, najpoważniejszej publikacji kremlinologicznej, obecnie wrzucony w nieskończoność Departamentu Stanu.

„W zachowaniu się Rosjan nie ma nic dziwnego — tak wypada zacząć streszczenie wywodów zanotowanych w senacie USA. Breż-

niew krzyczał już nawet na Vance'a, ale nigdy jeszcze nie podniósł głosu na amerykańskich bankierów i przemysłowców. W tym także nic dziwnego. To bowiem co decyduje o polityce sowieckiej to nie są listy Cartera do Sacharowa, a równowaga sił na świecie, w której to równowadze sytuacja gospodarcza ZSSR odgrywa zasadniczą rolę, w której to roli dostawy i kredyty amerykańskie odgrywać mogą rolę niemniej zasadniczą.

Po pierwsze więc, nic dziwnego, że akcent jaki Carter położył na obronę praw ludzkich w ZSSR, nie wywołał entuzjazmu Kremla. I bez listów do Sacharowa czy konspiracyjnej audycji Bukowskiego, ruch dysydencki to nieprzyjemna sprawa dla Breżniewa. Nie ulega jednak kwestii, że ta polityka Cartera — i tu wracamy do naszego podstawowego pytania — nie miała i nie ma większego, a nawet żadnego, wpływu na *détente*. „Bomby na Hanoi — przypomina mi ekspert — nie przeszkodziły wizycie Nixona w Moskwie”. Nawet KGB otrzymało wówczas polecenie „bycia” w szampańskim nastroju. Kissinger święcił na Kremlu swoje urodziny i dostał ogromny tort. „Odważnie — zaśmiał się Andropow — można krajać, nie należy ruszać tylko środka, bo tam jest mikrofon...”. Otóż, KGB żartował albowiem Breżniew miał i słuszenie nadzieję, że Nixon przywiozł ciekawe propozycje handlowe i finansowe.

Pięć lat później Vance został prawie wyrzucony z Kremla, albowiem przedstawił propozycje, zdaniem Kremla, nie do przyjęcia, a ponadto ujawnił te propozycje w USA jeszcze zanim jeszcze one dotarły do Moskwy, a dla Breżniewa polityka nie jest dla chamów ani dla gazet. „Zapewniam pana — mój rozmówca staje się poważny — że gdyby Vance przyjechał z obietnicą anulowania poprawki Jacksona, to też dostałby tort, z mikrofonem, nawet bez urodzin. Przypominam panu, albowiem jesteśmy w senacie, że z końcem roku 1976 'bawiła' w Moskwie delegacja naszych senatorów. Nie tylko pozwolono jej na spotkanie z żydowskimi aktywistami, ale nawet KGB doprowadził ich na miejsce spotkania i chronił ciszy i spokoju w czasie rozmowy. I to wszystko dlatego, że ktoś — do dziś nie wiadomo kto — powiedział Kremlowi, że senatorowie ci mieli przekonać Żydów, aby przestali domagać się utrzymania poprawki Jacksona”.

Nadchodzi chwila prawdy...

Po drugie, nawet największy portret Breżniewa nie potrafi przesłonić bardzo twardych bilansów. Zbliżają się minuty prawdy. Spadek stopy wzrostu w ZSSR jest nieunikniony. Już dziś wynosi on 4 %, w 1980 spadnie do 2 %. Załamanie się demograficzne stworzy poważny niedobór siły roboczej. W 1977 weszło na rynek pracy ponad 2,5 miliona par rąk; w roku 1985 będzie tych par tylko 300.000. A tymczasem już dziś rolnictwo — skąd młodzież ucieka na potęgę — cierpi nie tylko z powodu tradycyjnego bałaganu czy katastrofального systemu zarządzania, ale i

z powodu braku ludzi pragnących kołchozowego szczęścia.

Zacofanie technologiczne (wbrew pozorom także i wojskowe) rośnie względnie i bezwzględnie. Wystarczy powiedzieć, że ani jedna próba kosmiczna sowiecka od 1971 roku nie przeszła bez problemów. Nawet uroczysty i świąteczny specjalny Sojuz, wysłany na 60-lecie i z nową konstytucją na pokładzie, powrócił po 24 godzinach na ziemię bez zadokowania do Saliuta, który na niego czekał, albowiem zabrakło... paliwa. Za dwa lata zacznie latać amerykański „Shuttle”, zabierając za każdym razem po cztery sojuszy w bagażu. A „Konkordzki”, czyli TU-144? Bijąc wszelkie rekordy opóźnienia lata raz na tydzień do Ałma Aty, tylko w dobrą pogodę, i jest tak głośny, że w czasie inauguracyjnego lotu zachodni dziennikarze nie mogli nawet poprosić o dodatkową parcję kawioru, stanowiącego jak wiadomo ulubione powszednie danie przeciętnego posiłku w Rosji. Co to wszystko znaczy? To wszystko znaczy, że informatyka i elektronika, zwłaszcza miniaturyzacja komputerów są spóźnione o dołbrych kilka komputerowych pokoleń. O ich zastosowaniu w cywilu lepiej nie wspominać.

No i wreszcie, ZSSR zbliża się nieuchronnie do progu energetycznego deficytu. Polska i inne Ka-De-Ele coś na ten temat wiedzą. Niezależnie od ostrej podwyżki cen, Moskwa poradziła bratnim krajom, aby szybko poszukały dostawców ropy gdzie indziej. Stąd np. takie niesmaczne operetki jak przyznanie ich cesarskim gościom Szachowi i jego przepięknej małżonce doktoratów HC przez Uniwersytet Warszawski. Za osiągnięcia w naukowej likwidacji komunistów zapewne... Poważnie zaś mówiąc, ZSSR, największy dziś producent ropy na świecie, będzie musiał niedługo, z powodu nienadążania produkcji mimo posiadania największych złóż na globie, opuścić wygodną pozycję eksportera ropy, głównego źródła dewizowej gotówki (5 miliardów dolarów rocznie) i zejść do znacznie mniej przyjemnej pozycji importera energii, co kosztować będzie, według niektórych źródeł jakieś 10 miliardów dolarów w 1985 roku.

Po trzecie jednak, Rosjanie mają niewielki wybór. Mogliby, to jasne, podjąć poważną reformę zarządzania. Ale to odpada, albowiem reforma taka zakładać by musiała decentralizację i demokratyzację, inaczej mówiąc spowodowałaby osłabienie monopolu władzy aparatu partyjnego, a Kreml jeszcze do samobójstwa nie dojrzał. Mogliby również zredukować wydatki wojskowe. Dziś sięgają one ok. 13 % produktu narodowego brutto (w USA — 5,5 %). Zbrojenia są przy tym coraz kosztowniejsze. „Według naszych specjalistów — opowiada człowiek, który ma dostęp do źródeł — aktualny system obrony powietrznej ZSSR kosztował ok. 100 miliardów dolarów. A tymczasem w dniu, kiedy nasze rakiety „Cruise” wejdą do operacyjnej służby, to znaczy niedługo, cały sowiecki system przeciwlotniczy będzie mógł pójść na szmela albo do krajów trzeciego świata. Żeby szybko znaleźć obronę przed „Cruise” Rosjanie musieliby wydać ok. 50 miliardów dolarów, no i znaleźć odpowiedni pomysł technologiczny. Jasne,

oni w końcu znajdą jedno i drugie, ale nie będzie im łatwo wydać tyle forsy właściwie na nic. A przecież nawet rosyjskie cierpienie i cierpliwość mają granice. Oczywiście, pan na to powie, że to dlatego właśnie Rosjanie szczerze chcą zahamowania zbrojeń. To prawda, ale ich nieufność wobec Zachodu jest większa niż obawa przed własnym społeczeństwem. Kreml za żadne skarby nie zrezygnuje z tego co uważa za niezbędne dla utrzymania „równowagi strachu” i nie zrezygnuje z tak kosztownych awantur jak Angola czy Abisynia. Rozbrojenie, prawdziwe, to nie na jutro jeszcze...”

Są, na szczęście, USA...

„No to — pytam naiwnie — jeżeli nie chcą lub nie mogą zdemokratyzować zarządzania, jeżeli nie chcą lub nie mogą zmniejszyć wydatków na zbrojenia, a jednak chcą, bo muszą, się rozwijać, to co mogą zrobić?”

Odpowiedź, znowu streszczam, nie jest skomplikowana. Są, mianowicie, USA. I to jest nasze, po czwarte. Rosjanie mogliby np. z Ameryką poważnie pohandlować i kupić w USA bardzo dużo potrzebnych im rzeczy. Mogliby, ale nie mogą, bo nie mają nic, albo prawie nic, Ameryce do sprzedania. Handel sowiecki z USA jest w kolosalnym deficycie. W roku 1976 wymiana wynosiła ok. 2,5 miliarda dolarów, z czego 2,3 miliarda z USA do ZSSR i tylko 200 milionów w kierunku odwrotnym. Jest to naturalnie na dłuższą metę stan nie do utrzymania. Rosjanie o tym wiedzą i nawet udało im się deficyt w początku 1977 nieco zmniejszyć przez redukcję importu z USA. Cóż, kiedy spadła nowa kolejna i normalna katastrofa rolna i deficyt znowu się zwiększył, bo trzeba szybko kupić nie mniej niż 25 milionów ton zboża (Polska też jakieś 7 milionów, ale to inna historia). Czyli handlować poważnie nie mogą.

No, a kredyty? To prawda, że zadłużenie Wschodu już jest ogromne. Na 1 grudnia 1977 wynosiło ok. 50 miliardów dolarów (Polska ma dług na ok. 14 miliardów, ale to także inna historia). Do 1980 roku wschodni dług wyniesie ok. 100 miliardów dolarów. Bankierzy amerykańscy czytają te dane bez paniki. Przede wszystkim dlatego, że Rosja i KDL'e to dłużnik zasobny, akuratywny i wypłacalny. Państwo socjalistyczne zbankrutować nie może, nie żyje z podatków a z eksploatacji taniej siły roboczej. Następnie zaś dlatego, że w zadłużeniu wschodnim amerykańskie *avoir'y* są stosunkowo umiarkowane.

Dlaczego, wszak? Czyżby Amerykanie nie lubili robić dobrych interesów? Co się dzieje ze wspaniałymi projektami o poetycznych nazwach jak np. „Gwiazda Północy”, mającymi wydrzeć Syberii jej ukryte skarby? Gdzie podziały się wizje ogromnych kombinatów przetwarzających miliony ton syberyjskich surowców w zbudowanych przez Amerykanów amerykańskich fabrykach, transportowanych przez amerykańskie rurociągi do wybudowanych przez Amerykanów nowych specjalnych portów, aby

po przekształceniu ich według amerykańskich patentów w substancję gazową przepłynąć na amerykańskich tankowcach do amerykańskich portów dla amerykańskiego konsumenta, aby otrzymać w zamian to wszystko co Ameryka może dostarczyć ku chwale socjalistycznego państwa i dla dobrobytu jego obywateli?

Czy państwo znają formułę „kromie jewrejów”? Zastrzeżenie to figurowało na wszystkich dekreтах wydawanych przez nie pamiętam już którego cara i oznaczało, że dobrodziejstwa ukazu obejmują wszystkich „z wyjątkiem Żydów”. To samo z umowami. Opiewać one mogą na wszystko, przewidywać wszystko „z wyjątkiem kredytów” gwarantowanych przez rząd amerykański. Rosjanie szukali tych kredytów wszędzie w NRF, Anglii, Francji i u prywatnych bankierów amerykańskich. Ale, to wszystko „starczy na fistaszki”, żeby przypomnieć tu ulubioną i wieszczą formułę Henry Kissingera. No, a przebogata Japonia? Niewiele sypnęła. Boi się Chin, i nie chce angażować się bez Amerykanów. No właśnie, a gdzie są oni, Amerykanie. „Amerykanie są, tylko kredytów nie ma. Szam, proszę państwa, jest zamknięty. Poprawka Jacksona blokuje wejście.

Ale było już za późno

Tylko kilka słów przypomnienia. Poprawka Jacksona została uchwalona wyłącznie z powodu głupoty Kremla lub raczej jego całkowitej nieznajomości psychologii Zachodu. W 1972 roku Nixon udał się do Moskwy celem zainaugurowania *détente*, w imię której podpisał z Breżniewem bardzo ciekawy dla Rosji układ handlowy. Brakowało tylko ratyfikacji przez Kongres. I oto na kilka tygodni przed posiedzeniem ratyfikacyjnym, które miało udostępnić Rosji m.in. tzw. klauzulę największego uprzywilejowania, czyli ulgi celne i możliwości kredytowe, Moskwa wprowadziła tzw. „podatek od mózgów” inaczej mówiąc obłożyła kandydatów na emigrację do Izraela obowiązkiem zwrotu kosztów wykształcenia. „Gdyby taki podatek istniał w Norwegii, powiedział Jackson, nie byłoby senatora Jacksona, bo moi rodzice nie wyemigrowaliby z Norwegii do USA. Macie rację — powiedział do delegacji Żydów amerykańskich, przybyłych aby prosić go o pomoc dla braci w ZSSR — są rzeczy ważniejsze od pieniędzy. Uderzymy dlatego Sowietów po kieszeni”. I tak powstała poprawka do ustawy o handlu, która uzależniała awantaże finansowe dla Rosji od zniesienia mózgowego podatku. Rosjanie, ludzie pragmatyczni, natychmiast podatek zawiesili. „Cóż znowu, mawiali emisariusze specjalnie wysłani do Waszyngtonu, o co chodzi, to zwykłe nieporozumienie, podatku już nie ma, zapomnijcie, dajcie ust korale”. Ale było już za późno. Jackson, który miał swe określone plany wyborcze, postanowił nie rezygnować z tak skutecznego oręża. Tym bardziej, że nie lubił Henry Kissingera, któremu bardzo zależało na zlikwidowaniu poprawki na handlu z ZSSR. „Byłem — powiedział Jackson — pierwszym oficerem

amerykańskim, który wkroczył do Buchenwaldu. Tego się nie zapomina, poprawka zostaje dopóki Moskwa nie zhumanizuje swej procedury emigracyjnej nie tylko wobec Żydów, ale w ogóle”.

No, a artykuł Pisara? — „Niech pan nie myśli, że artykuł ten stanowi jakieś *novum* w tej aferze — powiada do mnie człowiek z najbliższego otoczenia Jacksona, jeden z faktycznych autorów poprawki. Od razu, kiedy tylko Jackson wszczął kampanię o swą poprawkę, wielki *business* przystąpił do akcji. Niech pan posłucha co się wtedy działo. Pewnego dnia, we wrześniu 1973, Donald M. Kendall, prezes Pepsi-Cola, który wygrał rynek sowiecki w wojnie z Coca-Colą i właśnie był podpisał ogromny kontrakt z Moskwą, wystąpił w tajemnicy depezę do 65 prezesów największych amerykańskich rekinów kapitalistycznych, zainteresowanych w inwestycjach w ZSSR i zaproponował im wspólne wystąpienie (w imię wolności handlu, naturalnie) w celu utrudnienia poprawki jeszcze w komisji, zanim trafi ona na plenum kongresowych izb. Na szczęście jednak, tekst telegramu Kendalla zanim trafił do adresatów był już w redakcji *Washington Post*, który go natychmiast wywalił na pierwszej stronie pod ogromnym tytułem: „Wielkie firmy cisną Kongres aby zwiększyć swe zyski w handlu z ZSSR”. Bomba okazała się niewypałem. Dziś nie ma depezy, są artykuły w gazetach...”.

Jaki model jakiej „*détente*”?

I już. Nie, jeszcze nie. Gdzie są bowiem Sowieci? Czyżby obrazili się na zawsze, zrezygnowali z kredytów. „Rosjanie — proszę pana — to realiści. Najpierw uwierzyli obietnicom Kissingera, że potrafi skłonić Kongres do rezygnacji z poprawki. Potem uwierzyli — i w tym sensie artykuł Pisara odzwierciedla marzenia rosyjskiej duszy — że można by skłonić osłabionego Cartera do podjęcia próby likwidacji poprawki Jacksona poprzez wymachiwanie straszakiem zimnej wojny. Ale już wiedzą, że nie tędy droga...”.

Przyjmując na Kremlu pewną delegację amerykańskich *businessmen*ów Breżniew ronił łzy nad faktem, że, według jego obliczeń, z powodu poprawki Jacksona Amerykańscy kapitaliści tracą w Rosji ponad miliard dolarów rocznie. Ale nie powiedziała ile traci Rosja.

Rosja traci więcej. Według oceny samych Sowietów, bardzo rozmownych w dobrych amerykańskich restauracjach, Jackson zablokował kredyty, które umożliwiłyby inwestycje w ZSSR wartości ok. 30 miliardów dolarów. Sam Breżniew zresztą — jak mi to przypomniano w Kongresie — w czasie swej jedynej (na razie) podróży do USA wyszeptał jakby mimochodem w trakcie rozmowy z grupą senatorów cyfrę... 50 miliardów dolarów. Dlaczego akurat 50? Nie wiem, ale wiem, że według fachowej kalku-

lacji, bez USA Syberia nie zacznie zaspokajać prawdziwych potrzeb ZSSR przed upływem lat 50. A to może być za późno. W sytuacji kiedy średnia wieku członków politbiura sięga lat 70, taka perspektywa jest mało mobilizująca.

A oto morał.

„Ameryka, powiadają osoby poważne, skłonna jest uczestniczyć w tej kolosalnej awanturze. Mamy określony interes w zapewnieniu niekonwulsyjnych zmian na Wschodzie i we włączeniu krajów socjalistycznych (podróż Cartera do Warszawy jest tego wyrazem) w orbitę współzależności i układów światowych, a nie tylko blokowych. Mamy też na to pieniądze i technologię, może to jednak być zrealizowane tylko w ramach prawdziwej *détente*. Prawdziwej, to znaczy odmiennej od jej modelu gwałtowo-azyłowego. *Détente* to pojęcie dwustronne, to operacja dwukierunkowa. Możemy ofiarować to co mamy, ale nie za darmo. Poprawa ludzkiego losu w krajach socjalistycznych jest jednym z elementów przyszłego pokojowego świata. Brak takiej poprawy, a nie walka o nią, jest czynnikiem wzmagającym napięcie, stwarza groźbę destabilizacji na drodze gwałtownych ruchów społecznych, stanowi groźbę dla pokoju świata. Rosjanie, jeżeli chcą naszego udziału w ich postępie, muszą to zrozumieć...”.

Departament Stanu to nie jest dom wariatów. Nikt tu nie sądzi żeby można było, w zamian za garść dolarów, skłonić Breżniewa do wprowadzenia systemu parlamentarnego, zalegalizowania opozycji czy zwrotu niezależności satelitom. Ale i Rosjanie już wiedzą, że ani Kongres USA ani prezydent Stanów Zjednoczonych nie mają zamiaru zrezygnować z poprawki Jacksona i otworzyć kasy bez określonych ustępstw ze strony Kremla, bez jakiegś lekkiej ale widocznej poprawy w dziedzinie praw ludzkich na Wschodzie.

„Nie przypuszczam, że prezydent Stanów pojechałby do Warszawy, gdyby 10 członków KOR'u było jeszcze w kryminale. Nie wierzymy, że jakiś rząd będzie przestrzegać prawa międzynarodowego, jeżeli nie jest w stanie przestrzegać niektórych choćby praw swych własnych obywateli. Mamy podstawy do przypuszczenia, że Kreml zna nasze stanowisko i że rozważa jakąś formę kompromisu. Zrobimy wszystko, aby nie musiał w takim kompromisie stracić twarzy, ale nie zgodzimy się na mistyfikację. Innego wyjścia nie widzimy...”.

W wywiadzie, którego mi nie udzielił, Brzeziński powiedział:

„Wierzę, że historyczną nieuchronnością naszych czasów nie jest poszukiwanie jakiegś mitycznej rewolucji, a że jest nią rosnąca stanowczość człowieka w domaganiu się szacunku dla jego własnych ludzkich praw. Myślę że związanie się Ameryki z tą nieuchronnością jest z korzyścią dla Stanów Zjednoczonych”.

Dla mnie także...

BRUKSELCHYK

Pisane, 9 grudnia 1977.

Korespondencja z Rzymu

GIEREK U PAPIEŻA: W IMIĘ NARODOWO-KOMUNISTYCZNEJ RACJI STANU

Nie ma co obwijać w bawełnę. Gierek zręcznie rozegrał partię umożliwiającą mu uściśnięcie dłoni Papieża. Posłuchał tym razem ekspertów — nie aparaczyków. Paradoks sytuacji polegał na tym, że stawką w grze było nie tylko wkupienie się w opinię publiczną w Kraju, lecz przede wszystkim uzyskanie kredytu zaufania (od Watykanu) dla wzmocnienia swej zachwianej pozycji zarówno wobec przeciwników w Moskwie (nie wszyscy tam popierają na sto procent Breżniewa), jak i w łonie PZPR, gdzie w aparacie dołki pod nim kopią. A więc sukces? Niewątpliwie tak, choć z punktu widzenia *coverage* prasowego przyćmiony, a nawet skontrowany odbywającymi się równocześnie imprezami w Rzymie (Trybunał Sacharowa) i w Wenecji (Biennale poświęcone „dysydencji kulturalnej” w bloku sowieckim). Dopiero najbliższe miesiące pokażą jednak czy był to sukces przelotny i czysto prestiżowy, czy też szef PZPR potrafi go przekształcić w polityczny atut, owocujący na dłuższą metę.

Słabo poinformowani i rozeznani w osobliwych sprawach Watykanu, komentatorzy polityczni nie zadali sobie na ogół trudu zajrzenia co kryje się poza fasadą gestów, uśmiechów i deklaracji Gierka o „optymistycznie rozwijających się stosunkach ze Stolicą Apostolską” („pozytywny rozwój” według Papieża). Pletli więc o „historycznym zwrocie”, „kompromisie historycznym” i nowej jakoby „otwierającej się erze”, zaprzeczając *nota-bene* samym sobie w tych artykułach i zapominając, co pisali dwa tygodnie przedtem w związku z audiencją biskupów polskich u Pawła VI.

Bezstronna analiza przygotowań i przebiegu wizyty Gierka wykazuje, że o żadnym „zwrocie” nie ma mowy. Co innego prestiżowy sukces, co innego zaś odpersonalizowana ocena faktów i ich następstw. W tym sensie można raczej mówić o sukcesie Kościoła polskiego, a zwłaszcza Stolicy Apostolskiej, która zręcznie wykorzystała okres słabości Gierka i kryzys autorytetu partii. Podbudowała osobisty prestiż Gierka — to prawda, ale równocześnie wzmocniła pozycję przetargową polskiego Episkopatu i nie dała partii, w zamian za zaciągnięte przez Gierka zobowiązania, ekwiwalentu (na jaki w partii liczono) w postaci nominacji delegata apostolskiego; wykluczyła tym bardziej możliwość nawiązania stosunków dyplomatycznych. Mons. Poggi nie wybiera się w najbliższych miesiącach do Warszawy, wyjechał natomiast do Budapesztu, gdzie — jak się zdaje — dojdzie niebawem do ustanowienia tych stosunków. Znowu więc Węgry wyprzedzą PRL

(Kadar, jak wiadomo, wyprzedził Gierka u Papieża), co bardzo razi narodowo-komunistyczną dumę Gierka.

Zanim doszło do wizyty Gierka, Paweł VI przyjął najpierw Prymasa Polski, a następnie na audiencji zbiorowej 28 biskupów (łącznie z ks. Prymasem i kardynałem Wojtyłą) przybyłych z wizytą *ad limina*. W wygłoszonym przy tej okazji przemówieniu ks. Prymas stwierdził m.in.: „Kościół w Polsce, zachowując swój wielki wpływ na rolników, wzmógł swe oddziaływanie na robotników, którzy zdają sobie sprawę z tego, że Kościół jest po ich stronie w obronie podstawowych praw... zdobył sobie również uznanie wśród intelektualistów, którzy widzą w Kościele zabezpieczenie wartości kultury narodowej”. Papież, odpowiadając, wezwał biskupów do dalszej obrony praw Kościoła do „nauczania i wychowywania zgodnie z nakazami wiary chrześcijańskiej”, zachęcając ich do „ufności, zarówno w sprzyjających warunkach, jak i w przeciwnościach”. Socjalistyczny organ *Avanti!* komentując znaczenie tej audiencji zbiorowej (chadecki organ *Il popolo* ograniczył się do banałów) pisał: „Gierek uznał otwarcie, że w Polsce trzeba liczyć się z siłami katolickimi, musiał uznać, że w społeczeństwie polskim rosną masy robotnicze i młodzieży, które przyznają się do komunizmu, nawet w formie dysydencyjnej, lecz są nosicielami zupełnie odmiennych wartości i modeli”.

Wizyta Gierka u Papieża odbyła się w trzech fazach (łącznie godzina i 20 minut). Najpierw rozmowa w cztery oczy, jedynie w obecności tłumacza. Następnie dołączył się abp Casaroli oraz Kania, członek Politbiura odpowiedzialny za sprawy kościelne, i Wojtaszek, minister Spraw Zagranicznych. Wreszcie część oficjalna, w której wzięło udział ze strony polskiej pozostałych 18 osób świty. Najważniejsza była oczywiście pierwsza faza: Papież miał przed sobą syntezę dokumentacji złożonej przez biskupów polskich na audiencji zbiorowej (lista zarzutów i postulatów). Tylko słabe echa tej rozmowy („dialog głuchych” — według miarodajnych źródeł watykańskich) wystąpiły w oficjalnym przemówieniu papieskim. „Kościół nie prosi o przywileje dla siebie, lecz jedynie o prawo by mógł pozostać sobą i bez przeszkód rozwijać właściwą sobie działalność zgodnie ze swą istotą i misją” — powiedział Paweł VI, podkreślając „gotowość i zdolność Kościoła do wniesienia wkładu w wychowanie do poszanowania wartości moralnych... ofiarności we współdziałaniu dla dobra wspólnego, w pracy i w wolnym, osobistym zaangażowaniu na rzecz prawdziwego i pełnego rozwoju kraju”. Gierek w swej wypowiedzi wychwalał pod niebiosa zasługi Papieża oraz autorytet moralny i postawę Stolicy Apostolskiej (Helsinki). Darował mu więc, choć nie omieszkało wytknąć w prywatnych komentarzach, stwierdzenia, że „naród polski wybrał socjalistyczny system społeczny” i że „między Kościołem a Państwem nie ma konfliktów”. Powołał się przy tym na niedawną rozmowę z Prymasem Polski, tak jakby jedna rozmowa, wymuszona potwornym kryzysem społecznym i gospodarczym, mogła wymazać ostatnie dwa lata podjazdowej walki antykościelnej i konsekwent-

nej obrony przez Episkopat praw ludzkich i obywatelskich (także praw społecznych i syndykalnych i społecznych robotników). Rozmowa z Papieżem dała Gierkowi mocny atut w rozgrywkach wewnątrz-partyjnych i wzmacnia jego prestiż na zewnątrz, z drugiej strony jednak angażuje go na rzecz rewizji dotychczasowej polityki kościelnej. Chodzi zwłaszcza o dziedziny, którym nadano uzgodnione pierwszeństwo: opieka nad rodziną, wychowanie młodzieży, poszanowanie wartości moralnych. Gierek podjął zobowiązania — Stolica Apostolska je zarejestrowała, Kościół zaś w Kraju będzie je weryfikował w praktyce.

W zobowiązaniach tych Gierek nie wyszedł jednak dotąd poza ogólniki. Zachodzi więc obawa że atut, jaki otrzymał, może wykorzystać w sposób jednostronny dla wzmocnienia pozycji partii kosztem ruchu opozycji demokratycznej. Wprawdzie Prymas Polski, wierny swej długoletniej postawie, widzi Kościół w roli nadrzędnej „sumienia Narodu” i wyraziciela jego „tożsamości kulturalnej” — partia jednak, z natury rzeczy, stawia Kościół na płaszczyźnie ściśle politycznej, na zasadzie *partnership*. Episkopat polski musi więc widzieć również rozwój sytuacji w kategoriach politycznych, tzn. oceniać jaki wpływ na proces demokratyzacji wywrze jego aktualne nawiązanie „dialogu” z kierownictwem PZPR. W tym względzie przemówienie Ks. Prymasa na konferencji rzymskiej rektorów polskich misji zagranicznych (10 listopada 1977) daje podstawę do umiarkowanego optymizmu. Ks. Prymas stwierdził m.in.: „My nie tylko Narodowi służymy, my jesteśmy przez Naród 'inwigilowani'. Inwigiluje nas nie tylko taka czy inna formacja polityczna, inwigiluje nas społeczeństwo, które jest pełne lęku o to, czy Episkopat nie idzie czasem za daleko w swoich kontaktach z władzami... Stanowisko zajmowane przez społeczeństwo jest bardzo wyraziste i każe się z nim liczyć”.

Gierek nie uniknął uwikłania się w sprzeczności. Kiedy na konferencji prasowej, po wizycie u Papieża, zaprzeczył istnieniu cenzury, a przypierany do muru na temat koncesji na rzecz prasy i wydawnictw katolickich, umotywował rację istnienia tej cenzury, replikując gniewnie: „nie pozwolimy na to by dzielono naród polski”. Narodowej racji stanu przeciwstawił tym samym komunistyczną rację stanu. A uroczyste zobowiązanie Gierka do przestrzegania praw człowieka i „tradycyjnej polskiej tolerancji”? Dwa dni po wizycie u Papieża delegat polski na konferencji w Belgradzie (wtórując delegatowi ZSSR i NRD) odrzucił protest delegata włoskiego w sprawie odmowy paszportu pisarzom i naukowcom polskim, zaproszonym na Biennale do Wenecji (co włoski delegat określił jako „postępowanie sprzeczne z postanowieniami końcowego aktu układów w Helsinkach”).

Zakulisowe gry i gierki

W listopadzie, w związku z zapowiedzianą wizytą Gierka,

dziennikarze włoscy ruszyli ławą na podbój Kraju. Ekipa telewizyjna przeprowadziła w Krakowie wywiad z kardynałem Wojtyłą i red. Turowiczem, w Warszawie zaś z Kuroniem i specami od gospodarki. Rezultat: odmowa uzgodnionego uprzednio wywiadu telewizyjnego z Gierkiem. Plon wysłanników prasy włoskiej był dość obfity, ale nie można powiedzieć, by sprawił radość w „białym domu” przy al. Jerozolimskich. Rzymski *Il Messaggero* zatytułował sprawozdanie „Polska, państwo ignorujące ruch oporu”. Popularny tygodnik *Espresso* zamieścił sążnisty wywiad z Gierkiem. Zapytany co sądzi o „eurokomunizmie” odpowiedział m.in., że każda kompartia „ma prawo do własnej strategii, zgodnie z wymogami i tradycjami narodowymi, przy użyciu dowolnych środków zmierzających do wspólnego celu” (to samo twierdzi Berlinguer). Po czym, po panegiryku na cześć Kościoła („współżyjemy, mimo że Kościół wysuwa czasem zastrzeżenia... nie zachodzi jednak sytuacja antagonizmu”), podkreślił, że oprócz PZPR istnieją dwie partie „demokratyczna i ludowa oraz trzy grupy katolickie, które reprezentują różne pozycje ideologiczne i filozoficzne, ale akceptują państwo socjalistyczne i są zjednoczone we fronsie jedności narodowej”. Zapytano go również co myśli o sprzeczności zachodzącej pomiędzy faktem, że opozycja w krajach Europy Wschodniej powołuje się nieraz na stanowisko „eurokomunistów”, a utrzymywaniem przyjaznych stosunków między PZPR a włoską partią komunistyczną. Odpowiedź Gierka: „Nie sądzę by włoska partia broniła stanowiska dysydentów”. Punktem odniesienia dla wielu dysydentów jest jednak właśnie stanowisko włoskiej partii — nalega dziennikarz. Na to poirytowany Gierek: „Nieuczciwi ludzie starają się zawsze zastaniać powoływaniem się na stanowisko ludzi uczciwych”.

Rzecz znamienna, że w związku z chorobą ks. Prymasa i pochwałami, jakich mu nie szczędzono, krajowe źródła informacyjno-wywiadowcze wszczęły tu cichą kampanię w sprawie sukcesji. Pewna, mało tu znana, agencja prasowa dwukrotnie (7 października i 28 listopada) postawiła wyraźnie tę sprawę w notach pt. „Kto będzie przyszłym Prymasem Polski” i „Kardynał Wyszyński i sprawa sukcesji w Kościele polskim”. Obydwa te inspirowane artykuły sprowadzają się do wbijania klina pomiędzy osobę ks. Prymasa a kardynała Wojtyłę. Według tej agencji kardynał Wyszyński jest „patriotą” krytykującym „ściśle stosunki kardynała Wojtyły z Episkopatem zachodniemieckim”. Metropolicie krakowskiemu wytyka się dobre stosunki z kardynałem Hoeffnerem z Kolonii, przyjęcie doktoratu *honoris causa* katolickiego uniwersytetu w Moguncji, „sympatie filoniemieckie”. Ostatnie zdanie listopadowej noty brzmi: „W nowej, otwierającej się fazie stosunków Kościół-Państwo w Polsce kard. Wojtyła, ulegający wpływom religijnych frakcji zagranicznych, przeciwnym polskim uczuciom ludowym, na pewno nie może być następcą po-myślanym przez kardynała Wyszyńskiego”. Charakterystyczny, arogancki i prymitywny, styl tej prozy nie pozostawia cienia wątpliwości gdzie urodził się ten paszkwil.

Inne jeszcze gierki rozgrywano tutaj na marginesie wizyty Gierka, co obiektywnie na pewno przeszkadzało a nie pomagało jego delikatnej misji. Na przełomie października i listopada przebywał tu poseł Zabłocki. Zabiegał bezskutecznie przez dwa tygodnie o przyjęcie u Papieża. Wybrał sobie tu *nota-bene* niedobrych doradców. Chadey włoscy też nie pomogli. Zdają sobie coraz lepiej sprawę, że „neo-Znak” reprezentuje tylko samego siebie (ok. stu osób) i że partia zorientowała się, iż mimo udzielonych mu środków działania (rozłamowe kluby) nie tylko nie zdołał stworzyć sobie zaplecza, lecz nieliczni zwolennicy stopniowo mu ubywają (jak doniosła m.in. *Opinia*, samizdatowski organ ROPCiO). Chadey włoscy natomiast zainteresowali się bardziej red. J. Turowiczem, który tu przybył z okazji Synodu biskupów. Był przyjęty nawet przez posła G. Galloniego, wice-sekretarza gen. Chrześcijańskiej Demokracji. K. Sieniewicz, tu-tejszy *factotum* Zabłockiego (poseł Bender z „neo-Znaku” okazał się mądrzejszy — zrozumiał, że Sieniewicz poszedł u chadeków zachodnich w odstawkę), rozdawał tu niedawno osobliwy dokument pt. „*Les catholiques polonais vis-à-vis des droits de l'homme*”. Jest to jeszcze jedna próba grupy „neo-Znak” podszywania się pod nurt „chrześcijańsko-społeczny” i uzurpowania sobie mandatu występowania za granicą w imieniu katolików polskich. Mowa tam o „trockistach” i „lewicy laickiej” (oceniającej nader negatywnie z pozycji pseudo-endeckich), o „spektakularnych demonstracjach” (opozycji demokratycznej), o „niejasnych celach” tejże opozycji inspirowanej z zewnątrz, o „dwóch biegunach” (Kościół przeciwstawiany „dysydem”). Donos, jednym słowem, na ruch oporu *en bloc*. Zabłocki i Sieniewicz („wyszli z ONR-u i do neo-ONR-u wrócili” — jak ktoś zauważył) odkrywają w antytotalitarnych ruchach demokratycznych macki spisku „żydowsko-syjonistycznego”, podobnie jak Giertych, z tym że on głosi tę „teorię spiskową” platonicznie, dwaj jego wielbiciele natomiast budują na niej swe polityczne kolaboranckie losy. Nie wiedzą widać, że Prymas Polski (którego autorytetu wciąż nadużywają) w cytowanym już przemówieniu do księży rektorów polskich misji zagranicznych stwierdził, że „widzenie zagrożenia Polski przez siły zagraniczne, a stąd obawa przed niebezpieczeństwem wywołania różnych wewnętrznych konfliktów, jest niepełne, a może nawet szkodliwe... Sugestia, że zagrożenie i niebezpieczeństwo płyną w Polsce z jakichś konspiracji zewnętrznych, które chcą nas wciągnąć w rewoltę, jest nieścisłe... Płynie to raczej z sytuacji wewnętrznej... Rewolucje polskie rodzą się w ogonkach”.

„Nie ignorować, nie zapominać”

Tym wezwaniem watykański dziennik *Osservatore Romano* zatytułował sprawozdanie z pierwszego dnia rzymskiej sesji *The International Sakharov Hearings* (pierwsza sesja odbyła się dwa

lata temu w Kopenhadze). Nie sposób opisać na tych łamach przebiegu tej 4-dniowej sesji, podczas której składali zeznania świadkowie ze Związku Sowieckiego i z krajów Europy Wschodniej. Ograniczę się zatem jedynie do ogólnego nasświetlenia jej znaczenia i wyboru niektórych zeznań i wystąpień, których słuchałem jako członek *Questioning Panel* — międzynarodowej komisji ekspertów. Wypadło mi miejsce obok Jefferma Jankelewicza, młodego inżyniera, zięcia Andrieja Sacharowa i jego osobistego reprezentanta na tej sesji (wyemigrował niedawno z rodziną i wkrótce przenosi się do USA). Otworzyło ją orędzie laureata Pokojowej Nagrody Nobla, sfilmowane w Moskwie. Obradom sesji towarzyszyło przez cały czas duże zainteresowanie prasy światowej. Włoskie stronnictwa polityczne wyraziły swą solidarność, zignorowała ją tylko partia komunistyczna. „Życzę wam, by potworne świadectwa, jakie usłyszycie, przebiły się przez głuchotę dobrobytu i przeniknęły do zaślepionych sumień szukających pociechy i ukojenia w śpiewie syreny eurokomunizmu” — brzmiało odczytane posłanie Sołżenicyna. „Zapraszamy przedstawicieli partii komunistycznych, by zapoznali się z treścią zgromadzonej dokumentacji i zaznajomili nas ze swą opinią” — oświadczył na zakończeniu sesji Walentin Turczyn, fizyk, niedawny emigrant, twórca moskiewskiej sekcji *Amnesty International* (zastąpił go znakomity pisarz — Georgij Władimow, autor odważnego listu-oskarżenia pod adresem Związku Pisarzy Sowieckich). Świadcstwo złożone przez Turczyna należało do najcenniejszych i najlepiej opracowanych na tej sesji. Cytował udokumentowane przypadki dyskryminacji robotników, którzy pragną emigrować „nie z racji narodowych, politycznych czy religijnych, lecz z racji społeczno-gospodarczych”. Także w Rosji — o czym nie byliśmy dotąd dostatecznie poinformowani — tworzy się dziś więź pomiędzy „dysydentami politycznymi a szerokimi warstwami zwykłych robotników”. Podania o zezwolenie na emigrację umotywowane są: niskimi zarobkami, brakiem jakichkolwiek środków ochrony prawnej i społecznej i arbitralnością sądów. Turczyn przytoczył przypadek robotnika stoczni, który napisał do Breżniewa: „Moja żona nie pracuje, ponieważ mamy małe dzieci. Po odliczeniu ogólnych kosztów życia, na jedzenie pozostaje nam 15-20 rubli na głowę. Głodujemy i dlatego często chorujemy... Brak witamin i tłuszczu powoduje niski wskaźnik hemoglobiny, utratę przytomności i rachityzm u dzieci”. Przytoczył również przypadek konduktora autobusowego w Majkop na Kaukazie, skazanego w 1971 na trzy lata więzienia za napisanie w pamiętniku (przeczytanym przez jego zwierzchnika), że „partia komunistyczna jest niezdolna do poprawienia swych błędów”. Wyczerpujący obraz dyskryminacji robotników przedstawili świadkowie z Czechosłowacji, NRD, Bułgarii i Rumunii. Polska była reprezentowana przez sfilmowany wywiad z J. Kuroniem i J. Lityńskim.

Choć sesja była podzielona na trzy działy, debatowane każdy innego dnia — dyskryminacja ideowo-polityczna, społeczno-gospodarcza i religijna — okazało się w praktyce, że podział ten

jest sztuczny. Poszczególne kierunki dyskryminacji i łamania praw człowieka i obywatela wzajemnie bowiem przenikają się. Jeden z przywódców chrześcijańskiej sekty zielonoświątkowców przedstawił gehennę wyznawców tej wspólnoty na Dalekim Wschodzie (Nahodka) i w innych rejonach ZSSR (np. Krasnodar). Około 150 tysięcy jej członków pragnie wyemigrować do USA i Kanady, ale nie wszyscy mają odwagę złożyć podanie, bo to pociąga za sobą często utratę pracy, obóz lub więzienie. Wyznawcy ci obarczani są licznymi dziećmi, co potęguje ich udręki moralne i materialne.

Terror psychologiczny KGB — mówili o nim Leonid Pliuszcz i Siergiej Pigorow — uderza w chrześcijan różnych wyznań i aktywistów ruchu obrony praw człowieka, którzy mają odwagę głoszania publicznie swych przekonań i poglądów. „Cały potężny aparat represji — według Pigorowa (ekonomisty) — zmierza do zniszczenia i izolowania tego wystającego czubka lodowca od niewidocznej, gigantycznej jego masy”. Sygnatariusze czeskosłowackiej „Karty 77” (Krejcy, Lestinsky i Pallas) przedłożyli szczegółowe *dossier* łamania praw człowieka w życiu religijnym, społecznym i gospodarczym. Przepaść pomiędzy postanowieniami aktu końcowego w Helsinkach a rzeczywistością naświetlili przedstawiciele rosyjskiej i litewskiej grupy dla realizacji tych uchwał: Ludmiła Aleksiejewa i Tomas Venclova, który skrytykował m.in. politykę wschodnią Watykanu za milczenie w sprawie prześladowań katolików na Litwie. Wzruszające i pełne godności było wystąpienie Niny Bukowskiej w imieniu syna Władimira, przebywającego obecnie w USA. Wysłuchano też nagranych na taśmie oświadczeń żon więźniów politycznych, aktywistów grupy dla realizacji uchwał w Helsinkach: Ginzburga i Orłowa. „Ludobójstwo kultury hebrajskiej” przedstawiła Sobotnikowa, młoda aktywistka żydowska z Odessy, która sprecyzowała: „Nie tylko Żydzi, również inne grupy narodowe, ponad milion Polaków, poddane są eksterminacji kulturalnej”.

Punktem kulminacyjnym sesji było niespodziewane wkroczenie na salę obrad trzeciego dnia (kiedy debatowano nad dyskryminacją religijną) kardynała Josifa Sliipyja. Wszyscy powstał — chwila była podniosła. Przewodniczył obradom w tym momencie Szymon Wisenthal (głośny łowca hitlerowskich przestępców wojennych). Przerwał zeznania kolejnego świadka i powitał po rosyjsku 85-letniego kardynała. Powitał go również prof. Enio de Giorgi w imieniu włoskiej sekcji *Amnesty International*. Sekretarz kardynała odczytał z trybuny jego orędzie, w którym uzasadnił swą obecność: „Tam gdzie mówi się o moim Kościele muszę być również, by go bronić... Jestem galernikiem i świadkiem znanych archipelagów, jak je nazywa były więzień Sołżenitsyn, noszę na ciele blizny tego terroru”. Leonid Pliuszcz, markista „twórczy” — jak się deklaruje — zabrał głos, stwierdzając: „Wierzący i niewierzący popierają walkę katolików na rzecz godności człowieka. Wasz przykład osobisty był dla nas w łagrze i w zakładach psychiatrycznych wzorem do naśladowania i sym-

bolem zachowania odporności duchowej”. Muszę tu dodać, że na sympozjum weneckim, poświęconym ruchowi oporu chrześcijan w Europie Wschodniej, Pliuszcz przedłożył rezolucję, której jednym z punktów jest wyrażenie uznania dla Kościoła w Polsce za odwagę i stanowczość z jaką broni praw człowieka.

W czwartym, ostatnim, dniu obrad przerzedziło się. Część świadków i członków komisji ekspertów udała się na Biennale do Wenecji (łącznie z waszym korespondentem, zaproszonym do wygłoszenia referatu o opozycji w Polsce). Wystąpili adwokaci zachodni, którzy wyjaśnili dlaczego władze sowieckie odmówiły im wiz do Moskwy dla obrony ich klientów: Orłowa, Ginzburga i Szczarańskiego. Psychiatra amerykański, prof. R. Listen (członek komisji) przytoczył szereg wstrząsających świadectw o torturach stosowanych w „psychuszkach”, potępiając zwłaszcza ponurą sławą cieszący się Instytut Serbskiego — „słynny przykład oszukańczych diagnoz i łamania praw ludzkich i godności nauki”. Sesja zakończyła się ogłoszeniem krótkiego komunikatu, w którym czytamy: „Druga sesja Międzynarodowych Przesłuchań Sacharowa, po zbadaniu nowych i dramatycznych faktów na temat sytuacji w Europie Wschodniej i w ZSSR, nie może w najmniejszym stopniu wątpić w to, że stwierdzone pogwałcenia podstawowych praw człowieka stoją w oczywistej sprzeczności z niedawno ratyfikowanymi międzynarodowymi konwencjami”. Na propozycję Jankelewicza i zgodnie z życzeniem Andrieja Sacharowa, protokoły przesłuchań przekazano delegacjom uczestniczącym w konferencji belgradzkiej. Rezolucja końcowa będąca wyrokiem „Trybunału Sacharowa” — będzie wkrótce opracowana w kilku nastu językach.

Dominik MORAWSKI

Rzym, 11 grudnia 1977 r.

WYBÓR PRAC NADEŚLANYCH NA KONKURS IMIENIA JÓZEFA WYRWY

(Pseudonimy Furgalski, Stary)

Ogłoszony dla uczczenia 30-letniej rocznicy zakończenia
działań oddziałów partyzanckich.

Do druku przygotował i wstępem poprzedził
TADEUSZ WYRWA

Str. 133.

Cena: £. 3.00; F. 25.00.

Do nabycia w księgarniach polskich lub u wydawcy:

Oficina Poetów i Malarzy

146, Bridge Arch, Sutton Walk, London S.E.1. 8XU

Kraj

Zachód i Polska

W październikowej *Kulturze* z 1977 roku zamieszczono tłumaczenie artykułu z miesięcznika *Tiden* (Czas), będącego organem szwedzkiej partii socjaldemokratycznej. Redakcja zastanawia się nad przejściem do demokracji w warunkach komunizmu w porównaniu z udanym procesem demokratyzacji w Portugalii i Hiszpanii.

Artykuł budzi bardzo mieszane uczucia. Uderza wielka sympatia dla Polski i rozwijających się u nas prądów demokratycznych, oraz całkowity brak rozeznania polskich realiów. Niezrozumienie ich szczególnie dziwi u Szwedów, gdyż sytuacja krajów skandynawskich powinna pobudzać myślenie geopolityczne. Szwedzi wiedzą dlaczego są neutralni, a Norwegowie mogą należeć do Paktu Atlantyckiego, podczas gdy Finowie mają ograniczoną nawet wolność prasy i wydali ZSSR ludzi, których spotkać musiał bardzo niewesoły koniec.

Tymczasem socjaldemokraci szwedzcy nie mogą zrozumieć dlaczego robotnicy polscy doprowadziwszy do przewrotu w 1956 i w 1970 roku żywiłowo wyłoniли własne organizacje, które „nie okazały takiej samej siły żywotnej, jak organizacje, które powstały w walce z dyktaturą kapitalistyczną” i które albo były tak silne, że mogły działać jawnie lub też kontynuowały swą działalność w podziemiu, jak to miało miejsce w Hiszpanii. Przeciwnie polskie komitety robotnicze zostały bardzo szybko zneutralizowane przez obietnice zmian udzielone przez władze, a następnie wchłonięte przez oficjalne związki zawodowe. Ci, którzy stawiali opór, zostali uciszeni metodami policyjnymi.

Powstaje interesujące pytanie: — ciągnie organ socjaldemokratów szwedzkich — dlaczego polska klasa robotnicza dała się w ten sposób rozbroić, dlaczego walka polskiej klasy robotniczej o prawo do organizowania związków zawodowych, o demokrację systemu nie okazała się tak samo nieustępliwa i wytrwała jak w ustroju kapitalistycznym”.

Dalej prostoduszni socjaldemokraci zastanawiają się, czy w Polsce „istnieją sprzeczności innego rodzaju niż w kapitalizmie” i „czy w walce o demokrację w komunizmie decydującą siłą jest klasa robotnicza, czy też inne grupy społeczne”. Najbardziej rozczulająca wydaje się konkluzja tych rozważań. „Jest jednak oczywiście, że jak długo istnieje tego rodzaju wątpliwość, partie robotnicze w Europie Zachodniej mogą pozostawać jedynie biernymi obserwatorami, komentującymi w mało obowiązujący sposób przebieg wydarzeń”.

Konkluzja ta wydaje mi się nader celna dla ogólnej charakterystyki stosunku Zachodu do sytuacji społeczeństw w świecie komunistycznym. Niestety trzeba też z wielkim ubolewaniem stwierdzić, że lewica na Zachodzie czuje się jeszcze mniej niż prawica skłonna do wyjścia z pozycji „biernej obserwacji” i „niezobowiązujących komentarzy”.

Miesięcznik *Tiden* jest nam jednakże nadzwyczaj życzliwy i należy mu się szczerza, choć być może gorzka, odpowiedź. Z całą pewnością polska klasa robotnicza jest siłą główną, od której zależą przemiany demokratyczne w naszym kraju, ale od 32 lat ma ona związane ręce i jest zniewolona wraz z całym narodem polskim przez całkowitą zależność kraju od ZSSR. Dlatego właśnie głównym dalekosiężnym celem polityki polskiej jest niepodległość i zachowanie identyczności narodowej, zagrożonej przez sowietyzację naszej kultury, polityki, obyczaju. Gdyby przyjaźni nam socjaldemokraci szwedzcy i inni dobrze rozumieli konsekwencje tej sytuacji, to nie poczytywaliby za nacjonalizm motywowanie demokracji względami narodowymi, a nie tylko klasowymi. Nie lekceważąc spraw socjalnych trzeba zdać sobie sprawę, że problematyka Europy Wschodniej, to przede wszystkim sprawa egzystencji duchowej, moralnej i kulturalnej osiadłych tam narodów. Tragiczna sytuacja krajów bałtyckich i tak dużego narodu jak ukraiński jest ostrzeżeniem, że sowietyzacja prowadzi na pogranicze zakwestionowania egzystencji narodu, pojmowanej jako jego niezależność duchowa i kulturowa. Natomiast droga do niezależności wiedzie z pewnością przez uwzględnienie dynamiki wynikającej z przemian społecznych, rosnącej siły i świadomości klasy robotniczej, działającej w miarę możliwości w jedności i sojuszu z inteligencją. Wydarzenia w Polsce rozgrywające się od czerwca 1976 roku po dziś dzień stanowią właśnie ilustrację tej zarysowującej się drogi.

Zasadniczo jest raczej żenujące mówienie o zależności od Rosji krajów bloku wschodniego, gdy została ona drastycznie udowodniona wojskową interwencją na Węgrzech w 1956 roku i okupacją Czechosłowacji w roku 1968. Skoro jednak te doświadczenia nie wystarczają, to należy zwrócić uwagę, że w Polsce w czasie wszystkich poważniejszych napięć społecznych opinia publiczna brała pod uwagę ewentualność interwencji rosyjskiej. W październiku 1956 roku czołgi sowieckie były już na drogach wiodących do Warszawy i zatrzymała je tylko determinacja pol-

skich czynników partyjnych. W czasie krwawych wydarzeń na wybrzeżu w 1970 roku nie byliśmy także zbyt daleko od interwencji rosyjskiej. Nasi południowi i zachodni „socjalistyczni” sojusznicy byli naturalnie skłonni wziąć w niej udział, podobnie jak komuniści polscy posłali polskiego żołnierza do udziału w okupacji Czechosłowacji. Wszystko to były bardzo smutne sprawy, a najsmutniejsze jest, że Zachód nie wyciągał z nich żadnych wniosków, pozostając biernym obserwatorem komentującym wydarzenia w sposób niezobowiązujący.

Oczywiście nikt rozsądny w Polsce nie namawia Zachodu do ryzykowania wojny światowej. Pewna ilość skutecznych nacisków Zachodu wobec państw bloku wschodniego dowodzi, że jednak można i bez wojny dokonać czegoś dla ludzi i narodów Europy Wschodniej. Socjaldemokraci z pewnością mogliby naciskać skuteczniej niż inni, ale niestety najczęściej rezygnują z tego, pochłonięci bez reszty polityką wewnętrzną swoich krajów i zachodnich wspólnot politycznych. Rozumiejąc ograniczone możliwości Zachodu chcielibyśmy jednak, by w wolnym świecie uwzględniano w ocenie sytuacji społecznej krajów Europy Wschodniej dominację ZSSR w tym rejonie. Powoduje ona, że każdy ruch społeczny, przekraczający dopuszczalne w bloku wschodnim granice napięcia jest drastycznie tłumiony przez policję, a gdy to nie wystarcza, to przez interwencję rosyjską. Pomimo to właśnie w Polsce od półtora roku utrzymuje się trwały stan napięcia, uformowała się zróżnicowana ideowo, pluralistyczna opozycja polityczna, która po szerokich wystąpieniach robotniczych z czerwca 1976 obejmuje obecnie przede wszystkim środowiska studenckie i inteligenckie.

Oczywiście opinia polska nieraz w ciągu ostatnich dwudziestu lat, od czasu załamania się terrorku stalinowskiego, zadaje sobie pytanie, czy stałe zagrożenie ze strony Rosji, której wojska przecież stacjonują na naszej ziemi, nie stało się w jakiejś mierze alibi dla klasy robotniczej i całego społeczeństwa, pozwalającym na pozostawanie w bierności i występowanie tylko w sytuacjach szczególnie drastycznych i to przede wszystkim w momentach zagrożenia poziomu życia i sytuacji ekonomicznej szerokich mas.

Próbując odpowiedzieć na to z pewnością w naszych warunkach kluczowe pytanie, należy przede wszystkim stwierdzić, że historyczne osiągnięcia ruchu robotniczego na Zachodzie zaczęły się także od obrony przez robotników swych warunków życia. W miarę rozwoju świadomości klasy robotniczej rozszerzała ona zadania stawiane przed sobą, z tym, że zasadniczo, poza pewnymi sytuacjami wyjątkowymi, na Zachodzie nie musiała ona troszczyć się o niepodległość narodową. Mogła więc koncentrować się na kwestii socjalnej i walce o prawa dla świata pracy.

W Polsce sytuacja jest pod tym względem całkowicie inna. Społeczeństwo stoi w obliczu konieczności prowadzenia nie tylko walki socjalnej, ale i narodowo-wyzwoleniczej. Walka ta musi być prowadzona w warunkach państwa totalnego i policyjnego,

w którym jedynym pracodawcą jest to państwo, a więc uzależnienie obywateli od państwa nie może być w ogóle porównywane z ich sytuacją na Półwyspie Pirenejskim za czasów dyktatury Franco w Hiszpanii i Salazara w Portugalii. Pora wreszcie by ludzie z Zachodu zrozumieli, że tamte dyktatury, określane przez nich nader chętnie faszystowskimi, stanowiły oazę liberalizmu w porównaniu z warunkami panującymi w państwach rządzonych przez komunistów. W stwierdzeniu tym nie tylko nie ma żadnej przesady, ale jest ono nieodzowne, by lewica na Zachodzie zrozumiała wreszcie co oznacza dyktatura „proletariatu” sprawowana przez zależnych od Rosji komunistów.

Wszechwładza policji w tym systemie jest obok wszechwładzy cenzury i podporządkowania całego życia umysłowego i kulturalnego propagandzie sowieckiej przejawem jednocześnie totalizmu i uzależnienia od imperium rosyjskiego. Dominacja tych instrumentów, którymi posługują się często także inne dyktatury, nie byłaby tak zupełna, gdyby jednocześnie państwo nie stało się w rzeczywistości jedynym pracodawcą w ramach systemu kapitalizmu państwowego. Policja może więc nie tylko szykanować, czy aresztować robotnika lub inteligenta, jeśli ma przeciw niemu poszlaki, ale nawet nie mając żadnych poszlak, a opierając się jedynie na domysłach może spowodować zwolnienie go z pracy, przeniesienie do pracy innej, gorzej płatnej itd. Przecież po czerwcu 1976 roku główną bronią zastosowaną przeciw robotnikom, obok głośnych w świecie aresztowań, było po cichu przeprowadzane zwalnianie i szykanowanie w pracy. A więc dopiero uwzględnienie całokształtu tych okoliczności pozwala na wyrobienie sobie oceny zachowania polskich robotników i faktu, że po odważnych wystąpieniach pozwalają oni stosunkowo szybko się „neutralizować”, jak to określa organ socjaldemokratów szwedzkich.

Aparat rządzący w krajach komunistycznych zdobył duże wyrobieństwo polityczne w walce z robotnikami. Ich protest napotyka najczęściej najpierw na gest zaspokojenia aktualnych żądań. Potem zaś rozpoczyna się krecia robota policji politycznej, zmierzająca do ujawnienia i izolowania przywódców robotniczych. Naturalnie cierpi na tym produkcja, ale to nie ma znaczenia, gdyż dla partii znaczenie ma przede wszystkim władza. W imię zachowania swej władzy popełnia się stałe absurdy ekonomiczne i niszczy nie tylko kadrę robotniczą, ale także własne kadry polityczne, wszystkich myślących ludzi, by oprzeć się na bezwolnych, biernych i uległych.

Z pewnością polska klasa robotnicza, mająca w rządzącej biurokracji partyjno-państwowej bezwzględny i przewrotny przeciwnika, nie jest dostatecznie doświadczona i przygotowana do stawienia mu czoła. Polska klasa robotnicza jest stosunkowo młoda, tak jak i przemysł polski. W znakomitej większości pochodzi ona ze wsi, składa się z robotników w pierwszym pokoleniu, wśród których tradycje i solidarność robotnicza dopiero się tworzą. Ale nie sądzę, by było to głównym czynnikiem wpły-

wającym na szybkie neutralizowanie przez partię i policję zrywów robotniczych. W miarę krzepnięcia świadomości klasowej robotników rządząca oligarchia będzie miała zadanie coraz mniej łatwe. W istniejących warunkach ustrojowo-politycznych robotnicy nie są jednak w stanie stworzyć trwałego ruchu, który by obalił totalizm komunistyczny, tak jak obalono dyktatury w Hiszpanii i Portugalii. Klasa robotnicza w Niemczech wschodnich, Czechosłowacji i w pewnych rejonach Rosji sowieckiej jest z pewnością starsza niż polska, ale bynajmniej nie odnosi ona większych sukcesów. Bowiem robotnicy w całym bloku wschodnim mają przeciwko sobie „najdoskonalszy”, najbardziej kompletny, bezwzględny i perfidny system uzależnienia człowieka i poddania go despotyzmowi państwa i obozu. Decydującym czynnikiem sprawiającym, że system ten jest nie do obalenia siłami wewnętrznymi jest nawet nie wszechwładza policji politycznej, ale uzależnienie wszystkich pracujących od państwa, jedyne go pracodawcy. Oto dlaczego system kapitalizmu państwowego w bloku wschodnim, choć stale ponosi porażki ekonomiczne, jest dogmatem ideologicznym grup rządzących. Wiedzą one dobrze, że gdyby stosunki własności, a nawet sposób zarządzania gospodarką narodową uległy zmianie, to władza wymykałaby się z rąk rządzącej biurokracji partyjno-urzędniczej. Dlatego w ustroju komunistycznym nie ma miejsca nawet na drobny prywatny handel i przemysł, na prywatną sieć turystyczną itp. Z tego samego powodu nie przeprowadza się decentralizacji systemu gospodarczego, usamodzielnienia przedsiębiorstw, wymiany kadr niekompetentnych działaczy partyjnych na znajdujących się na rze czy fachowców. Wszystkie te reformy godziłyby we władzę oligarchii. Woli ona więc, by narody przez nią rządzone płaciły wysoką cenę gospodarczą za jej niekompetencję fachową, niż żeby nastąpił prawdziwy wzrost gospodarczy, uniezależniający społeczeństwo i klasę robotniczą od rządzących. Sprawa władzy jest w komunizmie jedyną sprawą zasadniczą. Sprawa własności i sposobu gospodarowania jest jej całkowicie podporządkowana. Z kolei klasa rządząca w krajach komunistycznych jest najściślej podporządkowana wpływowi rosyjskiemu.

Zależność od Rosji oparta jest nie tylko na obecności wojsk sowieckich na ziemiach satelitów ZSSR, a także nie tylko na powiązaniach aparatu partyjnego, wojska, policji i tajnych służb każdego państwa satelickiego z odpowiednimi organami sowieckimi. Głównym instrumentem uzależnienia jest podporządkowanie gospodarki każdego kraju satelickiego gospodarce Rosji i jej obozu. Główne inwestycje w krajach bloku wschodniego są tak pomyślane, by uzależniały ich gospodarkę od ZSSR. Dzieje się to naturalnie zazwyczaj z wielkimi szkodami i stratami ekonomicznymi, ale to nie ma dla komunistów znaczenia. I tak np. Polska jest zależna od przysłowiowych „trzech kranów” z dostawami sowieckimi, których zamknięcie spowodowałoby niemożność pracy większości przemysłu polskiego. Bawełna dla Łodzi, ropa naftowa dla Płocka, czy rudy żelaza dla Nowej Huty pod

Krakowem, czy głównej obecnie inwestycji PRL Huty Katowice — stanowią klasyczną ilustrację wkomponowania całej gospodarki polskiej w system sowiecki i uzależnienia jej od Rosji. A wspomniane wyżej trzy dziedziny nie stanowią bynajmniej wyjątku. Powszechnie wiadomo, że większość produkcji polskiego przemysłu stocznioowego idzie do Rosji. Budowana w tej chwili linia kolejowa szerokotorowa przez Polskę jest dziś symbolem naszego uzależnienia ekonomicznego, z którego wypływa uzależnienie polityczne.

Gdy w tych warunkach ludzie z Zachodu mówią nam: bądźcie socjaldemokratami i lewicowcami, bo inaczej będziemy tylko biernie was obserwować i nie pomożemy wam, to budzi to w naszym kraju pewną wesołość, swego rodzaju wisielczy humor. Czyżbyście na Zachodzie nie wiedzieli o niczym? Czy patrzycie tylko przez pryzmat waszych własnych sytuacji i układów wewnętrzno-politycznych? Czy dopiero lewicowe deklaracje mogą wam uprzytomnić, że szereg krajów Europy Wschodniej żyje w niewoli narodowej i klasowej jednocześnie?

Takie postawienie sprawy wydawałoby nam się dziecinadą. Opozycja polityczna w Polsce jest i pozostanie pluralistyczna, bo jak w każdym narodzie, tak i u nas różne są zapatrywania na sposób osiągnięcia postępu i dobra człowieka. Zachód jeśli będzie nam pomagał to będzie czynił to po prostu we własnym interesie, ponieważ to on teraz jest zagrożony przez imperialne dążenia sowiektów. Nie sposób uznać, że w Sztokholmie nic się o tym nie wie. Solidarność między ludami Wschodu i Zachodu nie powinna być uzależniana od momentów ideologicznych, ale musi opierać się o wspólnie uznane wartości podstawowe, jak prawa człowieka, dążenie do niezależności wszystkich narodów i wyzwolenia społecznego wszystkich ludów.

Broń Boże nie chcemy w Polsce odnowy nacjonalizmu i zapomniania o kwestii socjalnej w imię wygórowanych aspiracji narodowych. Zdajemy sobie sprawę z tego, że przy obecnym układzie sił światowych naród nasz nie ma szans osiągnięcia pełnej suwerenności. A wiemy, że układu tego nie można zmienić drogą konfrontacji wojennej Zachodu z Rosją, gdyż groziłoby to atomową katastrofą całej ludzkości. Ale nikt nie może nam odmówić prawa do obrony naszej tożsamości narodowej, naszej kultury, poczucia kulturalnej przynależności do Zachodu i związku z pojęciami moralnymi i demokratycznymi, które wyrosły na podłożu cywilizacji europejskiej.

Być może słowa te wydadzą się naszym szwedzkim przyja ciółom nieco abstrakcyjne i ogólnikowe. Wobec tego zadamy im kilka pytań: jak zachowaliby się w sytuacjach, które właśnie u nas mają miejsce. Co by powiedzieli gdyby w Szwecji obce mocarstwo doprowadziło do faktycznego zastąpienia nauk humanistycznych wykładem dogmatycznego marksizmu, gdyby odebrano narodowi szwedzkiemu całą jego historię najnowszą,

gdyby zlikwidowano np. nauczanie dziejów szwedzkiej socjaldemokracji i zastąpiono je wykładem historii ruchu komunistycznego? Co powiedzieliby Szwedzi, gdyby w pewnej ilości ich szkół wprowadzono więcej godzin nauki języka rosyjskiego niż języka i literatury szwedzkiej, gdyby zaczęto uczyć fizyki lub chemii po rosyjsku, cenzurować klasyków, zabraniać wydawania niektórych ich dzieł, gdyby wprowadzono w telewizji obowiązujący limit nadawania „dzieł” sowieckich, czeskich lub bułgarskich twórców, gdyby każda nadawana sztuka lub film miały nastawienie propagandowe, gdyby kazano im godzinami obserwować reportaże z fabryk i prac rolnych, a na rynku zabrakłoby niemal wszystkiego? Nie będziemy mnożyć tych pytań. Można by postawić ich jeszcze setki, ale wcale nie jest to potrzebne. Ci, którzy chcą wiedzą, co się dzieje na Wschodzie. Ci, co wiedzieć nie chcą i tak nie przyjmują faktów do wiadomości. Jesteśmy przekonani, że nie jest to wypadek czasopisma *Tiden*. Jego redakcja chce być uczciwa, ale ulega wyobrażeniom wynikającym z wewnętrzno-zachodnich problemów i konfrontacji. I dlatego boi się nacjonalizmu tam gdzie toczy się dramatyczna walka o obronę własnej kultury narodowej, kultury która jest własnością nie tylko inteligencji, ale także świata pracy, ale także robotników. Czy można zgodzić się na pozbawienie dzieci robotniczych tradycji kultury narodowej, na odbieranie im wszelkich wartości i skierowanie ich zainteresowań tylko w stronę płaskiego życiowego materializmu, który *nota-bene* nie może zostać także zaspokojony?

Konkluzja jest bardzo prosta. Najwyższy już czas, by Zachód, by socjaldemokraci zachodni przestali traktować kraje Europy Wschodniej jako świat socjalizmu, który trzeba po prostu nieco poprawić, trochę zhumanizować i wszystko będzie w porządku. Trzeba wreszcie przyjąć do wiadomości, że w Europie aż po Łabę rozciąga się imperium neokolonialne, w którym toczy się jednocześnie walka o wyzwolenie narodowe i społeczne. Walka ta jest prowadzona w warunkach dużo bardziej skomplikowanych i trudnych niż poprzednie historyczne dążenia rewindykacyjne narodów i klas społecznych. Trzeba ją bowiem prowadzić w taki sposób, by nie wywołać interwencji zbrojnej mocarstwa imperialnego jakim jest Rosja, ani nie przyczynić się do zbytniego, grożącego wojną nuklearną napięcia międzynarodowego. Trzeba ją też prowadzić w warunkach systemu totalnego, który przez zupełne nie tylko policyjne, ale także ekonomiczne zniewolenie człowieka, jest o wiele groźniejszy od dyktatur np. Półwyspu Pirenejskiego. Trzeba wreszcie ją prowadzić w obliczu egoizmu większości świata zachodniego, uwikłanego we własne sprawy i skłonnego za cenę złudnego spokoju przynikać czy na kolonializm w Europie, widząc jego pozostałości tylko w krajach egzotycznych i dalekich.

Ale walka o wyzwolenie narodowe i społeczne w Europie Wschodniej będzie się nadal toczyła, choć musi być moderowana przez realia światowe. Nie da się jej zahamować, gdyż świadomo-

mość narodowa i społeczna ludów należących bądź co bądź do kręgu kultury europejskiej, jest zbyt wysoka, by mogły one lub chciały skapitulować i poddać się sowietyzacji duchowej i politycznemu kolonializmowi.

Roman Józef KRUSZYŃSKI

Komunikaty

SESJA NA TEMAT PRAW CZŁOWIEKA

W Klubie Inteligencji Katolickiej w Warszawie odbyło się pięciodniowe sympozjum na temat praw człowieka. Temat sympozjum brzmiał: „Chrześcijaństwo wobec praw człowieka”. Spotkania miały miejsce 8, 9, 14, 15 i 16 listopada. W sesji wzięło udział ponad 300 osób — głównie młodej inteligencji. W życiu umysłowym stolicy sympozjum stanowiło wydarzenie dużej miary, było szeroko komentowane, podkreślano aktualność polską i międzynarodową podjętej tematyki.

Oto szczegółowy program sesji:

8. XI. Tadeusz Mazowiecki (redaktor naczelny *Więzi*): „Chrześcijaństwo a prawa człowieka”.
Jakub Karpiński: „Pojęcie praw człowieka w rozumieniu świeckim i chrześcijańskim”.
9. XI. Jolanta Strzelecka (prawnik): „Prawa obywatelskie w prawie administracyjnym”.
Stefan Kurowski (docent, ekonomista): „Prawa człowieka w działalności gospodarczej”.
Jacek Woźniakowski (docent, historyk sztuki, dyr. wydawn. *Znak*): „Prawa człowieka a kultura”.
14. XI. Jerzy Jedlicki (docent, historyk): „Antynomie liberalnej koncepcji wolności”.
Jan Strzelecki (socjolog): „Prawa człowieka w tradycji myśli socjalistycznej”.
15. XI. O. Bernard Skrzydlewski, dominikanin: „Prawa człowieka w myśli Kościoła w XIX-tym i XX-tym wieku”.
Stanisława Grabska (teolog): „Biblijne podstawy praw człowieka”.
16. XI. PANEL dyskusyjny na temat sesji. Głos zabierali: Jerzy Turowicz, Andrzej Grzegorezyk, Bohdan Cywiński, Adam Stanowski i Tadeusz Mazowiecki.

W ROCZNICĘ GRUDNIA

16 grudnia 1977, w rocznicę tzw. wydarzeń Grudniowych, około 700-1000 osób zgromadziło się przy bramie nr 2 Stoczni Gdańskiej. Odśpiewano hymn narodowy, uczczono minutą ciszy pamięć poległych, składano kwiaty, zapalono świeczki. W zgromadzeniu udział wzięli m.in. działacze Studenckiego Komitetu Solidarności, Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” i Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Władze na różne sposoby próbowały nie dopuścić do zgromadzenia. Zapowiadane, w rozpowszechnianych uprzednio ulotkach, miejsce manifestacji zostało zablokowane ustawionymi specjalnie w tym celu autobusami, ulica wzdłuż muru stoczni puszczono masowo tramwaje i autobusy.

Teresa Rybicka obwiniona o rozwieszanie ulotek, zapowiadających zgromadzenie, została skazana, przez Kolegium Orzekające, na 5.000 zł. grzywny. Przybyli do Gdańska 16-go rano J. Śreniowski i Anna Badel (członek i współpracowniczka KSS „KOR”) zostali zatrzymani na dworcu i wypuszczeni wieczorem tego samego dnia.

Na ludzi opuszczających miejsce zgromadzenia napadały bojówki. Tak np. napadnięto na grupę, w której znajdował się Bogdan Borusewicz (członek KSS „KOR”). Zostali oni pobici, napastnicy zabrali kamerę filmową. W KM MO, gdzie poszli złożyć zażalenie, poddano ich rewizji i przesłuchaniu. Andrzej Stonimski był przesłuchiwany przez funkcjonariusza SB Zygmunta Wasilewskiego, który podawał się za oficera milicji Jana Kowalskiego. Ponadto, poszkodowani byli niezauważonymi świadkami rozmowy między por. E. Rogowskim (tak się podpisał w protokole) z mjr. Chmielewskim. Rogowski tłumaczył przełożonemu, że nie może zarządzić rewizji osobistej ludzi, którzy przyszli na komendę złożyć zażalenie. Rewizję jednak przeprowadził. Nadto powiedział, że meldunek o złożonym przez Borusewicza i innych zażaleniu sporządzony będzie na fikcyjnym kwestionariuszu.

LATAJĄCY UNIwersYTET

Uniwersytet ten ma charakter jawny, bo z góry zapowiada się gdzie i kiedy i KTO będzie miał na jaki temat wykład. Oto autentyczny program wykładów na listopad 1977 roku:

1. Z historii politycznej Polski Ludowej (Adam Michnik), 9 listopada (środa) godz. 20.00, ul. Staffa 107.
2. Historia gospodarcza i historia myśli ekonomicznej Polski współczesnej (Tadeusz Kowalik), 12 listopada (sobota) godz. 10.00, ul. Głógera 3 m. 15 (na tyłach akademika na pl. Narutowicza).
3. Współczesne ideologie polityczne (Jerzy Jedlicki) 14 listopada (poniedziałek) godz. 19.00, ul. Pięciolinii 10 m. 41 (21?) — Ursynów.
4. Przegląd wielkich dyskusji trzydziestolecia powojennego (Jan Strzelecki) godz. 19.30, 15 listopada (wtorek), ul. Bagno 3 m. 201.
5. Sprawa polska w myśli politycznej i w mentalności społecznej epoki zaborów (Bohdan Cywiński), 18 listopada (piątek) godz. 19.00, ul. Burgaska 3 m. 3.
6. Literatura jako wyraz świadomości społecznej (Tomasz Burek), 19 listopada (sobota), godz. 17.30, Leśna Podkowa, ul. Borowin 5.
7. Tradycje i realizacje kultury socjalistycznej (Andrzej Tyszką), 25 listopad (piątek) godz. 19.00, ul. Bagno 3 m. 201.

CENTRALNA BIBLIOTEKA DZIEŁ ZAKAZANYCH

CBDZ posiada zbiory przekraczające 1.000 tomów wydawnictw emigracyjnych, przeważnie w języku polskim, są jednak też pozycje w językach obcych — najwięcej w rosyjskim. Biblioteka (ze względu na jej wartość jako całości) jest ukryta, gdzie znajduje się magazyn wie tylko wąskie grono wtajemniczonych. Książki zamawia się od kurierów, którzy je otrzymują od innych kurierów. Na książki wystawia się rewers.

Sąsiedzi

Czechosłowacja w roku 1977

W 355 numerze *Kultury* z kwietnia 1977 roku podałem przegląd wydarzeń, dotyczących Czechosłowacji za okres od marca 1975 do końca 1976 roku. Dziś — pisząc na początku grudnia 1977 roku — spróbuję podsumować wydarzenia związane z tym krajem w okresie niecałego 1977 roku.

Był to rok, który zwrócił uwagę świata na Czechosłowację. Koła opozycji demokratycznej w kraju oraz demokratycznej emigracji Czechów i Słowaków na Zachodzie były bardzo zadowolone z tego faktu, bo w latach 1970-1976 było na świecie raczej głucho o Czechosłowacji.

Od stycznia 1977 roku nie mija tydzień by Praga i Bratysława nie musiały reagować na akcje opozycji wewnątrz kraju oraz na echa w świecie, nie tylko wśród „burżuazji” i „reakcji”, ale również w szeregach syndykalistów, socjalistów i komunistów na Zachodzie. Często dołączają się krytyki z Jugosławii, niekiedy z Rumunii, a nawet z Węgier i Polski. Chiny i Albania oczywiście nie mogą sobie odmówić zjadliwych uwag, ale z nimi Husak nie musi się liczyć. Najgroźniejsze jest jednak niezadowolenie Sowietów, które oczywiście nie mają nic przeciwko terrorowi w Czechosłowacji, ale niezręczna polityka reżymu Husaka przysparza im dodatkowych kłopotów w sytuacji gdy nie bardzo wiedzą jak wybrnąć z coraz liczniejszych, zawiłych problemów wewnątrz kraju i na arenie międzynarodowej. Jak dotąd, obok stale milczącej oraz niewiele znaczącej Bułgarii, jedynym krajem który w pełni popiera Husaka są Niemcy Wschodnie; nie należy się temu dziwić, gdyż w Berlinie Wschodnim sprawują władzę siły temu bardzo podobne do rządów w Pradze i Bratysławie.

Jeszcze w 1976 roku wydawało się obecnym władcom Czechosłowacji, że panują w pełni nad sytuacją. Relatywny dobrobyt, względny spokój ludności i cisza wokół Czechosłowacji na świecie wzmacniały dobre samopoczucie oraz pozwalały na nieustannie powtarzane próby polepszenia reputacji reżymu za granicą. Mi-

nister spraw zagranicznych, Chnoupek, przeszedł nawet wtedy do ofensywy, jeżdżąc po całej niemal kuli ziemskiej.

Ale w roku 1977 wiele się zmieniło. Skromny dobrobyt jest obecnie zagrożony, przede wszystkim w wyniku coraz groźniej zaznaczającego się kryzysu handlu zagranicznego. Co prawda Czechosłowacja jest ciągle jeszcze najmniej zadłużonym wobec Zachodu krajem wschodnioeuropejskim (Polska natomiast najbardziej zadłużonym), ale przestarzałe urządzenia produkcyjne wymagają w Czechosłowacji inwestycji dewizowych; i to w chwili, kiedy i surowce i nafta z Zachodu i ze Wschodu są coraz droższe, natomiast rynek światowy w sytuacji recesji nie pozwala rozszerzyć eksportu wyrobów czechosłowackich, nie mówiąc o podniesieniu ich ceny. Przy tym gospodarka Czechosłowacji — kraju uboższego w surowce — jest zależna od handlu zagranicznego w daleko większym stopniu, niż gospodarka większości innych krajów komunistycznych.

Pogorszenie bilansu płatniczego musiałyby w końcu doprowadzić do gorszego zaopatrzenia rynku; wtedy zaś z trudem utrzymywany spokój wśród bardzo licznej oraz świadomej swojej siły klasy robotniczej w Czechosłowacji zostałby zagrożony. Reżym dobrze wie co to znaczy — Praska Wiosna — wbrew twierdzeniom reżymowej propagandy — była możliwa jedynie dzięki zaangażowaniu robotników. Akcje robotników w Polsce były oczywiście dodatkowym sygnałem ostrzegawczym dla Husaka.

Usunięcie z ważnych stanowisk setek tysięcy zwolenników Dubczeka (zwłaszcza w latach 1968-69) oraz obsadzenie ich zwolennikami Husaka, a raczej konformistami politycznymi, przestaje działać m.in. dlatego, że dorastające pokolenie przejęło w znacznym stopniu owe stanowiska. Chodzi o pokolenie nie obciążone polityczną przeszłością, nastawione technokratycznie, cyniczne i nieobliczalne.

Koła intelektualistów już poprzednio przezwyciężyły szok z lat 1968-69 i przeszły do działań ofensywnych. Sytuację komplikuje rozłam w kierownictwie partii, gdzie centrowa słowacka grupa Husaka musi odpierać ataki staro- i neostalinowców, skupionych wokół Ukraińca Wasyla Bilaka, przedstawiciela niektórych neostalinowców w Moskwie. Coraz silniejsze animozje antysłowackie w czeskiej części kraju, na pewno podsycane z Moskwy, nie sprzyjają oczywiście konsolidacji. Kierownictwo partyjne nie ma więc łatwego życia; przyszłość nie wróży poprawy — wręcz przeciwnie.

Ostrzeżeniem dla reżymu było ogłoszenie „Karty 77” w styczniu 1977 roku. Na początku zgromadziła ona około 250 podpisów przedstawicieli najróżniejszych grup społecznych; do dziś — i to po bardzo silnych represjach — zebrano przeszło 800 podpisów. Ciekawe jest kto dotąd nie podpisał: przedstawiciele Kościoła katolickiego (natomiast księża protestanccy podpisali) oraz Dubczek. Stosunkowo mało podpisów pochodzi ze Słowacji.

W styczniu 1977 roku, natychmiast po ogłoszeniu „Karty 77”, reżym przystąpił do kontrataku. Akcja została zsynchronizowana

ze ściganiem obrońców praw człowieka w Związku Sowieckim i w Polsce. 12 stycznia organ partii *Rude Pravo* obrzucił sygnatariuszy stekiem wyzwisk typu „wyrzutki społeczeństwa”, „lokaje i agenci imperializmu”, „trockiści”, „syjoniści”, „renegaci”. Zachodnioeuropejscy komuniści — zwłaszcza we Włoszech i w Hiszpanii — zdecydowanie stanęli po stronie „Karty 77”, tak samo jak portugalski rząd socjalistów. We Francji powstał „Międzynarodowy Komitet Obrony Zasad Karty 77 w Czechosłowacji” z inicjatywy członka Akademii, Pierre Emmanuela, sekretarza partii socjalistycznej Gilles Martineta, oraz byłego publicysty komunistycznego, Pierre Daixa. Wśród członków znajdują się trzej laureaci nagrody Nobla. Jednocześnie komunistyczna *Humanité* zaprotestowała przeciwko uciskowi w Czechosłowacji.

18 stycznia premier austriacki Kreisky zgłosił gotowość przyjęcia z pomocą prześladowanym obrońcom praw człowieka w Czechosłowacji. W dwa dni później, 20 stycznia, 34 intelektualistów węgierskich solidaryzuje się z „Kartą 77”; w tym samym dniu organ brytyjskich komunistów *The Morning Star* bierze w obronę sygnatariuszy „Karty 77”. Dopiero 23 stycznia Husak przeżył szok i w paru słowach zajmuje stanowisko wobec „Karty 77”, charakteryzując ją jako antysocjalistyczny pamflet.

W międzyczasie policja aresztowała w Pradze cztery osoby: dramaturga V. Havela, dziennikarza J. Lederera, reżysera F. Pawliczka oraz reżysera O. Orneta (ten ostatni zresztą „Karty 77” nie podpisał). Przedstawiciele sygnatariuszy „Karty 77”, profesorowie J. Patoczka i J. Hajek, nadal występowali przeciwko terrorowi policyjnemu. Rząd norweski odwołał zaproszenie do Oslo czechosłowackiego ministra handlu zagranicznego A. Barczaka, na znak protestu przeciwko prześladowaniom w Czechosłowacji. Prokurator Generalny w Pradze ostrzega Patoczka i Hajka, że „Karta 77” narusza rzekomo porządek prawny w Czechosłowacji. Międzynarodówka Socjalistyczna solidaryzuje się z „Kartą 77”, włoski minister spraw zagranicznych Forlani odmawia 31 stycznia spotkania z czechosłowackim ministrem spraw zagranicznych w czasie zmiany samolotu na lotnisku praskim. Zaplanowaną wizytę Husaka w Bonn oraz Sztrougała w Wiedniu trzeba było odłożyć (Sztrougal pojechał do Wiednia dopiero w listopadzie).

1 lutego Jerzy Andrzejewski w imieniu 25 członków Komitetu Obrony Robotników informuje w Warszawie zachodnich dziennikarzy, że Komitet solidaryzuje się z czechosłowackimi obrońcami praw obywatelskich. 2 lutego zaczął się w Pradze nowy proces przeciwko muzykom jazzowym. Duńska partia komunistyczna protestuje przeciw terrorowi wobec sygnatariuszy „Karty 77”. Leonard Bernstein odwołuje swój udział w festiwalu muzycznym „Praska Wiosna”. Na początku lutego wreszcie przyjeżdża do Pragi sowiecka delegacja partyjna pod wodzą Iwana Kapitonowa, żeby przedstawić Husakowi stanowisko Moskwy wobec „Karty 77”.

Pisarz rumuński Paul Goma zsolidaryzował się 10 lutego z „Kartą 77”; jednocześnie zsolidaryzował się z nią Milovan

Džilas. W Czechosłowacji partia postanowiła w połowie lutego zorganizować „gniew ludu” przeciwko „Karcie 77”. W największym zakładzie praskim „CKD” z 14 tys. załogi zaledwie 22 osoby przyszły na zapowiedzianą „ludową manifestację”. Do końca lutego 230 sygnatariuszy „Karty 77” zostało przesłuchanych przez policję. Brutalność i wściekłość policji wzrastają po przyjęciu J. Patoczki przez holenderskiego ministra spraw zagranicznych Van der Stoela w czasie jego oficjalnej wizyty w Pradze; policja przesłuchuje chorego na serce filozofa tak długo, aż trzeba go odwieźć do szpitala, gdzie 13 marca umiera. Próby zastraszenia uczestników w pogrzebie Patoczki stają się międzynarodowym skandalem.

Wszystkie represje władz nie osiągają celu — liczba sygnatariuszy „Karty 77” wciąż wzrasta; w nieregularnych odstępach czasu przedstawiciele „Karty” wydają komunikaty oraz różnego rodzaju dokumenty. Tak np. w kwietniu komunikat nr 9 wzywa rząd do poszanowania wolności religii, komunikat nr 12, z początku lipca, wylicza nazwiska 130 autorów czechosłowackich, którym nie wolno publikować.

Popularność „Karty 77” wśród ludności rośnie. Władze reagują represjami wobec tych osób, które kolportują tekst „Karty”; 28 września sąd w północnych Czechach skazuje dwóch młodych mężczyzn za to „przestępstwo” na trzy i pół roku więzienia. Jednocześnie policja sfałszowała wypowiedzi V. Havela, który natychmiast zdementował fałszerstwo. Fiasko było ogromne. Podobnym fiaskiem zakończyła się próba sfałszowania wypowiedzi zaarrestowanego O. Ornesta.

W czerwcu policja wpadła na iście surrealistyczny pomysł: wysłała do domu redaktora czasopisma czeskiej emigracji politycznej *Svedectvi* w Paryżu dwóch redaktorów praskiej telewizji z prośbą o wywiad. Redaktor zareagował w jedyne możliwy sposób: odmówił wywiadu, natomiast zaproponował, żeby telewizja zrobiła wywiad z przedstawicielami „Karty 77” w kraju. Tego oczywiście czeska bezpieka nie zrobiła.

Czechosłowacka emigracja już od dłuższego czasu leży partii na wątrobie. Rząd w Pradze uchwalił w połowie marca 1977 roku „Wytyczne o uregulowaniu stosunków prawnych CSRS wobec obywateli znajdujących się za granicą bez zezwolenia władz czechosłowackich”. Tekst owych „Wytycznych” został opublikowany bez rozgłosu w dziennikach ustaw obu republik narodowych dopiero 1 czerwca — najwidoczniej w ciągu dwu i pół miesiąca zastanawiano się, czy „Wytyczne” w takiej formie powinny się w ogóle ukazać. Dopiero po miesiącu środki przekazu dostały rozkaz roztrąbienia zachwyty nad „iście humanitarnym stanowiskiem” rządu wobec emigrantów. W ostatnim dniu czerwca dowiedziała się więc ludność — a wkrótce także i emigracja — że emigranci mogą poprosić o zwolnienie z obywatelstwa czechosłowackiego, oraz mogą przyjeżdżać z obcym paszportem do Czechosłowacji. Emigranci, którzy dowiedzieli się o całej sprawie

z krótkich wzmianek w zachodniej prasie czy z entuzjastycznych listów krewnych z kraju, zaczęli od początku lipca telefonicznie, listownie lub osobiście przejawiać wielkie zainteresowanie nową możliwością. Czechosłowackie konsulaty nie mogły przez kilka tygodni podołać ogromnej fali interesantów. Przebudzenie przyszło bardzo szybko bo już pod koniec lipca, kiedy to wszyscy mogli sobie przeczytać pełny tekst owych „Wytycznych”. Okazało się wtedy, że dobrodziejstwo zwolnienia z obywatelstwa może uzyskać tylko ten, kto poprosi „Prezydenta Republiki o ułaskawienie”. Dlatego mianowicie że każdy, kto przebywa „nielegalnie” za granicą został w międzyczasie za takie „przestępstwo” skazany zaocznie na karę roku, dwóch czy więcej więzienia, a „Wytyczne” wcale nie są amnestią. Oczywiście Prezydent może skorzystać z prawa łaski, ale nie musi — zwłaszcza nie musi wtedy, kiedy ktoś działa „przeciwko interesom państwa” np. jeżeli jest członkiem jakiejś niemiłej widzianej organizacji. Już za samo wniesienie prośby trzeba zapłacić w walucie, i to słono. Podanie trzeba złożyć osobiście w konsulacie, trzeba przynieść mnóstwo dokumentów (m.in. zaświadczenie pracodawcy o zajmowanym stanowisku oraz o wysokości zarobków), dalej dokumenty dotyczące uzyskanego w Czechosłowacji wykształcenia itd. Ponadto petent musi wpłacić honorarium dla adwokata, który ma go reprezentować w Czechosłowacji.

Jeżeli podanie zostanie załatwione przychylnie (za rok, czy później), emigrant musi zapłacić za uzyskane w Czechosłowacji wykształcenie swoje i całej swojej rodziny. Większość emigrantów to ludzie z wykształceniem uniwersyteckim i musieliby zapłacić przynajmniej po 2.500 dolarów od osoby. Za to otrzymają papierkę, że już nie są obywatelami czechosłowackimi. Jeżeli będą chcieli odpowiedzieć Czechosłowację, to mogą — jak każdy cudzoziemiec — poprosić o wizę turystyczną. Wizę tę otrzymają, albo nie — prawa do niej nie mają.

Władze oczywiście dobrze wiedzą, że emigranci nie są prostaczkami. Trzeba więc liczyć się z tym, że na takich warunkach nie będą prosić o „ułaskawienie”, żadnych podań składać nie zechcą i walut na konto konsulatów nie wyślą. Dlatego paragraf 13 „Wytycznych” lakonicznie informuje, że w przyszłości krewni w kraju nie otrzymają zezwolenia na wyjazd do emigranta, który nie złożył podania w myśl „Wytycznych”. W sumie więc „Wytyczne” nie tylko nie oznaczają kroku naprzód w stosunku do emigrantów, ale są pogorszeniem istniejącego stanu rzeczy: do roku 1977 wyjeżdżały rocznie dziesiątki tysięcy krewnych z kraju (oczywiście tylko w wieku emerytalnym) w odwiedziny do emigrantów na Zachodzie. To się prawdopodobnie skończy z końcem 1977 roku. A więc swoisty wkład do konferencji w Belgradzie...

Szeregi czechosłowackiej emigracji są zasilane również przez władze praskie; niektórych czołowych sygnatariuszy „Karty 77” pozbyto się według wypróbowanego wzoru sowieckiego przez odesłanie ich do Wiednia. Taki los spotkał np. Młynarza, byłego członka KC oraz kilku innych zwolenników Dubczeka.

W październiku odbył się w Pradze długo oczekiwany proces przeciwko Havelowi, Ledererowi, Pawliczkowi i Ornestowi; zakończył się skazaniem oskarżonych na kary więzienia w różnej wysokości. O ułaskawienie ciężko chorego Lederera prosili: jego żona (Polka) i syn; Ornest, również ciężko chory, nie wytrzymał nerwowo: w połowie listopada telewizja praska pokazała film (widocznie starszej daty), w którym Ornest przeprowadza samokrytykę oraz obwinia czechosłowacką emigrację — zwłaszcza Tigrida i Pelikana — o to, że go wykorzystali dla swoich celów. Od stycznia 1977 roku sytuacja zmieniła się kilkakrotnie, a wraz z nią zarzuty pod adresem czterech oskarżonych. W Pradze przypuszczano, że proces — wybitnie polityczny — nie odbędzie się zbyt szybko, gdyż toczyłby się jednocześnie z konferencją w Belgradzie. Odpowiedzialne czynniki w Pradze zdecydowały się jednak rozpocząć proces niemal jednocześnie z otwarciem konferencji belgradzkiej. Niecałe kierownictwo partii było i jest z tego procesu — właśnie w takim momencie — zadowolone. Na pewno delegaci państw komunistycznych w Belgradzie byli wściekli, że musieli pomagać przedstawicielowi czechosłowackiemu w bezradziejnej próbie wyjaśnienia zebranych delegatom, że praski proces jest właściwie przyczynkiem do obrony praw człowieka. Na Husaka sypią się więc z różnych „zaprzyjaźnionych krajów” cierpkie uwagi — i to w chwili, kiedy jego sytuacja jest nie do pozazdroszczenia (również i sytuacja osobista — jego druga żona zginęła w październiku w katastrofie śmigłowca na Słowacji).

Po kilku latach zastoju polityczna scena w Czechosłowacji była w roku 1977 w ruchu nie tylko dzięki „Karcie 77”. Nawet na scenie oficjalnej działy się różne rzeczy. Do nich należał II-gi Zjazd Związku Czeskich Pisarzy w dniach 1-2 marca. Zjazd był zapowiadany już na rok 1976, ale bez podania przyczyn przesunięto go o kilka miesięcy. W zjeździe wzięło udział 141 czeskich pisarzy (słowaccy pisarze mieli — jak dotychczas — własny związek) z ogólnej liczby 164 członków. Dotychczas nie wiadomo, kto właściwie jest członkiem tej organizacji. Jasne jest tylko jedno: poza kilkoma nazwiskami nie może się ta organizacja poszczycić wybitniejszymi, czy przynajmniej bardziej znanymi pisarzami, gdyż wartościowi autorzy z własnej woli, czy z musu znajdują się poza nią.

Bilans okresu od I-go Zjazdu (tj. od czerwca 1972 roku) musiał się ograniczyć do wyliczenia różnych akcji politycznych aparatu związku, gdyż przegląd nowych dzieł jego członków zwróciłby uwagę na ich śmiesznie niską ilość, nie mówiąc już o niewiarygodnie niskim poziomie większości utworów. Prezes, J. Kozak (fachowiec od ideologii w szkole partyjnej oraz partyjny dziennikarz) stwierdził, że najbardziej dojrzałe ideowo dzieła napisali autorzy starszego pokolenia — a więc przyznał, że młodszy starają się nie pisać drętą mową. Kozak ostro skrytykował twórczość dramaturgów, oraz zaatakował wydawanie powieści kryminalnych i tzw. literatury rozrywkowej.

2 marca odbył się jednocześnie w Bratysławie jednodniowy

III-ci Zjazd Związku Słowackich Pisarzy. Na tym zjeździe okazało się jeszcze raz, że solidarność czeskiej i słowackiej inteligencji trwa nadal. Słowacka pisarka Hana Ponická nie mogła przemawiać na jednodniowym zjeździe, gdyż czas na dyskusję był z natury rzeczy ograniczony. Tekst jej przemówienia został jednak włączony do protokołu zjazdu; opublikowano je w całości w czeskim czasopiśmie emigracyjnym *Listy* w Rzymie (nr 3-4, lipiec 1977), oraz częściowo w paryskim *Le Monde*. Ponická zwróciła uwagę słowackich pisarzy na prześladowania słowackich i czeskich pisarzy. Za to została w miesiąc później — w kwietniu 1977 roku — wykluczona ze Związku Pisarzy Słowackich, nie wolno jej publikować, a film nakręcony według jej scenariusza nie będzie wyświetlany.

Oba zjazdy zadokumentowały jeszcze raz, że kultura nie może się niczego spodziewać ze strony oficjalnych organizacji.

Dawny Związek Pisarzy Czechosłowackich, istniejący od 1949 r., został rozwiązany w 1970 r., gdyż stał na stanowisku, że w sierpniu 1968 r. doszło do okupacji Czechosłowacji wbrew woli Czechów i Słowaków. Obecnie władze wskrzesiły tę organizację i zjazd nowego Związku Pisarzy Czechosłowackich miał miejsce w Pradze 8 i 9 grudnia 1977 r. Prezesem Związku został Jan Kozak, co daje gwarancję, że Związek nie będzie się wychylał.

Wbrew nagonce partii i policji istnieje i coraz mocniej daje się we znaki podziemny nurt kultury. „Edycja Rygiel”, o której pisałem już w artykule z kwietnia 1977 roku, „wydała” od lata 1977 przeszło 80 tytułów. Obok tomów wierszy, powieści, opowiadań, dramatów ukazywały się słuchowiska radiowe, eseje, prace filozofów, opracowanie z zakresu teorii literatury oraz almanach literacki „Pohledy I” (Widoki I). Almanach wydał V. Havel, teksty pochodzą od 28 autorów. Są wśród nich znane nazwiska jak np. prof. Patoczki; jego pióra jest filozoficzny traktat pt. „Dwa studia o Masaryku (Próba czeskiej filozofii narodu oraz jej klęska. O filozofii religii Masaryka)”. Ukazała się również antologia „Czechosłowacki felieton 1975-1976”, w której zebrano prace 41 autorów.

Nadal pojawiają się wśród autorów „Edycji Rygiel” znane nazwiska, które musiały zniknąć z oficjalnych wydawnictw: P. Kohout, A. Kliment, V. Czerny, M. Machovec, J. Grusza, J. Topol, K. Sidon, L. Czivrný, I. Klima, O. Kryštofek, K. Knýcl, S. Machonin, J. Trefulka, M. Uhde, L. Vaculik, J. Kolarz, J. Vladilav i in.

To wszystko nie bardzo się partii podoba. „Kartę 77” oraz „Edycję Rygiel” trzeba było zneutralizować. Obok wspomnianych już zjazdów pisarzy nie przyszło praskiej centrali nic innego do głowy, jak tylko wypróbowany (i na pewno nic nie dający) środek z czasów stalinizmu: manifestacyjne zebrania oraz akcje podpisów pracowników kultury przeciwko „zdrajcom”. W pierwszych miesiącach 1977 roku zorganizowano kilka takich imprez — dla aktorów, muzyków, dziennikarzy, malarzy itp. Zbieranie

podpisów pod nudnymi atakami na sygnatariuszy „Karty 77” (przez publiczność natychmiast ochrzczone mianem „Anty-Karty”) szło bardzo opornie. Któryś z organizatorów wpadł wtedy na genialny pomysł: podpisy na liście obecności tych obowiązkowych imprez zadeklarowano jako podpisy pod „Anty-Kartą” i w ten sposób otrzymano wcale pokazną kolekcję autografów znanych artystów. Niech teraz spróbują coś powiedzieć! Wśród tych podpisów były również nazwiska osób, o których od lat było głucho, bo władze karały je za oporność. Publiczność mogła się zatem przekonać, że ci ludzie znajdują się obecnie na dobrej drodze — parę razy np. pokazano na ekranach telewizyjnych stare filmy z tymi aktorami. Szybko jednak dano sobie spokój z podobnymi manifestacyjnymi akcjami, równie szybko zaprzestano też pokazywać stare filmy z popularnymi, lecz nie bardzo pro-husakowskimi aktorami.

Na emigracji rozwija się działalność ośrodków wydawniczych: w Kanadzie, USA, NRF, Szwajcarii i Holandii. Do najciekawszych tytułów roku 1977 należą dwie książki *non-fiction*: wspomnienia prof. V. Czernego pt. „Narzekania czeskiej korony”, w których wybitny romanista i sławista, mieszkający w Pradze, opisał swoje przeżycia w czasie drugiej wojny światowej, kiedy należał do kierownictwa czeskiego ruchu oporu. Druga bardzo ciekawa książka to czeska, obszerniejsza wersja pamiętników gen. Franciszka Moravca, szefa czechosłowackiego wywiadu w czasie drugiej wojny światowej (angielska wersja ukazała się w 1975 roku pt. „Master of Spies”, wyd. The Bodley Head Ltd., London). Czechosłowacki wywiad należał do najlepiej poinformowanych na świecie — tytuł angielskiej wersji to słowa uznania Churchilla dla działalności Moravca.

Wszystko to, co się działo w Czechosłowacji w 1977 roku, zwiększyło zainteresowanie tym krajem na świecie. Przejawia się ono w licznych artykułach prasy światowej, we wzrastającej ilości dzieł czeskich oraz słowackich autorów tłumaczonych na zachodnioeuropejskie języki, w coraz większej ilości studentów zachodnich uniwersytetów uczących się po czesku.

Rok 1978 to rok smutnego jubileuszu: dziesięciolecie sowieckiej okupacji Czechosłowacji. Już teraz widać, że bilans tych dziesięciu lat będzie dla sił czechosłowackiej demokracji w kraju i na emigracji pozytywny: prosowieckim kolaborantom oraz stalinowcom wszelkiej maści nie udało się spacyfikować społeczeństwa ani przez stosowanie najbrutalniejszych metod, ani poprzez stosunkowo wysoką stopę życiową. W Czechosłowacji ubiegłe dziesięciolecie nie tylko nie załatwiło żadnego z istniejących problemów, ale stworzyło nowe, których rozwiązanie będzie coraz trudniejsze zarówno dla starzejącego się i skłóconego kierownictwa partii w Pradze i w Bratysławie, jak i dla Moskwy.

Karel KLATOVSKY

W sowieckiej prasie

Gdy w połowie grudnia zabrałem się do napisania przeglądu prasy sowieckiej do styczniowego numeru *Kultury*, zdecydowałem przejrzeć to, co pisałem w poprzednich przeglądach, żeby sobie przypomnieć jakie wydarzenia minionego roku odnotowane lub „niezauważone” przez prasę sowiecką zwróciły moją uwagę. Do czytania było dużo — każdy przegląd obejmuje około 10 stron maszynopisu. Wszystkie przeglądy, razem wzięte, dają obraz życia w Związku Sowieckim. Może nie taki, jaki chcieliby dać redaktorzy i cenzorzy pism sowieckich, ale taki, jaki można opracować po przeczytaniu pism i gazet sowieckich. Obraz kraju, który nie przestaje świętować zwycięstw w różnych dziedzinach, a w którym zaleca się jedzenie końskiego mięsa, gdyż innego „chwilowo nie ma”, w którym nie przestaje się mówić o niebywałych wolnościach danych obywatelom, a w którym każdego dnia kierownicy partii i rządu oraz ich najemni pismacy atakują wszystkich inaczej myślących.

Jakież więc wydarzenia w „kraju rozwiniętego socjalizmu” znalazły miejsce w moich przeglądach? Wybrałem te, które dziś, w grudniu, wydają mi się ważne, zasługujące na uwagę.

W styczniu 1977 roku głównym wydarzeniem było 70-lecie Leonida Iljicza Breżniewa, generalnego sekretarza KC partii, marszałka itd., itp. Odnotowałem także wysiłki narzucania języka rosyjskiego w republikach nierosyjskich, a w szczególności w Gruzji. Wydało mi się to ciekawe, gdyż prawie w rok później, w końcu 1977 roku, w piśmie *Kommunist*, centralnym organie KC KPZS, I-szy sekretarz gruzińskiej kompartii powraca do tego problemu, kładąc nacisk na konieczność rozwoju nauki języka rosyjskiego wśród narodów nierosyjskich. „Język rosyjski — pisze sekretarz gruzińskiej kompartii — stał się dobrowolnie wybranym (?) językiem obcym, który wyjątkowo dobrze pozwala realizować więzi między narodami... Każdy powinien znać język rosyjski, język przyjaźni narodów ZSSR, język Października, język Lenina”. Ponieważ jeszcze rok temu przytaczałem fakty świadczące o tym, że punktu widzenia I-go sekretarza gruzińskiej kompartii bynajmniej nie podzielają wszyscy Gruzini, teraz dodaję, że I-szy sekretarz wyraźnie ich przestrzega: „Nacjonalizm to zdrada. Dzisiaj w naszym kraju nie ma on bazy społecznej. Można stwierdzić izolowane wypadki przejawów nacjonalizmu, ale z reguły dotyczy to oświadczeń inspirowanych przez karierowiczostwo lub chciwość niektórych niezrównoważonych elementów”.

W lutowym przeglądzie — znów Breżniew. Nie mogłem się oprzeć potokowi uwielbień i pochlebstw, który zwał się na

wszystkich sowieckich czytelników. Wśród najbardziej wiernopoddających w okazywaniu uwielbienia wybijają się wiersze napisane przez Jerzego Puramenta dla *Litieraturnoj Gaziety*. Po roku, w jednym z numerów tego pisma (1977), ogłoszono, że polski pisarz otrzymał nagrodę: pismo zamieszcza przy tym artystyczny portret — siedzi Jerzy Putrament i czyta gazetę. Zdaje się — „literaturkę”.

I jeszcze dwa wydarzenia z lutowego przeglądu. Po pierwsze — wybuch w metrze moskiewskim. Na drugi dzień znany agent KGB, Wiktor Louis, ogłosił, że wybuch był dziełem dysydentów sowieckich. Andriej Sacharow wystąpił z gniewnym protestem. Do dnia dzisiejszego nie została wyjaśniona tajemnica wybuchu. Drugie wydarzenie ma charakter bardziej zwyczajny. Telewizja pokazała pierwszy sowiecki, antysemitki (ma się rozumieć antysyjonistyczny) film. W wojsku wyświetlono drugi film „Sprawy tajne i jawne”, w którym reżyser Borys Karpow zebrał dokumentację świadczącą, że na przestrzeni całej historii Związku Sowieckiego głównym jego wrogiem byli Żydzi. Scenę zamachu na Lenina w 1918 roku np. speaker tak komentuje: „Oto jak Żydówka, Fanny Kapłan, porwała się na zamordowanie Lenina”, wiele miejsca poświęcono w tym „dokumentalnym filmie” niejakiemu Lwu Bronszejnowi, niegdyś znanemu pod nazwiskiem Trocki. Dokumenty dotyczące drugiej wojny światowej poprzedziło katoryczne oświadczenie komentatora: „Kapitałiści żydowscy pomagali w dojściu Hitlera do władzy”. Ale filmy antysemitki — to na użytek masowy. Dla uświadomionych towarzyszy, dla agitatorów i propagandystów Akademia Nauk ZSSR przygotowała w 1977 roku pracę naukową — wybór artykułów pt.: „Międzynarodowy syjonizm — historia i polityka”. Zebrane opracowania znacznie posuwają naprzód — lepiej powiedzieć pchają — marksizm-leninizm. Główne odkrycie teoretyczne sprowadza się do rozwinięcia znanej tezy Lenina o imperializmie, jako wyższym stadium kapitalizmu. Teraz wyjaśnia się, że wyższym stadium imperializmu jest syjonizm. „Żydowska gałąź imperializmu” — pisze teoretyk W. I. Kisielew. Jednocześnie — ale już w innej pracy teoretycznej — żydowska gałąź mafii okazuje się wyższym stopniem mafii.

Marzec był bogaty w wydarzenia. Przede wszystkim przeszła po Moskwie fala pożarów. Paliły się hotel „Rossija”, jeszcze jeden hotel i gmach ministerstwa. I tu również śledztwo do dnia dzisiejszego nie dało żadnych rezultatów. Ale marzec zaznaczył się przede wszystkim międzynarodowym uznaniem dla sowieckich dysydentów. W lutym Władimir Bukowski został wymieniony na sekretarza chilijskiej kompartii Corvalana. A w marcu został przyjęty w Białym Domu. Prezydent Carter wysłał list do Andrieja Sacharowa. Andriej Amalrik przez cały dzień oblegał Pałac Elizejski, domagając się przyjęcia przez prezydenta Francji. Nie został przyjęty, ale przez tydzień prasa francuska, radio i telewizja mówiły tylko o dysydentach sowieckich. Odpowiedzią władz sowieckich było wzmocnienie kampanii przeciw inaczej myślą-

cym, a w szczególności ogłoszenie aktu skrucy niejakiego Lipawskiego, mówiącego o związkach jego przyjaciół dysydentów z wywiadem amerykańskim. W charakterze „głównego szpiega” jest wymieniony Anatolij Szczarański, aresztowany członek moskiewskiej Grupy Przestrzegania Realizowania Uchwał w Helsinkach.

Zaczynają się przygotowania do „wielkiego procesu”. Od marca do grudnia — a w myśl sowieckiego Kodeksu Karnego śledztwo nie może trwać dłużej niż 9 miesięcy — mają miejsce aresztowania, przygotowuje się artykuły, które zawierają nie tylko oskarżenia, ale i wyroki, sondaże się opinii międzynarodową przez analogiczny proces w Pradze. Proces w Moskwie się opóźnia dlatego — i tu nie ma wątpliwości — że prezydent Carter oświadczył, że proces Szczarańskiego będzie uważał za jawne naruszenie praw człowieka. Próba sił między Moskwą i Waszyngtonem została przesunięta na 1978 rok. Na konferencji w Belgradzie — kontynuacji konferencji w Helsinkach — USA robią wszystko, by nie drażnić ZSSR. Zdumiewające stosunki między dwoma tymi krajami w Belgradzie najlepiej charakteryzują słowa przewodniczącego delegacji amerykańskiej Artura Goldberga. Zaskługuja one na zarejestrowanie dla historii; Goldberg mówił skromnie i nieśmiało o naruszaniu praw człowieka w ZSSR; przedstawiciel ZSSR odpowiedział mu — opowiadaniem o niebywałych naruszeniach praw człowieka w USA, o tysiącach aresztowań itd. Na to Goldberg odparł: jeśli przestaniecie mówić kłamstwa o nas, to ja przestanę mówić o was prawdę. Tylko przyszły historyk będzie mógł odpowiedzieć na pytanie: dlaczego trzeba przestać mówić prawdę, aby nie słyszeć kłamstwa?

Przegląd kwietniowy poświęcony był dwu tematom: nieudanej misji sekretarza stanu USA Vence'a w Moskwie i przemówieniu Breżniewa o trudnościach gospodarczych, jakie przeżywa ZSSR. Porażka Vence'a, odmowa moskiewskich przywódców rozpatrzenia propozycji USA, była spowodowana zaskoczeniem. 70-letniemu Breżniewowi i jego starszym towarzyszom trzeba było dać czas na przemyślenie, przyzwyczajenie się do tych myśli i ich zrozumienie. W szereg miesięcy po wizycie Vence'a w Moskwie rokowania między ZSSR i USA zostały wznowione. Jeśli idzie o trudności gospodarcze, to nic się nie zmieniło. Nie zniknęły. Trudności wieczne, immanentne gospodarki rolnej, trudności w przemyśle w dużym stopniu spowodowane stratą milionów godzin pracy.

W maju prasa sowiecka dużo pisała o Afryce, o sukcesach krajów postępowych, o ruchu wolnościowym w krajach, które jeszcze nie stały się „postępowymi”. W listopadzie czytelnicy sowieccy z pewnym zaskoczeniem dowiedzieli się ze skąpych linijek komentarzy, że nie wszystkie „postępowe” kraje jednakowo silnie kochają Związek Sowiecki. Somali, związane z ZSSR układem o przyjaźni i wzajemnej pomocy — republika jak najbardziej postępową, posiadająca jedyną monolityczną partię owianą ideami Marksa i Lenina — wyrzuciła doradców sowiec-

kich. Komentatorzy sowieccy naturalnie mówili, że to Związek Sowiecki zakłopotany „szowinistycznymi i ekspansywnymi tendencjami, które wzięły górę w kierownictwie somalijskim” odwołał swoich doradców. Ale czytelnicy *Prawdy* pamiętają dobrze wygnanie z Egiptu. Egipt — a przede wszystkim jego prezydent, Sadat (jeszcze przed jego wizytą w Izraelu) — stał się celem gwałtownych ataków sowieckich propagandystów. Teraz taką tarczą strzelniczą stało się Somali. Ale doradcy nie wrócili.

Wygnanie sowieckich doradców z Somali unaocznia charakterystyczną cechę sowieckich wpływów. Moskwa próbuje stworzyć imperium, w którym ideologia zastąpi siły okupacyjne. Dobrze, oczywiście, jeżeli można połączyć i jedno i drugie, ale jeśli nie można wysłać wojsk okupacyjnych, to wysyła się ideologię. Dla jej wprowadzenia, dla wykształcenia grupy kierowniczej, oddanej ideologii i stanowiącej samookupacyjne siły, niezbędny jest czas. Bez tego sfera wpływów sowieckich staje się niezmiernie nie-trwała.

W czerwcu obywatele sowieckich spotkała niebywała radość: Leonid Breżniew podarował im nową konstytucję. Jak później powie naczelnny redaktor *Litieraturnoj Gazety* w swoim wystąpieniu we francuskiej telewizji — poprzednia konstytucja była dobra, ale nowa jest jeszcze lepsza. Nowa konstytucja, to przejaw stałego sowieckiego konfliktu: walki dobrego z lepszym. Wraz z konstytucją podarowano nowy hymn, tj. stary, ale usunięto z niego nazwisko Stalina. Jednocześnie został wyrzucony przewodniczący Rady Najwyższej — Mikołaj Podgorny, który nie od razu, tj. nie w tej samej minucie, zgodził się ustąpić miejsca Breżniewowi. I dzisiaj, po pół roku, nazwisko Podgornego można spotkać jedynie w moim przeglądzie prasy sowieckiej. Jak to określił Orwell — były przewodniczący przekształcił się w *non-person*.

W lipcu nowy Solon — generalny sekretarz KC KPZS, przewodniczący prezydium Rady Najwyższej, marszałek Breżniew — odwiedził Paryż. Autor konstytucji sowieckiej nie był na Zachodzie dwa i pół roku. Wątpliwe czy go Zachód jeszcze kiedykolwiek zobaczy. Wystąpienia Breżniewa i jego zachowanie przekonały widocznie wszystkich, że jest on może wystarczająco dobry dla pokazywania go na zjazdach bratnich kompartii, ale nie w stolicach zachodnich.

W sierpniowym przeglądzie dwa główne tematy: światowy Kongres Psychiatrów w Honolulu i Międzynarodowe Targi Książki w Moskwie. W Honolulu po raz pierwszy większość psychiatrów świata stwierdziła, że nawet kraj posiadający rakiety międzykontynentalne i 50 tysięcy czołgów (w roku 1977) postępuje nie całkiem dobrze zamykając w szpitalach psychiatrycznych ludzi, którzy odważają się krytykować politykę tego kraju. Stanowisko światowego kongresu psychiatrów wywołało w Moskwie ostre niezadowolenie i zostało w *Prawdzie* i *Litieraturnoj Gazecie* wytłumaczone chwilowym niedomaganiem psychicznym psychia-

trów, spowodowanym intrygami syjonistów. Znacznie więcej zadowolenia dały przywódcom sowieckim Międzynarodowe Targi Książki. Do Moskwy rwały się — z nielicznymi wyjątkami — wszystkie największe wydawnictwa światowe, godząc się nie wystawiać niczego, co mogłoby wywołać niezadowolenie organizatorów. Przeczytawszy ten przegląd zobaczyłem, że wiele miejsca poświęciłem kłopotom włoskiego sławisty prof. Vittorio Strada. Władze moskiewskie nie chciały mu dać wize, a on bardzo prosił. W jego sprawie interweniowały wszystkie włoskie partie i rząd. Wreszcie — wszyscy odetchnęli z ulgą — prof. Strada wizę otrzymał i w moskiewskich targach uczestniczył. Historię wyjazdu do Moskwy włoskiego sławisty zakończyłem słowami: „Po interwencji włoskiego ministerstwa Spraw Zagranicznych Strada jednak wizę otrzymał. Ale to było „ostrzeżenie”. Nie przyszło mi do głowy, że tak szybko potwierdzi się słuszność tych słów. W październiku - listopadzie 1977 roku miało miejsce w Wenecji Biennale, poświęcone dysydentom krajów Europy Wschodniej, obejmujące seminarium w szczególności poświęcone literaturze tych krajów. Vittorio Strada, profesor uniwersytetu w Wenecji, nie potrzebował wize, aby uczestniczyć w tych seminariach. Zapewne nie potrzebował nawet gondoli — mógł dojść na piechotę, ale — nie doszedł. Nie uczestniczył w żadnym z seminariów. Ostrzeżenie Moskwy poskutkowało.

Uroczystości październikowe otworzył, jak najbardziej zasłużenie, Ju. Andropow. W swoim referacie, poświęconym 100-leciu urodzin Dzierżyńskiego, przewodniczący KGB mówił o chlubnej działalności „organów” i wskazał zasadniczy cel — nową ofiarę — dysydentów.

Listopadowy przegląd omawia materiały dotyczące sukcesów i niepowodzeń władzy sowieckiej w okresie 60 lat, oraz pomoc, udzielaną w chwili obecnej gospodarce sowieckiej przez największe międzynarodowe monopole, widzące w strefie kontrolowanej przez Moskwę strefę produkcyjną, której wykorzystanie może im przynieść zyski. Jednocześnie służy to umocnieniu Związku Sowieckiego, co jak gdyby nie przerażało zachodnich kapitalistów.

W grudniu głównym wydarzeniem była inicjatywa prezydenta Sadata, która Moskwę doprowadziła do furii. Wewnątrz kraju wszystko było po staremu. KC partii i rząd znalazły kolejne panaceum, cudowny lek na uzdrowienie gospodarki rolnej: wzywano się na wieś doświadczonych, wyrobionych politycznie specjalistów, dobrych organizatorów, zdolnych do kierowania produkcją zgodnie z zasadami nowoczesnej nauki i techniki. Obiecuje się im różnego rodzaju ulgi. Jednak jest jasne, że po takich wezwaniach — które okresowo powtarzają się już od około 50 lat — tylko duren zamieni miasto na sowiecką wieś. Ale mimo to nawet udało się gospodarce rolnej coś osiągnąć. Specjaliści sowieccy, widocznie wykształceni nie tylko politycznie, znów oszukali Amerykanów — zakupili u nich zboże po bardzo niskich cenach. Przez całe lato eksperci amerykańscy, a w ich liczbie „specjaliści” C.I.A., twierdzili, że urodzaj w tym roku będzie

Federalnej. W skład jej wchodził przedstawiciel *Katolickiego Biura Młodzieży, Stowarzyszenia Katolickiego, Towarzystwa Uczniowskiego w Związku Nowe Niemcy, Pax Christi* oraz organizacji *Rozwój — Pokój — Misje*. Podczas spotkania z rektorem ks. prof. dr. Mieczysławem Krąpcem goście interesowali się źródłami utrzymania Uczelni, jej rolą w społeczeństwie polskim. ■ W tym samym czasie przebywała w KUL 15-osobowa grupa z Getyngi, absolwenci ewangelickiego Wydziału Teologicznego Uniwersytetu w Getyndze, z rektorem *Seminarium Duchownego* w Imschausen k/Getyngi Axelem Denecke. Goście zapoznali się z pracami nad redakcją *Encyklopedii Katolickiej*. ■ W okresie od 1 stycznia do 31 lipca br. 387 obywateli PRL, zwróciło się do władz zachodnioniemieckich z prośbą o udzielenie azylu politycznego. ■ Policja zachodnioniemiecka schwytała i obłożyła grzywnami trzech obywateli PRL, usiłujących przeszmuglować do Republiki Federalnej 177 puszek rosyjskiego kawioru, 500 półlitrowych butelek polskiej wódki i cztery dywany. Szmuglerzy są marynarzami statku, który zawiął do jednego z portów w NRF. ■ Republika Federalna jest jednym z największych odbiorców polskich wyrobów rzemiosła ludowego i artystycznego. Od 1975 roku eksport *Cepelii* do NRF wzrósł trzykrotnie, a w ciągu 9 miesięcy 1977 roku jego wartość osiągnęła ponad 4 mln. złotych dewizowych. ■ W Getyndze odbył się IX Międzynarodowy Kongres Dla Studiów nad Starym Testamentem. Dzięki pomocy finansowej ordynariusza diecezji Hildeheim, bp. H. M. Janssen, z Polski przybyło ośmiu księży-profesorów: z KUL'u ks. S. Łach, ks. L. Stachowiak i ks. J. Homerski, z Akademii Teologii Katolickiej ks. dziekan S. Grzybek, ks. C. Jakubiec, z Krakowa ks. S. Mędała, z Poznania ks. M. Peter, z Pelplina ks. H. Muszyński i z Pieniężna ks. B. Wodecki. ■ Opiekę nad grobami polskich oficerów w miejscowości Dössel k/Warburga (Dolna Saksonia), sprawuje niemiecki duchowny — ks. Stefan Ernst. Konserwacja i porządkowanie grobów polskich oficerów są finansowane przez instytucje rządowe Republiki Federalnej. W październiku br. oczyszczono tablice nagrobne i poprawiono widniejące na nich napisy. W opiece nad grobami spoczywających tam oficerów, pomaga czynnie Tadeusz Lejman, Polak z Wołynia, osiadły po wojnie w Dössel. ■ W wydawnictwie *Walter Rau Verlag* w Düsseldorfie, ukazała się książka Rudolfa Ströbingera (Czech), pt. *Kreuz und Roter Stern* (Krzyż i Czerwona Gwiazda). Autor ujawnia kulisy dywersyjnej działalności przywódców proreżymowych ugrupowań chrześcijańskich w krajach Europy Wschodniej: Bolesława Piaseckiego (PRL), Geralda Göttinga (NRD) i Józefa Plojghara (CSRS). ■ W dniach 21-25 listopada 1977 roku przebywał z oficjalną wizytą w PRL kanclerz Republiki Federalnej Niemiec — Helmut Schmidt. Kanclerz przywiózł do Polski w prezencie cztery portrety polskich królów i królowych: króla Zygmunta I Starego, jego drugiej żony Bony Sforzy, jej córki księżniczki Izabeli Aragońskiej i króla Zygmunta III Wazy. Portrety te w drodze koligacji rodzinnych stały się w XVII-tym wieku własnością dynastii Wittelsbachów, a później znalazły się w zbiorach *Bawarskiej Galerii Państwowej* w Monachium, skąd zostały niedawno zakupione przez boński *Auswärtiges Amt*. Wartość obrazów szacuje się na sumę ok. 1 mln. marek. Schmidt wręczył ponadto Gierkowi dokument, zawierający zobowiązanie rządu NRF do pokrycia w granicach 2 mln. marek kosztów odbudowy i wyposażenia jednej z sal Zamku Królewskiego w Warszawie. Kanclerz federalny czyniąc wyraźną ofertę połączenia wysiłków w celu odprężenia, bez oglądania się na wielkich braci, powiedział: „Leży w najgłębszym interesie średnich i małych państw Europy, by nie oglądając się biernie na Atlantyk i Ural wniosły same swój wkład na rzecz osłabienia napięcia”. Prasa zachodnioniemiecka jest zgodna, że tego rodzaju wezwania muszą trafiać w zupełną próżnię; są politycy na Zachodzie, którzy z uporem maniaków traktują Polskę jako *samodzielno* partnera. Bardziej sensowne było wystąpienie Schmidta w obronie

atakowanej przez PRL'owską propagandę, opozycji CDU/CSU: „Proszę serdecznie polskich gospodarzy, aby nie wyobrażali sobie, że ludzie znajdujący się u nas w partiach opozycyjnych są przeciwnikami odprężenia i przyjaźni; niech raczej zechcą sobie wyobrazić, że normalizacja i ugruntowanie przyjaznych stosunków między naszymi narodami i państwami jest ideą przenikającą wszystkie nasze wartości społeczne i wszystkie niemieckie partie, i obejmującą znaczną większość Niemców”. Należy z satysfakcją odnotować przemyslaną i mądrą wypowiedź kanclerza w Oświęcimiu, kiedy jako pierwszy przybyły tam szef zachodnioniemieckiego rządu powiedział: „My, dzisiejsi Niemcy, nie ponosimy osobistej winy, ale musimy nieść polityczne dziedzictwo winnych. Na tym polega nasza odpowiedzialność”. ■ Bońska *Die Welt* wyłuskała cytaty ze *Wspólnej deklaracji polsko-łotewskiej* (29. 11. 1977): „Polska Rzeczpospolita Ludowa i Republika Łotwa stwierdzają, że we wszystkich dziedzinach swych stosunków opierać będą swą współpracę na Kartcie ONZ, ... realizować będą wszystkie postanowienia Aktu Końcowego z Helsinek, ... współpracować w dziedzinie humanitarnej (kontakty między ludźmi, informacje, współpraca i wymiana w dziedzinie kultury i oświaty)” — i zapytała jednocześnie, co robi Gierek, gdy *Komitet Samoobrony Społecznej KOR* powoła się na ten fragment *Wspólnej deklaracji*... ■ Reprezentanci *Bankhaus Hesse Newman* z Hamburga oraz monachijskiej firmy *Nidera Handelscompagne*, przekazali na ręce Komitetu Budowy Centrum Zdrowia Dziecka wpłaty w wysokości 100 tys. dolarów. ■ Prasa zachodnioniemiecka coraz częściej i obszerniej cytuje fragmenty publikacji wydawanych w Polsce przez grupy opozycji demokratycznej, korzystając z przedruków w polskiej prasie emigracyjnej. W ogóle zaznaczył się poważny wzrost zainteresowania polskimi publikacjami ukazującymi się w krajach zachodnich — podkreśla *Süddeutsche Zeitung* W przygotowaniu znajduje się kilka wydawnictw książkowych poświęconych działalności kół opozycyjnych w Polsce.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

Litewsko-amerykański kwartalnik *Seja* Nr 134 zamieszcza 10-ciostronicowy artykuł pióra Z. Dailidki pt. „Rozmowy z Polakami”, z którego warto podać obszernie cytaty.

„Ciekawe są stosunki litewsko-polskie, więc chcę je omówić wyczerpująco. Los już tak zrządził, że nas z Polakami łączy sąsiedztwo i wielowiekowa historia, która nam przyniosła więcej szkody niż pożytku. W przyszłości, po odzyskaniu niepodległości, będziemy — chcemy czy nie chcemy — a jak teraz? Czy stały organizacyjny kontakt z Polakami jest nam potrzebny? Czy uzgodnione wysiłki emigrantów, przedstawicieli obu narodów, będących pod okupacją tego samego wroga, byłyby skuteczniejsze? Czy poparcie tego dziesięciokrotnie liczniejszego narodu, w walce na śmierć i życie, nie tylko o wolność Litwy, ale i zachowanie narodu, nie byłoby pożyteczne? Nie ulega wątpliwości, że tak.

Prezes „ALT” na zjeździe w roku 1976 mówił, że w tym roku cztery razy udawał się do prezydentury USA razem z innymi przedstawicielami narodów uciemiężonych, a wśród nich i z Polakami. I gdy przedkładał sprawę zniewolenia Litwy, zawsze miał w obecności prezydenta USA silne

poparcie potężnej polskiej organizacji „Polish Alliance”. Prezes organizacji „LB” w Ameryce, Gečas, po wizycie u b. prezydenta G. Forda dn. 6. 10. 1976 miał dłuższe narady z prezesem Polish Alliance, adwokatem Majewskim (raczej chyba Mazewskim?). Było też więcej podobnych wypadków, ale były też i inne...

W ciągu ostatnich paru lat stosunki litewsko-polskie, jakby się nieco ożywiły, były artykuły w naszej i ich prasie, nawet nawiązał się dialog, zaczęły w naszej prasie, a zakończony w polskiej. Lecz dialog ten miał raczej charakter napaści, obrony i usprawiedliwiania się. A więc w istocie był negatywny. Na tym rozmowy się zakończyły. Teraz po roku, po ponownym odczytaniu tej wymiany zdań, dochodzi się do przekonania, że chociaż ton był spokojniejszy, lecz spory były spontaniczne, wywołane przez nieszczerne prowokacje, i jak zawsze w takich wypadkach, z obu stron powiedziano dużo dobrego i złego”.

(Tu autor na kilku stronach omawia dyskusję na łamach Kultury i dalej pisze):

„Dodajmy do tego prelekcję J. Dainauskasa dn. 30. 1. 1976 w ośrodku młodzieżowym w Chicago, i jego długi artykuł pt. „Sprawa litewsko-polska”, zamieszczony w 28 odcinkach, w *Draugas*, a otrzymany pełny obraz przebiegu stosunków w ostatnim roku i wynikające z tego wnioski: Bezcelowe jest nawiązywanie stosunków z sąsiadami Polakami dopóki nie są one szczerze i pożyteczne. Jeżeli jednak te stosunki są potrzebne, i ich pragniemy, to zaczynać je nie z Polakami „z opcji”, a z prawdziwymi członkami polskiego narodu.

Podobne poglądy ma większość litewskich działaczy i nie-działaczy, inteligentów i półinteligentów. Gdy wśród nas rozmowa schodzi na temat potrzeby stosunków, przyjmuje ona charakter negatywny, i wysuwane są argumenty, że nie ma możliwości i celu dążenia do utrzymywania stosunków z Polakami. Poważna współpraca z nimi jest teraz nie do pomyślenia. Nie są oni szczerzy, cierpią na manię wielkości, kręcą, itd. Dużo takich pogwarek się słyszy, ale kulminacyjnym argumentem jest: Polacy siłą i oszustwem, łamiąc dopiero co zawarty układ, zagarnęli Wilno i przez cały okres niepodległości okrutnie Litwinów prześladowali i środkami administracyjnymi przeprowadzili usilną akcję wynaradawiania. Takie argumenty głosi większość Litwinów. Tu przychodzi na myśl, że niechęć do nawiązywania stosunków pochodzi nie tylko z racji ich krętać i zagarnięcia Wilna, ale leży znacznie głębiej.

Przyczyny te sięgają stuleci, narastały od pierwszych litewsko-polskich stosunków, a dotyczyły każdego Litwina, w kościołach, szkołach i całym życiu państwowym”.

Autor omawiając następnie dzieje unii, stopniowe osłabianie państwowości litewskiej i stopniową polonizację pisze m.in.:

„I ostatnim wielkim czynnikiem polonizacji była osławiona konstytucja 3 Maja z roku 1791, która prawie złała Litwę z Polską w zunifikowane państwo, obalając samodzielną organizację obu państw. Ale konstytucja 3 Maja nigdy nie była wprowadzona w życie (wykonana)!”.

Dalej autor omawia czasy porozbiorowe, powstanie litewskiego ruchu narodowego i ogłoszenie niepodległości w roku 1918, co znaczyło uniezależnienie się od innych państw, a więc i Polski.

„Nie ulega wątpliwości, że taka światła decyzja narodu litewskiego była ciosem dla Polaków. Przysnaje to wyraźnie Cz. Miłosz w swej odpowiedzi J. Dainauskasowi. Polacy, dążąc w ciągu wieków do panowania na Litwie, uważali że konstytucja 3 Maja prawnie to zatwierdziła i pozostało tylko do wykonania wynaradowienie ludu litewskiego, co ich zdaniem było tylko kwestią czasu.

Litwa w krótkim okresie swej niepodległości wytworzyła pokolenie uświa-

domionej litewskiej inteligencji, która była specjalnie uczulona na polskie zakusy w stosunku do narodu litewskiego. Największe niezadowolenie wywołało zagarnięcie Wilna i Wileńszczyzny. I to było zrozumiałe. Litwin uważany od wieków przez Polaków za zacofanego, starał się wszelkimi sposobami swój poziom zademonstrować. Było to widoczne w literaturze, teatrze i w innych dziedzinach. Litwin wyzwoleńszy się spod polskiego wpływu, nie chciał mieć z Polakami żadnych związków i stosunków, i wydaje się, że ten pogląd i dzisiaj wśród nas dominuje, pomimo że teraz nawiązanie stosunków z Polakami jest potrzebne”.

„Tymczasem Polacy, widząc że Litwini chcieli i nadal chcą być wolnym narodem w swym państwie, jakby nie chcieli pogodzić się z rzeczywistością. Chociaż Cz. Miłosz i K. Okulicz twierdzą, że naród polski nie jest nieprzyjaźnie ustosunkowany do Litwinów, to jednak wśród Polaków jest wielu wpływowych ludzi, usposobionych do Litwinów negatywnie. Tu dobrym przykładem będzie polska hierarchia kościelna. Ks. Ragauskas był wielokrotnie proszony przez Litwinów o wprowadzenie litewskich nabożeństw w jego bazylice, lecz stanowczo oświadczył — że póki on będzie proboszczem litewskich nabożeństw nie będzie! Biskup łomżyński, Sasinowski, wstrzymał się od dania zarządzeń, gdyż proboszcz J. Ragauskas jest stary i sprawy jego parafii należy pozostawić jemu samemu. W jeszcze wyższych instancjach pięknie mówią, ale też nic nie robią. I fakt dodatkowy: Arcybiskup Matulevičius uznawany jest za świętego. Na obradach w tej sprawie, w Rzymie, polski biskup głosi przeciw, opierając się na dziwnych podstawach... Matulevičius był Litwinem... Jest i więcej podobnych przykładów w Polsce, na Litwie i na uchodźstwie.

Z biegiem czasu sytuacja powoli się zmienia. Znajdują się litewscy inteligenci głębiej myślący, którzy sądzą, że stosunki litewsko-polskie wobec trwania rosyjskiej okupacji są potrzebne i konieczne. Również i wśród Polaków ilość tak myślących ludzi rośnie. Póki żył ich wybitny dziennikarz J. Mieroszewski, dosyć często na łamach *Kultury* pisał przychylne dla Litwy artykuły i nawoływał do łączenia sił do walki ze wspólnym wrogiem. Również i ostatnie artykuły Cz. Miłosza i K. Okulicza zamieszczone w *Kulturze* w odpowiedzi J. Dainauskasowi, były spokojne, bez większych zarzutów, a raczej szukające skutecznych wskazań na przyszłość, chociaż negatywnych twierdzeń i tu nie brakło”.

Autor wykazuje, że koncepcja J. Piłsudskiego łączenia się wolnych narodów przeciw Sowietaom była nierealna, gdyż nikt tego nie chciał, uważając ją za kontynuację procesu polonizacji. Autor kwestionuje twierdzenie, że Czartoryski, Konarski i Mickiewicz nie opowiedzieli się za litewskością w jej nowoczesnym znaczeniu, wskazując, że St. Narutowicz, Oskar Miłosz i Romer opowiedzieli się za litewskością, i kończy stwierdzeniem, że K. Okulicz w zakończeniu swej wypowiedzi miał rację, że na te wszystkie problemy przeszłości trzeba patrzeć już z historycznej perspektywy, gdyż ten okres już się skończył i prędko się nie powtórzy. I kończy:

„Rosną nowe pokolenia Litwinów i Polaków, którzy według potrzeby i ducha czasów będą ustalać te stosunki, i dlatego im należy zostawić załatwienie tych bardziej emocjonalnych niż praktycznych problemów. Naszym obecnym zadaniem byłoby niepodniecanie antagonizmów, wstrzymanie się od nieprzyjajnych wypowiedzi o naszych sąsiadach Polakach, zwłaszcza w prasie, twórczości i działalności społecznej. Również należałoby nie unikać kontaktów z Polakami w praktycznej działalności, i tego samego spodziewać się od sąsiadów Polaków”.

Na Litwie wciąż jeszcze ukazuje się znacznie więcej wydawnictw w języku litewskim niż w rosyjskim; w Estonii po połowie; na Łotwie i w Białorusi

przeważają wydawnictwa rosyjskie. ■ W sierpniu 1977 roku odwiedziło Litwę trzech biskupów z Niemiec Wschodnich (droga prowadziła przez Moskwę). Zaczęli od odprawienia mszy w Ostrej Bramie. W Kownie bierzmowali dwa tysiące młodzieży w obecności 8 tysięcy wiernych. Tamtejsze seminarium duchowne liczy 66 kleryków — w tym 20 przyjęło w ostatnim roku. ■ Wzrasta udział dysydentów w życiu emigracji litewskiej. Dr Stromas wygłasza w Anglii i w Ameryce odczyty na temat potrzeby opracowania wspólnych programów działania wszystkich uchodźców ze strefy wpływów sowieckich. Żona b. kowieńskiego reżysera Jurasasa jest spikerką Radio Liberty. B. baryton opery litewskiej, który „wybrał wolność” w ub. roku, daje koncerty w litewskich ośrodkach w Ameryce, i występuje w operach w Europie. Znany filmowiec litewsko-amerykański J. Mekas został wyróżniony przez Fundację Guggenheima. Znany amerykański tenisista Gerulaitis podkreśla swą litewskość.

E. ŻAGIELL

FRAGMENTS

REDAGUJE CHARLES JOEL

Rozpoczęto 5-ty rok działalności dotyczącej przekładów artykułów **Kultury** na język angielski. Prenumerata na rok 1978 — 10 numerów — wynosi \$ 8,50. Prenumerata na 2 lata z góry — \$ 15,00. Nowy prenumerator otrzyma całkowicie „gratis” — 1 „mystery numer **Fragments**”.

Ponadto:

1. Każdy nowy prenumerator który wpłaci \$ 28,50 będzie miał pokryty abonament na 1978 rok, i otrzyma 4 tomy **Fragments** za lata 1974-1977 (40 numerów).
- lub:
2. Każdy prenumerator który wpłaci \$ 35,00 będzie miał pokryty abonament na lata 1978 i 1979 i otrzyma 4 tomy **Fragments** za lata 1974-1977 (40 numerów).

W wypadku wyczerpania któregoś z numerów redakcja zastrzega sobie prawo zatrzymania małej nadwyżki na koncie prenumeratora, do czasu odnowienia prenumeraty.

Indeksy bezpłatnie na zamówienie.

Zamówienia i czeki należy przysyłać do:

FRAGMENTS

C.H.S.L., P.O.BOX 744, SUTTER CREEK,
CALIF. 95685, U.S.A.

Kronika kulturalna

Aleksander Galicz

15 grudnia zmarł tragicznie, rażony prądem w swoim mieszkaniu paryskim, Aleksander Galicz, poeta i jeden z najpopularniejszych piosenkarzy rosyjskich.

Urodził się w roku 1919. Prócz wierszy i piosenek, których powodzenie rosło z dnia na dzień, pisywał sztuki teatralne i scenariusze do filmów. W roku 1971 usunięto go ze Związku Pisarzy Sowieckich i ze Związku Filmowców za bardzo krytyczne wobec reżymu wiersze i piosenki, i za przynależność do ruchu obrony praw człowieka Sacharowa. Wyjechał z ZSSR w czerwcu 1974, najpierw do Norwegii. Wkrótce potem zaofiarowano mu posadę komentatora w *Radio Liberty* w Monachium. W roku 1976 objął kierownictwo działu kulturalnego w paryskim biurze RL. Był członkiem komitetu redakcyjnego *Kontynentu* od chwili powstania kwartalnika rosyjskiego. *Posiew* wydał trzy jego książki: *Piosenki* (1969), *Pokolenie skazanych* (1972) i *Próbie generalną* (1974). Po raz ostatni wystąpił publicznie dwa tygodnie przed śmiercią: śpiewał swoje piosenki w *Ateneo Veneto*, w ramach *Biennale del dissenso*; sala była przepełniona po brzegi, trzeba było wezwać policję dla powstrzymania młodzieży włoskiej dobijającej się do drzwi.

W *Le Monde* pisze o nim profesor Efim Etkind, bliski przyjaciel, doskonały znawca poezji rosyjskiej, autor szkicu *Poezja Aleksandra Galicza* w jednym z pierwszych numerów *Kontynentu*: „Aleksander Galicz, najpopularniejszy człowiek w ZSSR, ulubiony poeta młodzieży sowieckiej, umarł w Paryżu... W roku 1971 dotknął go zakaz druku i występów publicznych. Żył przez pewien czas ze sprzedaży swoich książek i mebli, w końcu musiał opuścić kraj by nie umrzeć z głodu. Emigracja była dla niego szczególnie bolesna. Galicz pisał poematy, które śpiewał z towarzyszeniem gitary i które są małymi powieściami lub małymi dramatami o niezwyklej zwięzłości słownej; ich bohaterami są ludzie ulicy, niedostrzegani czy zapomniani przez literaturę oficjalną: szofe-

rzy, pielęgniarze, drobni urzędnicy, kasjerzy, emeryci... My, jego rodacy, czujemy się zawsze szczęśliwi gdy możemy rozpoznać głos tych ludzi, ich język, ich intonację. Piosenki Galicza wzięły na siebie to, co jest obowiązkiem prozy: ucieleśniły całe społeczeństwo sowieckie w dwudziestce postaci zarysowanych z precyzją, z humorem, z dobrocią. Galicz stworzył sam, i to w pomniejszym gatunku piosenki, sowiecką *comédie humaine*".

My z *Kultury*, którzy poznaliśmy Galicza podczas spotkań z przyjaciółmi rosyjskimi w *Kontynencie*, nauczyliśmy się cenić jego urok osobisty i jego inteligencję. Galicz napisał poemat o Januszu Korczaku, nad którego przekładem pracuje od kilku miesięcy Józef Łobodowski. Ze smutkiem i bólem myślimy, że ten poemat ukaże się w *Kulturze* pośmiertnie.

КОНТИНЕНТ

Литературный, общественно-политический
и религиозный журнал

Redaktor naczelny: WŁADIMIR MAKSIMOW.

Zastępca nacz. red. WIKTOR NIEKRASOW.

Sekretarz redakcji NATALIA GORBANIEWSKAJA.

KONTINENT ukazuje się co kwartał.

Objętość numeru ponad 400 stron.

Cena pojedynczego nr 12 DM, prenumerata roczna 40 DM.

Nr 14 zawiera m.in.:

W. Maksimow: *Arka dla niezaproszonych*; K. Orłowski: *Cudowna melina* (dok.); H. Sniehiriew: *Mama moja, mama* (c.d.); D. Dar: *Mowa, którą chciałbym wygłosić nad własnym grobem*; wiersze: Josifa Brodskiego, L. Halifa, poetów gruzińskich, i poety chorwackiego Mirko Vidovica; artykuły S. Lewickiego i Żenklisa (samizdat litewski), Stenogram okrągłego stołu: *Odpowiedzialność osobista jako wspólny program Wschodu i Zachodu* oraz W. Kagana: *Historia jednego rozkazu*, A. Łosiewa: *O poezji Brodskiego* i obszerny wywiad ze Zdenkiem Mlynarem.

Adres Redakcji:

11 bis, RUE LAURISTON. 75116 PARIS.

Telefon: 704 59 13.

Wołanie na puszczy

Złote myśli na 60 lat

Marks słusznie zauważył, że problemy i konflikty ekonomiczne są (bywają?) sprężyną dziejów ludzkich, oraz że pewne grupy społeczne mają tendencję do uciskania innych grup społecznych. Nie wiadomo jednak dlaczego przyjął, że w socjalizmie procesy te ulegną zatrzymaniu i zapanuje bezkonfliktowość, że istota i natura dziejów ludzkich całkowicie się przeistoczy, że historia nagle się zatrzyma, a dialektyka przestanie obowiązywać. Nie przyszło mu też na myśl, że charakter ucisku człowieka przez człowieka może się rozmaicie zmieniać, że np. przewagę materialną zastąpić może jeszcze bardziej dotkliwa przewaga w sprawowaniu władzy administracyjnej oraz ideowo-politycznej. Poza tym wziął on dziecięce choroby kapitalizmu jak nędza, wyzysk pracy i nadmierna „wartość dodatkowa” za jego choroby starcze, wobec czego nie przewidział zmian socjologiczno-psychologicznych oraz awansu materialnego wewnątrz wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, a także zmiany form własności wielkich zakładów produkcyjnych (akcjonariusze, spółki, kapitał anonimowy). W związku z rozwojem techniki, specjalizacją pracy i wzrostem zarobków, klasa robotnicza przestaje dziś być rewolucyjna, a staje się jak w Ameryce niezbyt liczną mieszczańsko-konserwatywną grupą funkcjonariuszy. Marksizm staje się natomiast ideologią krajów nierozwiniętych, a w kapitalizmie — mniejszości narodowych, napływowych pracowników fizycznych, częstokroć znudzonej inteligencji i drobnomieszczaństwa. Marks okazał się więc prorokiem nader omylnym, w związku z czym nasuwa się pytanie czy można marksizm odwołać. Niestety — musiałby to zrobić sam Marks. Za życia nie dostało mu wyobraźni. I dialektyki. I skromności.

Nie ma dziś antynomii kapitalizm-socjalizm, istnieje inna gospodarka rynkowa lub gospodarka planowa. A więc gospodarka związana z człowiekiem i jego potrzebami, chwytanymi empirycz-

nie, na gorąco lub gospodarka związana z teorią i sztucznym planem, aplikowanym siłą, czyli przymusem.

Tajemnica pełnego zatrudnienia w komunizmie: mnóstwo ludzi pracuje w aparacie indoktrynacji i przymusu, w kontroli, sprawozdawczości, manipulacji, w biurokratycznym aparacie władzy podwójnej, bo zarazem gospodarczo-politycznej i administracyjno-partyjnej. Jest to praca nieprodukcyjna, a kosztuje wiele — stąd stały, utajony deficyt państwa. Natomiast bezrobocie w kapitalizmie świadczy o dużej efektywności pracy (część tylko pracujących wytwarza dochód narodowy i wystarczający w nadmiarze wybór towarów) — podczas gdy pełne zatrudnienie w socjalizmie dowodzi małej wydajności i efektywności. Lenin twierdził, że rywalizacja między kapitalizmem a socjalizmem rozegra się właśnie na terenie wydajności pracy. A więc pojedynek ten został już chyba rozstrzygnięty?

Mówiąc o braku praw człowieka w krajach komunistycznych Zachód ma zazwyczaj na myśli indywidualne prawa wolności polityczno-moralne. Pomija się za to brak praw ekonomicznych, co (zgodnie zresztą z teorią Marksa) winno być rzeczą najbardziej dotkliwą. Jednostka staje bezradna wobec centralistycznego monopolu wytwórczego państwa — z tego bierze się wszystko inne, boć „być określa świadomość”. Tej podstawowej dolegliwości nie zrekompensuje szumnie reklamowane „prawo do pracy” — podtrzymującej ustrój, a ekonomicznie częstokroć nieużytecznej lub deficytowej.

Dzisiejsi komuniści czyli marksiści uważają, że warunkiem powstania państwa bezklasowego jest nie tylko jedna dla wszystkich sytuacja społeczna, lecz również jeden wspólny punkt widzenia, jeden pogląd. Wynika to z pesymizmu wobec natury ludzkiej i jej stosunku do socjalizmu. Wielkim pesymistą był tu Stalin, uważał on najwidoczniej, że socjalizm to stan nienormalny i trzeba go wciąż na nowo utwierdzać przymusem oraz kontrolą, bo społeczeństwo pozostawione samo sobie stoczy się z powrotem na „pozycje klasowe”. Z tego punktu widzenia stalinowska teoria o zastrzaniu się walki klas w miarę budowy socjalizmu ma swoje uzasadnienie: chłop który pragnie prywatnego władania ziemią w pierwszym roku rewolucji to rzecz zrozumiała, ale tenże chłop, który nie chce oddać swej ziemi do kołchozu w piętnastym roku rewolucji — to już ostry wróg klasowy, drobnomieszczański, nieprzekonany piętnastu latami socjalizmu.

Socjalizm w krajach kapitalistycznych postuluje likwidację wszechmocy managerów wielkiego przemysłu. Będzie to jednak również likwidacja gospodarczych rządów fachowców, decyzja ekonomiczna bowiem dostaje się wówczas w ręce dyktantów, polityków, ideologów, teoretyków, amatorów. W Rosji sprawa nie nastrocza społecznego problemu, bo w warunkach wieloletniego totalizmu przyzwyczajono się tam do nieznanej na Zachodzie syntezy władzy politycznej z gospodarczą. Dyktant w środku decyzji ekonomicznych nikogo tam nie dziwi, koszty jego błędów zapłaci bez szemrania społeczeństwo, zgoła zresztą o niczym nie poinformowane i wagi poszczególnych decyzji inwestycyjnych nieświadome. Natomiast za błędy w decyzjach militarno-zbrojeniowych zapłacić by musiało państwo, wobec czego ta wyłączna i święta dziedzina kierowana jest na pewno przez fachowców. W Rosji pamięta się dobrze, że car upadł nie przez co innego, tylko przez przegranie dwóch kolejnych wojen.

Mimo szukania nowych rynków zbytu i budzenia w społeczeństwie nowych potrzeb konsumpcyjnych, bezrobocie w krajach kapitalistycznych będzie rosło i nie zaradzi temu, jak sądzi niezbyt poinformowany towarzysz Marchais, upaństwowienie fabryk. Ponieważ rozwoju techniki i związanego z tym wzrostu wydajności pracy powstrzymać się nie da, rozstrzygnięcie problemu bezrobocia w krajach Zachodu nastąpić by mogło jedynie poza teorią Marksa, na terenie decyzji państwowo-solidarystycznych. Decyzje te mogłyby iść w kierunku radykalnego zmniejszenia czasu pracy (np. wszyscy pracują 2 godziny dziennie) albo w kierunku zmniejszenia ilości ludzi pracujących w myśl rady Malthusa. Nie wydaje się natomiast, aby w krajach wysoko rozwiniętych sięgnięto do metody zatrudnienia nadmiaru ludzi w pracach nieprodukcyjnych, ideowo biurokratycznych co praktykuje się w państwach marksistowskich.

Ustroju marksistowskiego nie sposób zdemokratyzować, bo aparat rządzący utożsamia się tu z Partią, trzeba by więc najpierw rozwiązać Partię, co byłoby nie demokratyzowaniem systemu, lecz jego likwidacją. Dlatego to największych zmian w komunizmie bez likwidowania go dokonali ludzie ze szczytów partyjnych. Chruszczow (zwolnienie z obozów milionów ludzi, likwidacja kultu Stalina, otwarcie wymiany gospodarczej z Zachodem) i polscy, dziś już po trochu anonimowi twórcy Października 1956, korzystający w zasadzie z chruszczowowskiej inicjatywy (ich dziełem to było przywrócenie prywatnej gospodarki wiejskiej, ukroczenie drastycznego terroru i bezprawia, poprawa stosunków z Kościołem, etc.).

Détente to pokój między wielkimi mocarstwami, oparty na naszych karkach, zafundowany naszym kosztem. Naszym, to znaczy krajów Europy Środkowo-Wschodniej, położonych między Niemcami a Rosją, które po drugiej wojnie znalazły się w polityczno-ustrojowej strefie rosyjskiej. Narody te mało na Zachodzie znane i lubiane, fundują światu pokój od Kongresu Wiedeńskiego, kiedy to Święte Przymierze zdecydowało o ich losie, tak jak w 130 lat potem Wielka Trójka w Jałcie. Z socjalistycznych doświadczeń naszych krajów, europejskiej retorty doświadczałnej marksizmu, niepoprawny Zachód nie korzysta, traktując nas jako narody kolonialne, nie typowe, zacofane, nie zasługujące na demokrację. Znosimy to, mając w nagrodę poczucie większej wiedzy („wiedza radosna” powiedziałby Nietzsche, czyli wiedza bezlitosna), pozwala nam ona z uśmiechem słuchać tyrańcy pana Marchais, który jest pewien, że upaństwowienie przemysłu wyjdzie robotnikom francuskim na dobre. *Schadenfreude* — miała to satysfakcja, ale zawsze satysfakcja.

Czym jest broń atomowa? Dotąd była instrumentem utrzymania hegemonii wielkich mocarstw. Lecz gdy stanie się tania i powszechnie dostępna, może okazać się narzędziem wyzwolenia małych krajów od przemocy wielkich. Byłby to Dzień Sądu dla każdego Nieświętego Przymierza, dla tych, co mając siłę, nie umieli zaprowadzić sprawiedliwości. Wizja kusząca, ale może to tylko daremne marzenie słabych?

Juliusz Mieroszewski mówił, że jest socjalistą, ale nie mówił na czym jego socjalizm ma polegać. Słowo to jest wieloznaczne, wersji praktycznych ma sporo, przez praktykę wschodnią zostało nader przetworzone i nadużyte. Moja propozycja: zlikwidować owo mylące słowo, zastąpić je przez inne słowa. Jest to propozycja przeciwna do wniosku, który zgłosiłem kiedyś (prywatnie) w Sejmie PRL: założyć Klub Zwolenników likwidacji socjalizmu bez zmiany nazwy.

Engels napisał, że w socjalizmie państwo zaniknie i stanie się wspomnieniem muzealnym, a społeczeństwo przekształci się w „związek wolnych producentów” („Pochodzenie rodziny”). Tymczasem w Polsce widzimy, że omnipotencja państwa wciąż rośnie, a „wolni producenci” stają się wspomnieniem z... czasów kapitalistycznych. Czy więc Engels się pomylił, czy...

Z okazji 60 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej telewizja, film, radio i prasa w Warszawie wbijała nam przez miesiąc

do głowy i do oczu 60 lat historii Związku Radzieckiego. Ale była to historia osobliwa: zabrakło w niej przede wszystkim TROCKIEGO, STALINA i CHRUSZCZOWA. Nie było też wielu innych: Zinowiewa, Kamieniewa, Bucharina, Radka, Kaganowicza, Mołotowa, Malenkowa, Bułganina, Żukowa. Nie został wspomnian ani Mienżyński, ani Jagoda, Jeżow, Wyszynski czy Beria lub Abakumow, dla równowagi jednak nie wymieniano też Tu-chaczewskiego, Blüchera, Jakira czy Kosiora. Zarówno prześladowcy jak ich ofiary zrównani zostali w niepamięci, ci ostatni zapewne w myśl zasady: „nie morderca jest winien, lecz zamordowany”.

Kto więc pozostał? Nieustanny Lenin, nieodstępny Dzierżyński i od razu Breżniew. Między nimi próżnia. Tak więc rewolucja, ściśle według zasady Orwella, koryguje swe dzieje wstecz, sama je cenzuruje. Wobec takiej sytuacji trudno się dziwić naszej cenzurze, że pozbawia nas historii, literatury, publicystyki. Jeśli taka potęga jak Rosja wyrzeka się 60 lat swojej historii, to cóż się dziwić Polsce? Wedle stawu grobla, za duże mamy wymagania — zaiste. Jeśli oni zamiast Carycyna i Stalingradu mają Wołgograd, to z jakiej racji my byśmy chcieli mieć np. Piłsudskiego?! Dziwne uroszczenia, wszak bez historii żyć można doskonale, bez pamięci też.

KISIEL

Warszawa, listopad 1977.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 282 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom II

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom II-gi jest poświęcony odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II-giej Międzynarodówki.

Str. 544.

Cena F.110,00.

Tom I-szy — zawierający 432 strony kosztuje F.75,00.

Książki

Turbot czyli niewygodny Ryb

Dziwięć kucharek wędruje przez dzieje. Trzy pierwsze z epoki wczesnego neolitu, potem z brązu i żelaza są przy tym także kapłankami i absolutnymi władczyniami. Lecz okres matriarchatu kończy się wraz z kultem dawnych bogów. Nastają czasy ogniem i mieczem wśród pogańskich Prusów i Pomorzan wprowadzanego chrześcijaństwa. I wcale nie jest prawdą, że święty Wojciech poniósł przy tym śmierć męczeńską przebitą włócznią, gdyż zatłukła go potężną chochlą ostatnia z kucharkapłanek — Mestwina. Przed nią rządziła Wigga, a uprzednio jeszcze mityczna, trójpierśna Aua.

Tęgie te kucharki i spyżę rzetelną warzą: kaszę i kluski, ryby i zupy. Nawet w latach wojny czy nieurodzaju usiłują nakarmić wygłodniałe rzesze. Czerpiąc z potężnych kotłów aż do dna, szafują hojnie zarówno strawą, jak i ciepłem własnego ciała.

Edek zaś był przy tym od samych prapoczątków. Jest bowiem nieśmiertelny. Uczynił go takim jeszcze za czasów Auy osobliwy stwór, wyłowiony z Bałtyku nieopodal miejsca, gdzie później powstać miało miasto Gdańsk. Płaska, krzywogęba, zezowata ryba, gadająca ludzkim głosem. Turbot nieśmiertelny z wszechwiedzący który, w zamian za powrót w głębinę wód, jał udzielać młodemu rybakowi (a także wszystkim następnym Edkom, bo odtąd zawsze tak tylko mieli na imię) wielu cennych rad.

Za jego to namową usiłuje Edek wprowadzić męskie rządy zamiast wszechwładzy Auy, choć — jeszcze — mu się to nie udaje. Wigga każe mu z drewna węgiel wypalać, Mestwina hodować owce, a w każdej epoce dzieli też łożę z każdą z tych arcykucharek. I wszystkie kolejno rodzą mu córki, żadna syna.

Owże Edek jest jednocześnie także świętym Wojciechem, później, w XIV-tym stuleciu, gdańskim płatnerzem Slichtingiem, któregoomalże do ruiny doprowadza zachłanna swą bigoterią „gotycka” jego żona i kolejna kucharka Dorothea (przez okragły rok gotuje wyłącznie postne zupy!). W wieku XVI-tym, za czasów

Marcina Lutra, nieśmiertelny rybak grzeje się często u boku niezrównanej kucharki i opatki gdańskiego klasztoru brygitek: już to jako wędrowny mniszek-franciszkanin, już to jako kaznodzieja Hegge, lub sam pan burmistrz Fregge. Jest ponadto także ojcem owej Małgorzaty Rusch, który ginie od miecza, choć córka — w przedwiecznej egzekucji stągwią piwa i misą pysznych flaków krzepiąca go jeszcze — pomstę weźmie za ten niesprawiedliwy wyrok.

Sto lat później, jako Agnes Kurbiella, kolejna kucharka, raz sutą raczy go strawą, jako nienasyconego żarkoka i opoja, gdańskiego malarza Möllera (którego „Grosz czynszowy” dotychczas wisi w Dworze Artusa), to znów troskliwą zasila dietą, jako schorowanego poetę Opitzta, który wprowadzie pochwalne peany na cześć polskiego króla Władysława wypisuje, cichcem jednak koresponduje również z moznym Szwedem Oxenstierną.

U schyłku XVIII-go wieku jest Edek zarządcą okazałych dóbr, a jego żona, Amanda, de domo Woyke, nachwalić się nie może wprowadzonej właśnie do kuchni i saganów kartofli, dzięki której potrafi wreszcie nasycić rzeszę wiecznie głodnej czeladzi.

Gdy napoleońskie, a wraz z nimi polskie, choć też i inne wojska stają nad Bałtykiem, jest Edek, jako Jean Rapp, francuskim „guwernerem” Gdańska, a zarazem niemieckim pastorem Blechem, których obu kuchnie prowadzi — znakomicie na grzybach się znająca (co nie pozostanie bez dobitnego wpływu na późniejszy bieg wypadków) — Sophie Rotzoll, trwale dochowująca przy tym wierności skazanemu na długie lata twierdzy, młodemu rebeliantowi o nazwisku Bartholdy. (Czyż trzeba dawać, że Edek jest nim także?).

W dwojakiej postaci, raz jako Stobbe, raz jako Stubbe, za każdym przy tym razem w licznych bojach kaleczony i w końcu walecznie ginący na polu chwały, jest wreszcie Edek mężem tej samej kucharki, Leny (o panińskim nazwisku Pipka). Świadoma roli kobiety w socjalizmie Lena, pod wpływem lektury Bebla układa „Książkę kucharską dla proletariatu”, za uciulane, własne pieniądze jedzie aż do Zurychu na pogrzeb owego ludowego przywódcy (którego miała niegdyś zaszczyt gościć pod własnym dachem — a jak chwalił przy tej okazji jej popisowe danie — nerekczki w musztardowym sosie!). A potem żyje jeszcze długo, gotując i sprawiedliwie rozdzielając pomiędzy głodnych zawieszistą grochówkę w różnych „kuchniach ludowych”, koszerne zupy w gdańskiej gminie żydowskiej dla uciekinierów, próżno wyczekujących od kwietnia 1939 roku na zbawczą wizę do Ameryki, czy gdziekolwiek, dokądkolwiek. Zdziecinniała (bo ma już 93 lata), zaczyna o wszystkim mówić otwarcie (nawet ze znajomymi) i ginie w końcu (a może doprawdy umiera ze starości?) w kuchni hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Stutthofie.

W siedemdziesiątych latach naszego stulecia jest Edek natomiast pisarzem, mieszkającym w zachodnim Berlinie, który te wszystkie historie i wiele innych jeszcze — opowiada swojej

żonie podczas dziewięciu miesięcy jej ciąży. Wykształcona i nowoczesna (także pod względem przyrządzania potraw!), nieobliczalnie kapryśna i stale spełniania jej coraz to nowych, lirycznych życzeń domagająca się Ilsebill, nosi imię żony rybaka z ludowej bajki „O rybaku i rybce”. I gorzkie przeżywa rozczarowanie gdy zamiast upragnionego syna pojawia się na świecie — oczywiście — córka. Co tu z prawdy — co z baśni — któż zgadnie?

Pisarz tylko, mieszkający w zachodnim Berlinie, choć najmocniej związany z rodzinnym Gdańskiem, istnieje rzeczywiście. Nazywa się Günter Grass, a niedawno wydana jego książka („Der Butt”*, czyli „Turbot” właśnie) wywołała nader mieszane reakcje w kręgach oficjalnej krytyki literackiej.

Bo gdybyż tylko te kucharki i mity! Do tego zdołano się już przyzwyczaić, opatrując tego autora etykietką „mitotwórcy” lub, mniej kurtuazyjnie, „mitoroba”. Cóż, kiedy sprawa na tym się nie kończy, bo przez tę najnowszą jego książkę prócz mityczno-kulinarnej przewija się jeszcze sporo innych wątków. Poprzez stałmy w tej relacji jeszcze przy dwóch tylko — równie ważnych.

Oto prastary Ryb (taką nazwę noszący w niemieckim oryginale, bo już Mestwina temu płaskobokiemu, kształt ryby mającemu bogowi, składała ofiary) raz jeszcze daje się złowić. Lecz obecnie staje się ofiarą trzech niemieckich emancypantek, którym ani w głowie wrzucić go z powrotem do morza. Samolotem uprowadzają swą zdobycz do zachodniego Berlina, dbając przy tym, rzecz jasna, o odpowiednie dla niej warunki i należyte zabezpieczenie. W ciemnej salce dawnego kina staje, a raczej pływa tam Ryb przed srogim, wyłącznie kobiecym trybunałem, słusznie przezeń Feminalem nazwanym. Oskarżony za sam fakt, że stanowi uosobienie pierwiastka męskiego (co udokumentowano odpowiednimi komentarzami do losów wszystkich dziewięciu „historycznych” kucharek), ponadto o niedocenianie roli kobiet w rozwoju racjonalnego żywienia, wreszcie (na podstawie dawnej, ludowej baśni) — o niewłaściwy układ kontaktów pomiędzy płciami przeciwnymi i niezdolną supremacją mężczyzn we wszelkich dziedzinach życia.

Rezolutne niewiasty — lat trzydziestu lub niewiele ponadto — z których każda ma dyplom akademicki w kieszeni, a wymagania i ambicje mocno wygórowane, długo jednak prowadzą ów proces. Chociaż zgodne co do meritum sprawy, popadają dość często w kunsztowne spory merytoryczne, a nawet pospolite kłótnie, tworząc separatystyczne odtamy, grupki i frakcje. Wyrok wprawdzie zapada jednogłośnie: winien. Ale co do kary, zdania są znowu podzielone: porazić go prądem, otruć rtęcią, ugotować żywcem? (A przecież jest nieśmiertelny...).

I nagle Ryb przemądry, a pełen skruchy, kapituluje, obiecując od tej chwili służyć radą i pomocą wyłącznie „mancom”. Takim

* Günter Grass, *Der Butt*, powieść, wyd. 3. Wyd. Luchterhand, wrzesień 1977.

skrótom istotnie określa się teraz współczesne emancypantki niemieckie, które za przykładem Ameryki (*Women Lib'*), organizują się i agitują na rzecz pełnego równouprawnienia. Oferta zostaje zaakceptowana: Ryb, komisyjnie przewieziony na duńską wyspę Mon, powraca do morza. Przedtem jednak — ku nauce i przestrodze — odbywa się w jego obecności wielka uczta turbotowa, w której udział biorą wszystkie zainteresowane panie.

Nieśmiertelny Edek, tym razem jako autor i narrator, także aktywnie w tych wszystkich wydarzeniach uczestniczy. Dzięki dawnym a zażyłym znajomościom z wieloma „mancami”, wolno mu obserwować cały proces, w przerwach nawet porozumiewać się z oskarżonym i zasiąść, jako jedyny mężczyzna (pilnie usługujący miłym paniom), do suto zastawionego stołu przy finalnym bankiecie.

Popłoch ogarnia Edka dopiero w chwili, gdy wierny danemu przyrzeczeniu Ryb słowem już się do niego nie chce odezwać i, głuchy na wszelkie błagania, pogrąża się w bałtyckich falach, w chwili gdy kobiety głos wypowiada nad nim ostatni werdykt: „Odtąd niech tylko dla nas wolnym będzie. Zawołamy go. Zawołamy!”. Cóż dobrego przyniosły ludziom i światu męskie rządy? — zastanawia się współczesny Edek. — I gdzie gwarancja, że kobiety, nawet wspomagane radami mądrego Ryba, rządzić będą lepiej? Zwłaszcza losy przyjaciela niepokoją tutaj najbardziej.

Legendarny Edek ma bowiem od samego początku towarzyszącego mu przyjaciela. Takiego co to do wypitki i wybitki, do poważnych dysput i solidarnych, męskich czynów zdolny. Imiona jego i zajęcia ulegały wprawdzie różnym modyfikacjom, lecz właściwe imię zachował przez wszystkie wieki niezmiennie: Lud.

Wielu ich było. Przeważnie umierali przed „kolejnym” Edkiem. Ludewik, Ludger, Ludwik, Ludkowiak. A ostatni był Jan. Jan Ludkowski, pracownik stoczni gdańskiej im. Lenina, który zginął od postrzału w brzuch, podczas pamiętnych dni grudnia 1970 roku na polskim wybrzeżu.

Bowiem lud, nieodmiennie buntujący się przeciw wszystkim, którzy uciskają go i wyzyskują, jest jeszcze jednym „głównym bohaterem” tej książki. I kronikarski niemal, historyczny wątek: dzieje Gdańska. Autor ujawnił w postaci Lud'(u), pojawiającej się we wszystkich partiach tej książki, także i swoje przekonania polityczne. Jest bowiem — cokolwiek by to dzisiaj znaczyć miało, a znaczy z pewnością coś innego, niż w czasach Bebla, który również nie bez kozery tu się objawia — szczerze zaangażowanym socjaldemokratą. Lud i jego sprawy obchodzą go w sposób najbardziej osobisty: i wtedy, gdy wstrząśnięty jest nędzą i głodem *slums'ów* w dalekiej Kalkucie (choć sam przebywa w tym mieście jako VIP, gość oficjalnie zaproszony i fetowany), i gdy — wielokrotnie — już od 27 strony — powraca do trudnych spraw ludzkich we współczesnej Polsce. Dokonuje porównań w dziejach, ukazuje przyczyny i skutki, wymienia nazwiska i fakty.

Oto w XIV-tym wieku rebelię przeciwko patrycjatowi gdańskiemu podnoszą cechy i rękodzieła (str. 151/152): (...) „W każdym razie uśmiercono w maju 1378 roku siedmiu przywódców rebelii (...) podczas gdy strajk i powstanie stoczniowców w grudniu 1970 roku nie spowodowały aresztowania komitetu strajkowego stoczni im. Lenina, lecz usunięcie Gomułki i niektórych funkcjonariuszy. Nie doszło także do planowanych podwyżek cen na podstawowe produkty żywnościowe. Groźba stoczniowców, że spuszczą ze stępki kilka wielkich statków w stanie surowym, a może i stocznię wysadzą w powietrze, dostłyszana została aż w Warszawie: władza państwowa uznała władzę robotników. Ustąpiono, pozmieniano pewne osoby, raz jeszcze ogłoszono znów „nowy kurs”. (...)”. Porównanie dawnych i obecnych zatargów ludu z władzą wcale jednak nie skłania do optymizmu: ani gdański patrycjat nie udzielił ongiś cechom prawa głosu w radzie miejskiej, ani też nie zostało zrealizowane żądanie samorządu dla rad robotniczych w 1970. „Od 1378 roku”, konkluduje autor, „tyle tylko zmieniło się w Danzigu czy Gdańsku, że patrycjusze teraz inaczej się nazywają”.

(...) „Nie wszystko da się subwencjonować. Tego nawet i komunizm nie wytrzyma. Jeśli żaden rynek nie reguluje cen, robi to państwo za późno. Lecz wraz z cenami wpada w poślizg i coś więcej, a niekiedy wszystko” brzmi komentarz do przedsięwzięcia zamierzonych podwyżek cen w PRL. A na następnej (642) stronie: (...) „Chodziło nie tylko o skreślenie podwyżek cen. Domagano się samorządu robotniczego: (powracało) stare, głęboko zakorzenione, szalone, piękne, a nie dające się wykorzenić marzenie o samookreślanu się”.

Historia: fakty, daty, *dramatis personae*. Czasy dawne i czasy najnowsze, najdokładniej też odnotowane: (...) „Dopiero gdy tłum zaczął się już rozpraszać, doszło do bijatyk z milicją. Przed dworcem głównym zabrzęczały szyby. Paliło się kilka kiosków z gazetami. Później zapłonęła centralna siedziba partii. Nastrój był raczej pogodny. (...) Potem nastąpiły aresztowania i dlatego część tłumy ruszyła w kierunku więzienia (...). Tam także benzynę w okna. Jakiś chłopak rzucił się pod gąsienicowy pojazd. Ale jeszcze nie strzelano.

Dopiero nazajutrz, gdy robotnicy stoczni im. Lenina wycofali się na teren stoczni, zabezpieczając jej bramy posterunkami straży przemysłowej, i — na wypadek zajęcia przez wojsko — przygotowując wysadzenie w powietrze ważnych urządzeń stoczniowych i przedwczesne spuszczenie ze stępki nowych obiektów, gdy zaczęły nadjeżdżać z Warszawy jednostki ludowego wojska, a milicja zamknęła swój pierścień wokół terenu stoczni (...), gdy przed główną bramą stoczni kilku młodych robotników chciało dyskutować z milicją i gdy Jan Ludkowski najpierw ujawnił przez megafon historyczne tło strajku (...) a w końcu przytoczył cytą z Manifestu Komunistycznego (...) zaczęła strzelać milicja, raniąc wielu robotników. Pięciu śmiertelnie. Wśród nich był Jan.

Strzelano także w Gdyni, Szczecinie, Elblągu. Najwięcej zabitych (ponad pięćdziesięciu) było podobno w Gdyni, gdzie milicja strzelała do tłumy z karabinów maszynowych z helikopterów, oraz z moździerzy” (str. 664/645).

A potem? Upadek Gomułki. „Nowy człowiek zwał się Gierek. Cofnął podwyżkę cen na podstawowe produkty żywnościowe. Robotnicy uwierzyli, że odnieśli zwycięstwo i już nie strajkowali, mimo iż żądanie stworzenia samorządu robotniczego pozostało bez odpowiedzi” (str. 645).

Znów mija kilka lat. Telewizja niemiecka nakręca w Gdańsku film o wybitnych osiągnięciach polskich konserwatorów zabytków. Autor-narrator duma tymczasem nad śmiertelnymi szczątkami wielu dobrze, a też i źle w dziejach tego miasta zapisanych, spoczywających pod kamiennymi posadzkami licznych kościołów: artystów, rajców miejskich, butnych patrycjuszów... I znów powraca myślą do historii najnowszej:

(...) „A gdy w grudniu siedemdziesiątego roku milicja i oddziały wojska strzelały w Gdańsku i Gdyni do robotników, odpowiedzialny za to generał nazywał się Korczyński. Rozkaz strzelania wydał podobno pewien sekretarz partii nazwiskiem Kliszko. Członek biura politycznego, Stanisław Kociołek, przybył z Warszawy, opowiadając się za ostrym kursem. Dlatego musiano go wymienić. I chociaż belgijska partia komunistyczna protestowała u króla, Kociołek, odsunięty do Brukseli, został akredytowany jako ambasador. Z generała Korczyńskiego próbowano zrobić attaché wojskowego w Algierze. Nieco później strzelił sobie w łeb. Tylko Kliszko nie uzyskał nowych stanowisk. A stocznia im. Lenina nadal jeszcze nosi nazwę stoczni im. Lenina. Maria (Kuczorra, Kaszubka, pracownica stoczniowej kuchni i narzeczona Jana Ludkowskiego, z którym miała się pobrać w ostatnią niedzielę adwentu — M.K.) dała ochrzcić swoje córki imionami Damroka i Mestwina” (str. 154/155).

Historia — ludu, miasta, Polski, z którą to miasto przez wieki tak silnie było związane. Szeroki, panoramiczny ekran, epicki tok narracji, pełen ponadto powtórzeń, krzyżujących się niespodziewanie reminiscencji z epok odległych i lat ostatnich, misterne splecionych w czasie meandrów i nawrotów, gdyż:

(...) „Trzeba to widzieć historycznie. To nie ustanie nigdy. Nawet i w komunizmie. Zawsze z dołu przeciwko tym, co na górze. (...) Wszystko drożeje. Tak to jest. Trzeba to zaakceptować. To mówi państwo jako partia. A ona zna rację, zawsze rację. I zawsze mówi: na wolność jeszcze za wcześniej” (str. 644).

Z historyczną wiedzą autora — przynajmniej odnośnie historii Polski — nie zawsze można w pełni się zgodzić. Bo z pewnością nie „król polski Władysław” (str. 104) wezwał do swego kraju św. Wojciecha jako „agitatora”, wątpliwości budzi również „król polski Zygmunt, który w połowie kwietnia 1526 roku, wezwany przez burmistrza, Eberharda Ferbera, zajął miasto, kazał

w siedmiu głównych kościołach przybić kontrreformacyjne statuty" (str. 241) a przywódców antypatrycjatowej rebelii postawić przed sądem, raz bowiem jest to tylko „król Zygmunt”, po kilku zaś jeszcze stronach czytamy (str. 260) o „królu polskim, Zygmuncie Auguście”, posługującym się wydanymi przez biskupa Stanisława Karnkowskiego „Statuta Karnkowiana” jako „instrumentem kontrreformacji”. Ale te czy inne potknięcia lub niejasności łatwo dadzą się usunąć w następnych wydaniach.

Polscy czytelnicy natomiast będą się zapewne musieli zapoznawać z owym monumentem ku czci miasta Gdańska albo z niemieckiego oryginału, albo z tłumaczeń angielskich, bądź francuskich, gdyż na polski przekład tej książki wypadnie, zapewne, poczekać równie długo, co na przesławny „Błaszany bębenek”, pierwszą „gdańską” książkę Grassa, której lotna, zaiste, myśl pewnego polskiego „wewnętrznego” recenzenta skutecznie na dziesiątki lat zabroniła wstępu do naszych księgarni pod pretekstem, że zawiera ona... paszkwil na walecznych obrońców poczty polskiej w Gdańsku w 1939 roku, choć w istocie rzecz ma się wręcz przeciwnie. Tłumaczyć tego Grassa, z mnóstwem słów kaszubskich, regionalnych wyzwisk i porzekadeł, nazw najdawniejszych i współczesnych, przepisów kulinarnych, a nadto także tradycji i scenerii dzisiejszego Berlina, bynajmniej zresztą łatwo nie będzie.

Oficjalni krytycy niemieccy, zaskoczeni zarówno rozmiarami jak i rozmachem książki to chwałą co cenniejsze jej fragmenty, to wybrzydają się nad innymi. Jedni twierdzą, że w istocie to coś w rodzaju traktatu o równouprawnieniu płci, ugarniowanego tylko mnóstwem zbytecznych dykteryjek i epizodów. Inni utyskują na zachwiane proporcje całości, liczne, wierszowane „przerywki” (zgoda, że nie zawsze najwyższej próby), nadmiar przepisów kulinarnych nawet... Ależ tak, z tego opasłego, prawie siedemset stron liczącego tomu, można by „wykroić” wcale interesującą książkę kucharską (przepis na baraninę z gruszkami i fasolką, już na pierwszej stronie, przepis na serce wołowe, faszerowane suszonymi śliwkami, na smakowite przeróżne potrawy z kartofli, aż po umieszczony w ostatnim rozdziale przepis na żeberka z kapustą i kminkiem! — smakowite to, pożywne i proste).

W jednym tylko punkcie głosy krytyków brzmią zgodnym chórem: literaturze niemieckiej przybyła książka napisana tak świetnym, żywym, po rabelaisowsku niekiedy dosadnym i rubasznym, jędrnym i barwnym językiem, że żadna z pozostałych, ostatnio opublikowanych pozycji literackich we współczesnych Niemczech równać się z nią nie może.

Günter Grass ukończył przed kilku miesiącami pięćdziesiąt lat. Z tej okazji urządzono w hallu biblioteki uniwersyteckiej w Berlinie retrospektywną wystawę jego książek: wierszy, esejów, dramatów, prozy. Ozdobę tej wystawy jest ponadto jedna z jego grafik, które powstawały w trakcie pisania „Turbota”. Cykl ów

(inna jego plansza stanowi obwolotę tomu) nosi tytuł: „Gdy z turbota ość już tylko pozostała”. Zanim spełni się ta zapowiedź można z pewnością mieć nadzieję, że niejeden czytelnik wykroi sobie smakowity kęs z tej bynajmniej nie płaskiej ryby.

Maria KURECKA

Historia z tego i nie z tego świata

Dwutomowe dzieło Kazimierza Koźniewskiego*, traktujące o przedwojennej prasie periodycznej oraz o takiejże prasie, ukazującej się w Polsce w latach 1944-1945, pełni dwie funkcje jednocześnie: informującą i dezinformującą. Warstwa informująca, głównie dotycząca okresu sprzed września 1939 roku powoduje zapewne rozliczne zmartwienia zwierzchności; warstwa dezinformująca kiwanie głową czytelnika, który coś o tej materii wie. Jest jeszcze warstwa szlachetna, ale szlachetności pozostawmy sobie na zakończenie.

Informacją istotną pierwszego tomu nie jest opowieść o różnych losach różnych periodyków, ani streszczenie ich zawartości. Kto chce, może pójść do biblioteki i tam sobie poczytać; osobliwość książki Koźniewskiego polega na skomprimowaniu informacji, niepełnej z natury rzeczy, ale zapewne dla czytelnika krajowego, który sobie tamtych czasów z racji wieku nie przypomina, szokującej. Dowie się on, że istniała prasa różnorodna, że istniały rozmaite opinie na najrozmaitsze tematy, że prasą nie zarządzały organy państwowe, że nie było cenzury prewencyjnej, że można było decyzję cenzury skarżyć w sądzie i nawet rozprawę wygrać, że można było drukować sprawozdania z takich rozpraw, czyli brać sobie cenzorów na kieł, ponieważ rozprawy takie były jawne; a dowie się także, że można było dawać wyraz swemu oburzeniu, kiedy policja strzelała do demonstrantów, żądać publicznie amnestii więźniów politycznych (albo też, bo i tak bywało, żądać sadzania politycznych przeciwników), wyrażać poglądy całkowicie odmienne od poglądów ludzi sprawujących władzę, krytykować istotę rzeczy, a nie same jej tylko

* Kazimierz Koźniewski, *Historia co tydzień*, tom I „Szkice o tygodnikach społeczno-kulturalnych”, Warszawa, 1976, „Czytelnik”; tom II „Szkice o tygodnikach społeczno-kulturalnych 1944-1950”, Warszawa, 1977, „Czytelnik”.

powierzchnowe objawy. Więcej: dowiedzieć się może, że komuniści polscy przed wojną (np. Jerzy Borejsza) wyrażali swoją sympatię dla Marata i stosowanego przezeń terroru, ponieważ uważali, że „człowiek jest przedmiotem dziejów, a więc istnieje konieczność stosowania metod przymusu tam, gdzie tego wymaga historyczny interes klasy dokonującej rewolucję”; a także, że pismo katolickie — „Kultura” poznańska — z błogosławieństwem prymasa propagowała umiarkowany antysemityzm; i że byli publicyści, którzy walczyli i z jednym, i z drugim.

Koźniewski nazywa przedwojenny ustrój Polski raz dyktaturą, raz semitotalizmem. Posługuje się — nie on zresztą jeden — w sposób tradycyjny terminami „lewica” i „prawica”, „postępowość” i „wsteczność”, co, moim zdaniem, stwarza zamęt pojęciowy. Nie rozumie, że kiedyś „lewica” i „postęp” oznaczały więcej wolności w społeczeństwach ludzi dorosłych i że dzisiaj albo nic nie znaczą, albo znaczą — bo o tym praktyka przekonywa — despocję. Powiada, że polscy komuniści używali przed wojną dla określenia swego społecznego ideału wyrażenia „humanizm socjalistyczny”, ale chyba nie bardzo wierzy (wierzył? w adekwatność tej zbitki słownej, bo pisze o tym terminie jako o eufemizmie, używanym ze względu na cenzurę. Ciekawe natomiast byłoby, jakby autor określił obecny stan rzeczy i rządów PRL'u: jako lewicowy czy jako prawicowy, jako postępowy czy jako wsteczny? Czy, jeżeli jego zdaniem w Polsce przedwojennej panował semitotalizm, ustrój Polski obecnej jest przeciwieństwem wszelkiego totalizmu? Czy może za Borejszą wielbi w duszy Marata? Tego się z książki nie dowiadujemy; dowiadujemy się natomiast że miał chyba z wydaniem jakieś kłopoty; drugi tom kończy się zapisem daty: Warszawa, maj 1974 r. Impressum zaś podaje dla tomu I: „Oddano do składania 5 V 1975 r. (...) Druk ukończono we wrześniu 1976 r.”. Dla tomu II: „Oddano do składania 5 V 1975 r. (...) Druk ukończono w lipcu 1977 r.”. Tak się składa, że jest to informacja prawdziwa.

Dezinformacja, a raczej poważne luki w informacji oraz nie-naturalne zestawianie faktów, panują w części drugiej. W przedmowie Koźniewski pisze, tłumacząc się dlaczego nie uwzględnił w swej pracy wielu czasopism i dodaje: „Nie ma *Wsi* ani *Pokolenia*, ani *Nurtu* z pism powojennych. Ktoś może o to wnieść pretensję. Trudno”.

Wnoszę więc pretensję, a zacząć od tego, że łatwo. Pisze oto Koźniewski, że *Pokolenie*, *Nurt*, a także pismo *Warszawa* były „edytorskimi efemerydami”. Dosłownie: „Maria Dąbrowska wybrała dla siebie inne pismo: *Warszawę* — edytorską efemerydę, reprezentującą małą grupę warszawskich pisarzy, z chłodną wstrzeźliwością obserwujących rzeczywistość”. Chodzi o lata czterdzieste i o fakt, że Dąbrowska nie współpracowała ani z krakowskim *Odrodzeniem*, ani z łódzką *Kuźnicą*, którą to *Kuźnicę* Koźniewski wychwala pod niebiosy. I tu leży pies pogrzebany.

Wsi oczywiście Koźniewski efemerydą (łatką jednodniówką) nazwać nie mógł; wychodziła przez lat kilka. Znamienne jest wszakże, że autor wzdraga się pisać o periodykach, które były w sporze, nierzadko ostrym, z *Kuźnicą* właśnie. I miały w tym sporze w moim przekonaniu osobiwą rację; *Kuźnica* zaś w tym sporze odegrała rolę żalosną i w moim przekonaniu szkodliwą dla rozwoju kultury, a zwłaszcza literatury polskiej.

Chodziło o sprawę podówczas niebłahą: o młodzież akowską, zwłaszcza inteligencką. W roku 1946 Jan Kott ogłosił w *Kuźnicy* duży artykuł o Conradzie, który dałby się streścić mniej więcej tak: Conrad jako marynarz był na służbie imperializmu angielskiego; jego moralna kategoria „wierności samemu sobie” była wtedy kamuflażem wierności wobec owego imperializmu; młodzież z AK, ponieważ nie była komunistyczna (albo wręcz była antykomunistyczna) była faszystowska! „wierność samemu sobie”, jaką ta młodzież za Conradem wyznawała, była wiernością wobec faszyzmu; ergo: Conrad był prefaszystą. Rezultat długofalowy tego artykułu: Conrada nie można było w Polsce wydawać przez lat dziesięć.

Otóż w tej efemerycznej *Warszawie* ostro zareplikowała Maria Dąbrowska, w pierwszym numerze i na pierwszej stronie. I tu dłuższy cytat: „...ponieważ Kott rozprawiając się z 'wiernością' Conrada, rozprawia się z 'wiernością' bohaterską Polski podziemnej, pozwolę sobie na parę słów obrony i wyjaśnienia w tej sprawie. Ani żołnierze z A.K. ani wszyscy Polacy, którzy z bezprzykładnym męstwem narażali się i ginęli, a w końcu rzucili na szalę nawet los najukochańszej stolicy, nie byli głupcami, którzy ślepo słuchali takich czy innych nakazów. Ci wielotyśięcni żołnierze i cywile walczyli o Polskę rzeczywiście wolną i rzeczywiście demokratyczną. Ogromna walcząca większość narodu była, zgodnie z enuncjacjami obecnej prasy oficjalnej, w istocie demokratyczna i wiedziała, jak nigdy w dziejach, o co z Niemcami walczyła i czego chciała. W związku z tą, trudną do całkowitego rozpatrzenia, sprawą narzuca się taka oto jeszcze uwaga. Można stwierdzić, że moralność Conrada jest pełna zasadzek i niebezpieczeństw, jak zresztą każda moralność. Ale nie można sobie ułatwiać zadania twierdzeniem, że jeden z największych moralistów wśród pisarzy głosi moralność posłusznych niewolników. Rozumować w ten sposób jest to samo, co mówić, że kto ma zastrzeżenia wobec dzisiejszej polskiej rzeczywistości, ten jest z reguły reakcjonistą, przeciwnikiem wolności i demokracji, chociaż powszechnie wiadomo, że źródła tych zastrzeżeń są u różnych ludzi i u różnych grup całkowicie różne”.

Ostatnie zdanie Dąbrowskiej należy chyba rozumieć w kontekście szerszym. Tendencją ówczesną *Kuźnicy* i nie tylko *Kuźnicy* zresztą było przeforsowanie tezy, że wszyscy ci, którzy nie są komunistami lub ich sprzymierzonymi (wyjąwszy katolików, bo wobec katolików stosowano inną taktykę), są faszystami albo ludźmi bliskimi faszyzmu. „Faszyzm” był to więc worek, do

którego wrzucało się wszystkich niewygodnych; co było niewątpliwie wygodne. Rezultat krótkodystansowy: efemeryda *Warszawa* została z miejsca zlikwidowana metodami administracyjnymi. Koźniewski przemilczał więc starcie publicystyczne o niesłychanej doniosłości, dotyczące nie tylko postaw, ale i losów ludzkich.

Starcie to miało i inne jeszcze warianty. Już nie Dąbrowska brała w nim udział, jako przeciwnik *Kuźnicy*, ale ci, których chciała bronić: młodzież akowska.

Chodzi o dwie następne efemerydy: o *Pokolenie* i o *Nurt*. *Pokolenie* powstało w drugiej połowie 1946 roku, pieczę polityczną sprawowała nad nim organizacja młodzieżowa PPR-ZWM; osobiście Jerzy Morawski. Pismo zostało założone przypuszczalnie z uwagi na to, że *Dziś i jutro* Bolesława Piaseckiego starało się przyciągnąć do siebie młodych pisarzy o przeszłości akowskiej; przeto uznano, że należy temu przeciwdziałać. Kontrola partyjna? — Coś chyba w tym rodzaju.

Ale partia, jak to partia: oderwana od życia, nie rozumiała i nie znała psychologii grup i warstw społecznych, środowisk i jednostek. Wokół *Pokolenia* zaczęło się tworzyć specyficzne środowisko młodych pisarzy, z takimi indywidualnościami, jak Tadeusz Borowski i Tadeusz Różewicz. Roman Bratny ogłosił wtedy, wzorowany zresztą na Trzebińskim, artykuł o dramatyce poezji, zapewne było to kamieniem obraży dla Jastruna i Pawła Hertza. Tadeusz Borowski wydrukował swój „Pamflet na starszego brata”, wyraźnie adresując go przeciw *Kuźnicy*. Różewicz opublikował wierszyk satyryczny pod znanym tytułem „Po co wracacie umarli poeci”, a był do tego dołączony rysunek (nie pamiętam już czyj) przedstawiający umieszczoną w łodzi grupę Skamandrytów oraz Władysława Broniewskiego. Różewicz popełnił zresztą jeszcze jeden nietakt, publikując (nie w *Pokoleniu*, ale to nie ważne) wiersz, również satyryczny, o łagodnej rewolucji, w czasie której te panie dziobią różowe ciasteczko bardzo grzeszne. Celem tej niezwykle gorzkiej satyry była już wówczas tworząca się „nowa klasa”, której istnienie Różewicz dostrzegł na długo przed Dżilasem i do której należało, co wtenczas każdy z naszego pokolenia widział, także i środowisko *Kuźnicy*.

Kuźnica to zrozumiała i zareagowała ostro, wręcz brutalnie. Żółkiewski napisał „Na młodszego brata — pamflet”, gdzie białda iż ci młodzi pisarze, co to wyszli z lasów, są nieukami. O opowiadaniach zaś obozowych Borowskiego napisał dosłownie, później już nieco, po administracyjnej likwidacji zarówno *Pokolenia* jak i *Nurtu*: „W młodzieńczej jeszcze twórczości Borowskiego odwaga rewizjonistycznego sądu moralnego miesza się z przerażeniem drobnomieszczańskim, przyjętym wraz z tradycją chwytów Célinowskich. Mamy tu wpływy defetystycznej literatury amerykańskiej, która jest wyrazem „kapitulacji drobnomieszczaństwa przed faszyzmem”. Kto pamięta, czego synoni-

mem było podwólczas nazwisko Céline'a, temu jeszcze dzisiaj skóra cierpie.

Mieczysław Jastrun zaatakował młodą poezję *en bloc*, pisząc o „Eluardzie w butach z cholewami” (co odnosiło się w pierwszym rzędzie, a przynajmniej tak to odebrano, do Różewicza) oraz o „chmurze ekspresjonizmu nad ruinami Warszawy” (co mogło dotyczyć zarówno niektórych wierszy Romana Bratnego, jak i zapomnianego już dziś poematu Stanisława Ziembickiego „Powrót do miasta”).

Trudno mi dociec, o ile atak wymierzony w Borowskiego, zaważył na późniejszych jego losach. W każdym razie, przeglądając ówczesną prasę „tygodnikową” nie mogę się oprzeć wrażeniu, że Borowski został wzięty w kleszcze: przez *Kuźnicę* mianowicie i równolegle przez *Dziś i jutro*. Przynajmniej częściowo mogła ta okoliczność wpłynąć na jego decyzję objęcia stanowiska w Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim, co, jak wiadomo, było jednym z ogniw w łańcuchu wydarzeń, prowadzących do ostatecznej katastrofy. Ale już z tego widać, jak bardzo pomylił się Miłosz, pisząc rozdział „Beta” swego „Umysłu zniewolonego”.

Trzy lata później, z początkiem 1950 roku, rozegrała się jeszcze jedna dyskusja. Rozpoczął ją Wiktor Woroszyński artykułem „Batalia o Majakowskiego” w *Odrodzeniu*. Wysunął — z grubsza formułując — tezę, że przeciwnicy formy Majakowskiego są wsteczni i kontrrewolucyjni; *expressis verbis* powiedział, że ma na myśli poetykę klasycyzującą, propagowaną przez *Kuźnicę*; imiennie zaatakował Mieczysława Jastruna i Pawła Hertza, a także Stanisława Wygodzkiego i Leopolda Lewina. Wokół tego artykułu rozpoczęła się zażarta polemika, niosząca wszelkie cechy skandalu literackiego. Nie tu miejsce wnikać w szczegóły, ale rzuca się w oczy paralela między postawą Woroszyńskiego a „różowym ciasteczkiem” Różewicza: duchy niespokojne niepokoiła okoliczność, że wszystko dzieje się połowicznie — bo jeśli już ma być rewolucja, to niech będzie rewolucja; połowiczność wzbudzała gniew. Strona przeciwna (*Kuźnica*, ale i aparat KC) wytoczyła grube działa; Borejsza napisał artykuł, zarzucający Woroszyńskiemu klikowość. Rzecz cała zakończyła się po kilku miesiącach niebывалą dintojrą partyjną w klubie przy Pankiewicza, przewodniczył temu sabatowi czarownic Paweł Hoffman (wówczas chyba kierownik Wydziału Kultury KC), sekundował mu Adam Ważyk. Orzeczone, że stanowisko Woroszyńskiego jest antypartyjne, a takie orzeczenie było wtedy rzeczą groźną.

Potem *Kuźnica* i *Odrodzenie* zostały połączone i nastąpiły, jak słusznie o tym pisze Koźniewski, inne zgoła czasy dla polskiego czasopiśmiennictwa. Od tamtych bojków minęło już ponad ćwierć stulecia, układy personalne, sympatie i antypatie mocno się powymieniały, dawniejsi przeciwnicy nierzadko są dziś bliskimi przyjaciółmi. Nie jest to wszelako powód, aby spory tamtych lat przemilczać — były one ważne i nie o to

chodzi, aby z perspektywy lat wyrokować, kto miał rację; chodzi o stwierdzenie faktu, że spory te były; a także o stwierdzenie faktu, że zespół *Kuźnicy* występował wówczas przeciwko młodszemu pokoleniu nie tylko z pozycji siły, ale i odwoływał się do siły jeszcze silniejszej, niż siła własna.

Domyslałam się, że brutalne postępowanie zespołu *Kuźnicy* wobec jej niekatolickich adwersarzy powodowane było strachem. Strachem o własną skórę, czyli o utratę „różowego ciasteczka”, które mogło zacząć dziobać pokolenie młodsze z poparciem władzy politycznej i policyjnej; oraz strachem przed właśnie ową polityczną i policyjną władzą. Domysł ten bądź co bądź tłumaczy wiele; dzisiaj skłaniam się ku przeświadczeniu, że ten strach nie hańbi; ale też i ku przeświadczeniu, że o nim należy mówić, że w to „jądro ciemności” trzeba puścić strumień światła. Natomiast nie należy iść na pokuszenie mylnych szlachetności: co uczynił Koźniewski, przemilczając aż tyle, wierzę, że w intencji nie krzywdzenia ludzi sobie bliskich. Myślę, że ta szlachetność ich krzywdzi, nie pozwalając zmierzyć odległości od punktu wyjścia do punktu dojścia, tudzież wysiłku moralnego, koniecznego dla przebycia tej drogi. A tak jest to, w tym rozdziale przynajmniej, historia nie z tego świata.

Witold WIRPSZA

Rok życia - rok walki

Zdumiewająca książka. Nawet jeszcze nie książka, a rękopis. Najlepiej jednak określić ją jako — zdumiewający głos. Głos Andrieja Sacharowa, zwracającego się do amerykańskich prezydentów, do Organizacji Narodów Zjednoczonych, do zachodniej opinii publicznej, spokojnie odpowiadającego na oskarżenia zastępcy Prokuratora Generalnego ZSSR. W jednym tomie zostały zebrane listy, oświadczenia, memoriały, wywiady Sacharowa za rok — do sierpnia 1977 roku.

W tomie zgromadzone są tylko dokumenty, dopełniają je krótkie odsyłacze o nieznanych nam ludziach i wydarzeniach, o których wspomina Sacharow. Wiele z tych tekstów publikowano już przedtem oddzielnie. Zebrane razem mówią o życiu kraju, o zdumiewającym życiu i walce jednego człowieka z gigantycznym Lewiatanem, człowieka silnego jedynie swą wiarą w słuszość czy niezbędność tego, co robi.

Zetknięcie się z niezwykłym zjawiskiem, z niezwykłym człowiekiem powoduje zawsze chęć znalezienia w przeszłości kogoś

dla porównania. W XX-tym wieku Andrieja Sacharowa porównać można jedynie z Ghandim — ale z Ghandim bez milionów zwolenników. Nie znaczy to, że nazwisko Sacharowa jest w kraju nieznane. Mimo wszystkich wysiłków władz, mimo że pojawia się ono w prasie wyłącznie w towarzystwie wymysłów i politycznych oskarżeń. Andriej Sacharow stał się w Związku Sowieckim dla mnóstwa ludzi ostateczną instancją: do niego zwracają się ludzie, gdy wszystkie próby walki ze złem zawiodły, kiedy już nie można znieść krzywd i niesprawiedliwości.

Głównymi tematami dokumentów są charakter i zadania ruchu obrony praw człowieka, oraz walka państwa z tym ruchem.

Andriej Sacharow chce być dobrze zrozumiany, nie przestaje powtarzać w każdym wywiadzie udzielonym dziennikarzom zachodnim i w listach do działaczy społecznych i politycznych, że ruch — nazywany „dysydenckim”, „demokratycznym” — który Sacharow woli nazywać ruchem w obronie praw człowieka — nie jest ruchem politycznym. Jego działacze nie są politykami. W swojej działalności nie oczekują żadnych zmian politycznej struktury kraju, nie szukają dla siebie żadnych przywilejów, przeciwnie — ich życie i życie ich bliskich staje się na skutek tej działalności niezwykle trudne, czasem nawet nędzarskie, ale los każdego niewinnie skazanego traktują oni jako swoje własne nieszczęście. Sacharow podkreśla, że ruch w obronie praw człowieka całkowicie i zasadniczo odcina się od stosowania i propagowania przemocy. „Naszym głównym celem i jedyną bronią — oświadcza laureat nagrody pokojowej Nobla — jest jawność, prawdziwa i, w miarę możliwości, dokładna informacja”. W kilku wystąpieniach Sacharow szkicuje historię ruchu demokratycznego w ZSSR. Jest to niezmiernie ciekawe zarówno dlatego, że takiej historii jeszcze nie ma i że mówi o niej jej główny aktor. Podkreśla on, że w okresie Chruszczowa rozpoczęły się w życiu społecznym kraju wielkie przemiany, ferment umysłów, powszechne przewartościowanie wielu dogmatów. „W ustroju totalnego zduszenia wolności myśli powstały wyłomy, które zostały wykorzystane przez wielu uczciwych, odważnych i utalentowanych ludzi. Ten okres przygotował grunt dla powstania ruchu obrony praw człowieka... Datą powstania ruchu jest dla mnie założenie Grupy Inicjatywnej w obronie praw człowieka w 1969 roku, a nieco wcześniej ukazanie się pierwszych numerów pisma *Kronika bieżących wydarzeń*”. Organizatorami Grupy Inicjatywnej — mówi Sacharow — „byli wybitni ludzie — niedawno zmarły Grigorij Podjapolskij i Siergiej Kowalew, aresztowany w 1974 r.”.

Po Grupie Inicjatywnej powstaje Komitet Praw Człowieka, zorganizowany przez A. Sacharowa, A. Twierdochlebową i W. Czolidę. W 1975 roku powstaje także Grupa Współdziałania w wykonaniu uchwał w Helsinkach, kierowana przez Jurija Orłowa. Do jej działalności Sacharow przywiązuje ogromną wagę, gdyż mówi ona światu o „sądowych i psychiatrycznych represjach, o nieludzkich warunkach w łagrach i więzieniach, o prześlado-

waniu religii, o narodowej dyskryminacji Tatarów Krymskich, o zagrożeniu kultury narodowej w republikach narodowościowych, o problemach emigracji i łączenia rodzin".

Działalność ruchu w obronie praw człowieka to jedna strona obrazu namalowanego przez Sacharowa. Drugą stroną są okrutne represje władz w stosunku do uczestników tego ruchu: aresztowania, prześladowania członków rodzin aresztowanych i groźby fizycznej przemocy, pobicia, morderstwa. W całym szeregu wystąpień Sacharow mówi o nowej formie represji, którą nazywa „podziemną, kryminalno-mafijną działalnością organów represji”. Przytacza fakty: opowiada o śmierci w warunkach podejrzanych „co najmniej pięciu ludzi” — baptysty Biblenko, dwóch Litwinów — inżyniera Tomonisa i wychowawczyni przedszkola, aktywnej katoliczki Łukszajte, znanego poety — tłumacza Konstantina Bogatyriewa, bezrobotnego prawnika Brunowa, który zginął w parę godzin po wizycie u Sacharowa.

Andriej Sacharow podał nazwiska pięciu ludzi, którzy zginęli w podejrzanych okolicznościach w oświadczeniu z 12. 1. 1977 r. W przeszło dwa miesiące potem przyszedł do Sacharowa ze skargą szofer z Nowosybirsk — A. Jakowlew. Po wyjściu od Sacharowa został przejechany w biały dzień na jednej z bardziej ożywionych ulic Moskwy przez samochód, który nie został zidentyfikowany. Sacharow wiąże te nowe formy represji z wybuchem w moskiewskim metro i wyraża obawy, że może to wpłynąć na zmianę wewnętrznego klimatu w kraju i doprowadzić do „stworzenia wokół inaczej myślących atmosfery gniewu ludu”.

Głos Sacharowa mówi ze stron dokumentów o życiu w ZSSR w 1976-1977 roku. Rozlega się jednak również głos przedstawicieli „organów”: najpierw zrobiona przez Sacharowa notatka z rozmowy z zastępcą Prokuratora Generalnego ZSSR, a następnie wersja prokuratora, przekazana przez niego do *New York Times'a*. Ale na stronicach książki słyszy się również stale trzeci głos — głos Zachodu. Ścisłej, głos zachodnich dziennikarzy, zadających Sacharowowi pytania. I za każdym razem, stale dziennikarze zadają m.in. dwa sakramentalne pytania: Czy ruch w obronie praw człowieka nie szkodzi sprawie odprężenia? Czy jawność, podawanie nazwisk prześladowanych, demaskowanie represji nie szkodzi tym, którzy są prześladowani? Andriej Sacharow z prawdziwie anielską cierpliwością odpowiada: Nie, ruch w obronie praw człowieka może tylko pomóc prawdziwemu odprężeniu, nie — tylko jawność, tylko masowe protesty na Zachodzie mogą pomóc prześladowanym w ZSSR. Ale to nie pomaga. Dziennikarze zachodni znów zadają te dwa sakramentalne pytania, jakby mieli nadzieję usłyszeć odpowiedź, na którą czekają: nie trzeba jawności, nie należy męczyć Breżniewa, przestańmy mówić o prześladowanych i o prawach człowieka; nie psujmy apetytu ludożercom.

Sacharow odnotowuje nowe, niezmiernie ważne zjawisko — powstanie „nowych form walki w jednym ruchu w obronie

praw człowieka w ZSSR i w krajach Europy Wschodniej”. Myślę — mówi laureat pokojowej nagrody Nobla — że są podstawy „do użycia określenia jedyny ruch”. Zaznacza różnicę sytuacji w różnych krajach tzw. socjalistycznej wspólnoty: „W ZSSR, który przeżył szereg dziesiątków lat nieznanego w historii terroru i politycznego i obywatelskiego poniżenia narodu, szerokie kręgi robotników, włościan, inteligencji są w większości bierne, zastraszone i uzależnione od totalitarnej władzy”. Położenie w innych krajach Europy Wschodniej wydaje się Sacharowowi inne, gdyż kraje te „są historycznie bliższe Zachodowi, z jego humanistycznymi i demokratycznymi tradycjami i tradycyjnym poszanowaniem praw jednostki. W niektórych z tych krajów, a specjalnie w Polsce, istnieje tradycyjnie wielki i zbawienny wpływ Kościoła; ten wpływ zdołał się utrzymać w bardzo ciężkich warunkach...”.

Sacharow uważa jednak, że „podobieństwo wspólnych celów ruchu w obronie praw człowieka w ZSSR i w krajach Europy Wschodniej jest w szerokiej perspektywie historycznej znacznie ważniejsze, niż różnice”. Sacharow chce bronić praw człowieka i nie chce zajmować się polityką. Ale w Związku Sowieckim wszystko jest polityką, tym bardziej walka o prawa człowieka. Zbiór dokumentów poświęconych tej walce, to książka polityczna, a jednocześnie opowieść o prywatnym życiu człowieka dręczącego się tym że nie może pomóc ludziom którzy zwracają się doń o pomoc, gdy już nie mają gdzie pójść, choć zwrócenie się do Sacharowa grozi jeżeli nie śmiercią, to zawsze usunięciem z pracy i innymi represjami; dręczącego się i tym, że cierpią członkowie jego rodziny, że brakuje pieniędzy na życie i jest bardzo ciasno w mieszkaniu. Szereg dokumentów poświęconych jest problemowi zamiany mieszkania Sacharowa na większe, w którym mogliby się pomieścić wszyscy członkowie jego rodziny.

I to jest miara reżymu sowieckiego: morduje ludzi i uniemożliwia Sacharowowi zmianę mieszkania. Na ten temat znajdziemy w dokumentach artykuły z prasy sowieckiej i specjalne oświadczenie najoficjalniejszego TASS'a.

Na początku lat 20-tych Jewgienij Zamiatin pisał, że powieść współczesna odtwarzająca rzeczywistość powinna być połączeniem fantastyki i bytu. Fantastyka i byt, to treść książki Sacharowa. Bardzo trudno jednak powiedzieć gdzie fantastyka, a gdzie byt. Wyzwanie rzucone systemowi przez jednego człowieka — to byt czy fantastyka? Zwierzęce okrucieństwo i żalosna małostkowość władzy — to fantastyka czy byt?

Ktoś powiedział, że szczęśliwe kraje nie potrzebują wielkich ludzi. Ale na pewno szczęśliwymi krajami są te, które w momencie wielkiej potrzeby znajdują wielkich ludzi. Szczególnie jeśli są to ludzie tacy, jak Andriej Sacharow.

Adam KRUCZEK

Krajowe nowości wydawnicze

STRYJKOWSKI, Julian: *Przybysz z Narbony*. Powieść opublikowana w numerach 1-4 *Twórczości* z 1977 roku.

Przybysz z Narbony jest powieścią wybijającą się na pierwszy plan w produkcji wydawniczej roku 1977. Jest ona dostępna obecnie tylko w wersji ogłoszonej w *Twórczości*. Mimo tej przeszkody formalnej w pełni zasługuje na jak najszybsze zasygnalizowanie.

Jest to zasadniczo powieść historyczna, mówiąca o losach Żydów hiszpańskich za panowania Izabeli Kastyljskiej i Ferdynanda Katolickiego, w okresie reconquisty, na krótko przed zdobyciem Grenady, około roku 1490. Dedykacja „Powstańcom getta warszawskiego” sprawia, że od pierwszych kart jesteśmy uczuleni na zbieżności z wydarzeniami naszych czasów. Nie ulega wątpliwości, że — podobnie jak „Bramy raju” czy „Msza za miasto Arras” — jest to lekcja historii odnosząca się w tym wypadku do tragedii żydowskiej diaspory.

Strykowski umiejscowił *Przybysza z Narbony* w bliżej nieokreślonym mieście (Talavera?). Ma ono wyraźnie wydzieloną i otoczoną murem dzielnicę żydowską tzw. *Barrio*. Obok katolików zamieszkują je mahometanie, „nowochrześcijanie” i „jawni Żydzi”. Do tej ostatniej kategorii zalicza się bohater powieści, Eli ben Zachariah ibn Gajat z Narbony, odwiedzający miasto jako wysłannik ojca na uroczystość confirmacji syna rabina don Baltazara Diaz de Tudela. Od chwili przybycia wkracza w obręb tragedii. W mieście działa Inkwizytor a na Placu Płomieni raz po raz zapalają się stosy. Skazańcami są przede wszystkim Żydzi, oficjalnie wychrzczeni a potajemnie wierni Staremu Zakonowi. Są oni wymyślnie wyłapywani przy pomocy donosicieli i szantażystów. „Przybysz z Narbony” dzieli z rodziną Rabina atmosferę niepewności jutra i narad nad przygotowaniami do tego, co dziś określa się eufemizmem „emigracja”. Miraże ratunku podsuwa lekarz z Turcji, namawiający do szukania opieki u Sułtana i miejscowy imam, zadający łańcuchowe pytania w rodzaju: „Czy to duża różnica czy zmieniać wiarę czy kraj rodzinny?”.

W „Przybyszu z Narbony”, nadjeżdżającym z wolnego świata, *Barrio* widzi przywódcę ruchu oporu. Młody, niedoświadczony, podejmuje narzuconą mu rolę i otacza się gronem entuzjastów, rekrutowanych spośród młodzieży, niemal dzieci. Spiskowcy planują zaszytowanie Inkwizytora w czasie zapowiedzianej przez niego prowokacyjnej wizyty w bożnicy w czasie confirmacji 13-letniego syna Rabina. Wywiad pracuje sprawnie: Inkwizytor

jest zawczasu powiadomiony o grożącym mu niebezpieczeństwie. Kto doniósł? — o planach zamachu wiedziało nieliczne grono wtajemniczonych. Na kartach powieści pojawia się nieobcy naszym czasom motyw nieufności w stosunku do najbliższego nawet otoczenia. Jak w powieści kryminalnej podejrzenia kierują się ku coraz innej osobie, z Rabinem włącznie. Ten ostatni stoi wobec perspektywy sądu rabinackiego i kłatwy. Na Placu Płomieni ginie tymczasem Żyd, który załamał się pod naciskiem terroru. „Przybysz z Narbony”, świadek egzekucji, nie może powstrzymać się od oznak protestu: to stawia go w gronie podejrzanych, choć formalnie jest cudzoziemcem nie podlegającym jurysdykcji lokalnej. Zwolniony, wraca do planów realizacji zamachu. W krytycznej chwili zamiast Inkwizytora zjawia się Żyd, Grand Abraham Senyor, doradca (sic!) królowej Izabeli a następnie jeden ze spiskowców, odstępcą, wzywający do zdrady Starego Zakonu przybyłych do bożnicy. „Przybysz z Narbony” zabija go, sam jest raniony, pozornie lekko — ale zatrutym sztyletem. Umiera a choć celu nie osiągnął, ufa że postawą swoją dał świadectwo wierności sprawie — choćby przegranej. Po conradowsku.

Analogii z okresem okupacji nie brak. Przez całą powieść przewijają się pytania: gdzie jest granica strat i zysków przy organizowaniu oporu — czy „Przybysz z Narbony” miał prawo wzmacniać nasilenie prześladowań a na dodatek posługiwać się przy tym nieletnimi? — czym odpowiednikami są „nowochrześcijanie” odchodzący od wiary ojców z musu, strachu — a także dla kariery? — gdzie znaleźć można kraj wolny od groźby prześladowań i zagłady?

Na marginesie przypomnieć warto relację o „nowochrześcijanach” opublikowaną w amerykańskim *Time*'ie z 11. IV. 1977. Dotyczy ona współczesnych nam portugalskich *marranos*, potomków Żydów nawróconych w okresie nasilenia prześladowań, w końcu XV-go wieku. Do dziś wypiekają oni w okresie Passoveru macę (*pão azimo*) i o świcie wędrują nad brzegi rzek z gałązkami oliwek na pamiątkę przejścia przez morze Czerwone. Święcą szabas, świętują w soboty, dochowując wiarę Staremu Zakonowi. Potajemnie. Bo choć pozornie ukrywanie się straciło sens, trwa obawa o ponowienie się terroru. Pamięć Hitlera obawy te usprawiedliwia. Bo — jak w powieści Strykowskiego — niewiadomo skąd i kiedy wyłonić się może nowa fala prześladowań, wypędzająca nowe rzesze ofiar na nowe szlaki wygnania.

BIOGRAFIE

SUDOLSKI, Zbigniew: *Krasiński*. Opowieść biograficzna. Warszawa, 1977, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, str. 611, ilustr.

Biografia Krasińskiego pióra Sudolskiego ukazała się w serii

adresowanej do czytelnika masowego firmowanej przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, co jest wymownym świadectwem ułaskawienia „reakcyjnego arystokraty” za jakiego był do niedawna uważany autor „Nie-boskiej”. Schemat opracowania zbliża książkę do kalendarza życia i twórczości; uzupełnia ją kronika współczesnych wydarzeń europejskich, dotycząca krajów w których Krasiński przebywał lub które ukazywał w swoich utworach czy listach. Nie ulega zresztą wątpliwości, że w pewnych okresach sytuacja polityczna na półwyspie Apenińskim była Krasińskiemu lepiej znana od polskiej we wszystkich trzech zaborach.

Jako „wzór osobowy” Krasiński zdecydowanie zawodzi. Trudno o życiorys bardziej zakłamanym i jaskrawiej odbiegającym od patetycznych wskazań dla narodu zawartych w powszechnie dawniej znanych utworach. Sudolski nie wybiela bynajmniej poety, stara się jednak usprawiedliwić pewne cechy jego charakteru terrorem ze strony ojca, błędnymi ocenami sytuacji czy wreszcie złym stanem zdrowia. Listy Krasińskiego wywołują wrażenie przesadnej dbałości o zdrowie i nadmiaru zabiegów leczniczych. Ale, jak w austriackim witzu „Der Simulant ist gestorben” — Krasiński dowiódł, że miał podstawy do narzekania, bo zmarł w 48-ym roku życia.

Zgodnie z założeniami serii wydawniczej biografia oparta jest na cytatach z utworów i, przede wszystkim, listów. Krasiński był korespondentem wytrwałym i ofiarnym, niemal okrutnym w domaganiu się od adresatów odzewu i wtóru uczuć. Niezależność finansowa i nawyki środowiska sprawiały, że wolny od trosk o chleb i obowiązków „pracował” co ranka przez kilka godzin, pisząc i czytając listy. Fakt, że napisał około 5.000 listów do jednej tylko Delfiny Potockiej uświadamia jak poważną pozycję w budżecie zamożnego nawet człowieka wyniosłyby same opłaty pocztowe bynajmniej w owych czasach niebagatelne. Syn „pana na Opinogórze”, Knyszynie, Kleszczewie, Złotym Potoku, Dunajowcach etc., jednak, mógł pozwolić sobie na podróżowanie w ulubionej karecie, którą wstawiano niekiedy na platformę pociągu razem z leżącym w niej posażerem. Mógł podróżować, nie rozstając się z wiernym kamerdynerem Kruszewskim, którego Sudolski błędnie nazywa niekiedy guwernerem, mógł leczyć się u sław europejskich — a nadto wspierać finansowo a dyskretnie np. Norwida i być anonimowym fundatorem Biblioteki Polskiej w Paryżu. Mógł wreszcie, co Sudolski skrupulatnie rejestruje obdarzać kolejne ukochane symbolicznymi klejnotami, kosztami kwiatów, instrumentami muzycznymi — a nawet, casus Delfiny, willą w Nicei. O trwałości upodobań kulinarnych rodaków świadczy fakt, że posyłał sfrancuziałej Delfinie kaszę hreczaną i kminek. Za opakowanie służyły kosztowne skórzane puzderka, których koszt wielokrotnie przewyższał cenę zawartości.

Z przykładów tych nie należy wyciągać wniosku, że Sudolski bagatelizuje ważniejsze aspekty biografii Krasińskiego. Sumienie i wnikliwie relacjonuje stosunki z ojcem, ową tragiczną zależ-

ność, od której nie potrafił się uwolnić a która stoi u genezy zasadniczych decyzji życiowych podejmowanych *contre cœur*, pod presją nacisków ojcowskich. Będzie to naprzód nakaz powstrzymania się od manifestacyjnego udziału studentów w pogrzebie prezesa Sądu Sejmowego, wojewody Piotra Bielińskiego (w roku 1829). Krasiński sam jeden zjawił się na wykładzie, co sprawiło, że stał się ofiarą samosądu koleżeńskiego i co doprowadziło do ostrego konfliktu z przyjacielem, Leonem Łubińskim. Będzie to w okresie powstania listopadowego bezczynne śledzenie wydarzeń z Rzymu i Paryża, choć kilkakrotnie otwierały się możliwości wyjazdu, a pomóc mu w tym chciał nawet przyjaciel Anglik, Henry Reeve. Jak daleko szedł jego nacisk na Krasińskiego świadczy nie przytoczony przez Sudolskiego apel z maja 1831: „Możesz liczyć na dwa tysiące franków i paszport”, „Droga twoich obowiązków jest jasna — jedź”. Posłuszeństwo ojcu nakazało mu pozostanie za granicą, ale nie uchroniło od narastania kompleksów, których echa występują jasno w twórczości a jeszcze jaśniej w korespondencji. Grzechy młodości spłacił Krasiński swoją twórczością i nie cofaniem się przed konkretną perspektywą konfiskaty majątków w zaborze rosyjskim. Oślanianie się pseudonimami było wysoce ryzykowną grą, gdyż wywiad carski znał na pewno autora bezimiennie wydawanych utworów (np. w wypadku polemiki z „Prawdami żywotnymi” Kamieńskiego). Bilans wypada w ostatecznym rachunku na korzyść Krasińskiego i rehabilituje go w pełni jako Polaka. Sudolski nie wydobywa tego dostatecznie jasno.

Życie erotyczne Krasińskiego, temat-samograj, udokumentowane jest obszernie w cytatach, wypełniających całe karty książki. Gubi się w nich jednak pełne sprzeczności, zmienne postępowanie poety — a więc np. dramatyczny finał romansu z Joanną Bobrową. Delfina pokazana jest znacznie lepiej w wyborze listów dokonanych przez Jana Kotta. Świetnie narysowany jest natomiast u Sudolskiego tragicomiczny trójkąt: żona, Delfina i reżyserujący kłamstwo po kłamstwie autor „Przedświtu”.

Był to niewątpliwie aktor, artysta układający z premedytacją dramat własnego życia, kochanek równie czuły jak okrutny, syn nie mogący się zdobyć na wyrwanie spod przemocy ojca — i wreszcie przyjaciel, zdający najcięższe próby — słowem: jedno wielkie kłębowisko sprzeczności, słabości i nędzy moralnej przemieszane z przeblaskami wielkości charakteru i rozmiennego na drobne talentu. Nadto: świetny diagnosta politycznej sytuacji Europy i futurolog — tego aspektu Sudolski jednak nie wydobyl.

Kto zwycięży: autor „Nie-boskiej komedii” czy bohater efektownych romansów i niestrudzony korespondent, zamykający w tysiącach listów prawdę o epoce romantycznej? Toczący się obecnie pojedynek o właściwą interpretację życia i twórczości Krasińskiego nasuwa analogie z pośmiertnymi losami Byrona: biografia przesłania twórczość. Polacy są skłonni do zadawa-

lania się barwnymi życiorysami (Norwid, Gombrowicz). Krasinśki znalazł się na równie niebezpiecznym zakręcie a książka Sudolskiego, wysuwając na plan pierwszy człowieka, nie przyczyni się do spopularyzowania twórczości, której autor wydanej obecnie biografii, że się tak wyrażę, nie reklamuje.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Historia literatury litewskiej

W Polsce ukazała się „Historia Literatury Litewskiej”, pióra Zygmunta Stoberskiego. Str. 232. Rok 1974. Wyd. Zakład Imienia Ossolińskich.

Być może dla czytelnika w Litwie sowieckiej wyda się ona obiektywną, ale czytelnik na emigracji, obznajmiony nieco z litewskim piśmiennictwem, zauważy zaraz charakterystyczne piętno wydawnictw krajów komunistycznych.

„Historia” obejmuje okres od zarania dziejów, gdy istniały tylko dajny i raudy, poprzez rok 1547 kiedy ukazała się pierwsza książka w języku litewskim, aż po rok 1973, omawiając bardzo obszernie okres powojenny twórczości w kraju, a prawie pomijając emigrację. Np. wybitny poeta, piszący na emigracji, Henrikas Radauskas, został wymieniony tylko z nazwiska, a może on nas zainteresować z racji poloników biograficznych. Będąc synem rządcy w żmudzkiej dworze, ożenionego z niemiecką guwernantką, ale z polskiej rodziny na Mazurach, urodził się w Krakowie, dokąd przeniósł się rodzina jego matki. Zachował dobrą znajomość języka polskiego a Tuwim był jednym z jego ulubionych poetów. Autor „Historii” te szczegóły pomija, chociaż w omówieniu innych pisarzy wymienia zawsze pochodzenie, traktowane z punktu widzenia klasowego. Dowiadujemy się, że na przełomie wieków XIX i XX większość pisarzy pochodzi z zamożnych rodzin chłopskich, a piszących kobiet — z rodzin szlacheckich. Co drugi pisarz był krócej lub dłużej w seminarium duchownym, i co drugi próbował najpierw pióra w języku polskim, by rychło przejść na język litewski.

Zamieszczona jest bibliografia przekładów z literatury litewskiej na język polski z podaniem 33 tytułów. Wydaje się, że jest ona niekompletna. Czasem dawne tłumaczenia są powodem komplikacji językowych, bo nazwy miejscowości są podawane w litewskim brzmieniu, a więc znajdujemy omówienie poematu „Borek w Anykščiai”, a w bibliografii wymienione jest tłumaczenie z roku 1911 pt. „Borek Onikszyński”, ta miejscowość bowiem zwąta się po polsku — Onikszy.

Czy praca jest sumiennie opracowana? Jeden z najślawniejszych litewskich pisarzy, ks. J. Tumas, przybrał pseudonim Vaižgantas, a „Historia” podaje, że Vaižgantas przybrał pseudonim „Tumas”.

Nasświetlenia są ponadto zaczerpnięte wyłącznie z ocen powojennych, więc marksistowskich. Jedni są chwaleni, inni umniejszani, zależnie od tego czy w porę umarli, emigrowali, lub pozostali w kraju i przeszli ewolucję. Przedwojenny felietonista urzędówki prawicowej partii narodowców, Gričius, też stał się zasłużonym pisarzem ludowym.

Pomimo tych usterek, omówienie okresu przedwojennego daje jednak dużo informacji i dobry obraz ówczesnej literatury litewskiej. O powojennej, krajowej, można tylko powiedzieć, że wymienia wielką ilość młodych

pisarzy. O niektórych spośród nich również krytyka emigracyjna wyraża się dodatnio. Najwybitniejszy przedwojenny powieściopisarz litewski Mykolaitis-Putinas, pozostał w kraju i w roku 1958 napisał powieść pt. „Powstańcy” (rok 1863), podobno dobrą, i podkreślającą wspólny los łączący narody polski i litewski. Jest to motyw w literaturze litewskiej ostatniego stulecia rzadko spotykany i bardzo niepopularny. Podobno w sowieckim okresie swej twórczości, przyjaznym ustosunkowaniem się do Polaków wyróżniał się poeta L. Gira, który za młodu, jako szef wywiadu, wykrył na Kowieńszczyźnie organizację P.O.W. O młodym poecie T. Venclova, który nie bez pomocy Cz. Miłosza, wyrwał się z Litwy i wyjechał w Kalifornii, nie ma jeszcze w „Historii” żadnej wzmianki.

E. ŻAGIELL

Obrazy, które trudno zapomnieć

Na obwolucie imponującej książki znajduje się montaż trzech fotografii, z których jedna szczególnie rzuca się w oczy: w ogromnym podwórzu starej warszawskiej kamienicy liczne sklepy, a na samym froncie wielki szyld z napisem „Skład tiulu, koronek i wstążek oraz przyborów do gorsetów, N. Zurkowska, 1-e piętro, m. 20”. Takich zdjęć przywołujących nostalgicznie obrazy starej Warszawy i innych miejsc tej Polski, której już nie ma, jest dużo więcej w publikacji, która właśnie się ukazała w druku nakładem Shoken Books, New York.

„Image Before my Eyes” — pod tą nazwą ukazała się ta niewątpliwie cenna publikacja — rezultat siedmioletniej pracy Dr. Lucjana Dobroszyckiego i Barbary Kirszenblatt-Gimblett, którzy są jej autorami, oraz całego zespołu badaczy, którzy zbierali do niej materiały w archiwach Bundu, Jointu, Hiasu, Instytutu Piłsudskiego w New Yorku i wielu innych instytucji — przedstawiająca historię Żydów w Polsce w fotografii. Utrwała ona kilkusetletnią epopeję największego na świecie skupiska Żydów, które praktycznie biorąc przestało istnieć. Ponad 300 fotografii, które tę epopeję ilustrują — wśród nich wiele o wysokiej wartości artystycznej — pochodzi z bogatego zbioru YIVO (Żydowski Instytut Badawczy), liczącego około 10 tysięcy zdjęć, zgromadzonych w ciągu wieloletniej działalności tego instytutu w Wilnie. Zbiory YIVO, przewiezione już w czasie wojny do Stanów Zjednoczonych, zostały w New Yorku wzbogacone prywatnymi darowiznami.

Dokonana przez autorów selekcja zdjęć reprezentuje zupełnie nowe podejście do tego tematu, traktowanego dotychczas na scenie i w popularnej literaturze amerykańskiej (Isaac Basewicz-Singer) przeważnie nostalgicznie i jednostronnie. Nie są to zromantyzowane obrazki folklorystyczne z życia w małych miasteczkach żydowskich na kresach (Anski-Dybuk, Skrzypek na dachu), ale różnicowana niestłuchanie rzeczywistość życia tego społeczeństwa. Kamera jest tu kronikarzem poważniejszych wydarzeń historycznych i pokazuje ich wpływ na życie społeczeństwa żydowskiego. Dzięki temu jesteśmy świadkami konfrontacji tego społeczeństwa ze współczesnością, włączania się w życie społeczeństwa polskiego. Obserwujemy polityczne i kulturalne ruchy, instytucje edukacyjne i religijne, życie w wielkich ośrodkach miejskich,

teatr i kino, działalność intelektualną, artystyczną i sportową. Miast jednolitości życia w małym miasteczku mamy tu niesłychaną różnorodność życia różnych warstw społecznych i ich działalności.

Książka składa się z trzech części. Pierwsza z nich pokazuje historyczne miejsca i monumenty. Szereg fotografii przedstawia co ciekawsze synagogi, ich architekturę oraz wnętrza, cmentarze, pomniki, domy mieszkalne z różnych okresów historii Żydów w Polsce.

Druga część jest chronologicznym zestawem ważniejszych wydarzeń historycznych i pokazuje jak odbijały się one na życiu społeczności żydowskiej. Fotografia została wynaleziona w drugiej połowie XIX wieku i bardzo szybko dotarła do Polski. Kamera pokazuje zatem włączenie się Żydów do walki z caratem, rewolucję 1905 roku, strajki i demonstracje robotnicze, wybitne osobistości biorące w tej walce udział, jak np. Róża Luksemburg, pogromy carskie, migracje ludności, pierwszą wojnę światową i niemiecką okupację, powstanie Polskiej Rzeczypospolitej, wojnę z Rosją i okres niepodległości — najobszerniej udokumentowany.

Wreszcie ostatnia część traktuje ten sam okres z innej perspektywy. Jej przedmiotem są ludzie, ich kultura, codzienne życie kobiet i mężczyzn w małych miasteczkach, życie robotnika w mieście, kupca w Warszawie, studenta w Krakowie, starych i młodych, bogatych i biednych, nabożnych i radykalnie antyreligijnych.

Każdej sekcji towarzyszy esej wyjaśniający i wprowadzający czytelnika w klimat życia Żydów w Polsce, tak jak ono przedstawiało się w rzeczywistości. Kamera oddaje niepowtarzalną jakość tego życia na przestrzeni czasu od rozbiórów Polski, poprzez dwudziestolecie niepodległości, aż do ostatniej sekcji, która kończy się fotografią z 1939 roku — pociągu niemieckiego z napisem: „Jedziemy do Polski, by wykończyć Żydów”.

Franciszka TORUŃCZYK

Nadesłane nowości wydawnicze

RAHNER (Karl). *Wierzę w Jezusa Chrystusa*. Z języka niemieckiego tłumaczyła Danuta Szumska. Str. 102 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Collection: „Znaki czasu”, Paryż, 1977).

STANKIEWICZ (W. J.). *Normandia 1944*. Rysunki Wacława S. Liszkowskiego. Str. 17 i 7 nlb. (Wyd. Oficyna Stanisław Gliwa, Londyn, 1977).

Biuletyn Koła Oddziałowego 18-go Lwowskiego Baonu Strzelców. W 25-lecie. Nr 53, październik 1977, rok XXV. Str. 62 (Wyd. Koło Oddziałowe 18 Lwowskiego Baonu Strzelców, Londyn).

Katechizm religii katolickiej. Cz. I „W Chrystusie jesteśmy Ludem Bożym”. Str. 125 i 1 nlb. Cz. II „Chrystus żyje wśród nas”. Str. 173 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1977).

TARNIEWSKI (Marek). *Działanie i przyszłość*. Str. 29 i 3 nlb. Zeszyt 4-ty serii „Polska w świecie współczesnym”. (Wyd. Odnowa, Londyn, 1977).

OBERTYŃSKA (Beata). *Anioł w knajpie*. Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, 1977).

HUENERMANN (Wilhelm). *Apostoł młodych święty Jan Bosko*. Tłumaczenie ks. dr. Stefana Sołtyszewskiego. Str. 253 i 5 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, 1977).

Opinia. Numery 1-4. Pismo Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Warszawa, 1977. Str. 126. (Przedruk z maszynopisów — wydanie książkowe Polonia Book Fund, Londyn, 1977).

Mała kwiaciarka. Wybór prozy włoskiej od realizmu do neorealizmu. Przełożył Stanisław Piekut. Str. 141 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).

KOTWICZ (Stanisław). *Fraszki i wiersze*. Str. 189 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).

JANIN (Józef). *Droga do wolności*. (Opowieść o dwójgu ludziach). Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).

CZERNIAWSKI (Adam). *Wiersz współczesny*. Str. 95 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).

MORELEWSKI (Jan F.). *Polska Podziemna na Wileńszczyźnie w walce o wolność*. Str. 22 i 7 nlb. (powielacz). (Biblioteka Okręgu AK w Stanach Zjednoczonych, Chicago, Ill., 1977).

ELEKTOROWICZ (Leszek). *Przekłety teatr*. Str. 257 i 3 nlb. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1977; cena zł 30).

ROGAŁSKI (Aleksander). *Myśl i wyobraźnia*. Szkice do portretów. Str. 210 i 2 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa, 1977; cena zł 50).

PACZKOWSKI (Andrzej). *Prasa polonijna w latach 1870-1939*. Zarys problematyki. Str. 162 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa, 1977; cena zł 30).

BIELIKOWICZ (Stanisław). *Winćuk gada*. Str. 215 i 1 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1977; cena zł 25).

ROGAŁSKI (Aleksander). *Tryptyk miłosny*. Str. 295 i 1 nlb. (Wyd. PIW, Warszawa, 1977; cena zł 30).

OLEKSIK (Klemens). *Krzak jałowca*. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1977; cena zł 30).

KIJOWSKI (Andrzej). *Niedrukowane*. Zawiera artykuły: Odpowiedź na ankietę *Polityki*, lipiec 1974; „Co jest ważne?”; „Idi Amin u Ojca Świętego”; Dlaczego zły jest system rządów komunistycznych?; „O kłamstwie”; „Kto Pisarz?”; „Pisarz i urząd”; Apel Bratnego; Noworoczne kazanie o sposobach walki z diabłem wygłoszone do samego siebie. (Wyd. Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa, 1977 — powielacz).

OSSOWSKA (Maria). *O pewnych przemianach etyki walki*. Str. 16 (powielacz). Wydanie drugie (wydanie I ukazało się w 1957 jako 12 pozycja biblioteki „Po prostu” nakładem KiW). (Wyd. Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa, 1977).

BESANÇON (Alain). *Les origines intellectuelles du leninisme*. Str. 327 i 1 nlb. (Editions Calmann-Lévy, Collection „Archives des sciences sociales”; Paris, 1977; cena F. 59).

MARTIN (André). *La Pologne défend son âme*. Str. 311 i 1 nlb. (Wyd. Editions Saint-Paul, Paris-Fribourg, 1977).

STANKIEWICZ (W. J.). *A Guide to Democratic Jargon*. Str. 29 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Stanisław Gliwa, Londyn, 1976; cena £ 6 lub \$ 12).

BOURDEAUX (Michael, Rév.). *Livre blanc sur les restrictions religieuses en U.R.S.S.* Str. 72 (powielacz). (Wyd. Général-Major e.r. Albert Guerisse, Président du Comité International pour la Défense des Droits de l'Homme en URSS, Bruxelles).

MOND (Georges H.). *Les systèmes politiques des Etats socialistes*. (Quelques remarques à propos du livre de Patrice Gélard). (Nadbitka z *Revue d'études comparatives est-ouest*, Septembre 1977, Volume 8, No 3, str. 173-190).

SEDIR. *Le martyre de la Pologne*. Str. 71 i 1 nlb. (Wyd. mars 1977). (Odbitki fotograficzne z wydań: „Le martyre de la Pologne”, ed. Georges Crès et Cie, Paryż, 1917; Hoene-Wroński précurseur du Messianisme polonais z bulletin nr 90 „Les amitiés spirituelles”, kwiecień 1972; André Towiański — Le Saint du Messianisme polonais, z bulletin nr 91 „Les amitiés spirituelles”, lipiec 1972; André Towiański — Le Saint du Messianisme polonais, z „Les amitiés spirituelles” — Groupe de Paris, czerwiec 1976).

TERELYA (Iossif). *Lettre ouverte au président du KGB*. Str. 24. (Wyd. „Cahiers du Samizdat”, série documentaire No 1, Bruxelles, 1977. Do nabycia u wydawcy, 105 Drève du Duc, 1170 Bruxelles, Belgique. Cena FB.50 lub F.8).

PANKOWSKI (Marian). *Trans-Atlantique de Witold Gombrowicz — une victoire de la rhétorique*. (Nadbitka z *Annuaire de l'Institut de Philologie et d'Histoire Orientales et Slaves*, tome 12, str. 53-65; Editions de l'Université de Bruxelles, 1977).

HERBERT (Zbigniew). *Selected i uwagi John Carpenter i Bogdana Carpenter*. Str. 82. (Wyd. Oxford University Press, Oxford-London-New York, 1977; cena £ 2.75).

HALICZ (Emanuel). *Danish Neutrality during the Crimean War (1853-1856)*. Denmark between the Hammer and the Anvil. Tłumaczyła z polskiego Jane Cave. Str. 247 i 5 nlb. (Wyd. Odense University Press, 1977; cena Dan. kr. 70).

Between Two Cultures — Migrant and Minorities in Britain. Str. VIII — 338. Edited by James L. Watson, Basil Blackwell, Oxford, 1977. W tomie jest esej Sheili Patterson: *The Poles — An Exile Community in Britain*.

Dissent in Poland 1976-77. Reports and Documents in Translation, December 1975 - July 1977. Str.

200. (Wyd. Association of Polish Congress, Head Executive), May 5-6-7, 1972. Str. 279 i 1 nlb. (Wyd. Canadian Polish Congress, Toronto, 1977).

Violations of Civil and Political Rights in Czechoslovakia and the Helsinki Accord. Report presented to the Review Second Session of the Conference on Security and Cooperation in Europe, held in Belgrade, Yugoslavia, in June 1977. Str. 191 i 1 nlb. (vartytper). Wyd. Council on Free Czechoslovakia, Washington).

STANKIEWICZ (W. J., prof.). *Tolerance and Democracy*. (Nadbitka z *Contemporary Review*, September 1977, str. 135-142).

De WEYDENTHAL (Jan B.). *Party Development in Contemporary Poland*. (Nadbitka z *East European Quarterly*, vol. XI, No 3, str. 341-363).

GRABOWSKI (Yvonne). *Some Features of Polish and other Slavic Languages in Canada*. (Nadbitka z *Polish Review*, str. 62-72, 1977).

KRZYŻANOWSKI (Wojciech). *Stanislaus Leszczyński — Ein polnischer Herrscher auf deutschem Boden*. Str. 73 i 5 nlb. (Wyd. Horst Erdmann Verlag, Tübingen-Basel, 1977).

Menchenrechte. Ein Jahrbuch zu Osteuropa. Herausgegeben von Jiri Pelikán und Manfred Wilke. Str. 477 i 3 nlb. (Wyd. Rowohlt Taschenbuch Verlag, Reinbek bei Hamburg, 1977).

Europäische Konferenz für Menschenrechte und Selbstbestimmung, Luzern. Band I. Str. 178 i 1 nlb. (powielacz). (Wyd. Hanns-Seidel-Stiftung e. V., Akademie für Politik und Teotgeschehen, München, 1977).

KOWALEWSKI (Janusz). *Die polnische politische Emigration und das Problem der deutsch-polnischen Verständigung*. (Nadbitka z *Deutsche Studien*, Heft 59, 1977, str. 305-312).

KORZEC (Paweł). *Der Zweite Block der Nationalen Minderheiten im Parlamentarismus Polens 1927-1928*. (Nadbitka z *Zeitschrift für Ostforschung — Länder und Völker im ostlichen Mitteleuropa*, 26. Jahrgang 1977, Heft 1, str. 76-116).

MORAWSKI (Dominik). *Polonia — Pane e Liberta*. Raccolta di scritti e documenti 1976-1977. Str. 190 i 2 nlb. (Wyd. Nuove Edizioni Operaie, Rzym, 1977).

CARRILLO (Santiago). *„Eurocomunismo” y estado*. Str. 218 i 2 nlb. (Wyd. Critica, Grupo editorial Grijalbo, Barcelona, 1977).

GUSTAITIS (Algirdas). *200.000.000 and Lithuania*. (Wyd. Lietuviu Dienos, Los Angeles, 1976).

CETNIK (K. 135633). *Czasy nad golowoj*. Przekład z jiddisz Sz. Bar-Or. Str. 111 i 1 nlb. (Wyd. „Hazvi”, Tel-Aviv, 1973).

SZACHOWSKOJ (Joann, archiepiskop). *Biografija junosti*. Str. 418 i 4 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1977).

GORŁOW (A.M.). *Stuczaj na dacze*. Str. 201 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1977).

ANDRIEJEW (Wadim). *Na rubieże*. Str. 105 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1977).

Lik Puszkina. Rieczy, czytannija na torzestwiennom zasidaniu Bogosłowskiego Instituta w Paryżu. Str. 47 i 3 nlb. Wydanie II. (Wyd. YMCA-Press, 1977 — odbitka fotograficzne wydania z 1938 r.).

Piesni russkich bardow. Teksty — seria 1 (str. 158 i 2 nlb.), seria 2 (str. 163 i 3 nlb.), seria 3 (str. 157 i 1 nlb.). (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1977).

REGELSON (Lew). *Tragiedija ruskoj Cerkwi 1917-1945*. Posłowie prot. Joanna Mejdorfa. Str. 625 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1977).

RIEMIZOW (Aleksej). *Ogon wieszczej*. Sny i priedsonie. Str. 224 i 8 nlb. Wydanie II. (Wyd. YMCA-Press, Paryż, 1977).

PRZEMIANY

PISMO POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ
Wydaje Komitet Główny PPS w Niemczech.

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Prenumerata roczna razem z przesyłką DM 15,00 lub równowartość.

Przesyłka lotnicza do USA i Kanady — dopłata DM 10,00
Do Australii — dopłata DM 15,00.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.
W. GERMANY

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-11-77

P. Jan Plater, mieszkający stale w Karagandzie, prowadzi ogromną działalność społeczną, polegającą m.in. na pisaniu memoriałów, podań zbiorowych itd. do władz centralnych. Przez głódówkę na Placu Czerwonym wywalczył zgodę na budowę czterech kościołów w Karagandzie, Samarkandzie, Ałma Ata i Taszkencie oraz przydział materiałów budowlanych jak również osiedlenie się w tych miejscowościach księży, mówiących po polsku z Seminarium na Litwie lub Łotwie. Nie ma wiadomości, czy udało mu się wywalczyć zgodę na powstanie lektoratów języka polskiego na uczelniach w Samarkandzie, Ałma Ata i w Taszkencie. Jak dotąd istnieje tylko lektorat w Karagandzie, gdzie wykładowcą jest właśnie p. Plater (p. *Kultura* nr 9/360, str. 138). ■ G. Szeludka i A. Zagirniak, którzy w lipcu uprowadzili samolot Aeroflotu do Helsinek i zostali wydani władzom sowieckim, zostali skazani w Leningradzie na 15 i 8 lat więzienia. ■ W bieżącym sezonie łowieckim zagraniczni myśliwi ustrzelą w Polsce 35 łosi, 400 jeleni, 1.600 saren, nie licząc zajęcy i ptactwa. PRL ma uzyskać za to dwa i pół miliona dolarów.

17-11-77

Dr prof. Stefania Skwarczyńska, wybitna polonistka i teoretyk literatury obchodziła 75-tą rocznicę swoich urodzin.

1-12-77

Dopiero teraz nadeszło trochę więcej wiadomości o procesie, w którym na dwa i pół roku więzienia skazany został łotewski historyk sztuki Jurgis Skulme. Proces odbył się przy drzwiach zamkniętych w Rydze 22 i 23 sierpnia 1977, prokurator żądał siedmiu lat za „propagandę antysowiecką”. *Corpus delicti* stanowił list oskarżonego do zagranicznego przyjaciela. Wyrok wywołał wielkie poruszenie w ryskiej Akademii Sztuki. Skulme odbywa karę w obozie pod Daugavpils.

2-12-77

Sporo komentarzy wywołało opóźnienie o sześć miesięcy artykułów w prasie sowieckiej w setną rocznicę urodzin Abela Jenukidze, jednego z najwybitniejszych przywódców bolszewickich, rozstrzelanego w roku 1937 i pośmiertnie „rehabilitowanego”. Sądzi się, że w ciągu tych sześciu miesięcy dawni przeciwnicy „rehabilitacji” próbowali z kolei nie dopuścić do uczczenia rocznicy. Powód jest oczywisty: Jenukidze był w roku 1937 obwiniany przez tych samych świadków, którzy w rok później zeznawali przeciw Bucharinowi; pełne pośmiertne przywrócenie do łask Jenukidze może więc „odblokować” sprawę pośmiertnej „rehabilitacji” Bucharina.

5-12-77

Radio Warszawa podało, że w najbliższych tygodniach zostanie przeprowadzony Narodowy Spis Powszechny. Został on przyspieszony o 2 lata ze względów planistycznych. Spis próbny rozpoczął się 7. 12. 1977 i trwał do 13. 12. 1977 roku.

6-12-77

Główny kwatermistrz WP gen. Mieczysław Obiedziński w artykule zamieszczonym w *Trybunie Ludu* podkreślił, że wojsko zajmuje się hodowlą trzody

chlewniej od 1970 roku i że w 1977 roku potrzeby wojska w zakresie mięsa wieprzowego zostały w 60 % zaspokojone z produkcji własnej. Za jedno z najważniejszych swoich zadań wojsko uważa zwiększenie produkcji pasz. Jest to klasyczny przykład surrealistycznej polityki gospodarczej PRL.

9-12-77

W Warszawie zapowiedziano konferencję prasową o Pluralistycznych formach Ruchu. W tej nowej organizacji biorą udział: Piotr Typiak — Stronnictwo Ludowe, Stefan Kaczorowski — Stronnictwo Pracy, Andrzej Czuma — Nurt Niepodległościowy Polskich Socjal-Demokratów, Karol Głogowski — Ruch Wolnych Demokratów. ■ Prof. Jan Szczepański został mianowany członkiem Rady Państwa PRL. Prof. J. Szczepański jest posłem na Sejm oraz członkiem Komisji Sprawiedliwości Sejmu i mimo ogromnej ilości listów, memoriałów etc., domagających się zbadania wydarzeń w Radomiu i Ursusie, nie zdecydował się na zajęcie tą sprawą.

10-12-77

W uroczystościach rozdania nagród Nobla wzięło udział dwóch Polaków: laureat nagrody medycyny Andrzej Schally, urodzony w Wilnie, syn polskiego generała Schally oraz Marina Prigogine, żona belgijskiego laureata chemii — jest ona inżynierem dyplomowanym.

ZACHÓD — EMIGRACJA

2-11-77

Staraniem Towarzystwa Przyjaciół *Kultury* w Sztokholmie odbył się odczyt Witolda Witakowskiego, b. asystenta Uniwersytetu Warszawskiego, niedawno przybyłego z Polski, pt. „Oddźwięk społeczny KOR'u”.

19-11-77

Student norweski Magne Aasben został wydany z PRL za nawiązanie kontaktów z przedstawicielami ROBCiO i innymi działaczami polskiej opozycji w Warszawie i w Lublinie. P. Aasben przyjechał do Polski 13. 11. 1977.

27-11-77

Zmarł w Londynie, w wieku 60 lat, Jerzy Korwin-Młodnicki, artysta malarz, żołnierz Brygady Karpackiej.

30-11-77

W Paryżu zmarł, w wieku 78 lat, książę Andrzej Poniatowski, potomek Kazimierza, brata ostatniego króla Rzeczypospolitej, zasłużony prezes Tow. Historyczno-Literackiego we Francji. Syn Andrzeja, Francuza z urodzenia i obywatelstwa, i matki Amerykanki, urodzony w roku 1898 w San Francisco, jako podporucznik zgłosił się z dwoma braćmi, Stanisławem i Kazimierzem, do Armii gen. Hallera i walczył w niej we Francji a następnie, w kampanii bolszewickiej, na Wołyniu. Po ukończeniu studiów politechnicznych, ożeniony z Amerykanką, pracował we Francji w przemyśle. W drugiej wojnie światowej zmobilizowany w stopniu majora, był czynny w francuskim ruchu oporu i odbył tajne podróże do Anglii i Stanów Zjednoczonych. W roku 1942 przedostał się do Algieru, gdzie został francuskim oficerem łącznikowym przy gen. Eisenhowerze. Syn jego, Andrzej-Maria, ochotnik w wojsku polskim w Anglii, zginął w szeregach dywizji gen. Maczka w styczniu 1945 w Holandii. Po wojnie ks. Poniatowski roztoczył opiekę nad instytucjami

polskimi w Paryżu i w Lille. Stał na czele Zakładu św. Kazimierza, który wspierał z własnej kieszeni. W roku 1950, po Kamilu Gronkowskim objął prezesurę Tow. Historyczno-Literackiego i Biblioteki Polskiej w Paryżu, której bronił u władz francuskich przed zakusami Warszawy i której los starał się zabezpieczyć wyjednávając, dzięki swym stosunkom rodzinnym oraz staraniom Wiesława Domaniewskiego, subwencje od fundacji amerykańskich a ostatnio — od pary bogatych przemysłowców amerykańskich Johnsonów, pomocy tej nie zdążył jednak utrwalić przez zamierzone nadanie jej stałych ram prawnych. ■ Dr Lars Kleberg z Instytutu Słowańskiego Uniwersytetu w Sztokholmie wygłosił w Towarzystwie Przyjaciół Kultury odczyt pt. „Gombrowicz a Szwecja”. Lars Kleberg stwierdził, że Gombrowicz jest nie tylko pisarzem polskim ale ogólnoeuropejskim. Jego wpływ na współczesną literaturę i filozofię szwedzką był w latach 60-tych ogromny. Dr Kleberg mówi doskonale po polsku.

4-12-77

Tomasz Strzyżewski, cenzor z PRL, który uzyskał prawo azylu politycznego w Szwecji, dał pismu *Dagens Nyheter* materiały o cenzurze w PRL. Dziennik szwedzki ogłosił je w dwóch wielkich artykułach. Materiały te są oparte na kwartalniku *Biuletyn* oraz Informacji Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk oraz „Książki zapisów i zaleceń” tegoż Urzędu. Oryginały tych materiałów p. Strzyżewski wywiózł do Szwecji. ■ W Sigtuna (Szwecja) staraniem Sigtuna Stiftelsen z Instytutu Naukowego Kościoła szwedzkiego) odbyła się wystawa prac Teresy Lewandowskiej pt. „Wśród milczenia świata”. W związku z tą wystawą w historycznym kościele św. Marii odbyło się specjalne nabożeństwo na intencję ofiar przesładowań religijnych i politycznych.

5-12-77

Tegoroczną nagrodę Związku Dziennikarzy RP w Londynie za całość pracy dziennikarskiej i publicystycznej o charakterze niepodległościowym otrzymał dr Zdzisław Stahl. Nagroda wynosi w tym roku £150. ■ Zmarła w Sarcelles pod Paryżem, w wieku 70 lat, Daria Kubiłowicz-Sijak, członek zwyczajny i bibliotekarz Naukowego Towarzystwa im. Szewczenki w Europie. Była wielką przyjaciółką Kultury. ■ Uniwersytet paryski (Sorbonne-Panthéon) nadał tytuł doktora *honoris causa* prof. Czesławowi Bobrowskiemu za „zasługi w rozwoju metod planowania w Algierze”. Czesław Bobrowski jest emerytowanym profesorem U.W., b. prezesem Centralnego Urzędu Planowania (1945-48), b. wiceprezesem Rady Ekonomicznej przy Radzie Ministrów PRL (1957-1963). Potem był doradcą rządu algierskiego.

8-12-77

Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych wybrało Poul Hartlinga (Dania) na stanowisko Wysokiego Komisarza do spraw uchodźczych na okres 5 lat. Zgromadzenie wyraziło swoje uznanie księciu Sadrudin Aga Khan, poprzedniemu Komisarzowi.

14-12-77

Paryski tygodnik *Express* donosi o przeprowadzonej ankiecie wśród 6.000 osób z Europy Wschodniej (Polska, Węgry, NRD, Rumunia), które były przejazdem w NRD. Ankieta stwierdziła że optymizm, który panował po konferencji w Helsinkach obecnie zanika. Jedynie 12 % Polaków i 20 % Rumunów ma nadzieję że konferencja w Belgradzie poprawi ich sytuację. ■ Sąd w Amsterdamie uznał, że milioner holenderski, 78-letni Pieter Menten, jest winien zbrodni wojennych popełnionych na terenie okupowanej przez nazistów Polski i skazał go na 15 lat więzienia. Prokurator domagał

się dla Mentena dożywotniego więzienia. Menten był oficerem SS i brał udział w egzekucjach ludności cywilnej pod Lwowem.

16-12-77

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się staraniem Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Polskich we Francji odczyt prof. Mycińskiego pt. „Cracovie, une des capitales mondiales de l'art et de l'esprit”. Czy to jednak nie przesada?

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W związku z 25-leciem japońskiej telewizji japońska stacja telewizyjna Nipon Hoso Kyokai przygotowuje szereg programów. M.in. jeden program będzie dotyczył „początków zimnej wojny”. W związku z tym programem 4. 10. 1977 r. Japończycy przeprowadzili dwugodzinny wywiad prasowy i telewizyjny ze Stanisławem Bańczykiem. Ponadto nakreślono wywiad telewizyjny z synem Stanisława Mikołajczyka, Marianem Mikołajczykiem. ■ 6. 11. 1977 r. zmarł, w wieku lat 63, Florian Rachelski, wybitny rzeźbiarz. Należał on do Stowarzyszenia Rzeźbiarzy Amerykańskich oraz do Akademii Umiejętności i Nauk (do tej Akademii z Polaków należał tylko Paderewski). Dorobek swojej twórczości Rachelski przekazał Muzeum Narodowemu w Warszawie. ■ 6. 11. 1977 r., przy nader licznych udziale publiczności, odbył się w Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku, pod przewodnictwem mec. Józefa Zb. Jabłońskiego, wieczór z okazji czterdziestolecia istnienia Polskiego Towarzystwa Prawniczego w Stanach Zjednoczonych. Na program złożyły się: przedstawienie historii Towarzystwa przez jego prezesa, Jana Morelowskiego, prelekcja mec. Stefana Korbońskiego pt. „Walka o prawa człowieka”, przegroza i nagrania z kilku odczytów i imprez Towarzystwa Prawniczego z komentarzem mec. Oskara Schenkera oraz recital szopenowski znanego pianisty prof. Jana Gorbatego. ■ 25-26. 11. 1977 r. odbyło się w Chicago zebranie Północnoamerykańskiego Studium Spraw Polskich połączone z kilkoma odczytami publicznymi. M.in. Studium zorganizowało sympozjon „Polska dziś i jutro między sąsiadami” z udziałem prof. Jerzego Hauptmana, prof. Andrzeja Kawczaka, red. Jana Nowaka i red. Wojciecha Wasiutyńskiego. Dyskusję prowadził prof. Jerzy Wojciechowski.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

The Australian Ethnic Affairs Council, na czele którego stoi prof. Jerzy Zubrzycki, przedłożyła rządowi federalnemu dokument pt. „Australia as a multi-cultural society”, w którym zawarte są dezyderaty dotyczące dalszej polityki rządu w stosunku do australijskich mniejszości narodowych. Australijska Rada do Spraw Etnicznych zaleca m.in. zwiększenie ilości kursów języka angielskiego dla imigrantów, płacenie zasiłku (równającego się zasiłkowi dla bezrobotnych) imigrantom uczęszczającym na te kursy; pracodawcy powinni otrzymywać od rządu opłaty za zachęcanie dorosłych imigrantów do nauki języka angielskiego, pomoc dla szkół, które angażują nauczycieli pochodzenia nie anglosaskiego i pomoc w tworzeniu programu nauki w zakresie przedmiotów mających związek z krajami pochodzenia imigrantów; sprawa łączenia rodzin powinna być na pierwszym miejscu przy selekcji imigrantów, ponieważ rodziny lepiej się aklimatyzują, niż samotni emigranci. Prof. Zubrzycki powiedział, że „dokument ten jest skierowany do całego

społeczeństwa australijskiego". ■ Znany działacz społeczny w Brisbane, p. Z. Suduń, został wiceprezesem The Good Neighbour Council of Queensland. Organizacja ta zajmuje się pomocą w osiedlaniu się imigrantów. ■ Polskie Koło Kulturalne w Melbourne urządziło 6. 11. 1977 r. wieczór poświęcony pamięci i działalności Janusza Korczaka. Program opracowała Barbara Schenkel, zaś główny referat wygłosiła p. Lewitt. ■ 6. 11. 1977 r. zmarł nagle w Melbourne znany i ceniony działacz społeczny mgr Jerzy Łęczyski. ■ W Melbourne powstał Komitet Organizacyjny Polskiej Fundacji Artystycznej. Fundacja będzie miała na celu zakupywanie prac polskich artystów plastyków mieszkających w Australii oraz wystawianie ich w ośrodkach polonijnych.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

KRONIKA NOWOZELANDZKA

W styczniu 1977 roku obchodzono 100-lecie przybycia do Nowej Zelandii pierwszych osadników polskich. Dwudniowe uroczystości uświetniła koncelebrowana msza polowa, odprawiona przez Reginalda kardynała Delargey. W wyniku tych uroczystości powstał Polish Settlers Club, pozostający w bliskim kontakcie z miejscowym Stowarzyszeniem Polaków w Nowej Zelandii. ■ 6. 11. 1977 r. w kościele N.P.M. Anielskiej w Wellington miało miejsce uroczyste, publiczne odsłonięcie i poświęcenie katyńskiej tablicy pamiątkowej z napisem, wskazującym na Sowiety jako sprawcę zbrodni. W uroczystości tej wzięł udział przedstawiciel rządu nowozelandzkiego, liczna grupa oficjalnych gości i tłumy Polaków z całej Nowej Zelandii.

B. BOGACKI

Z OSTATNIEJ CHWILI

15-12-77

Nagrodę teatralną *Dziennika Polskiego* w Londynie otrzymał Stanisław Babiński za sztukę „Polska prosto z kraju” i Maryna Buchwaldowa, artystka teatralna. ■ W lokalu POSK'u staraniem Związku Pisarzy na Obczyźnie odbył się wieczór Władysława Bartoszewskiego, który mówił o swym pobycie w USA. ■ Polski Serwis BBC nadał dyskusję, zatytułowaną „Oddaj cesarzowi co cesarskie”, poświęconą stosunkom Kościoła i Państwa na przestrzeni wieków, ze specjalnym uwzględnieniem obecnej sytuacji w Polsce. W dyskusji wzięli udział ks. Tadeusz Kukla, kapelan akademicki studentów pochodzenia polskiego w Wielkiej Brytanii, Antoni Pospieszalski, były członek zespołu Serwisu Polskiego, specjalizujący się w zagadnieniach Kościoła, i profesor Leszek Kołakowski z Uniwersytetu w Oksfordzie, badacz problemów marksizmu.

Listy do Redakcji

Avv. Br. Uff. Luciano Cattaneo
Roma - Lungotevere Mellini 27
Telef.: 360.5798.

Rzym, dnia 24. XI. 1977.

JWPan
Jerzy Giedroyc
Dyrektor miesięcznika „Kultura”
91, ave de Poissy
78600 Maisons-Laffitte

Szanowny Panie Dyrektorze,

Mój klient Fondazione Romana Marchesa J.S. Umiastowska zlecił mi napisanie do Pana w związku z artykułem pt.: „Fundacja Enigma” na str. 211 w nr. 7/358-8/359 w 1977 roku *Kultury*.

Fundacja zwraca uwagę iż artykuł ten jest niecisły z powodu niedokładnych informacji przytoczonych przez autora, ponieważ Fundacja nie jest „enigma” będąc instytucją oficjalną działającą na podstawie zalegalizowanego przez władze państwowe włoskie statutu i nadzorowana poprzednio przez Ministero della Pubblica Istruzione a obecnie przez Ministero dei Beni Culturali.

W konsekwencji zdanie na str. 213 w piątym ustępie jest niezgodne z prawdą i ze stanem rzeczywistym, a będąc obraźliwe jestem przekonany, że Pan Dyrektor zechce w celu sprostowania opublikować w najbliższym numerze swego miesięcznika moje oświadczenie, którego w tym celu załączam tłumaczenie na język polski.

W tym przekonaniu oczekując proszę o przyjęcie wyrazów szacunku,

adw. Luciano CATTANEO

10 grudnia 1977.

Drogi Panie Redaktorze,

Zmuszony do wyboru między zaoszczędzeniem przykrości pani Watowej i obowiązkiem ścisłości, wybieram z pewnym żalem obowiązek ścisłości. Pierwszą wydaną po polsku książką Terca-Siniawskiego był tomik *Sąd idzie* — *Co to jest realizm socjalistyczny?*. Przedmowę do niego napisał

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Tel-Aviv, 4 grudnia 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 4/355 *Kultury* ukazał się list podpisany przez panią Wandę Kotowicz z Los Angeles, w którym pisała ze złośliwością o „żydowskim” charakterze Pańskiego miesięcznika, donosząc między innymi, iż w Stanach Zjednoczonych ukazał się, nakładem jakiejś żydowskiej organizacji, zbiór dowcipów, obrażających naród polski. Pod swym nazwiskiem autorka listu podała adres: 11389 Corning St., Apt. 7, Los Angeles, Cal. 90035.

W dniu 14 czerwca br. wysłałem pod wspomniany adres list następującej treści: „Szanowna Pani, Z listu Pani w numerze 4/355 paryskiej *Kultury* dowiedzieliśmy się o wydaniu przez jakąś żydowską organizację zbiorku z antypolskimi dowcipami. Ponieważ jesteśmy zdecydowanymi przeciwnikami wszelkich tego rodzaju publikacji, niezależnie od tego, przeciwko jakiemu narodowi są one wymierzone, chcielibyśmy się do tej sprawy ustosunkować na łamach naszej gazety. Będziemy więc bardzo wdzięczni za przesłanie nam wspomnianego zbiorku, z możliwym zaznaczeniem wydawcy”.

Po ponad czterech miesiącach list ten wrócił (listy zwracane przesyłane są pocztą zwykłą, a nie lotniczą i stąd opóźnienie w zwrocie). Na kopercie widnieją pieczętki poczty w Los Angeles (załączam kopertę), że pod wskazanym adresem nie mieszka żadna pani Wanda Kotowicz, nie udało się też odnaleźć jej adresu, gdyż nie figuruje także w książce telefonicznej.

Będę Panu wdzięczny za wydrukowanie tego listu na łamach *Kultury*.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i życzenia z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku.

Z poważaniem,

Aleksander KLUGMAN

Sydney, 23 listopada 1977.

Panie Redaktorze!

W listach do Redakcji (*Kultura* nr 11/362), Andrzej Chciuk — w przeciwieństwie do Jerzego Dobrostańskiego — pomniejszył mój posiew na ugorze polskiego piśmiennictwa w Australii. Z tygodnikiem *Forum* sprawa miała się inaczej. S. Maruszewski powierzył mi redagowanie, ponieważ znam ortografię, umiem składać na linotypie i mam praktykę metram-paży. W ten sposób, za jedne pieniądze (wstyd się przyznać za ile) miał opłaconych trzech wykwalifikowanych pracowników i gwarancję ich zgodnej

roboty. J. Suski, wymieniony przez Chciuka jako mój współredaktor, pisywał — w miarę jak mu starczało ochoty — felietony obrazujące co zabawniejsze narowy tutejszego rodactwa (nie mylić z robactwem). Potrzebną wówczas licencję na wydawanie obcojęzycznego pisma Maruszewski otrzymał dzięki własnemu „chodom”. Wpłacanie w to Bogu ducha winnej pani Gold-schlagowej składam na karb pasji Andrzeja Chciuka do komponowania anegdot.

Z poważaniem,

Bolesław KORPOWSKI

P.S. Wesołych Świąt i powodzenia w dobrej robocie z Nowym Rokiem!

Chicago, 14 września 1977.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę Pana, o umieszczenie w swoim poczytnym miesięczniku, treści niniejszego pisma:

Jeśli osoby rozprzestrzeniające oszczerce i uwłaszczające memu honorowi i orzeczeniom Gł. Komisji Weryfikacyjnej, oraz stwierdzeniom p.o. Kom. Głównego W.I.N. „Głaza” (Kwieciński), mają mi cokolwiek do zarzucenia, lub mają jakiegokolwiek wątpliwości co do posiadanego przeze mnie stopnia wojskowego, odznaczeń i działalności konspiracyjnej, to proszę te osoby o jasne i poparte dowodami wypowiedzi, na łamach miesięcznika Pańskiego.

Dla informacji zainteresowanych podaję:

Moja służba w Wojsku Polskim do zakończenia kampanii wrześniowej 1939 roku jak i służba i działalność od grudnia tegoż roku do dnia 1 lipca 1945 roku w T.A.P. (Tajna Armia Polska), K.N. (Konfederacja Narodu), A.K. (Armia Krajowa) i Wojskowej Del. na Kraj, zostały zweryfikowane przez Główną Kom. Weryfikacyjną w Londynie, L.dz. 5440/Gł. Kom. Wer. 46.

Orzeczenie tejże Komisji stwierdza fakty aresztowania mnie przez władze niemieckie i pobyt w więzieniach „Pawiak” i w Berlinie, oraz udane ucieczki, jak i weryfikację stopnia kapitana służby stałej.

Późniejszą działalność w „Nie” i W.I.N. (Wolność i Niepodległość) potwierdza p.o. Komendanta Głównego („Głaz”) Kwieciński, pismem do Centrali w Londynie, 102/Z/Taj., w którym wyraźnie stwierdza, że „poprzednia działalność kapitana W. jest mu znana i nie nasuwa żadnych zastrzeżeń. Obecnie pracuje ofiarnie i całkowicie poświęca się sprawie”.

Klisze z wymienionym tekstem wraz z pismem do Centrali, dotyczącym przekazania materiałów i nawiązania elementów łączności, jako emisariusz W.I.N., pod nazwiskiem Leon Wolski, doręczyłem za pośrednictwem płk. Bąkiewicza, w Anconie (Włochy), Gen. Andersowi.

Poprzednie raporty i pisma Del. Wojskowej na Kraj, doręczyłem jako kurier tejże Delegatury, pod nazwiskiem Jerzy Lewszecki, Gen. Kopani-skiemu w Londynie, przepilotowany do niego przez Majora Giedronowicza i Pułkownika Iranka-Osmeckiego.

Pozostaje z głębokim szacunkiem,

Witold STRUSIEWICZ

Szanowny Panie Redaktorze,

New Haven, Conn., 28. X. 1977.

Do artykułu Brukselczyka (*Kultura* Nr 9/360) zakradła się pewna nieścisłość którą, według mego mniemania, należy sprostować. Otóż, autor pisze: „W październiku tego samego roku dwóch Litwinów porwało Antoina-24 do Turcji. W strzelaninie zginęła stewardessa i ranny został pilot, ale uciekinierzy osiedzieli swoje, po czym uzyskali azyl w Wenezueli, gdzie do dziś żyją w wiecznym strachu przed zemstą KGB”.

O tym, że KGB wywołuje strach u Brazinkasów, domysleć się nie jest trudno, ale trzeba dodać, że prawdopodobnie nie mniejszy lęk wzbudza w nich obecnie Urząd Emigracyjny USA. Rzecz polega na tym, że już od półtora roku Brazinkasowie nielegalnie przebywają w USA. Dowiedziawszy się o tym władze sowieckie zażądały wydania ojca i syna. I wtedy z pomocą Brazinkasom pośpieszyły emigracyjne organizacje litewskie i rosyjskie. Redaktor naczelný nowojorskiego czasopisma, *Nowoje Russkoje Slovo*, Andriej Siedych, na podstawie swoich rozmów z przedstawicielami Departamentu Stanu pisze w tej sprawie, co następuje:

Władze amerykańskie, zgodnie z zarządzeniami o nielegalnych emigrantach, są zmuszone wysłać Brazinkasów z kraju, nie zważając nawet na to, iż ojciec zdążył ożenić się z obywatelką amerykańską. Ale na szczęście, USA nie uznały sowieckiej aneksji krajów bałtyckich. I gdy Departament Stanu zwrócił się do Ambasady Litewskiej w Waszyngtonie z zapytaniem, czy może ona wydać Brazinkasom paszport uprawniający do powrotu na Litwę, odpowiedź była odmowna. Wobec tego Brazinkasowie nie mogą być deportowani do ZSSR na zagładę, ale który kraj zechce otworzyć dla nich granice, pozostaje tajemnicą.

Z poważaniem,

Emanuel SZTEIN

Szanowny Panie Redaktorze!

Z poczuciem pełnej odpowiedzialności jednostki za losy Polski — odpowiadam na Panów apel o pomoc finansową dla opozycji w Kraju, zamieszczony w listopadowym numerze *Kultury*. Na ten cel przeznaczam stałą miesięczną kwotę w wysokości 50 koron szwedzkich, którą przesyłać będę sukcesywnie, tak długo, jak długo opozycja w Polsce potrzebować będzie tej pomocy.

Nie precyzuję żadnej z trzech wymienionych organizacji, którą należałoby wesprzeć moim skromnym wkładem pieniężnym. W moim odczuciu, nie ma bowiem potrzeby nadawania szczególnego priorytetu dla którejkolwiek z tych organizacji. Każda z nich bowiem podejmując walkę o torowanie drogi — prawdzie, sprawiedliwości i wolności w naszej Ojczyźnie, zasługuje na poparcie i pomoc materialną ze strony wszystkich uczciwych Polaków rozproszonych po całym świecie.

Natomiast dysponując co do ram i zakresu tej pomocy dla poszczególnych ośrodków opozycyjnych w Polsce pozostawiam redakcji *Kultury*. Precyzuję to dokładniej. Uważam, że byłoby bardzo pożytecznym przedsięwzięciem zorganizowanie przy Redakcji *Kultury* specjalnego konta, powiedzmy nazwanego „Bankiem Opozycji Polskiej”, na które to konto mogłyby wpływać zarówno indywidualne wpłaty, jak i pieniądze ze zbiorów przeprowadzanych przez polskie organizacje działające na Zachodzie. Jestem przekonany, że każda polska organizacja jest zdolna, o ile oczywiście jej rzeczywistym celem

działalności jest praca na rzecz wolnej i niepodległej Polski, zgromadzić drogą różnorodnych zbiorów poważne kwoty pieniężne.

Natomiast zadaniem podziału i przekazywaniem tych środków do Kraju należałoby obarczyć Redakcję *Kultury*. Przemawia za tym zgromadzone przez Wasz zespół redakcyjny doświadczenie na tym odcinku, i w ogóle w zakresie współpracy z opozycją w Kraju, dające gwarancje przekazywania tych środków do Polski bezpiecznymi kanałami.

W załączeniu przesyłam dwie pierwsze wpłaty — za listopad i grudzień 1977 r. (100 koron) i pragnę wyrazić nadzieję, że na liście stałych ofiarodawców nie zabraknie żadnego uczciwego Polaka i żadnej polskiej organizacji, pragnących przyspieszyć proces duchowego wyzwalań się szerokich rzesz polskich patriotów, pogrążonych przez sowieckich władców Kremla w okresowym niedowładzie politycznym.

Z uwagi na to, że wielu rodaków utrzymuje osobiste kontakty z Krajem — proponuję, ażeby Redakcja podkreślała stale na swych łamach, że wpłaty na pomoc dla opozycji w Kraju przysyłać można całkowicie anonimowo, względnie tylko z podaniem nazwiska do wiadomości redakcji.

Na zakończenie tego listu pragnę zrekapitulować swoją myśl niesienia systematycznej pomocy dla opozycji w Kraju w formie lapidarnego apelu:

Drogi Przyjacielu!

Czy nie możemy postawić sobie zarzutu, że dotychczas tak niewiele uczyniliśmy, ażeby osłabić więzy bolszewickiej przemocy krepującej nasz Naród? Czy nie sądzisz, że stanie w dalszym ciągu na uboczu politycznych wydarzeń zachodzących w Polsce — umacnia de facto sowiecką dominację zarówno we Wschodniej Europie, jak i na całym świecie?

Pozwól dać ujście Twojej boleści, nagromadzonej w tym niezwykle trudnym dla naszego narodu, powojennym okresie, i wzbierającej w dalszym ciągu z racji bezsilności wobec naszego i całej ludzkości wroga — sowieckiego komunizmu. Spróbuj i Ty osłabić go poprzez pośrednie działanie, dając skromne materialne wsparcie prześladowanym politycznie i ekonomicznie patriotom w Kraju, usiłującym torować w naszej Ojczyźnie drogę ku sprawiedliwości, demokracji i wolności. Zadeklaruj miesięczną kwotę na pomoc opozycji w takiej wysokości, która nie naruszy równowagi Twojego budżetu, a jednocześnie wzmocni poczucie Twojej osobistej wartości, jak patrioty.

Łączę wyrazy uznania i szacunku dla całego Zespołu Redakcyjnego za konsekwentną postawę w rozbudzaniu i podtrzymywaniu świadomości narodowej,

Adam ZALEWSKI

(To mój pseudonim, którego używam z uwagi na moje niezłatwione sprawy rodzinne w Polsce. Prawdziwe imię i nazwisko oraz aktualny mój adres podałem na początku tego listu).

Rzym, 7 listopada 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem „Refleksje po śmierci Karola Popiela” pióra Dominika Morawskiego, zamieszczonym w nr. 9 *Kultury* chciałbym wyrazić

zdziwienie, iż artykuł zamiast być wspomnieniem pośmiertnym, stał się zbiorem inwektyw pod adresem byłych kolegów — a nawet pod adresem zmarłego.

Artykuł wykazuje zasadniczy brak znajomości ze strony autora, kierunku w jakim działało i działa Stronnictwo Pracy (SP). Wyciągnięcie cytów z programu w celu zwalczania ludzi przez niego nielubianych zaciemnia obraz. SP jest ruchem politycznym reprezentującym światopogląd chrześcijańsko-społeczny personalistyczny, opierający się w swoim programie i działaniu na podstawowych zasadach katolickiej nauki społecznej.

To był powód likwidacji SP w Polsce jako organizacji „wieloklasowej” społecznie i przedstawiającej politycznie do dziś jedyną alternatywę pozytywną i postępową w stosunku do marksizmu i socjalizmu.

Zgodnie z tą linią SP ZAWSZE stało w obronie praw człowieka w Polsce tak w okresie stalinizmu, jak w okresie gomulkiizmu, jak i dziś. Bronimy zawsze wszystkich uciskanych bez względu na to, czy ich poglądy polityczne są zgodne z naszymi. Nie oznacza to jednak, że rezygnujemy z naszego światopoglądu. Kategorycznie odrzucamy marksizm we wszystkich jego formach.

Dziwi mnie krótka pamięć autora („eksperta” praw człowieka), iż zapomniał o akcji Światowej Unii Chrześcijańskich Demokratów i SP na rzecz robotników w Polsce (między innymi interwencję René de Léon, Sekretarza Generalnego Św. U. Ch. D.), a jedynie pamięta o włoskich komunistach.

Rozgrywki między grupami katolickimi w Polsce są godne pożałowania. Członkowie zawieszono SP znajdują się w ich gronie tylko na zasadzie indywidualnej współpracy. Żadna z istniejących grup katolickich w Polsce nie jest ani przedłużeniem SP czy jego idei, ani nie reprezentuje politycznej myśli chrześcijańsko-społecznej. Nie znaczy to, ażeby niektórzy przywódcy i członkowie tych grup, nie uważali myśli chrześcijańsko-społecznej za słuszną postawę politycznego, gospodarczego społecznego i kulturalnego działania.

SP walczy o prawa i byt naszego narodu, w warunkach, w jakich się znajduje nasza Ojczyzna. Wystarczy uczciwie spojrzeć na dorobek całego ruchu chrześcijańsko-demokratycznego, którego wyrazem politycznym SP jest od 1937; a szczególnie na ostatni okres historii: okupacja niemiecka, stalinizm, gomulkiizm i praca na terenie międzynarodowym dla realizacji praw Polaka i Narodu Polskiego — aby się o tym przekonać.

Chciałbym również sprostować następne nieścisłości:

— nieprawdą jest, że zjazdy wojewódzkie przygotowywały „pierwszy statutowy kongres” SP; kongres ten odbył się w lipcu 1945 roku w Warszawie; natomiast zjazdy wojewódzkie wybierały delegatów na drugi powojenny kongres w lipcu 1946, który został stępiony przez władze bezpieczeństwa;

— nieprawdą jest, że śp. Prezes POPIEL otrzymał paszport po ucieczce MIKOŁAJCZYKA; zagnał się z nim w Warszawie, po otrzymaniu paszportu i wiz, i wyjechał w dzień po jego ucieczce, o której projekcie Popiel nie wiedział;

— nieprawdą jest, że Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna Europy Środkowej nie gromadzi ludzi stale uciekających z tych Krajów; nie są to „dysydenci” lecz chrześcijańscy demokraci będący oczywiście w opozycji do reżymu komunistycznego (przypomnę choćby Węgry 1956 r., Czechosłowacja 1968 r.), w Rosji ani na Ukrainie nie ma partii Ch.D.;

— nieprawdą są rzekome „ostatnie” uwagi śp. Prezesa POPIELA pod adresem ZABŁOCKIEGO; autor artykułu NIE WIDZIAŁ Prezesa Popiela przez ostatnie 6 miesięcy przed jego śmiercią;

— nieprawdą jest, że autor chciał „ratować” SP od kompromitacji — natomiast PRAWDĄ jest, że chciał wejść do jego kierownictwa, co mu się nie udało;

— nieprawdą jest, że autor brał udział w ważnych zebraniach SP — miał on w roku 1946 posadę w sekretariacie prezesa stronnictwa i w tym charakterze był obecny na zebraniach publicznych SP, w których brał udział Prezes Popiel, by być w każdej chwili do jego dyspozycji.

Z poważaniem,

Stanisław M. GEBHARDT

Rzym, 14 listopada 1977.

Szanowny Panie,

Właśnie przeczytałem w tłumaczeniu ustęp artykułu p. Dominika Morawskiego, który ukazał się w numerze wrześniowym Pana miesięcznika. W tym ustępie p. Morawski podaje treść części przeprowadzonej ze mną rozmowy.

Tak jak już bezpośrednio zawiadomiłem p. Morawskiemu, głęboko żałuję, że treść naszej całkowicie prywatnej rozmowy została opublikowana bez mojej zgody i bez uprzedniego poinformowania mnie. Jest to oczywiście sprzeczne ze wszystkimi zasadami dziennikarskimi.

Jeśli idzie o samą treść opublikowanego ustępu, to nigdy nie użyłem określenia „szalenstwo” (*folie*), albo „absurdalna myśl” (*pensée absurde*), nigdy nie odwoływałem się w sensie ogólnym do „oparcia się o grupę Zabłockiego” i nie wydawałem sądu o tzw. „kompromisie historycznym” pomiędzy partią a Kościołem, ani o „całkowitym przedstawieniu sytuacji, etc...”. Te stwierdzenia są niedokładne, użyta terminologia nie jest moją: powołałem się jedynie na pewną liczbę faktów i zajętych stanowisk.

Moje międzynarodowe doświadczenie — jakby ono nie było ograniczone — nie pozwala mi nigdy na zbyt pochopne wydawanie sądu o sytuacji kraju, który nie jest moim.

Będę Panu bardzo zobowiązany za uprzejme opublikowanie tego wyjaśnienia.

Łączę wyrazy poważania,

K. J. HAHN

(Dostówny przekład z francuskiego. — Red.).

ODPOWIEDŹ D. MORAWSKIEGO

Trudno polemizować z listem podyktowanym chęcią odwetu za moje wystąpienie z tzw. zespołu zagranicznego Stronnictwa Pracy, co p. Gebhardtowi odradzano.

Artykuł mój (inkryminowany) nie zawiera „inwektyw” lecz polityczne, umotywowane sądy.

— Rzekome „inwektywy” pod adresem Karola Popiela? Artykuł świadczy, wręcz przeciwnie, o przywiązaniu do osoby zmarłego prezesa SP, co uderzyło wielu czytelników (niektórzy mi o tym napisali).

— „Akcja chadeckiej Unii Światowej na rzecz robotników w Polsce”? Nie było takiej. Platoniczne, biurokratycznie odfajkowane oświadczenie, to nie żadna akcja. Bardziej konkretnie zachowała się w tej sprawie włoska chadecja a zwłaszcza niemiecka CDU. Włoscy komuniści? Autor listu pisze

w złej wierze. Przeciwestawiałem jedynie postawę L. Lamy, sekretarza gen. CGIL, największej włoskiej centrali związków zawodowych kolaboracyjnych i antynarodowej działalności K. Sieniewicza, członka Komitetu Politycznego chadeckiej Unii Światowej.

— „Nieścicości”? — P. Gebhardt był poza krajem w okresie działania SP w latach 1945/46 — mój zaś opis pochodzi z autopsji. Chadecka Unia Europy Środkowej jest politycznym trupem.

— „Dysydenci” nie są czymś gorszym od malejącej wciąż liczby (na skutek nieuniknionego procesu biologicznego) chadeckich uchodźców. P. Gebhardt operuje kategoriami myślenia tradycyjnych stronnictw chadeckich, zlikwidowanych 30 lat temu przez reżymy komunistyczne. Sytuacja w Europie Wschodniej jest dziś zupełnie inna.

— Prezesa Popiela widziałem dwukrotnie w pierwszych miesiącach 1977 roku. Czyżby pewność siebie autora listu wynikała z informacji pochodzących z zaświatów?

— Nie ja chciałem „ratować SP od kompromitacji” — cytowałem opinię jednego z członków „zespołu SP”, wyrażoną na piśmie i przekazaną również Gebhardtowi.

— Chęć wejścia do trzyosobowego „kierownictwa” (12-osobowego zespołu)? — Wyssane z palca.

Nie pisałem ani o „ważnych” ani o „nieważnych” zebraniach SP. Byłem rzeczywiście „do dyspozycji” prezesa Popiela w 1946 roku, ale jedynie z okazji rozmów z zachodnimi dyplomatami i dziennikarzami. Mimo długoletniego pobytu na Zachodzie nie władał on bowiem zachodnimi językami.

Dominik MORAWSKI

Rzym, 10 grudnia 1977 r.

Drogi Panie Redaktorze,

Rzym, 10 grudnia 1977.

Jak już Panu komunikowałem, nie zdążyłem — co stwierdzam z żalem — prosić dr. Hahna o zezwolenie na wykorzystanie pewnych jego wypowiedzi w mojej korespondencji. Terminy, jakie Pan zmuszony jest narzucać swym współpracownikom, mają nieubłaganą, żelazną dyscyplinę. Dr Hahn kwestionuje „terminologię” i ścisłość niektórych przytoczonych wypowiedzi, choć nie neguje, że w rozmowie naszej była mowa o „pewnych faktach i stanowiskach”. Potwierdzam — i to jest jedynie istotne — że „poparcie dla grupy Zabłockiego” ze strony p. Sieniewicza ostro wówczas skrytykował. Obecnie stara się to oślabić. Krytyczne uwagi dr. Hahna na temat stanowiska grupy „neo-Znak” (*Tygodnika Powszechnego*, *Więzi* i Klubów Inteligencji Katolickiej) nie są zresztą odosobnione wśród zachodnich chadeków. Poseł C. Fracanzani np., sekretarz komisji parlamentarnej do spraw zagranicznych, reprezentujący lewicowe skrzydło Demokracji Chrześcijańskiej, po powrocie z Warszawy kilka miesięcy temu, wyraził publicznie solidarność dla zespołu *Więzi*, oraz dla katolickich intelektualistów i działaczy, aktywnych w ruchu oporu, zwalczanych — jak wiadomo — przez grupę Zabłockiego. Delegacja włoskiego Forum parlamentarnego do spraw układów w Helsinkach, która bawiła w Warszawie w czerwcu 1977 roku i w której wziął udział, oprócz Fracanzaniana, również delegat Federacji Metalowców, przekazała prasie włoskiej dwa oświadczenia (publikowane w *Kulturze*) uczestników głośnego strajku głodowego w kościele św. Marcina. Oświadczenia te były nawet odczytane na krajowym kongresie CSIL (Chrześcijańskie Związki Zawodowe) i włączone do akt tego kongresu.

Dominik MORAWSKI

Paryż, 14 grudnia 1977.

Drogi Panie Redaktorze,

Cenne refleksje Dominika Morawskiego po śmierci Karola Popiela, zamieszczone w nr. 9/360 *Kultury*, spowodowały — jak widzę — interesującą wymianę zdań na łamach Pańskiego miesięcznika (listy J. Kulczyckiego w nr. 11, oraz prof. Glazera w nr. 12). Oby ten załączek polemiki mógł stać się punktem wyjścia dla bardzo otwartej dyskusji nad przyszłością ideologii i w ogóle polskiego ruchu chrześcijańsko-społecznego. Wypadki toczą się teraz szybko i zapotrzebowanie polityczne na wytyczne programowe takiego właśnie ruchu są kolosalne. Baza wyjściowa chyba oczywista: chrześcijański personalizm dążący do przezwyciężenia zarówno marksizmu, jak i kapitalizmu, uznający sakralny charakter każdej pracy, widzący człowieka w metafizycznej perspektywie (właśnie ta wizja, sięgająca dalej niż granice czysto materialnego bytowania, gwarantuje humanistyczny szacunek każdej osobowości).

Taka szeroka dyskusja winna też stać się — w moim pojęciu — załączkiem narodzin na emigracji rozszerzonego zespołu polskich chadeków, zespołu absolutnie niezależnego od wszelkich grup katolickich działających w kraju, oraz wyzwolonego z obciążeń dotychczasowej emigracyjnej działalności. Wyjaśniam: 1) na emigracji rola nasza jest inna od roli grup krajowych — trzeba trzymać się zrodzonej już w XIX-tym, oraz na początku XX-go wieku koncepcji „grania na dwóch fortepianach”. W żadnym wypadku nie wolno nam dać się zepchnąć do roli tuły jednej z krajowych mętnych mini-grupek (jak ODİS); 2) nowa sytuacja wymaga pracy w rozbudowanym zespole, opartej na nowych zasadach; nie oznacza to jednak, że należy negocjować dorobek polskiej ekipy chadeckiej, która działała na emigracji wokół Karola Popiela w latach powojennych. Dorobek ten to udział w budowaniu chrześcijańsko-demokratycznej międzynarodówki, to akcja na terenie chrześcijańskich związków zawodowych, to wreszcie działalność wydawnicza. Będąc w późnych latach pięćdziesiątych i wczesnych latach sześćdziesiątych działaczem a nawet przez pewien czas prezesem emigracyjnej chadeckiej młodzieży i zasiadając wówczas w radzie międzynarodówki młodych chrześcijańskich demokratów, z bliska mogłem obserwować pracę takich ludzi jak Stanisław Gebhardt, Jan Kułakowski, Jerzy Kulczycki, Franciszek Gałązka i kilkunastu innych. Dodam jeszcze, iż debata nad polską doktryną neo-chadecką, tym bardziej aktualna, iż doktryna ta musi mieć teraz oddźwięk w wielu krajach Europy i może być też zjawiskiem pewnej wagi dla rodzącej się na naszych oczach, w bólu walki i kontestacji, nowej i wreszcie unowocześnionej Rosji, która coraz to wyraźniej tęskni za Bogiem i chrześcijańską moralnością.

Moc też bardzo konkretnych politycznych spraw, ot choćby na terenie polonijnym pilny problem świadomego udziału mas naszego wychodźstwa w wyborach do parlamentu europejskiego, do którego wszak winien wejść choć jeden ich przedstawiciel!

Mając nadzieję, że na łamach *Kultury* — tego tygla w którym warzą się różnorakie polskie koncepcje — a więc przyszłość Kraju, ta dyskusja rozwinięta nie się w rzeczową wymianę zdań wysokiego lotu, łącząc wyrazy prawdziwego szacunku,

Maciej MORAWSKI

P.S. Gdy chodzi o fundamenty doktrynalne polskiego personalistycznego humanizmu w jego politycznym zastosowaniu, to ośmielam się apelować, by w dyskusji tej wzięli udział polscy specjaliści naukowcy zaliczający się do kleru, oraz myśliciele świeccy, jak profesorowie Kołakowski i Skolimowski.

M. M.

Dokumenty

STUDENCKI KOMITET SOLIDARNOŚCI W KRAKOWIE

Kraków, dnia 21 listopada 1977.

Studencki Komitet Solidarności pragnie zabrać głos w sprawie ograniczania studentom dostępu do niektórych tekstów naukowych i kulturalnych objętych restrykcjami cenzury oraz zaapelować o solidarne współdziałanie na rzecz zmiany istniejącej sytuacji.

1. Najważniejsza krakowska biblioteka i czytelnia naukowa, Biblioteka Jagiellońska (jak również wszystkie inne biblioteki uniwersyteckie) nie posiadają prawa udostępniania znacznej części tekstów, które wedle arbitralnych ocen instytucji kontroli słowa, uważane są za wymierzone przeciwko ustrojowi PRL. Nie jest to jedyna, lecz na pewno najistotniejsza grupa pism objętych w katalogu Biblioteki Jagiellońskiej adnotacją „Res” (rezerwa).

2. Obecnie dostęp do druków objętych adnotacją „Res” mają jedynie profesorowie i docenci, którzy z kolei nie mają prawa przekazywania treści zawartych w tych pismach w trakcie zajęć dydaktycznych. Studenci, doktoranci, oraz młodszy pracownicy naukowi mogą korzystać z pozycji „Res” jedynie za zgodą dyrektora biblioteki Jagiellońskiej, po uprzednim otrzymaniu zezwolenia od kompetentnego pracownika naukowego. Praktycznie ograniczenia te zawiązują w istotnym stopniu możliwość korzystania przez nich z wyżej wymienionych druków. Dodatkowe ograniczenia stwarza fakt istnienia wewnętrznego „tajnego” katalogu tekstów zakazanych, z którego można korzystać jedynie za zgodą dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej, co pogłębia elitarność w zakresie dostępu do informacji i publicystyki. Istniejąca w tej mierze praktyka opiera się na ustawie z roku 1968 (Dziennik Ustaw 12/68), której wydanie zbiega się w czasie z masowymi wystąpieniami studentów polskich w obronie wolności słowa. Dodatkowe zastrzeżenia budzi fakt prowadzenia ewidencji z zakresu korzystania z lektury niedozwolonej przez funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa. Znaną są przypadki przesłuchań studentów krakowskich, w trakcie których funkcjonariusze SB przytaczali szczegółową dokumentację odnośnie korzystania przez przesłuchiwaną z zezwolenia na czytanie tekstów objętych ograniczeniami cenzury.

3. Pozycje objęte adnotacjami „Res” lub „Res spec” obejmują ogromną większość dzieł i dokumentów opublikowanych przez polskie wydawnictwa za granicą, stanowiących ważny dorobek polskiej kultury i nauki. Podajemy kilka jaskrawych przykładów represjonowania myśli.

Literatura polska. Braki w katalogu: — J. Andrzejewski: Apelacja; S. Barańczak: Sztuczne oddychanie, Ja wiem że to nie słuszne; K. Wierzyński: Czarny polonez; M. Hłasko: Piękni dwudziestolenni; Cz. Miłosz: Dwa-dzieścia pozycji z dwudziestu dwóch w języku polskim; W. Gombrowicz:

Dzieła zebrane; Utwory Marka Hłaski, K. Wierzyńskiego i Józefa Wittlina. Historia Polski. „Res”: — Pobóg-Malinowski: Najnowsza historia polityczna Polski 1864-1945; „Zeszyty Historyczne” Instytutu Literackiego, „Kultura”; Witos: Pamiętniki; Moczułski: Wojna polska 1939 (Wydawnictwo Poznańskie, 1972).

Filozofia. Braki w katalogu: — L. Kołakowski: Obecność Mitu; Główne nurty marksizmu.

Nauki społeczne. Braki w katalogu: — W. Brus: Uspołecznienie a ustrój polityczny; M. Hirszowicz: Komunistyczny Lewiatan.

4. W związku z opisaną sytuacją apelujemy do studentów o solidarne występowanie do władz uczelni z postulatem umożliwienia swobodnego dostępu do wszystkich książek. Możliwość korzystania z tej części piśmiennictwa oznaczać będzie uznanie moralnego autorytetu i odpowiedzialności studenta, a zarazem umożliwi mu poszerzenie i konfrontację własnej wiedzy o świecie w którym żyje i który pragnie poznawać.

STUDENCKI KOMITET SOLIDARNOŚCI W KRAKOWIE

Dodatkowa informacja:

Członkowie Komitetu szacują, iż udało im się wywiesić około 1.500 egz. tego oświadczenia. Obecnie odbywają się zebrania studenckie lat, na których studenci domagają się zniesienia „Res”-ów. 28 listopada — na przykład — odbyły się tego typu zebrania na Fizyce i Filologii Polskiej.

UNIwersYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE

ZARZĄDZENIE NR 11 REKTORA UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO Z DNIA 15 LIPCA 1977 R.

w sprawie zmiany zarządzenia nr 19 Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego z dnia 17 czerwca 1975 roku w sprawie regulaminu korzystania ze zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej.

W celu zapewnienia należytego korzystania ze zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej i zabezpieczenia księgozbioru — działając na podstawie art. 10 ust. 7 ustawy z dnia 5 listopada 1958 roku o szkolnictwie wyższym (tekst jedn. Dz. U. 1973 r. nr 32 poz. 191) — zarządzam, co następuje:

§ 1

W załączniku do zarządzenia nr 19 Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego z dnia 17 czerwca 1975 roku w sprawie regulaminu korzystania ze zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej — § 22 otrzymuje brzmienie:

„Poza Bibliotekę nie wypożycza się:

- 1) zbiorów specjalnych, dzieł rzadkich i kosztownych,
- 2) egzemplarzy archiwalnych,
- 3) dzieł zastrzeżonych (res.),
- 4) dzieł znajdujących się w księgozbiorach podręcznych,
- 5) publikacji do 50 stron druku,
- 6) druków ulotnych,
- 7) gazet i czasopism,
- 8) druków polskich wydanych do 1968 roku włącznie,
- 9) druków w języku polskim wydanych zagranicą.

- 10) beletrystyki w języku polskim, z wyjątkiem wypożyczeń dzieł wydanych po 1969 roku dla celów naukowych i studentów posiadających zaświadczenia, że książki te są im potrzebne dla studiów,
- 11) dzieł wydanych zagranicą przed 50 laty,
- 12) słowników, encyklopedii, informatorów ogólnych, przewodników turystycznych oraz innych wydawnictw ze znakiem n.p.s. (nie pożyczają się do domu),
- 13) wydawnictw albumowych oraz z luźnymi tablicami, tabelami, mapami itp.,
- 14) dzieł uszkodzonych, wymagających konserwacji.

Biblioteki instytutowe Uniwersytetu Jagiellońskiego mają prawo wypożyczenia czasopism naukowych i fachowych. Studenci mogą wypożyczać podręczniki tylko związane z kierunkiem studiów. W uzasadnionych wypadkach, za zgodą kierownika Oddziału udostępniania zbiorów, można wypożyczać na ustalony okres czasu wymienione wyżej materiały biblioteczne (z wyjątkiem obiektów wyszczególnionych w punktach 1, 2, 3 i 6)".

§ 2

Zarządzenie wchodzi w życie z dniem 1 października 1977 roku.

Rektor
Uniwersytetu Jagiellońskiego
(Prof. dr Mieczysław Karaś)

Otrzymują:
wszystkie jednostki organizacyjne.

NOWE SZYKANY CENZURY

W PRL jest kilka firm wyspecjalizowanych w robieniu odbitek xeroxowych na zamówienia prywatne. Obecnie wyszło zarządzenie, że nie wolno robić kopii xeroxowych z żadnych druków polskich, wydanych przed 1945 rokiem lub kiedykolwiek za granicą. Tak samo wprowadzano ograniczenia w fotografice: mianowicie robienie kopii starych rysunków czy rękopisów możliwe jest tylko na filmach niskoczułych, według norm niemieckich stosowanych w Polsce, o czułości 10 lub 15 DIN. Takich filmów nie produkowało się w PRL i były sprowadzane z NRD — f-ma ORWO. Obecnie import ten został zakazany.

STUDENCKI KOMITET SOLIDARNOŚCI W POZNANIU

15 listopada grupa studentów poznańskich zawiązała Studencki Komitet Solidarności w Poznaniu. Po przedyskutowaniu projektu w szerszym gronie, SKS wydał oświadczenie:

Poznań, 23. XI. 1977.

OŚWIADCZENIE STUDENCKIEGO KOMITETU SOLIDARNOŚCI W POZNANIU

Od kilku dni opiekunowie lat i grup przeprowadzają rozmowy ze studentami sygnatariuszami listu w sprawie pracownika Instytutu Filologii Polskiej

Uniwersytetu Adama Mickiewicza, dr. Stanisława Barańczaka do Komisji Dyscyplinarnej przy Ministerstwie Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Kopia listu podpisanego przez 292 studentów uczelni poznańskich została złożona w kancelarii Ministerstwa 26. X. 1977 r.

10 listopada, Jego Magnificencja Rektor UAM, prof. dr habilitowany Benon Miśkiewicz zwołał zebranie opiekunów lat i grup, na którym powiadomił o fakcie zaistnienia listu i polecił zebrany przeprowadzenie rozmów ze studentami. Niestety, Jego Magnificencja Rektor, będący w posiadaniu listy sygnatariuszy, nie wykazał się dokładną znajomością treści listu, w wyniku czego w przeprowadzanych obecnie rozmowach wypacza się intencje sygnatariuszy. (Obecni na zebraniu poinformowali nas m.in., że przypisuje się podpisanym postulowanie prawa do wybierania nauczycieli akademickich przez studentów. W liście natomiast jest mowa o ewentualnym wpływie studentów na zasady doboru nauczycieli akademickich). W ogólnej liczbie sygnatariuszy, przy 18 podpisach nieczytelnych, list podpisało 149 studentów Filologii polskiej. Inicjatywę polonistów poparto swoimi podpisami 120 studentów i absolwentów UAM, Akademii Rolniczej, Politechniki Poznańskiej, Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych, Akademii Medycznej oraz pięciu studentów uczelni szczecińskich. Rozmowy indywidualne przeprowadzono dotychczas na wydziale prawa, a kierunku psychologii UAM oraz na Politechnice i PWSSP. Rozmowy w grupach przeprowadzono na historii, historii sztuki, muzykologii, filologii polskiej UAM oraz w Akademii Rolniczej. Ponadto prodziekan wydziału filologicznego, doc. dr. habilitowany Henryk Misterski przeprowadził rozmowę z Włodzimierzem Filipkiem, Jackiem Kubiakiem, Andrzejem Pakulskim, Marią Przysanowicz, Andrzejem Wilowskim, Januszem Zenerem z filologii polskiej wskazując na nich jako na organizatorów listu. W wyniku dotychczas przeprowadzonych rozmów, sześciu studentów psychologii wycofało swoje podpisy. Według informacji studentów psychologii prawdopodobnie łączy się to ze skierowaniem listów do Jego Magnificencji Rektora UAM, w których powiadają oni o wycofaniu podpisów pod zbiorowym listem, motywując to „nowym naświetleniem sprawy dr. Barańczaka”. Podczas przeprowadzonych rozmów uznano niejednokrotnie, że dr. Barańczak, poeta, krytyk, teoretyk literatury i działacz społeczny, całkowicie zasłużył na zwolnienie z pracy. Podobne przekonanie poparto na jednej z uczelni (na prośbę zainteresowanych studentów nie możemy na razie podać autora wypowiedzi) sformułowaniem, że dr. Barańczak jest człowiekiem, któremu „pieniądze kleją się do rąk”, a także argumentami o „współpracy Barańczaka z wrogimi ośrodkami za granicą”. (Zarzut ten sprecyzował dr. doc. habilitowany H. Misterski w rozmowie ze studentami twierdząc za rektorem, że Barańczak wydał w „dywersyjnym Instytucie Literackim w Paryżu książkę szkalującą rzeczywistość PRL”. Chodzi o wydany na początku roku tom wierszy „Ja wiem że to niestuszne”). W ten sposób sugeruje się, że decyzja o zwolnieniu dr. Barańczaka ma charakter polityczny, co w całej sprawie strona oskarżająca do tej pory zdecydowanie wykluczała. Celem tych rozmów, przeprowadzanych z polecenia rektoratu, jest nakłonienie sygnatariuszy do wycofania podpisów. Wielu z nich podkreśla, że w rozmowach indywidualnych jako alternatywę przedstawia się im różne „przykrości” do usunięcia z uczelni włącznie. Jest wysoce niepokojące, że niektórzy nasi nauczyciele akademicki zgodzili się wywieść presję na sygnatariuszy nie znając treści listu. Przygnębiający jest fakt, że podjęli się tego w sposób dotąd na taką skalę nie spotykany, stwarzając podczas rozmowy klimat zagrożenia w sytuacji, kiedy student, będąc pod presją swojego egzaminatora, jest niemal całkowicie bezbronny. Jeżeli zarzuty nauczyciela akademickiego pod adresem Barańczaka, mające charakter pomówienia, wyszły nie z niedoinformowania ale są celową dezinformacją i metodą osiągnięcia pozanaukowego i pozawychowawczego „sukcesu” przy-

padek taki byłby oburzający. Wobec pogłosek, pochodzących od władz UAM o rzekomej fałszywości niektórych podpisów, sygnatariusze listu zwrócili się do członka rzeczywistego PAN, prof. dr. Jana Kielanowskiego, z prośbą o zdeponowanie oryginału listu. Profesor dając wiarę ich informacjom obiecał zwrócić się w całej sprawie do ministra prof. Sylwestra Kaliskiego.

W obliczu rozpętanej przez administrację uczelni poznańskich akcji wymierzonej przeciwko studentom i wobec niemożności wpłynięcia na jej zahamowanie poprzez nauczycieli akademickich lub organizacje społeczne czy polityczne, z dniem 15. XI. 1977 powołuje się, wzorem Krakowa, Warszawy i Gdańska, Studencki Komitet Solidarności w Poznaniu. O powstaniu SKS'u w Poznaniu powiadamia się Marszałka Sejmu, pisał Stanisław Gubkę, ministra prof. Sylwestra Kaliskiego oraz rektorów poznańskich uczelni.

Sposób funkcjonowania i zadania SKS'u:

SKS działa jawnie. SKS zbiera i przekazuje środowisku studenckiemu informacje dotyczące aktualnych problemów nurtujących studentów i wydarzeń związanych z życiem akademickim. Zadaniem SKS'u jest reprezentacja praw i interesów studentów. Potrzeba taka wynika z narastających wypaczeń funkcjonowania administracji uczelni w relacji władze uczelni - student, z braku faktycznego, zorganizowanego reprezentanta środowiska studenckiego. Socjalistyczny Związek Studentów Polskich nie spełnia wystarczająco tej funkcji. Jego obecna struktura i rzeczywiste formy działania spowodowały trudny do zlikwidowania dystans między Zarządem Związku a ogółem członków i działaczy. Zarząd Związku, wbrew natarczywie głoszonym hasłom, zachowuje się tak, jak gdyby był powołany do służby rozmaitym instytucjom w najmniejszej zaś mierze jako powołany przez studentów dla studentów. SKS nie neguje działalności SZSP zważywszy, że do tej pory była to jedyna organizacja wspierająca realizację szerokiego akademickiego ruchu kulturalnego, naukowego, turystycznego, itd. Wśród inicjatorów SKS'u znaleźli się byli i obecni działacze SZSP. SKS apeluje do Zarządu Związku o wzajemne uszanowanie działalności, a w najlepszym wypadku o współpracę. Naszym wspólnym interesem winny być nie indywidualne kariery w aparacie władzy, ale intelektualny i duchowy rozwój ogółu studentów, nieskrępowanego ruchu artystycznego, naukowego itd. Droga do tego celu nie są na pewno uroczyste akademie, bezsensowne masówki i coraz to nowsze a coraz to bardziej puste programy działania. To i poprzednie zdania podziela wielu SZSP'owskich działaczy. Uważamy, że SZSP koncentrując się coraz intensywniej na manifestowaniu swojego politycznego powołania, traci po drodze charakter Związku studenckiego. Przypominamy, jako wyrzut, że kiedy w styczniu tego roku, studenci polonistyki zwrócili się do aktywu Związku o pośredniczenie w przekazaniu Jego Magnificencji Rektorowi zbiorowej petycji, ogół odpowiedzialnych działaczy zachował się jak sparaliżowany. Przypominamy, jako wyrzut, że kiedy w maju tego roku, duża liczba studentów przyłączyła się do żałoby po śmierci Stanisława Pyjasa, Zarząd Związku odciął się od swoich mandatariuszy. Zwracamy też uwagę, że w związku z ożywieniem intelektualnym i politycznym młodzieży akademickiej a co za tym idzie, wzrostem poczucia przynależności do wspólnoty społecznej i odpowiedzialności za jej prawidłowy rozwój, zwiększa się liczba studentów nachodzonych i przestuchiwanych przez służbę bezpieczeństwa. Szukanie pomocy w tej sprawie w Zarządzie Związku i u władz uczelni było do tej pory nieskuteczne. Liczymy w przyszłości na zmianę tego stanu rzeczy. W wyniku dotychczasowego tendencyjnego rozumienia zadań związku studenckiego, SZSP zignorował pewne podstawowe obowiązki wobec studentów. Czujemy głęboką potrzebę by lukę tę swoją działalnością wypełnić.

STUDENCKI KOMITET SOLIDARNOŚCI W POZNANIU

Za Komitet podpisali: *Włodzimierz Henrych*, student Historii Sztuki UAM; *Jaromir Jedliński*, student Historii Sztuki UAM; *Ewa Kubacka*, studentka Filologii Polskiej UAM; *Jacek Kubiak*, student Filologii Polskiej UAM; *Wiesław Lisiecki*, student Muzykologii UAM; *Edward Maliszewski*, student Wydziału Biologii UAM; *Jerzy Nowacki*, absolwent Filologii Polskiej UAM; *Wiesława Skrzyszewska*, studentka Filologii Polskiej UAM; *Maciej Szerkowski*, student Filologii Polskiej, UAM.

W dniu 5. 11. 1977 roku założono Studencki Komitet Solidarności Wyższych Uczelni w Gdańsku. Wydano jednocześnie deklarację treści następującej:

DEKLARACJA STUDENCKIEGO KOMITETU SOLIDARNOŚCI WYŻSZYCH UCZELNI TRÓJMIASTA

Nawiązując do inicjatywy naszych kolegów z Krakowa i Warszawy powołujemy dziś w Gdańsku Studencki Komitet Solidarności.

Inicjatywa nasza ma na celu dalsze rozwijanie istniejącego już niezależnego ruchu studenckiego. Ruchu, który byłby autentycznym solidarnym działaniem studentów na rzecz swoich praw.

Uważamy, że obecnie działająca jedyna organizacja studencka SZSP nie spełnia swoich zadań. Już w samej formule tej organizacji tkwi sprzeczność. SZSP jest organizacją ściśle polityczną o określonym charakterze ideowym, a równocześnie jest prawie jedyną reprezentacją wszystkich studentów. Oczywiście jest, że cechą każdej społeczności, w tym także środowiska studenckiego, jest pluralizm poglądów i postaw, a reprezentacją studenckiej społeczności może być tylko organizacja apolityczna, otwarta dla wszystkich bez względu na przekonania i światopogląd.

Jednym z głównych naszych celów jest podjęcie prac, których konsekwencją będzie utworzenie niezależnej organizacji studenckiej. Nasze działania będą zmierzać do tego, aby studenci i pracownicy naukowcy mieli możliwość realizacji i obrony swoich praw. Będziemy walczyć o zmiany niektórych błędnych i niesprawiedliwych aktów prawnych, regulujących życie wyższych uczelni.

Zamierzamy również informować o wszystkich problemach nurtujących nasze środowiska.

Pragniemy dotrzeć do wszystkich bez względu na przekonania polityczne i światopogląd. Liczymy na współudział w naszej inicjatywie. Uważamy bowiem, że sprawy, które chcemy poruszać i o które chcemy walczyć, powinny być drogie wszystkim ludziom, ponieważ dotyczą sprawiedliwości, wolności i prawdy.

Podpisali: *Piotr Dyk* — AMG, Wydział Lekarski, r. V, Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Sienkiewicza 10 m. 6, tel. 41-24-49; *Anna Młynik* — AMG, Wydział Lekarski, r. IV, Gdańsk, ul. Ogarna 15/19 m. 14 kl. A, tel. 3143-02; *Magdalena Modzelewska* — UG, Wydział Hum., Filologia polska, r. IV, Gdańsk-Przymorze, ul. Fromborska 5; *Grzegorz Pliszka* — UG, Wydział Hum., Historia, r. IV, Gdańsk, ul. Spadzista 2 m. 12, tel. 32-31-99; *Andrzej Stomiński* — AMG, Wydział Lekarski, r. V, Gdańsk, ul. Kartuska 68/8; *Błażej Wyszkowski* — PG, Wydział Budownictwa Lądowego, r. V, Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Danusi 5 m. 24.

W dniu 7. 11. 1977 roku deklaracja ta została rozpowszechniona na wszystkich uczelniach. Tegoż samego dnia deklaracja wraz z listem informującym o powstaniu SKS'u została przekazana rektorom wyższych uczelni w Gdańsku wraz z prośbą o spotkanie rektorów z przedstawicielami SKS'u. Jeszcze tego samego dnia przedstawiciele SKS'u zostali przyjęci przez rektora Akademii Medycznej w Gdańsku. Spotkanie trwało 15 minut — rektor powiedział, że fakt powstania SKS'u przyjmuje do wiadomości, ale nie zajmuje w tej sprawie stanowiska, gdyż wykracza to poza jego kompetencje. W czwartek, 10. 11. 1977 roku, przyjął delegatów SKS'u rektor Uniwersytetu Gdańskiego, prof. Sokołowski. Rozmowa trwała półtorej godziny, ale nie dała żadnych specjalnych wyników. Rektor Politechniki Gdańskiej odmówił przyjęcia przedstawicieli SKS'u, kierując ich do prorektora do spraw nauczania. Delegaci SKS'u zrezygnowali z tej wizyty.

W KW PZPR Gdańsk odbyła się narada z udziałem rektorów wyższych uczelni Trójmiasta, na której rektorom zabroniono wyciągnięcia jakiegokolwiek konsekwencji administracyjnych wobec członków SKS'u. 11. 12. 1977 r. przebywał w Gdańsku przewodniczący Zarządu Głównego SZSP, oficjalnej organizacji studenckiej — Gabrylejski. Na spotkaniu z aktywnym gdańskim SZSP doszło do krytyki polityki SZSP wobec studentów. Aktyw SZSP Gdańsk uważał, że organizacja SZSP nie traktuje spraw studenckich z należytą powagą. Jest to chyba pierwszy wypadek wyłamania się z dyscypliny organizacyjnej.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ KOR

Warszawa, 30 listopada 1977.

OŚWIADCZENIE

W niedzielę, 20 listopada 1977 roku MO i SB w Krakowie przeprowadziły sześć rewizji w mieszkaniach rzeczników i działaczy krakowskiego Studenckiego Komitetu Solidarności: Lilianny Batko, Ewy Kulik, Anny Krajewskiej, Józefa Ruszara, Ziemowita Pochitonowa. Tegoż dnia MO i SB wkroczyły do mieszkania Bogusława Sonika gdzie około 40 studentów przygotowywało oświadczenie krakowskiego SKS'u w sprawie druków naukowych i dzieł literackich, których biblioteki akademickie na skutek ograniczeń cenzury nie udostępniają studentom. Oświadczenie zawiera apel do studentów krakowskich o solidarne współdziałanie na rzecz zmiany istniejącego stanu rzeczy. Wszystkich obecnych wylegitymowano i zrewidowano. W mieszkaniu przeprowadzono wielogodzinne przeszukanie.

21 listopada na dworcu w Krakowie zatrzymano i po zrewidowaniu zwolniono działacza krakowskiego SKS'u Bronisława Wildstajna wracającego z Warszawy oraz przeprowadzono rewizję w mieszkaniu jednego z uczestników spotkania u Bogusława Sonika — Marka Nowakowskiego, studenta Uniwersytetu Jagiellońskiego. W nocy z 21 na 22 listopada 1977 roku wyprowadzono z pociągu i zatrzymano w komisariacie kolejowym działacza krakowskiego SKS'u — Lesława Maleszkę wracającego z Warszawy. Rano, funkcjonariusze MO i SB z Krakowa odwiedzili zatrzymanego do jego mieszkania, w którym przeprowadzono rewizję. Tegoż dnia w Krakowie, na ulicy, zatrzymano i po przesłuchaniu w Komendzie MO zwolniono studentów Akademii Górniczo-Hutniczej — Zbigniewa Bitewskiego i Zbigniewa Skorę.

23 listopada 1977 roku, o godzinie 13-tej zatrzymano trzech studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego — Elżbietę Malik, Tadeusza Kensego i Łuka-

sza Świerza. Po kilkugodzinnym zatrzymaniu i próbach przesłuchania wszyscy zostali zwolnieni. W domu studenckim, w pokoju Elżbiety Malik, pod jej nieobecność przeprowadzono rewizję.

18 listopada 1977 roku, w Warszawie, w mieszkaniu Mariana Marka Skózy, dziesięcioosobowa ekipa MO i SB przeprowadziła wielogodzinną rewizję bez świadka i początkowo bez nakazu przesłuchania. Wskutek żądań rewidowanego, po godzinie dostarczono nakaz wystawiony przez Prokuraturę Wojewódzką. Marian Skóza, były więzień obozu koncentracyjnego i więzień PRL czasów stalinowskich (10 lat) podczas rewizji dostał ataku serca. Wezwano Pogotowie ale nie przzerwano przeszukiwania. Nie doręczono Marianowi Skózie protokołu rewizji i nie pokwitowano zabranych z jego mieszkania egzemplarzy Opinii nr 6 i przygotowanej do powielania Opinii nr 7.

W związku z podpisaniem przez 66 pracowników Zakładu Elektronicznej Techniki Obliczeniowej (ZETO) we Wrocławiu apelu Amnesty International o zwolnienie więźniów politycznych, 20 października 1977 na żądanie przedstawicieli SB, dyrekcja Zakładu zwołała egzekutywę PZPR w celu potępienia sygnatariuszy i wszczęcia dochodzeń w ich sprawie. Następnie w Zakładzie i w KW MO rozpoczęto przesłuchania kierownictwa i pracowników ZETO (przesłuchiwał przeważnie kapitan Jerzy Olkiewicz). Funkcjonariusze MO i SB grozili przesłuchiwanym, nakładali im do denuncjacji, oskarżali o naruszanie kodeksu pracy oraz wypytывali o sposób docierania do zakładu „Robotnika” i innych niezależnych pism. Bezprawna ingerencja w ZETO trwa.

W dniach 15-20 listopada w Grudziądzu funkcjonariusze MO i SB przesłuchali co najmniej 7 osób. U jednej z nich przeprowadzono rewizję, trzem zdjęto odciski palców, wszystkich pytano o kontakty z KOR'em (przedstawiając go jako nielegalną organizację) oraz namawiano do współpracy z SB. Według funkcjonariuszy SB z Torunia działania te spowodowane były rzekomo rozpowszechnianiem w Grudziądzu anonimów mających nawoływać do niszczenia i palenia gmachów urzędowych a nawet przedszkoli.

Przez blisko rok, do maja 1977 stosowano tego rodzaju represje policyjne jako metodę rozprawiania się z opozycją. 24 sierpnia br. w imieniu Komitetu Obrony Robotników Profesor Edward Lipiński wystosował w tej sprawie obszerne pismo do generalnego prokuratora PRL. Pismo pozostało bez odpowiedzi, ale amnestia — wydawało się — kładła kres brutalnym taktikom organów ścigania. Dziś społeczeństwo znów staje się świadkiem próby nawrotu do metod policyjnego zastraszania obywateli wyrażających jawnie i otwarcie poglądy odmienne od uznanych za właściwe. Komitet Samoobrony Społecznej „KOR” czuje się w obowiązku stwierdzić, że stosowanie takich metod powoduje wyłącznie wzrost szkodliwego, zwłaszcza w obecnej sytuacji, społecznego napięcia i niepokoju.

W ostatniej chwili doniesiono nam, że rzecznik Studenckiego Komitetu Solidarności w Krakowie Ziemowit Pochitonow student 5-go roku Akademii Rolniczej został skreślony z listy studentów. Z. Pochitonowowi brakowało pół roku do ukończenia studiów a przez cały okres studiów uzyskiwał średnią ocen cztery. Skreślenie umotywowano „całokształtem postawy”. Decyzja ta, tak jak wszystkie opisane represje policyjne, stoi w jaskrawej sprzeczności z wielokrotnie deklarowanym przez władze państwowe dążeniem do stabilizacji i spokoju społecznego. Bezpodstawne skreślenie z listy studentów rzecznika SKS'u w obliczu solidarnego działania młodzieży akademickiej Krakowa i napięć społecznych w całym kraju stanowi w najlepszym przypadku akt nieprzemyślany, którego konsekwencje mogą być nieobliczalne.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

(podpisy)

Prasa bez cenzury

SPOTKANIA

NIEZALEŻNE PISMO MŁODYCH KATOLIKÓW

Nr I, październik 1977.

OD REDAKCJI

Naturalną konsekwencją temperatury życia społeczno-politycznego w naszym kraju jest funkcjonowanie niezależnego ruchu wydawniczego. Po raz pierwszy w Polsce Ludowej zjawisko to występuje w takim nasileniu jak obecnie. Bez precedensu bowiem jest fakt, że po kraju krąży stosunkowo duża ilość drukowanych na miejscu czasopism i innych publikacji, które bez większych trudności trafiają do rąk przeciętnego a zainteresowanego odbiorcy. Niewątpliwie zapotrzebowanie społeczne na materiały, które z oczywistych względów nie ukazują się w oficjalnie istniejących wydawnictwach, determinuje wzrost samizdatowych tytułów. Obok druków o charakterze informacyjnym („Biuletyn Informacyjny”) notujemy czysto literackie „Zapis” i „Puls” oraz „Opinie”, która łączy bieżące wiadomości z publicystycznym komentarzem. A nie są to przecież jedyne wolne od cenzury pisma, że wymienimy wydawane ostatnio „Głos”, „Robotnik” czy studencki „Bratniak”. Ta nie spotkana dotąd w PRL ilość niezależnych publikacji świadczy na pewno o jednym: że pomimo trzydziestu lat istnienia rozbudowanego do monstrualnych rozmiarów systemu policyjnego nie udało się zniszczyć w Polakach tego, co stanowi o istnieniu każdego narodu — niezależnej myśli.

Każdy z krążących po kraju periodyków realizuje program wynikający z zapotrzebowania środowiska, do którego jest adresowany. Owa kierunkowość poczyniła wydawniczych zwiększa obszar działania niezależnej myśli, a co za tym idzie, kształtuje społeczną świadomość, ogranicza, nie mające nic wspólnego z demokratyzmem, władze.

Profil naszych „SPOTKAŃ” jest konsekwencją przyjęcia przez nas katolickich ideałów. U podstaw podjętej przez nas inicjatywy wydawniczej, leży z jednej strony potrzeba uruchomienia w środowisku katolickim niezależnego forum, którego zadaniem byłoby kształtowanie postawy świadomego katolika, z drugiej zaś przekonanie, że „Spotkania” staną się jeszcze jednym głosem w podejmowanej ostatnio społecznej dyskusji. Zdajemy jednak sobie sprawę z konieczności konfrontowania różnych nurtów społeczno-politycznych i światopoglądowych, składających się na niezależną opinię w kraju. Ko-

nieczność ta podyktowana jest nie tylko zagrożeniem płynącym ze strony totalitarnej władzy wobec wszelkiej niezależnej myśli, ale przede wszystkim dążeniem do wzajemnego zrozumienia i współpracy wszystkich tych nurtów. Fakt istnienia ponadnarodowych i ponadwyznaniowych problemów, każe nam widzieć i łączyć nasze sprawy ze sprawami wszystkich walczących o demokrację narodu — z szerokim kontekstem światowym.

SPIS TREŚCI

1. p.	Str.
1. Od redakcji	2
2. Witold Zdziechowski — Rozważania ewangeliczne — Czyja to rzecz?	3
3. Janusz Topacz — O co chodzi?	6
4. Krzysztof Sadawa — Ballada o jutrze	12
5. Jacek Zaborowski — Sprawy Żydów czy antysemityzm?	29
6. X.Y.Z. — Ukraińcy wobec państwowości polskiej	29
7. Witold Zdziechowski — Wspomnienie ojca na 17 września 1939 r.	43
8. Szymon Stupnicki — Walka na florecie „bo” na planszy dialektyka i perspektywa. Konkurencja męska	44
9. Jerzy Geresz — Refleksje z kościoła św. Marcina	47
10. Bogdan Borusewicz — Metody walki z opozycją w Polsce	55
11. Krzysztof Sadawa — List otwarty czarownic do króla Makbeta. Ballada o lustrze które w moim kraju	69
12. Niepublikowany list Lenina	71
13. Fakty, wydarzenia, opinie	74
14. Spis treści	80

POSTĘP

Nr 1.

Lipiec, 1977.

Pismo to jest formą dyskusji publikowanej ludzi pracy. Jest to kwartalnik wydawany na podstawie art. 83, art. 86 Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oraz art. 19 Paktów Praw Człowieka i Obywatela.

Korzystajmy z przysługujących na praw; Czekamy na Twój głos w dyskusji publicznej!

Proponujemy ludziom pracy wspólne redagowanie wydarzeń i rozpowszechniania tego pisma.

SPIS TREŚCI

I. Komunikat. — II. Dyskusja i dokumenty: 1. Gospodarka — kultura — polityka. 2. Czy potrzebny jest niezależny chłopski związek zawodowy — Henryk Kosut; 3. O potrzebie istnienia niezależnych związków zawodowych — Henryk Bąk; 4. Dłaczego społeczeństwo nie zna swych praw — Stanisław Jurzynek; 5. List otwarty do VIII Konkresu Związków Zawodowych — Henryk Bąk. — III. Wyciągi z przepisów: 1. Wyciąg z konwencji nr 87 dotyczącej wolności związkowej i ochrony praw związkowych; 2. Wyciąg z konwencji nr 98 dotyczącej stosowania zasad organizowania się i rokowań zbiorowych; 3. Wyciąg z konwencji nr 111, dotyczącej dyskryminacji w zakresie zatrudnienia i wykonywania zawodu.

KOMUNIKAT:

Apelujemy do ludzi pracy, aby zawiadamiali nas o naruszaniu praworządności oraz praw związkowych.

Publikując wiadomości o naruszaniu praw ludzi i o nadużyciach władzy będziemy poddawać je kontroli i obecnie społeczeństwa i przyczynimy się wspólnie do obrony praw i interesów ludzi pracy w miastach i na wsi.

Ponadto powiadamy, że w środowisku ludzi pracy została już zapowiedziana publiczna dyskusja na temat:

„CZY POTRZEBNE SĄ W POLSCE NIEZALEŻNE ZWIĄZKI ZAWODOWE LUDZI PRACY W MIEŚCIE I NA WSI”.

W związku z tym publikujemy trzy artykuły i list otwarty, a także podajemy wyciągi z Konwencji Międzynarodowych ratyfikowanych przez Polskę.

Zapraszamy do szerokiego udziału w dyskusji o niezależnych związkach zawodowych oraz proponujemy redakcjom pism niezależnych „Biuletynu Informacyjnego”, „Zapisu”, „Opinii”, „U progu” i innych oraz redakcjom pism rządowych, aby podjęły ten temat na łamach swoich pism.

Rok I — Warszawa, 1 listopada 1977.

Nr 7.

O P I N I A

PISMO RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA
I OBYWATELA

W NUMERZE:

Demokracja i niepodległość.

Z KALENDARZA POLAKA: 8 Listopad — Wojciech Ziemiński.

DZIAŁANIA: Spotkania i Kluby Dyskusyjne RUCHU OBRONY; Deklaracja „Ruchu Demokratycznego”; Działalność SKS w Krakowie; Utworzenie SKS w Warszawie; Nowe czasopisma Postęp i Głos.

POGLĄDY: Obraz narodu polskiego — Stefan Kaczorowski.

REPRESJE: Legalność bezprawia — Adam Wojciechowski; Polityka szykan i represji.

KRAJ: Notatki z Huty Katowice — Zygmunt Brzostek; Apele zamiast programu — Zbigniew Makowski; Likwidacja Rady Ochrony Przyrody; Zgasty gwiazdy pod Kaliszem.

SPRAWY NARODOWE: Polityka militarna Chin — Karol Kłosiewicz; Możliwości militarne Chin — Jerzy Helman; Jeden dzień w Ułan Bator — M.Z.; Wolność religii w ZSRR.

LUDZIE WOLNI: Wilno - Berlin - Praga.

RODACY NA OBCYZYŃCIE: Zjazd PPS — Największa sprzeczność epoki; Zmarł St. Zadrozny — W „Jutrze Polski”.

FAKTY: Zadłużenie PRL; Likwidacja sklepów mięsnych.

PRZEGLĄD PRASY.

ECHA OPINII — LISTY DO REDAKCJI.

ŁÓDZKA OPINIA

Na marginesie wizyty Gromyki — Zbigniew Sekulski; Czy nowy proces

brzeski? — Karol Głogowski; Czy prawa człowieka są przestrzegane? Pamiętnik więźnia — Marek Chwalewski.

DOKUMENTY I INFORMACJE RUCHU OBRONY
Oświadczenie RUCHU OBRONY z 14 października 1977.

Wydawnictwo Polskie.

ZADŁUŻENIE PRL

W oparciu o różne źródła krążą różne dane dotyczące wysokości zadłużenia PRL za granicą. Źródła zachodnie podają sprzeczne często informacje, wahające się od 12 do 18,5 mld. dolarów (stan na koniec 1976 r.). W kręgach zbliżonych do polskiego handlu zagranicznego mówi się, że w połowie 1977 roku zadłużenie wyniosło ok. 15 mld. dolarów. Wedle informacji z kół zbliżonych do Ministerstwa Finansów, gdzie działa specjalne Biuro Długów Zagranicznych, jesienią 1977 stan zadłużenia miał wynosić 20,5 mld. dolarów; być może kwota ta obejmuje też oprocentowania i koszty tzw. obsługi długów, oraz polskie obciążenia z tytułu udziału w bankach RWPG.

Praktycznie, całe to olbrzymie zadłużenie powstało dopiero po 1970 roku. Ekipa Gierka w dalszym ciągu zabiega o wysokie kredyty konsumpcyjne i inwestycyjne, tak że zadłużenie nadal rośnie — mimo różnych ograniczeń w imporcie. Polityka stałego zapożyczania się coraz cięższym brzemieniem spoczywa na nas wszystkich. Ekipa Gierka tym chętniej zaciąga długi, bo wie, że nawet po najdłuższym okresie sprawowania rządów — nie ona będzie je spłacać. Aby spłacić zadłużenie, potrzeba będzie na to pracy 2 pokoleń.

AMNESTIA MIĘDZYNARODOWA

29 października Kolegium d/s Wykroczeń przy Naczelniku Dzielnicy Warszawa Śródmieście, w składzie Antoni Gawel, Henryk Kowalczyk i Stanisław Majchrzak rozpatrzyło kolejne sprawy przeciwko Adamowi WOJCIECHOWSKIEMU, Emilowi MORGIEWICZOWI i Zbigniewowi SEKULSKIEMU, członkom Amnestii Międzynarodowej i uczestnikom RUCHU OBRONY o to, że przez zbieranie podpisów pod apelem AM, domagającym się zwolnienia więzionych za przekonania, dopuścili się rzekomo naruszenia porządku publicznego. Kolegium oddaliło dowód ze świadków obrony, nie dopuszczając do ich przesłuchania (m.in. na okoliczność, że w czasie, którego dotyczył zarzut, Emil Morgiewicz znajdował się przejściowo w innym miejscu), wysłuchało jedynie świadka oskarżenia, który... znał sprawę z opowiadań innych osób. Kolegium skazało wszystkich obwinionych na grzywnę w wysokości po 3 tysiące zł. W uzasadnieniu orzeczenia czytamy: „Kolegium udowodniło winę obwinionemu na podstawie notatki z dnia 16. X. 1977...” z czego wynika, iż zamiast rozpatrywać sprawę, wzięło ono na siebie obowiązki oskarżyciela publicznego.

Od nieprawomocnego orzeczenia obwinieni złożyli odwołanie do Kolegium d/s Wykroczeń przy Prezydencie m.st. Warszawy.

CZY PRAWA CZŁOWIEKA SĄ PRZESTRZEGANE?

Wychodząc z założenia, że działalność społeczna obca wszelkiemu sekciarstwu winna brać za punkt wyjścia trzeźwą i realistyczną ocenę rzeczywistości.

tości społecznej oraz wychodzić na przeciw faktycznym a nie wydumanym potrzebom ludzi — zwracamy się do czytelników naszego pisma o nadsyłanie obszerne, pisemnych odpowiedzi na postawione niżej pytania.

Prosimy także o dalsze rozpowszechnianie tekstu naszej ankiety i pomoc w zbieraniu i przekazywaniu odpowiedzi.

Materiały należy przekazywać do Redakcji OPINII lub Punktów Konsultacyjno-Informacyjnych RUCHU OBRONY.

Ankieta jest anonimową, prosimy tylko o podanie następujących danych: 1. wiek ankietowanego, 2. płeć, 3. zawód (posiadany lub wykonywany), 4. miejscowość a — duże miasto, b — małe miasto, c — wieś.

Zebrany materiał zostanie opracowany socjologicznie i następnie przedstawiony w OPINII.

Oto pytania naszej ankiety:

1. Czy zdaniem Pana (Pani) prawa ludzkie i obywatelskie są w Polsce przestrzegane?

- a) — jeśli tak, które z tych praw uznaje Pan (Pani) za najważniejsze?
- b) — jeśli nie, na czym polega ich naruszenie?
- c) — Jakiego działania należy podjąć, by przywrócić respektowanie tych praw?
- d) — Kto powinien podejmować takie działania?

OSWIADCZENIE

Warszawa, 24 października 1977.

Artykuł 17 Konstytucji PRL stwierdza: „Polska Rzeczpospolita Ludowa uznaje i ochrania na podstawie obowiązujących ustaw indywidualną własność i prawo dziedziczenia ziemi, budynków i innych środków produkcji, należących do chłopów, rzemieślników i chałupników”.

Wnieiony pod obrady Sejmu PRL rządowy projekt „Ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym oraz innych świadczeniach dla rolników i ich rodzin” stawia sobie dwa zadania:

— zapewnienie zaopatrzenia emerytalnego na starość oraz na wypadek inwalidztwa tym rolnikom, którzy, stale powiększając produkcję rolną i sprzedając produkty rolne jednostkom gospodarki uspołecznionej, aktywnie uczestniczą w programie wyżywienia narodu;

— stworzenie warunków do dalszego rozwoju rolnictwa uspołecznionego oraz do korzystnej przebudowy indywidualnych gospodarstw rolnych i unowocześnienia metod gospodarowania.

Projekt Ustawy niejednako traktuje tych rolników, którzy przekazują gospodarstwo rolne swemu następcy oraz tych, którzy przekazują gospodarstwa rolne państwu. W pierwszym przypadku rolnik musi prowadzić gospodarstwo rolne i sprzedawać jednostkom gospodarki uspołecznionej produkty rolne o wartości nie mniejszej niż 15 tys. zł rocznie przez okres co najmniej 25 lat — mężczyzna i 20 lat — kobieta. W drugim przypadku wystarczy prowadzenie gospodarstwa nieprzerwanie przez 5 lat przed jego przekazaniem państwu.

Praktycznie rolnik, który osiągnął wiek emerytalny i który prowadził gospodarstwo nieprzerwanie i przekazał ziemię państwu, otrzyma emeryturę z chwilą wejścia w życie Ustawy tj. z dniem 1 stycznia 1978 roku. Rolnik, który przekazuje ziemię następcy, emeryturę lub rentę otrzyma dopiero od 1 lipca 1980 roku. Wysokość emerytury wynosi 1.500 zł. miesięcznie (przy najniższym jej wymiarze) — z tym, że rolnik przekazujący gospodarstwo państwu otrzymuje jeszcze dodatki wynoszące do 220 zł. miesięcznie, a uzależnione od wartości przekazanej ziemi, budynków, inwentarza itp.

Jak z powyższego wynika, projektowana Ustawa ma na celu przyspieszenie przekazywania gospodarstw chłopskich państwu. W ten sposób następować będzie przyspieszone przejmowanie przez państwo ziemi chłopskiej i likwidacja chłopskiej gospodarki, tym bardziej iż w kwestii tak ważnej, jak przekazywanie gospodarki następcy, projekt Ustawy pozostawia swobodę uznania naczelnikowi gminy.

Powszechnie wiadomo, że indywidualna gospodarka rolna w Polsce jest bardziej wydajna niż uspołeczniona: świadczy o tym wyższa i tańsza produkcja z powierzchni użytków rolnych. Gospodarka indywidualna obejmowała w 1976 roku 71,1 % powierzchni użytków rolnych i oddała na wyżywienie narodu: w produkcji czterech zbóż 80,5 %, ziemniaków 91,7 %, buraków cukrowych 80,8 %, bydła 75,9 %, trzody chlewnej 75,2 %, mleka 86,1 %, jaj 94,2 %.

Wyniki produkcyjne gospodarki indywidualnej byłyby jeszcze większe, gdyby nie była ona celowo w pewnych okresach dezorganizowana (walka z „kułakami”, przymusowa kolektywizacja i pegeeryzacja), a w innych dyskryminowana w stosunku do uspołecznionej przy zakupie nowych ciągników, maszyn, a także nawozów mineralnych, pasz, materiałów budowlanych, opału.

Błędna polityka agrarna prowadzona przez 30 lat wystraszyła najlepszą młodzież ze wsi do miast i doprowadziła do gospodarstw bez następców i do licznych odłogów — co jest przyczyną powtarzających się kryzysów w rolnictwie i całej gospodarce narodowej.

Wychodząc z założenia, że na dalsze kontynuowanie dotychczasowej polityki rolnej — jako osłabiającej państwo — po prostu nas nie stać — stwierdzając, że w świetle art. 17 Konstytucji PRL projekt w brzmieniu wniesionym pod obrady Sejmu PRL jest naruszeniem Ustawy Zasadniczej — uważamy za niezbędne, aby projektowana ustawa zapewniała warunki utrzymania i tworzenia silnych ekonomicznie, zdrowych gospodarstw rodzinnych — jak i jednakowe traktowanie rolników pod względem zaopatrzenia emerytalnego, zgodnie ze społecznym odczuciem sprawiedliwości i bez względu na to, komu gospodarstwo zostało przekazane.

Marian BOGACZ, Mieczysław BORUTA-SPIECHOWICZ, Benedykt CZUMA, Kazimierz JANUSZ, Stefan KACZOROWSKI, Leszek MOCZULSKI, Emil MORGIEWICZ, Marek MYSZKIEWICZ-NIESIOŁOWSKI, ks. Bogdan PAPIERNIK, Marian PIŁKA, Kazimierz PLUTA-CZACHOWSKI, Zbigniew SIEMIŃSKI, Marek M. SKUZA, Restytut W. STANIEWICZ, Kazimierz ŚWITOŃ, Bogumił STUDZIŃSKI, Piotr TYPIAK, Adam WOJCIECHOWSKI, Andrzej WOŹNICKI, Wojciech ZIEMBIŃSKI.

Opinia Łódzka — dodatek regionalny.

OD REDAKCJI

Jako pierwszy z lokalnych dodatków OPINII, przedstawiamy dodatek redagowany w Łodzi. W następnych numerach OPINII kolejno, w miarę możliwości będą ukazywały się dodatki przygotowane przez regionalne zespoły redakcyjne. W ten sposób realizujemy nową formę współtworzenia naszego pisma.

(red.)

ŁÓDZKA OPINIA. Redaktor dodatku: Zbigniew SEKULSKI. Oddział Redakcji w Łodzi: ul. Wschodnia 19 m. 26. Tel. 731-54 w poniedziałki godz. 16,00 - 17,00.
Numer dodatku lokalnego zamknięto 29 października.

PUNKTY KONSULTACYJNO-INFORMACYJNE RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA:

BYDGOSZCZ, Zachodnia 1a — czwartki godz. 17.00-18.00.
KATOWICE, Mikołajska 30 m. 7, tel. 51-49-19; czwartki godz. 18.00-20.00.
KRAKÓW, Meiselsa 24 m. 7, wtorki godz. 16.00-18.00.
LUBLIN, Hutnicza 20 m. 5, tel. 619-20, czwartki godz. 17.00-18.00.
ŁÓDŹ, Konstytucyjna 11 m. 1, tel. 86-857, środy godz. 17.00-18.00.
POZNĄ, Chełmińska 16 m. 3, środy godz. 17.00-18.00.
PRZEMYŚL, Przemysłowa 38 m. 3, poniedziałki godz. 17.00-18.00.
SZCZECIN, Bohaterów Warszawy 113 m. 7, poniedziałki godz. 18.00-19.00.
WARSZAWA, Czerniakowska 34 m. 120, tel. 40-01-80, poniedziałki, piątki,
godz. 16.30-18.30.

UKAZAŁ SIĘ

Z A P I S

Nr 4.

POEZJA — PROZA — ESEJE — KRONIKA

ZAPIS Nr 4 przygotowali: Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Kazimierz Brandys, Andrzej Drawicz, Adam Michnik, Marek Nowakowski, Kazimierz Orłoś, Barbara Toruńczyk, Wiktor Woroszyński i Adam Zagajewski.

Październik 1977

SPIS TREŚCI

Zbigniew Herbert: *Heraldyczne rozważania Pana Cogito*; Kornel Filipowicz: *Noc nad wodą*; Jerzy Ficowski: *Nowe wiersze*; Marek Nowakowski: *Mój przyjaciel pisarz i inne portrety z przeszłości*; 1. *Mój przyjaciel pisarz*, 2. *Nocny gość*, 3. *Patoka*; Barbara Sadowska: *Nowe wiersze*; Joanna Szczepańska: *W kościele Świętego Marcina*; Stefan Kisielewski: *Przeciw cenzurze — legalnie (garść wspomnień)*; Baudouin de Courtenay o tłumaczeniach myśli ludzkiej; Kazimierz Orłoś: *O wolności słowa i o cenzurze po ratyfikacji paktów praw człowieka*; Anna Chmielewska: *Kampania*; Stanisław Barańczak: *O Josifie Brodskim*; Josif Brodski: *Wiersze* (przełożył Stanisław Barańczak); Jerzy Narbutt: *Remanent polemiczny*; Wiktor Woroszyński: *Błędy w remanencie czyli polemika z polemiką*; ks. Jacek Salij: *Dialog jest trudny, ale to nie szkodzi*; Milczenie Henryka Jasińskiego; Henryk Jasiński: *Wiersze*; Piotr Wierzbicki: *Felietony*: 1. *W teatrze*, 2. *Zwierzęcy opór*, 3. *Złoto w tubce*, 4. *Mózg cyrku*, 5. *Stuszne oburzenie*; Tadeusz Walendowski: *Z „Teatru ulicznego i domowego”*; Kisiel: *3 × Wołanie na puszczy*; 1. *Świąteczny powrót*, 2. *Przeżuwanie fantazyjne*, 3. *Cholerny świat*; Stefan Amsterdamski: *„Główne nurty marksizmu” Leszka Kołakowskiego*; Lech Dymarski: *Co dręczy Konwicznego?*; Stanisław Barańczak: *Krytyka jeszcze istnieje*; Jerzy Ficowski: *Zadziwiające przygody Marca Chagalla w Polsce*. — Kronika: *Cztery numery Zapisu*; *Prymas Polski — do ludzi pióra*; *Seria „Bez cenzury” Instytutu Literackiego*; *Wieczór wspomnień o Stojimskim i przemówienie Kijowskiego*; *Warszawska Jesień Poezji — bez poetów*;

Męstwo i odwaga — hasłem Sacrosongu w Kaliszu; *Nowe niezależne wydawnictwo*; *Wieczory autorskie w prywatnym domu*; *Dziesięć tysięcy pięćset interwencji cenzury*; *Wydawcy sami cenzurują*; *W roku bieżącym — to samo*; *Nowa czarna lista*; *Czym się zajmuje Urząd Celný Port Lotniczy*; *Niewłaściwy tłumacz Engelsa*; *Tajemnice polskiej cenzury* wydały się na Zachód; *Co się dzieje w kinematografii*; *Filmy, których także nie zobaczymy*; *Wieczór Czesława Miłosza*; *Udaremniony wieczór autorski*; *Witamy „Puls”*. — *Noty o autorach*.

(Ciąg dalszy Wpłat ze str. 2-giej)

Adam Zalewski, Sztokholm — miesięczna wpłata na pomoc dla opozycji w Kraju (listopad i grudzień, vide list do Redakcji) F. 100,00
DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

Waldemar Bagiński, Sztokholm	F. 100,00
F.H., Hamilton, Ohio (USA)	F. 47,85
Inr. Władysław Holcman, Kopenhaga	F. 40,00
Piotr Kalinowski, Paryż	F. 100,00
Czesław Kiendys, Goteborg (Szwecja) — w pierwszą rocznicę pozostania na Zachodzie (24.12.1976)	F. 15,00
Wanda Pilecka, Pau (Francja)	F. 100,00
Antoni Siemak, West Covina, Cal. (USA)	F. 33,50
Bezimiennie z Sydney	F. 542,28
Bezimiennie z USA	F. 47,85

WPLATY NA POLSKIE POROZUMIENIE NIEPODL.

Waldemar Bagiński, Sztokholm	F. 100,00
Władysław Gauza, Oslo — ze zbiórki na 1-szym zebraniu Stow. Polskiego w Norwegii (20.11.1977)	F. 250,00

WPLATY NA RUCH OBRONY CZŁOWIEKA I OBYW.

F.H., Hamilton, Ohio (USA)	F. 47,85
Władysław Gauza, Oslo — ze zbiórki na 1-szym zebraniu Stow. Polskiego w Norwegii (20.11.1977)	F. 250,00

(Ciąg dalszy Spisu Rzeczy)

DOKUMENTY

Studencki Komitet Solidarności w Krakowie:	Oświadczenie z 21. 11. 1977	224
Rektor P.J.:	Zarządzenie Nr 11 z 15. 7. 1977	225
S.K.S. w Poznaniu:	Nowe szykany cenzury	226
S.K.S. Wyższych Uczelni Trójmiasta:	Oświadczenie z 23. 11. 1977	226
K.S.S. „KOR”:	Deklaracja	229
	Oświadczenie z 30. 11. 1977	230

PRASA BEZ CENZURY

„Spotkania” Nr 1, „Postęp” Nr 1, „Opinia” Nr 7, „Zapis” Nr 4:	232
---	-----

ANKIETA MŁODZIEŻOWA „KULTURY”

Termin przysyłania odpowiedzi na Ankietę przesuwamy do 30 kwietnia 1978 roku.

REDAKCJA

SPOSTOWANIA

W grudniowej *Kulturze* Nr 12/363 na str. 129 wypadł jeden wiersz — naturalnie Zb. Stypułkowski podpisywał własną książkę pt. „Zaproszenie do Moskwy”, a książkę Aleksandra Wata — p. Ola Watowa.

Ponadto w Indeksie, na str. 158, przy wyliczeniu artykułów w 42-gim *Zeszycie Historycznym* mylnie podano nazwisko autora J. Ciechanowiecki zamiast J. Ciechanowski.

REDAKCJA

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal : 1^{er} Trimestre 1978.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 15,00	R. 29,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 3,75	\$ A 18,00	\$ A 35,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczubot, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 15,00	F.B. 85,00	F.B. 160,00
BRAZYLIA : prosimy o przysyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 3,75	\$ US 18,00	\$ 35,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 15,00	F. 80,00	F. 150,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,50	Fl. h. 50,00	Fl. h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que. H4A 1Z1, Tel. 486-2339; B. Krauski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 3,75 DM 8,00 F. 15,00	\$ Can. 18,00 D.M. 50,00 F. 85,00	\$ Can. 35,00 D.M. 85,00 F. 160,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.			
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss			
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6	K.S. 15,00	K.S. 85,00	K.S. 160,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dzielanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103. POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. (312) 489-2554; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av. apt 10, Los Angeles, Cal. 90038, tel. (213) 463-1817; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 3,75 £stg. 1.85 F. 15,00	\$ US 18,00 £stg. 10,00 F. 85,00	\$ US 35,00 £stg. 19,00 F. 160,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 56 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210			
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241			

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.160; półroczna — F.85.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTYTUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 283 — WITOLD GOMBROWICZ

„DZIEŁA ZEBRANE”

Tom XI

WSPOMNIENIA POLSKIE

WĘDRÓWKI PO ARGENTYNIE

Teksty znalezione w pośmiertnych papierach Autora.

Str. 256.

Cena F. 55,00.



TOM 284 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIESTY DRUGI

Zawiera m.in. prace: Natalii Naruszewicz — *Zarys historii PRL* — zeszyt 1; Jana Ciechanowieckiego — *Stosunek rządu brytyjskiego do Powstania Warszawskiego*; Witolda Leitgebera — *Rozwiązanie PSZ w świetle dokumentów brytyjskich*; Józefa Lichtena — *O asymilacji Żydów w Polsce*; Julii Brun-Żejmis — *Czaadajewa „Słowo o kwestii polskiej”*; W. W. Kulskiego — *Pamiętnik polskiego dyplomaty (1)*; J. Jaklicza — *Historia ostatnich dni 3-ej Dywizji piechoty*; Kazimierza Okulicza — *Czy Beck naprawdę chciał dokonać zwrotu polityki w sierpniu 1939 roku?*; Witolda Babińskiego — *Mieczysława Pruszyńskiego „Love Story”* oraz obszerny dział RECENZJI, POLEMIKI i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 30,00.